

THOMAS
ARNOLD

Debiutancka powieść autora
HORYZONTU UMYŚŁU

ANESTEZJA



Spis treści:

Strona redakcyjna

Dedykacja

PROLOG

DZIEŃ 1

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

DZIEŃ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

DZIEŃ 3

ROZDZIAŁ 11

DZIEŃ 4

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

DZIEŃ 5

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

DZIEŃ 6

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

DZIEŃ 7

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67

ROZDZIAŁ 68

ROZDZIAŁ 69

ROZDZIAŁ 70

ROZDZIAŁ 71

ROZDZIAŁ 72

ROZDZIAŁ 73

ROZDZIAŁ 74

ROZDZIAŁ 75

DZIEŃ 8

ROZDZIAŁ 76

ROZDZIAŁ 77

ROZDZIAŁ 78

EPILOG

THOMAS
ARNOLD

ANESTEZJA



AGENCJA REKLAMOWO-WYDAWNICZA
VECTRA

Thomas Arnold

Anestezja

Redakcja

Robert Ratajczak

Współpraca

Natalia Jargieło

Sabina Zarzycka

Projekt okładki

Kamil Sanex Cieśla

Natalia Jargieło

Zdjęcie na okładce

Kamil Sanex Cieśla

Korekta

Danuta Dworaczek

Dorota Spandel

© by Thomas Arnold

Skład i łamanie

Artur Kaczor

PUK KompART, Czerwionka-Leszczyny

ISBN 978-83-65950-12-3

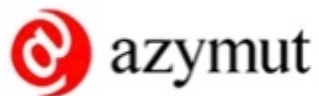
Wydawca

Agencja Reklamowo-Wydawnicza „Vectra”

Czerwionka-Leszczyny 2017

www.arw-vectra.pl

Publikację elektroniczną przygotował:



*Książkę dedykuję Annie, Stelli, Ryszardowi oraz śp.
Dorocie — osobom, na których zawsze mogłem i nadal
mogę polegać.*

Dziękuję Wam...

Powieść ta jest fikcją literacką. Nazwiska, postaci, miejsca i zdarzenia są dziełem wyobraźni autora. Użyto ich w sposób fikcyjny i nie powinny być interpretowane jako rzeczywiste. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych zdarzeń, miejsc, organizacji lub osób jest wyłącznie dziełem przypadku.

PROLOG

Winyłowy fartuch i długie, sięgające za łokcie rękawice z tego samego materiału były umazane krwią. Podobnie prezentowała się plastikowa osłona maski chroniącej twarz podstarzałego mężczyzny obojętnie spoglądającego na swoje dzieło — rozczłonkowane ciało leżące na dwuipółmetrowym, metalowym stole.

Podłoga łagodnie opadała ku środkowi sali i była poprzecinana strugami zakrzepłej krwi. Na suficie znajdowało się kilkanaście spryskiwaczy w dwóch kolorach oraz trzy potężne wyloty rur.

Osobnik przyprowadził wózek stojący pod ścianą. Pojedynczo pakował pocięte wcześniej części ciała do dużych, plastikowych worków, a te wrzucał niedbale do pojemnika. Gdy skończył, zabezpieczył go metalowym wiekiem, przepchnął pod ścianę i ustawił na wyznaczonym miejscu.

Przeszedł do ciasnego pomieszczenia będącego jednocześnie śluzą i przebieralnią. Na pierwszy rzut oka nie było w nim dosłownie niczego, oprócz czterech ścian i małej, czerwonej diody obok drzwi. Przyłożył do niej palec. Otworzyły się zamaskowane drzwi szafy, z której wyjechał wieszak z czystymi ubraniami.

Przebrał się, a brudną odzież ochronną spakował do worka. Podszedł do drzwi prowadzących do zakrwawionego pomieszczenia i nacisnął guzik obok klamki. Na suficie zaczęło pulsować czerwone światło ostrzegawcze. Z podłogi wysunęły się

spryskiwacze w dwóch kolorach — wyglądały identycznie, jak te w suficie.

Najpierw zielone spryskały sufit oraz boczne ściany mieszaniną środka rozpuszczającego krew i dezynfekującego, a następnie niebieskie silnymi strumieniami wody dokładnie spłukały całość. Kiedy wszystko spłynęło do otworu na środku sali, operacja została powtórzona przy użyciu spryskiwaczy sufitowych. Na koniec włączył się nawiew — osuszanie trwało dwie minuty. Olbrzymie rury pełniły funkcję wyciągu, zasysając wilgotne powietrze na zewnątrz.

Procedura oczyszczania sali trwała niecałe dziesięć minut, a po jej zakończeniu można by jeść z podłogi.

Mężczyzna opuścił przebieralnię. Zamknął za sobą drzwi i rozpoczął operację dezynfekcji, która tym razem została przeprowadzona w śluzie. Nie czekając na jej zakończenie, podszedł do wózka stojącego nieopodal ściany, otworzył wieko i wrzucił do środka worek z zakrwawioną odzieżą ochronną. Ustawił stopy na wyznaczonych miejscach — tuż za wózkiem. Odwrócił głowę i czytnik siatkówki oka pojedynczym sygnałem potwierdził tożsamość.

Mężczyzna poczuł delikatne szarpnięcie. Prostokątny fragment podłogi zaczął opadać. Podróż ciemnym, klaustrofobicznym szybem zakończyła się po trzydziestu sekundach.

Pchnięty wózek zjechał z platformy, zatrzymując się niemalże samoczynnie przy potężnym urządzeniu przypominającym kształtem szklarnię wbudowaną w ścianę. Osobnik pociągnął za metalowy uchwyt i wysunął długi pojemnik z licznymi otworami na każdej z powierzchni. Przerzucił do niego worki i wsunął podajnik z powrotem. Na panelu sterującym ustawił najwyższą

temperaturę. Nacisnął jednocześnie dwa guziki i z wnętrza urządzenia dobiegł szum — płomienie objęły zawartość pojemnika, wdzierając się przez perforowane ściany do jego środka.

**Miesiąc przed głównymi
wydarzeniami...**

— Stella! Jesteś tam?! Stella!

Po powtórny wezwaniu padła odpowiedź:

— Już idę, proszę pana! — rozbrzmiał w oddali kobiecy głos.

Trzej znajdujący się na rusztowaniu robotnicy, odprowadzając wzrokiem kobietę, która przemknęła pod nimi, ucieszyli się, że to nie ich wezwano. Znali trudny charakter właściciela i woleli nie mieć z nim do czynienia. Natychmiast wrócili do swoich obowiązków — w pośpiechu wykańczali sufit, który miał być gotowy przed dwoma dniami.

Rezydencja Petersonów była niewidoczna dla przechodniów. Mieściła się w jednej z najbogatszych dzielnic, w północno-zachodniej części miasta i od głównej drogi oddzielał ją wysoki mur, za którym rozpościerała się gęstwina bujnych drzew i krzewów ozdobnych. Posiadłość była niczym ogród botaniczny. O estetykę obejścia dbało na co dzień czterech doświadczonych ogrodników.

Collin Peterson — były właściciel potężnej firmy jubilerskiej — zawsze przywiązywał wagę do szczegółów i lubił, kiedy wszystko wyglądało tak, jak to sobie wyobraził i zaplanował. Nie wszystko jednak w życiu udało mu się przewidzieć. Od dłuższego czasu zmagał się z coraz poważniejszymi problemami zdrowotnymi i od kilku miesięcy rzadko wstawał z łóżka. Przez ponad połowę życia walczył z astmą, a przez ostatnich kilka lat również z postępującą dysfunkcją nerek i wątroby. Wiedział, że w tej walce stoi na z góry przegranej pozycji, więc zapragnął odejść z pola bitwy z godnością. Nie chciał, aby jego pogarszający się stan zaważył na pozycji firmy na rynku i ostatecznie pogodził się z jakże trudną dla niego decyzją. Władzę nad imperium przekazał synowi.

Ten niegdyś tryskający energią mężczyzna teraz był już tylko swoim niewyraźnym cieniem. Choroba wysała z niego resztki sił

i chęci do dalszej walki. Stał się jeszcze bardziej opryskliwy niż kiedyś. Otoczeniu trudno było znieść jego gburowaty charakter i tylko obojętność na fochy i obelgi umożliwiała trzeciej z rzędu pielęgniarsce, zatrudnionej w ciągu czterech miesięcy, wytrzymywanie z tym jakże trudnym pacjentem.

Do sypialni właściciela weszła niewysoka, szczupła, rudowłosa kobieta w niebieskim kitlu. Stała obok łóżka, na którym leżał gospodarz. Na jego głowie nie było już ani jednego włosa w kolorze innym niż siwy, a czoło miał poorane zmarszczkami. Skwa-szona mina mężczyzny mówiła sama za siebie.

— Gdzie byłaś?! — Musiał wziąć głęboki oddech, zanim wypowiedział kolejne słowa. — Wołałem cię dziesięć razy!

Może od razu pięćdziesiąt, dopowiedziała w myślach.

— Przepraszam, byłam w salonie. Rozmawiałam z doktorem Greenem, który instruował mnie, jak prawidłowo obsługiwać nowy dializator. Chyba nie chce pan, żebym narobiła bałaganu — powiedziała żartobliwie i uniosła brew. Lubiała się z nim droczyć.

— Wszystko mi jedno — odburknął. — Muszę się napić. Przynieś mi, proszę, sok jabłkowy... Tylko bez dodatku mięty!

— Oczywiście... Pamiętam, gdzie wylądował ostatni... — Spojrzała w kąt pokoju, gdzie na białej ścianie dało się zauważyć żółtawą plamę. — Zaraz wracam. Proszę nigdzie nie wychodzić.

— Bardzo śmieszne!

Gdy przyniosła zamówiony napój, pacjent zrobił łyk i odstawił szklankę na nocny stolik, po czym sięgnął po urządzenie sterujące łóżkiem i podniósł nieco oparcie. Pod poduszką wymacał pilota i włączył umocowany na specjalnym stelażu, metr nad nogami, telewizor. Spojrzał spode łba na irytującą kobietę, która nie miała zamiaru sobie pójść.

— To wszystko. Jak będę cię potrzebował, nie omieszkam zawołać.

— Dobrze, ale tak dla przypomnienia... Nie musi pan krzyczeć... Wystarczy nacisnąć przycisk. Dostanę sygnał na telefon i przybiegnę co tchu.

— Wiem, ale cały czas o tym zapominam — warknął, nie odwracając wzroku od telewizora.

Stella skinęła głową i wróciła do salonu — do znacznie przyjemniejszego towarzystwa.

Na obszernej, obitej brązową skórą kanapie siedział doktor Robert Green — specjalista z dziedziny urologii. Wyraźne zakola na jego głowie świadczyły o średnim wieku ich właściciela, a szary garnitur drogiej marki wydawał się odrobinę za ciasny. Mimo to doktor podobał się kobietom. Stella wpatrywała się, jak czyta czasopismo, które znalazł pod stołem. *Forbes* był niegdyś ulubionym tytułem Collina Petersona i jedynym, który milioner każdorazowo studiował od deski do deski. Doktor, zauważywszy pielęgniarkę, odłożył gazetę i wstał. Poczekał, aż kobieta zajmie miejsce.

Stella знаła zasady dobrego wychowania i ten gest sprawił jej przyjemność. Wśród wyzwisk i obelg ze strony właściciela domu, których codziennie musiała wysłuchiwać, była to niezwykle miła odmiana.

— Proszę nawet nie pytać — uśmiechnęła się, siadając.

— Nie miałem zamiaru. Doskonale rozumiem. Z chorymi ludźmi właśnie tak jest. Ani choroba, ani śmierć nie jest dla nich tak straszna, jak uzależnienie od innej osoby. Tego boją się najbardziej.

— Ma pan rację, doktorze. Trzeba być wyrozumiałym. — Wymuszony uśmiech pojawił się na jej twarzy. — Wracając do

tematu dializatora...

— Właśnie... Podstawowe zagadnienia już omówiliśmy. — Doktor poklepał ściankę białej maszyny stojącej tuż obok niego. — To sprzęt z najwyższej półki, więc nie powinno być żadnych problemów. To cacko jest bardzo samodzielne, jednak od czasu do czasu trzeba po prostu zerknąć, czy wszystko w porządku.

— Rozumiem, ale czy aby na pewno dam sobie...

— Całkowicie i bezsprzecznie — przerwał jej doktor Green. — Zresztą... Ma pani mój numer, zostawiam także namiary do serwisanta. — Wręczył pielęgniarce wizytówkę. — Można dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Najwyżej nie odbierze — powiedział wesoło. — Jutro pojawią się ludzie, którzy pomogą pani ustawić i podłączyć urządzenie.

— Dziękuję.

— Żałuję tylko, że nie mogę zrobić nic więcej. — Doktor Green wstał i tym ruchem dał do zrozumienia, że zakończył wizytę.

Kobieta zrobiła to samo i grzecznie podziękowała lekarzowi. Razem wyszli z salonu. Gdy znaleźli się na korytarzu, usłyszeli głos komentatora sportowego dochodzący z sypialni Petersona.

— Teraz mam go z głowy na jakąś godzinkę lub dwie — powiedziała kobieta przyciszonym głosem. — Ostatnio tylko sport jest w stanie go zająć na dłużej, a przy tym nieco uspokoić.

— *Cholero jedna! Do kogo podajesz?!*

— Uspokoić? — Doktor litościwie spojrzał na pielęgniarkę.

— Oczywiście... Teraz wykrzyczy się i dzięki temu popołudnie będzie już całkiem znośne — odparła z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

— No cóż. Jak widać, każda metoda jest dobra. Codziennie uczę się czegoś nowego.

Stella wyprzedziła doktora o kilka kroków, chcąc otworzyć mu drzwi. Gdy mężczyzna był już w progu, zza pleców doszło go wołanie.

— Doktorze Green!

Zatrzymał się i rozejrzał po domu, próbując zlokalizować wzywającą go osobę. Ostatecznie jego wzrok padł na podest oddzielający dwie części schodów prowadzących na piętro. Stał tam wysoki, prosty jak strzała mężczyzna, ubrany w idealnie skrojony, granatowy garnitur. Doktor Green doskonale wiedział, z kim ma do czynienia, choć bez okularów nie widział dokładnie twarzy. Malowała się przed nim nienaganna sylwetka Richarda Petersona — dziedzica fortuny Petersonów, który w związku z chorobą ojca przejął władanie nad rodzinnym imperium.

Syna Petersonów nie można było pomylić z nikim innym. Jego imponujący wzrost — ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów — oraz wyraziste rysy twarzy na długo zapadały w pamięć każdemu, a szczególnie każdej, która go spotkała. W odróżnieniu od swojego ojca był znany światu nie tylko z zamiłowania do pracy, jakie zostało w nim zaszczepione, ale również z tego, że nie stronił od nocnego trybu życia. Był częstym gościem ekskluzywnych klubów i balów charytatywnych. Sam wielokrotnie organizował przyjęcia ze zbiórkami na cele dobroczynne. Co więcej, jako zdeklarowany kawaler, był uznawany za jedną z najlepszych partii w mieście. Magazyny plotkarskie prześcigały się w spekulacjach, *która* będzie jego kolejną partnerką. On tymczasem doskonale się bawił, zmieniając kobiety jak rękawiczki — niemalże każdego wieczoru towarzyszyła mu inna.

— Witam pana, panie Peterson. — Doktor Green skinął głową w kierunku mężczyzny pospiesznie schodzącego po schodach.

— Tak mówiono do mojego ojca, ja jestem Richard. — Milioner już z daleka wyciągnął rękę na powitanie.

— To ja panów zostawiam samych.

— Oczywiście. Dziękuję, Stello. Zajmę się panem doktorem.

Kobieta oddaliła się.

— Przepraszam, że zatrzymuję, ale czy mógłby mi pan poświęcić parę minut pańskiego cennego czasu? Chciałbym na osobności omówić kilka kwestii związanych z ojcem. Nie ukrywam, że wolałbym, aby nas nie usłyszał, nawet przypadkiem.

— Oczywiście. Na następną wizytę jestem umówiony za... — Green spojrzął na zegarek — godzinę, więc mam jeszcze trochę czasu.

— Wyśmienicie! — Richard Peterson przyklasnął w dłonie. — W takim razie, zapraszam na górę. — Wskazał ręką schody.

Gdy weszli do gabinetu znajdującego się na piętrze, doktor, któremu luksusy nie były obce, zamarł ze zdumienia. Cztery gustownie podświetlone oryginalne obrazy Rembrandta idealnie wtapiały się w pięknie zachowany salonik z czasów Ludwika XVI. Naprzeciwko wejścia znajdował się rzeźbiony, kamienny kominek, a po każdej z jego stron — olbrzymie regały z książkami.

Doktor był jak odurzony. Podeszedł do półek i zaczął przyglądać się woluminom, których grzbiety już z daleka prezentowały się imponująco. Natychmiast zauważył, że większość to pozycje bardzo stare i miał obawy przed sięgnięciem po którąkolwiek z nich. Do jego nozdrzy doszedł specyficzny zapach historii, który tak uwielbiał.

— Proszę się nie krępować — zachęcił łagodnie Richard Peterson. — Jaki będzie z nich pożytek, jeśli nikt do nich nie zajrzy?

Drżącymi rękami doktor wyciągnął tom, który tak bardzo go zainteresował. Była to niemiecka książka poświęcona budowie ludzkiego ciała. Nie potrafił rozszyfrować podpisu autora, ale ręcznie zapisane karty i tak samo wykonane szczegółowe szkice robiły piorunujące wrażenie.

— Człowiek, który stworzył to arcydzieło, był nie tylko geniuszem, ale również artystą.

— Nie wiem, kto jest autorem, ale jedno wiem na pewno. To jeden z najstarszych i pewnie najcenniejszych okazów biblioteki ojca.

— Nic dziwnego... To prawdziwy skarb! — Doktor z najwyższym szacunkiem przewracał kolejne strony. Był zdumiony perfekcyjnością, z jakim wykonano to dzieło. Z żalem odłożył książkę na półkę. Był zafascynowany biblioteką. Dostrzegał coraz to nowe detale i marzył o tym, aby mieć chociaż kilka minut więcej na ich podziwianie. Czas jednak gonił, a on musiał skupić się na pracy. — Piękny gabinet! — pochwalił z wyraźnym uznaniem w głosie.

— Mojego ojca charakteryzowało zamiłowanie do szczegółów, a gabinet to efekt jego pasji. Proszę się rozgościć i czuć jak w domu. Brandy? — Gospodarz podszedł do pozłacanego globusa pełniącego funkcję barku i podniósł górną półkulę. Oczom doktora ukazała się majestatyczna kolekcja najprzeróżniejszych trunków świata. Nie chciał nawet zgadywać, ile mogły kosztować niektóre butelki.

— Nie, nie. Nie mogę! — zaprzeczył natychmiast. — Bądź co bądź, jestem w pracy.

— Oczywiście... Nie będę nalegał.

— Chciał pan ze mną porozmawiać o...

— Racja... Nie marnujmy czasu.

Usiedli po przeciwnych stronach zabytkowego biurka.

— Chciałem zapytać, licząc jednocześnie na szczerą odpowiedź, o stan mojego ojca. Wiem, że już o tym rozmawialiśmy przez telefon, ale dzisiaj pragnę usłyszeć najszczerszą prawdę, nawet tę najgorszą z najgorszych.

Green zastanowił się chwilę.

— Pana ojciec jest trudnym przypadkiem i upartą osobą. Sama dializa nie jest jeszcze końcem świata, a z astmą można żyć pod warunkiem regularnego stosowania leków. Jednak pana ojciec z dnia na dzień słabnie i widać, wyraźnie widać, że męczy go ten stan. Znam ludzi w jego wieku z podobnymi, a nawet ze znacznie cięższymi dolegliwościami. Mam na myśli pacjentów onkologicznych, którzy się nie poddają i cieszą się życiem, normalnie funkcjonując w społeczeństwie.

Richard Peterson nawet nie drgnął, słuchając słów doktora.

— Problem pana ojca leży głębiej, w jego psychice. Oczywiście proszę mnie źle nie zrozumieć, ale...

— Rozumiem pana doskonale. Znam swojego ojca bardzo dobrze. Gdy zachorował, przejąłem pieczę nad firmą. Zrobiłem to na jego żądanie, ale mam wrażenie, że od tego momentu poczuł się niepotrzebny i zaczął coraz bardziej odgradzać się od świata. Nie widząc sensu życia, poddał się.

— Całkowicie się zgadzam.

— Czy jest dla niego jakaś nadzieja? Z astmą całe życie sobie radził, więc mam wrażenie, że w głównej mierze chodzi o to jego całkowite uzależnienie od regularnych dializ.

— W tej chwili tylko przeszczep mógłby mu zapewnić szansę na powrót do normalnego życia.

— Ale o tym już rozmawialiśmy. Mówił pan, że niezmiernie trudno jest znaleźć dawcę.

— To prawda. Szczególnie dla pańskiego ojca, który ma rzadką grupę krwi. Powiem tak... W jego przypadku *trudno* to mało powiedziane. W dzisiejszych czasach kolejki są ogromne, a nie jest on pierwszy na liście. Grupa krwi to dopiero początek. Uzyskanie odpowiednio dużej zgodności tkankowej dawcy i biorcy graniczy niemalże z cudem. Wyjątkiem bywa przeszczep pomiędzy członkami rodziny, gdzie zgodność jest wysoka. Oczywiście dokonujemy przeszczepów również w przypadkach małej zgodności, jednak istnieje wtedy duże ryzyko odrzucenia narządu.

Peterson spochmurniał. Po chwili milczenia wstał i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

— Wszystko w porządku?

— Tak. To znaczy... nie. Mój ojciec jest nieuleczalnie chory. Poza tym wszystko jest w porządku. — Wiedział, że zachował się nietaktownie, ale w którymś momencie musiał dać upust frustracji. Zazwyczaj w sytuacjach bez wyjścia pomagała mu książeczka czekowa. Teraz nawet ona była bezwartościowa. — Przepraszam, doktorze. Proszę mi wybaczyć. Czasem nie wiem, co we mnie wstępuje.

— Proszę nie robić sobie wyrzutów. Bezradność to stan często spotykany w moim zawodzie. Znam wszystkie jego następstwa.

Peterson nie przestawał chodzić po pokoju. Splótł ręce na piersiach i wyprostowany jak podczas musztry spojrzał paraliżująco na swojego gościa. W końcu przełamał się.

— Doktorze Green...

— Tak?

— Czy teraz ja mogę być z panem szczerzy?

Doktor zmarszczył czoło. Zaniepokoił go ton, jakim Richard Peterson wypowiedział ostatnie zdanie. Poprawił się w fotelu i wyostrzył zmysły.

— Oczywiście...

Peterson usiadł naprzeciwko lekarza, oparł łokcie o blat biurka i splótł dłonie, po czym wbił wzrok w gościa.

— Czy słyszał pan o prywatnej klinice, na południe od Waszyngtonu?

Green wyprostował się i, na wzór rozmówcy, oparł łokcie o biurko — przyjął niemalże identyczną pozycję jak gospodarz. Po chwili milczenia dość niejednoznacznie odpowiedział na pytanie:

— Może jednak napiję się brandy.

Peterson wyciągnął z kredensu szklanki. Z barku wziął butelkę bursztynowego trunku, po czym wrócił na swoje miejsce.

— Przepraszam, ale nie mam tutaj lodu. Chyba że poproszę, to nam przyniosą.

Doktor machnął lekceważąco ręką.

— Jakoś sobie poradzimy.

**Tydzień przed głównymi
wydarzeniami...**

Srebrna honda CR-V zatrzymała się na parkingu nieopodal budynku Katedry Narodowej w Waszyngtonie. Z samochodu wysiadł wysoki, barczysty mężczyzna, ubrany w jasnoszare spodnie, błękitną koszulę i granatową marynarkę. Założył ciemne okulary i otworzył bagażnik. Z torby, która w nim leżała, wyciągnął grubą kopertę. Schował ją do kieszeni marynarki, po czym rozejrzał się po okolicy, upewniając się, czy aby nie jest śledzony.

Spokojnym krokiem pomaszerował w stronę głównego wejścia. Kroczył wolno, podziwiając okolicę. Włączył aparat w telefonie i udając zafascynowanie otoczeniem, co kilkanaście metrów dokumentował spacer nowym zdjęciem — zadbane park pięknie się prezentował. Kiedy jego oczom ukazała się niemal cała budowla, zatrzymał się i wziął głęboki oddech. Widok, jaki rozpościerał się przed nim, był imponujący.

Z lotu ptaka katedra wyglądała jak olbrzymi krzyż. Została wzniesiona w stylu neogotyckim. Centralna wieża, usytuowana na skrzyżowaniu naw, miała ponad pięćdziesiąt metrów wysokości. Pozostałe dwie górowały nad wejściem.

Dochodziła trzynasta i choć to, co widział przed sobą, zapierało dech w piersiach, nie mogło skraść mu już ani sekundy. Wszedł do katedry i skierował się w stronę rzeźby Lincolna. W ławkach naliczył jedenaście osób. Żadna nie wyglądała podejrzanie.

Staął przed obliczem jednego z najślawniejszych prezydentów USA. Udając zainteresowanie, zaczął studiować tablicę, która wisiała obok, we wnęce.

Po chwili usłyszał kroki wolno zbliżającej się osoby. Kątem oka dostrzegł mężczyznę ubranego w dżinsy i biały T-shirt, z przewieszonym na szyi aparatem fotograficznym. Osobnik szedł

od strony ołtarza, rozglądając się na boki. Na głowie miał czapkę z daszkiem. Duże, ciemne okulary średnio mu pasowały, ale dobrze maskowały twarz.

Zwiedzający również zatrzymał się przed rzeźbą Lincolna. Mężczyźni stali ramię w ramię. Osobnik z aparatem odezwał się jako pierwszy:

- Wielki człowiek...
- Szkoda, że musi tutaj stać.
- Pewnie wygodniej ma w fotelu.

Po tej krótkiej wymianie zdań mężczyźni spojrzeli na siebie. Niższy — ten z aparatem — miał charakterystyczne znamię na policzku.

— Cieszę się, że pan dotarł, panie Anderson.

— Przez chwilę zastanawiałem się, czy pan przyjdzie. Powoli traciłem nadzieję, ale widzę, że należy pan do ludzi zorganizowanych i punktualnych. Lubię punktualność.

— Ja również.

— Zamieniam się w słuch.

Wyższy osobnik spokojnie odwrócił się i rozejrzał dookoła. Musiał upewnić się, że w pobliżu nikogo nie ma. Miał wątpliwości co do miejsca spotkania zaproponowanego przez zleceniobiorcę, ale ostatecznie przystał na nie. Przestrzeń wydawała się bezpieczna.

— Pana zadanie składa się z dwóch części. Po pierwsze, należy zlikwidować człowieka, którego dane znajdują się w kopercie.

— A druga część zadania?

— Musi pan odzyskać i zniszczyć wszystkie dowody, jakie ta osoba zdobyła przeciwko nam. Na podstawie założonego podsłuchu i obserwacji zdołaliśmy ustalić, gdzie obecnie znajdują

się dane, które należy odzyskać. Adresy oraz wszystkie potrzebne informacje są w środku. Jakies pytania?

— Co to za dane?

— Wszystkiego dowie się pan po otwarciu koperty.

— Co z zaliczką?

— Zostanie przelana na wskazany numer konta.

Mężczyzna bez słowa wyjął z torby na aparat, wiszącej na jego szyi, kartkę z ciągiem cyfr i podał ją zleceniodawcy, odbierając jednocześnie kremową kopertę.

— Nie kiwnę palcem, dopóki ustalona kwota nie znajdzie się na koncie.

— Rozumiem... W kopercie jest również zabezpieczony telefon. Dodzwoni się pan tylko i wyłącznie do mnie. Proszę go użyć jedynie w ostateczności.

— Zrozumiałem. Czy rodzaj śmierci ma znaczenie?

— Słucham?

— Czy to ważne, w jaki sposób zginie ta osoba? — Mężczyzna lekko potrząsnął kopertą, aby dosadniej dać do zrozumienia, o kogo chodzi.

— Nie...

— Rozumiem.

— W takim razie życzę powodzenia i żegnam.

Aby nie wyjść z katedry w tym samym momencie, co zabójca, zleceniodawca poszedł w kierunku ołtarza i przystawał co kilka kroków, podziwiając cudowne wnętrza budowli. Ponownie wyjął telefon i rozpoczął dokumentację mijanych obiektów.

Po pięciu minutach obcowania ze sztuką sakralną skierował się w stronę masywnych drzwi. Gdy wyszedł na zewnątrz, wrzucił

mały datek do skarbonki przy schodach katedry i pomaszerował w kierunku parkingu.

DZIEŃ 1

ROZDZIAŁ 1

Północny Waszyngton

Dochodziła szesnasta trzydzieści, gdy drzwi marketu rozstały się przed niewysokim mężczyzną, który pewnym krokiem wszedł do środka.

Przy kasie stało dwóch klientów. Pierwszy z nich trzymał sześciopak piwa, a drugi — dwie butelki mleka i parę drobiazgów. Obsługiwał ich podstarzały kasjer, wyjątkowo sprawnie radzący sobie za ladą.

Kiedy nowo przybyły klient minął drzwi, oczy wszystkich mimowolnie zwróciły się w jego stronę. Szczególną uwagę całej trójki przykuł jego nietypowy wygląd — był ubrany w czarne dżinsy i kurtkę tego samego koloru, a na głowie miał kominiarkę.

— Nie ruszać się! — krzyknął i błyskawicznie sięgnął po pistolet schowany za plecami. Wycelował w mężczyznę przy kasie, dając im jednoznacznie do zrozumienia, jaka sytuacja właśnie ma miejsce. — Na ziemię! Na ziemię i nie ruszać się! Zablokuj drzwi, dziadku, i zmień karteczkę na *Zamknięte!* No już! — rzucił w kierunku właściciela, który szybko wykonał polecenie.

Jeden z mężczyzn zdrętwiał na widok napastnika. Chciał uklęknąć, jak mu kazano, jednak sparaliżował go strach. Oprawca

podbiegł do lady i uderzył go kolbą w skroń. Ofiara napaści zatoczyła się i runęła na podłogę, wypuszczając z ręki zakupy.

— Leżeć! A ty masz z tym jakiś problem?!

Drugi mężczyzna natychmiast przywarł do podłogi.

Właściciel sklepu postąpił identycznie, gdy tylko zablokował drzwi.

— I tak to ma wyglądać! Od teraz nikt się nie rusza! Każdemu, kto się podniesie, strzelę w łeb! Nie będziecie mi przeszkadzać, nie będzie problemu. Zaczniecie udawać bohaterów, potrwa to dłużej. Zablokowałaś drzwi? — Bez powodu kopnął właściciela w zębra.

— Tak, tak... Czerwona dioda oznacza, że są zamknięte — wymamrotał mężczyzna, zanosząc się kaszlem.

Pięć regałów dalej, na podłodze, siedział dziesięcioletek. W drodze ze szkoły do domu wstąpił kupić coś na popołudniowe spotkanie z kolegami. Chłopiec był niewidoczny dla napastnika — schował się pomiędzy wysokimi półkami i pozostał niezauważony. Gdy usłyszał groźne krzyki, przestraszył się i przylgnął plecami do najbliższego regału. Mocno przycisnął do siebie czerwony plecak i zamknął oczy. Kiedy głosy ucichły, słyszał jedynie trzaski. Ciekawość wzięła górę — za wszelką cenę chciał zobaczyć, co się dzieje. Odłożył plecak. Powoli i ostrożnie, na czworakach przeszedł do końca regału. Wyjrzał zza niego i zobaczył, że leżący twarzą do ziemi mężczyzna spogląda ukradkiem w jego stronę.

Właściciel sklepu dostrzegł chłopca i zaczął kręcić przecząco głową na znak, aby ten się nie zbliżał. Napastnik w tym czasie był zajęty przeszukiwaniem kasy i nie widział ostrzegawczych gestów, jakie starzec kierował do chłopca.

— Gdzie jest sejf?! — krzyknął złodziej, widząc, że w kasie nie ma prawie żadnych pieniędzy.

— Pod ladą. Małe drzwiczki... — wyjąkał właściciel.

Złodziej otworzył szafkę i jego oczom ukazał się sejf z elektronicznym zamkiem.

— Szyfr!

Starzec uniósł głowę i zobaczył pistolet wycelowany prosto w niego.

— Nie pamiętam, ale zapisałem go! Przysięgam, że go mam! Kartkę z kodem noszę w portfelu!

— Dawaj!

— Nie mam go przy sobie. Jest w szafce na zapleczu.

Napastnika wyraźnie zirytowała ta odpowiedź. Ponownie kopnął leżącego w brzuch. Ten zawył z bólu.

— To prawda... Przysięgam!

Złodziej pochylił się nad nim.

— Lepiej, żeby to była prawda, bo inaczej zginiesz nie tylko ty. Oni też. — Wskazał na pozostałych.

Starca przeszył dreszcz. Wiedział, że człowiek mierzący do niego z broni nie żartuje. Widział to w jego oczach. Miał tylko nadzieję, że cichy alarm, który udało mu się ukradkiem włączyć, gdy był jeszcze za ladą, zadziałał i wkrótce przybędzie pomoc. Musiał grać na zwłokę, aby spowolnić wroga. Najbardziej martwił go los chłopca siedzącego za regałami.

Dziesięciolatek tymczasem znalazł niewielką lukę pomiędzy przedmiotami na półkach. Z odległości piętnastu metrów obserwował rozwój sytuacji. Zamaskowany mężczyzna siłą podniósł z podłogi właściciela i pchnął go do przodu. Ten, zataczając się, chwycił się najbliższej półki i odzyskał równowagę.

Napastnik wiedział, że czas działa na jego niekorzyść. Stale obserwował wszystko, co działo się wokoło. Nie mógł pozwolić sobie na żaden błąd i niedopatrzenie, więc co chwilę spoglądał za siebie, lustrując zakładników leżących w pobliżu lady. Gdy wraz ze sprzedawcą zbliżył się na odległość jednego metra do regału, za którym siedział chłopiec, ten zwinnie przemknął drugą stroną w przeciwnym kierunku. Sklepiarz zauważył go, ale złodziej już nie zdążył.

Dziesięciolatek obserwował ich jeszcze przez chwilę. Gdy znaleźli się w pobliżu drzwi prowadzących na zaplecze, powoli zaczął iść w kierunku wyjścia.

— Ostrzegam! Jeżeli coś kombinujesz, dostaniesz kulkę w łeb!
— Złodziej przystawił lufę pistoletu do pomarszczonej skroni.

— Wszystko, co powiedziałem, to prawda! Zresztą zobaczy pan zaraz. Kurtka z portfelem jest w szafce tuż za drzwiami.

— Dla dobra wszystkich lepiej, żeby tak było!

Starzec nacisnął klamkę. Światło ze sklepu wpadło do ciemnego pomieszczenia. Automatycznie włączyła się lampa na zapleczu. Napastnik pchnął zakładnika pod przeciwległą ścianę, a sam otworzył najbliższą metalową szafkę. Zbaraniał, gdy w tym samym momencie usłyszał cichą melodię dochodzącą z sali sprzedaży.

— Co tam się dzieje, do cholery?!

Chłopca sparaliżowało, gdy z czerwonego plecaka doszedł go znajomy dźwięk. Usłyszał krzyk z zaplecza i schował się za regał. Szybko wyciągnął telefon, przez co melodyjka stała się jeszcze głośniejsza. Na wyświetlaczu widniało słowo *Mama*. Natychmiast odrzucił połączenie. Gdy schował telefon, dostrzegł szaro-czarny sportowy but po swojej lewej stronie. Poczuł gwałtowne

szarpnięcie za kurtkę. Jego wątłe ciało mimowolnie powędrowało w górę.

— Dawaj ten telefon! — Złodziej wyszarpnął mu z ręki plecak. Wymacał aparat i rzucił nim o podłogę, po czym z całej siły przydepnął go.

— Nie...

Spod buta wydobył się trzask pękającego plastiku, a kilka odłamków poleciało na boki.

Chłopiec patrzył na tę scenę z przerażeniem w oczach.

— Nie rób mu krzywdy! — Z oddali doszedł ich głos sklepikarza obserwującego całe zajście.

— A ty nie miałeś szukać portfela?!

— Znalazłem! Mam go tutaj! — Właściciel pomachał nim w powietrzu. — Zostaw chłopaka. Już ci go daję.

— Nie musisz. Jak znalazłeś, to bierz się do roboty i wyjmuj forszę z sejfu! My sobie tutaj poczekamy. I ostrzegam, żadnych sztuczek, bo mały zginie. — Napastnik przyciągnął chłopca do siebie i przystawił mu pistolet do głowy.

— W porządku! Już idę! — Starzec uniósł ręce w geście całkowitego podporządkowania i pobiegł w kierunku sejfu. Przekroczył nieprzytomnego mężczyznę i w pośpiechu, niechcący, lekko trącił nogą drugiego, który był cały czas przytomny i z przerażeniem obserwował rozwój wydarzeń.

— Szybciej, nie mam całego dnia!

— Już, już... Robię, co mogę...

— To rób to szybciej!

Elektroniczny sejf wydał z siebie kilka przerywanych dźwięków. Ostatni z nich — długi — świadczył o błędzie. Właściciel musiał nieprawidłowo wstukać kod na klawiaturze

numerycznej zamka. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta i sklepikarz poczuł pot zalewający plecy i czoło.

— Szybciej! — krzyknął napastnik, potrząsając chłopcem.

Kilkadziesiąt metrów dalej, na drodze prostopadłej do tej, przy której znajdował się market, zatrzymał się granatowy ford explorer. Kierowcą był trzydziestosiedmioletni, dobrze zbudowany mężczyzna. Gdy zgasił silnik, zdjął okulary i wyjął ze skrytki pasażera pistolet. Wysiadł z samochodu i błyskawicznie schował broń za pasek w pobliżu lewej, przedniej kieszeni dżinsów. Poprawił jasnoszarą marynarkę, wyraźnie kontrastującą z jego naturalnie ciemną karnacją i niemalże czarnymi włosami.

Wyraz jego twarzy był dość enigmatyczny. Można było na niej dostrzec skupienie i przezorność. Goszczący na niej zazwyczaj łagodny uśmiech ustąpił miejsca powadze. Człowiek ten przeżywał prawdziwy koszmar. Wezwanie, jakie otrzymał, było jednoznaczne. Miał tylko nadzieję, że nie przybędzie za późno.

Dotarł do skrzyżowania i skręcił w prawo. Szedł wzdłuż ściany marketu w kierunku głównego wejścia. Gdy zbliżył się do niego na odległość kilku metrów, złapał za rękojeść pistoletu, ale nie wyciągnął go zza paska. Ostrożnie wychylił się, aby przez przeszklone drzwi rozpoznać sytuację. Szyby były lekko przyciemniane i nie widział dokładnie wszystkich detali. Ostatecznie jednak dostrzegł problem, z jakim miał się wkrótce zmierzyć. Ledwo widoczny napastnik w kominiarce stał przy kasie i, wymachując bronią, krzyczał na kogoś, kto prawdopodobnie leżał tuż za ladą.

Policjant natychmiast sięgnął po telefon, aby wezwać posiłki.

Złodziej pociągnął mocno chłopca, którego trzymał jako zakładnika i przeszedł z nim za ladę. Nieoczekiwanie zwolnił chwilowo uchwyt, aby podnieść z ziemi właściciela sklepu. Uderzył go pięścią w głowę. Ponownie chwycił chłopaka za kurtkę i przystawił mu broń do policzka.

— Masz pięć sekund, żeby dobrze wbić ten cholerny kod, bo inaczej będziesz zdrapywał mózg tego gnojka ze swojej koszuli!

Sklepiarz, trzymając się za obolałą skroń, dostrzegł fragment sylwetki osobnika czającego się na zewnątrz. Wiedział już, że sygnał dotarł tam, gdzie powinien. Zastanawiał się tylko, jak to rozegrać, aby nikt nie ucierpiał. Gdy ponownie przykucnął przy sejfie, próbując przypomnieć sobie prawidłowy kod, nastąpiło coś nieoczekiwanego. Straszliwy huk oraz drgania rozniosły się po całym markecie. Szyby w witrynach zachybotwały. Nawet leżący mężczyzna podniósł głowę, próbując zrozumieć, co się właśnie wydarzyło.

— Leżeć! — rzucił zaskoczony napastnik, lustrując wnętrze sklepu w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, skąd pochodziły dziwne drgania. — Co to było?! Sprowadziłeś tu gliny?! Weszli tylnym wejściem?! — Nie doczekał się jednak odpowiedzi. Patrzył na właściciela sklepu, który miał oczy zwrócone w zupełnie innym kierunku. Wyglądał przez przeszklone drzwi na niebo. Złodziej również odwrócił głowę.

Na horyzoncie malował się grzyb z ognia i pyłu. Kilka przecnic dalej doszło do potężnej eksplozji.

Napastnik nieświadomie poluzował chwyt. Chłopiec natychmiast to odczuł. Chcąc wykorzystać sytuację, bezmyślnie wyrwał się i zaczął biec w kierunku zaplecza. Złodziej odwrócił się tyłem do wejścia i bez skrępowań wycelował w dziecko.

— Nie!!!

Chwilę ciszy zakłóciły trzy strzały.

Napastnik usłyszał dźwięk tłukącej się szyby — nie tego się spodziewał. Patrzył przed siebie, jak chłopiec skręca za najbliższy regał. W pierwszej chwili nie zrozumiał. Poczł bolesne ukłucie. Spojrzał w dół i zobaczył dziury w swojej kurtce. Rozpiął suwak. Jego biały podkoszulek szybko zabarwiał się na kolor czerwony. Upadł na kolana. Potem runął, uderzając twarzą o zimne płytki.

Po potłuczonym szkle wszedł do środka mężczyzna w jasnej marynarce, z wyciągniętym przed siebie pistoletem. Cały czas miał na muszce niedoszłego zabójcę. Podeszedł do niego i kopnięciem wytrącił mu pistolet z ręki. Przykucnął i przyłożył palce do tętnicy szyjnej.

— Już dobrze. Możecie wstać — powiedział spokojnie do mężczyzn, którzy nadal leżeli na podłodze. — Wszystko w porządku, panowie, sytuacja opanowana. — Policjant wyciągnął telefon i zameldował: — Centrala, tu detektyw Nicolas Stewart, numer odznaki 1285. W markecie przy ulicy Sheridana miała miejsce strzelanina. Napastnik nie żyje. Zakładnicy są cali, ale przyślijcie karetkę.

— *Tu centrala. Przyjąłem. Wsparcie i karetki są już w drodze.*

Wszyscy powoli dochodzili do siebie po wydarzeniach sprzed kilku minut. Właściciel sklepu, odczuwając jeszcze ból podbrzusza po mocnym kopniaku, lekko skulony, chwiejąc się, podeszedł do policjanta. Jeszcze kręciło mu się w głowie po ciosie w skroń.

Na środku, pomiędzy regałami, stał przestraszony chłopiec z czerwonym plecakiem w ręce.

— O! Jest i nasz mały bohater — pochwalił go detektyw. — Gdybyś nie odwrócił jego uwagi, to nie mógłbym wam pomóc. — Przykucnął.

Chłopak zawstydził się, ale na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Byłby z ciebie dobry glina. — Policjant wyciągnął dłoń, a dzieciak przybił mu piątkę.

— Dziękuję, że tak szybko pan się zjawiał, detektywie — powiedział właściciel sklepu. — Jeszcze chwila i mogłoby być nieciekawie.

Policjant zmierzył wzrokiem sklepikarza.

— Tato! Ile razy ci mówiłem, że nawet gdy jestem na służbie, masz mi mówić po imieniu!

— Już dobrze, dobrze...

— Wszyscy cali? Jak głowa?

— Dalej okrągła. Za to ten facet nieźle oberwał. — Wskazał na leżącego pod ladą, powoli dochodzącego do siebie mężczyznę. Miał paskudne rozcięcie na skroni. Jego towarzysz pomagał mu zmienić pozycję. — Bardziej mnie martwi, co tam się wydarzyło. — Wskazał ciemną chmurę unoszącą się nad sporym fragmentem miasta.

— Nie mam pojęcia, ale na pewno jeszcze dzisiaj o tym usłyszymy — odparł Nick Stewart, kładąc rękę na ramieniu ojca.

ROZDZIAŁ 2

Szpital Świętego Patryka był jednym z największych w Waszyngtonie. Składał się z siedmiu olbrzymich budynków, oznaczonych literami od A do G, w których funkcjonowało ponad czterdzieści różnych oddziałów. W murach tej placówki pracowało łącznie ponad tysiąc osób, jednak żadna z nich nie wiedziała, jak trudne będą dla wszystkich nadchodzące godziny.

Wysoki mężczyzna w białym fartuchu stał w windzie. Czekał, aż zamkną się drzwi i kabina ruszy w dół. Miał okrągłą twarz

i skąpy, ciemny zarost. Na jego lewej piersi widniał identyfikator z danymi osobowymi — *dr Paul Darger, chirurg*. Już chciał wcisnąć przycisk ponagląjący zamknięcie, gdy dostrzegł kobietę biegnącą korytarzem — pielęgniarkę z oddziału wewnętrznego.

— Proszę na mnie zaczekać!

— Oczywiście... — odpowiedział wesoło doktor, machnąwszy ręką przed czujnikiem. Drzwi ponownie się otworzyły.

Pielęgniarka wbiegła do środka. Opierając się jedną ręką o ścianę kabiny, zaczęła łapać powietrze, jakby miała napad duszności.

— Na przyszłość proszę się tak nie forsować! Zejdzie pani, zamiast zjechać — sypnął czarnym humorem doktor Darger. Był znany z kiepskich dowcipów, które bawiły tylko jego.

— To pan doktor o niczym nie wie? — zdziwiła się, ignorując kiepski żart.

— Mianowicie?

— Dobry Boże! Chyba doszło do zamachu w centrum miasta! Potężna eksplozja! Nic pan nie wie?! Ludzie wpadli w panikę!

— Co pani mówi? — Doktor przeraził się nie na żarty, słuchając dramatycznej relacji.

— Jak Boga kocham! Wszyscy wolni mają natychmiast stawić się w budynku B. Podobno przywiozą nam dziesiątki rannych.

— Zaklinam się, że o niczym nie wiedziałem! — Doktor sięgnął do kieszeni po pager. Nie znalazł go. Przypomniawszy sobie, że po dziennej zmianie założył czysty fartuch i pewnie zapomniał przełożyć urządzenie. — Dobrze, że panią spotkałem.

Winda jechała w dół, kiedy ogłoszono komunikat:

— *Uwaga, cały personel szpitala. Za dziesięć minut spodziewamy się karet z rannymi z centrum miasta. Proszę*

wszystkich, aby byli w stanie pełnej gotowości.

Gdy drzwi windy otworzyły się, komunikat rozbrzmiał ponownie, a pielęgniarka pobiegła przodem. Nieoczekiwanie doktor ruszył w przeciwnym kierunku. Kobieta odwróciła głowę, zdziwiona, że nie podążył za nią.

— Proszę na mnie nie czekać i powiedzieć, że zaraz przyjdę! Muszę zabrać pager, który nieumyślnie zostawiłem w dyżurce!

Pielęgniarka skinęła porozumiewawczo głową i zniknęła za zakrętem korytarza.

Gdy doktor dotarł do dyżurki, nie zastał tam nikogo. Prawdopodobnie wszyscy byli już w budynku B. W sytuacji, gdy karetki nie nadążały, lekarze i pielęgniarki przejmowali opiekę nad rannymi już przed szpitalem, a ratownicy od razu wracali na miejsce wypadku.

Darger odszukał pager w swojej szafce. Tak jak przypuszczał, znalazł go w brudnym fartuchu. Na wyświetlaczu widniał komunikat wzywający do natychmiastowego stawienia się w budynku B.

Gdy podszedł do okna, zobaczył, jak pierwsza karetka skręca z głównej drogi i zmierza w kierunku szpitala. Za nią pojawiły się kolejne. Wszystkie pozostałe samochody zatrzymywały się na poboczu i ustępowały miejsca pojazdom uprzywilejowanym. Przez ulicę gnała kawalkada ambulansów. Pędziły na sygnałach, a dźwięk syren stawał się coraz głośniejszy.

DZIEŃ 2

ROZDZIAŁ 3

Przed komisariatem w północnym Waszyngtonie stała grupka policjantów. Nocna zmiana spotkała się z dzienną i rozmowa rozgorzała na dobre. Gdy funkcjonariusze zauważyli nadjeżdżającego granatowego explorera, odwrócili się w jego kierunku.

Nick Stewart zatrzymał się na zarezerwowanym dla niego miejscu i wysiadł z pojazdu. Charakterystycznie poprawił marynarkę, zdjął okulary i zostawił je w samochodzie.

Jeden z policjantów szyderczo zasalutował.

— Spadaj, Malcolm... — mruknął Stewart.

— O co ci chodzi? Witamy cię jak bohatera, a ty co?

— Daj sobie spokój. Obaj wiemy, że dostanę za to po dupie.

— Pewnie tak, ale mamy jednego kutafona ze spluwą mniej — dodał poważnie inny policjant.

— Racja... — podchwycił następny. — Uratowałeś chłopaka i tylko to się liczy. A góra może nam naskoczyć. Jak chcą, to niech sami idą w teren. Niech nam pokażą, jak to się robi.

— Takiś cwany, to może pójdziesz i zdasz raport za mnie? — rzucił wesoło Stewart. — Możesz przy okazji powiedzieć im, co o tym wszystkim myślisz.

— Dobra, dobra, bez brawury!

— A widzisz! Dzisiaj nie warto być bohaterem.

Detektyw minął rozbawionych kolegów i leniwie wspiął się po schodach do wejścia.

— Stewart!

Nie zatrzymując się, odwrócił lekko głowę.

— Dobra robota — krzyknął Malcolm, a inni potaknęli na znak aprobaty. — Szczerze, dobra robota!

— Dzięki...

Za drzwiami komisariatu panował ożywiony ruch. Jakaś kobieta z zabandażowaną ręką wydzieraa się na policjanta siedzącego za biurkiem. W innym kącie sali trzech Brazylijczyków próbowało wyjaśnić, dlaczego nie posiadają dokumentów umożliwiających im legalny pobyt na terenie USA.

Krzyki poturbowanej kobiety rozchodziły się po całym pomieszczeniu i ludzie w kolejce, patrząc w podłogę, ze zrezygnowaniem kręcili głowami, próbując zrozumieć, za jakie grzechy muszą tego wysłuchiwać.

Dzień jak co dzień, pomyślał Stewart. Starając się nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi, przeszedł przez bramkę prowadzącą na zaplecze i pokazał strażnikowi odznakę. Ten zapisał godzinę jego przyścia i poprosił o podpis.

Detektyw, unikając nerwowych spojrzeń ludzi w kolejce, pospiesznie zniknął im z oczu. Szedł przed siebie, mijając kolejne biura. Z jednego z nich wychynął niewysoki mężczyzna, który usłyszał kroki na korytarzu.

— Stewart! Dobrze, że jesteś! Podobno szef chce cię jak najszybciej widzieć. Pewnie chodzi o raport. — Mężczyzna zniknął równie szybko, jak się pojawił.

— Mnie też miło było cię widzieć, Henry! — krzyknął rozbawiony Stewart. — Cholerny przydupasie... — dodał nieco ciszej.

Oficer ponownie wychylił głowę.

— Chciałeś coś?

— Ostatnio głośno myślę. Cholerny pas wbija mi się w ramię. — Odsłonił marynarkę. — Wyreguluję go i za chwilę znowu to samo.

— Przykre...

Henry Wilkins był znany w całym komisariacie z tego, że wszystkim próbował się przypodobać. Chętnie usługiwał każdemu, kto był od niego wyższy rangą. Od kilku lat mógł się poszczycić stopniem detektywa, jednak nawet po awansie nikt nie traktował go poważnie. Również Nick Stewart patrzył na niego z dużym dystansem, chociaż tym razem wiedział, że szef może mieć do niego żal o wydarzenia, jakie rozegrały się poprzedniego dnia.

Skręcił w prawo i otworzył drugie z kolei drzwi, na których widniało jego imię i nazwisko. Wszedł i rozejrzał się po gabinecie. Pokój wyglądał, jakby doszło do włamania. Wszędzie walały się papiery. Na biurku piętrzył się okazały stos akt, które miały już dawno zostać uprzątnięte. Ostatnio wziął się za porządki, ale zadanie przytłoczyło go. Nie potrafił wygospodarować na nie czasu. Gdyby jego ojciec — były wojskowy — to widział, załamałby rękę.

Detektyw odgarnął kilka kartek leżących na samym wierzchu i znalazł raport napisany poprzedniego dnia — na świeżo, aby nic mu nie umknęło. Chodziło ostatecznie o sprawę, w której uszkodzonym był jego ojciec. Zabrał teczkę i wyszedł z biura, zamykając za sobą drzwi. Skierował się na schody.

Rozkład pomieszczeń na pierwszym piętrze różnił się od parteru. Była to jedna wielka sala poprzedzielana niskimi, nie połączonymi ze sobą ściankami działowymi. Tylko na obrzeżach znajdowały się pojedyncze, zamknięte biura. W każdym zakątku otwartej przestrzeni mieściło się biurko, a za nim przerażony człowiek, mający cichą nadzieję, że uniknie gniewu zwierzchnika. Już z daleka słychać było, że szef ma nie najlepszy humor.

— Oszalałeś?! Co mam teraz powiedzieć sępom?! Że nie potrafię trzymać swoich psów na smyczy?!

Stewart usłyszał jak Carl Cussler — szef wydziału dochodzeniowego — wydziera się na kogoś. Chwilę później mężczyzna będący powodem całego zamieszania ze spuszczoną głową i skwa-szoną miną opuścił biuro kapitana, a w drzwiach stanął sam szef. Stewart chciał się schować za jedną z wysokich szafek, aby nie dawać mu jednocześnie dwóch powodów do irytacji, ale było już na to za późno.

— Proszę! Nie ma to jak parada niekompetencji na początek pięknego dnia! Zapraszam serdecznie, detektywie Stewart! — rzucił ironicznie kapitan.

Policjant, który był przed chwilą ofiarą mentalnej *napaści*, spojrzał na Stewarta z politowaniem. Wiedział, że gdyby nie on, kapitan nie odpuściłby mu tak łatwo. Kiedy mijali się w korytarzu, cicho powiedział:

— Powodzenia... Trochę ci go zmiękczyłem.

Carl Cussler, pomimo szorstkości w stosunku do podwładnych, był uważany za znakomitego policjanta i szefa. Cieszył się nieposzlakowaną opinią i był ceniony wśród swoich pracowników. Nick Stewart miał o nim podobne zdanie, chociaż prawie nigdy się nie zgadzali. Wiedział jednak, że ostatecznie musi się podporządkować i wykonywać rozkazy.

— Miło, żeś się wreszcie zjawił — warknął kapitan.

Stewart bez słowa zajął miejsce przy biurku i położył na nim swój raport. Poczul się jak złotodziób świeżo wypuszczony z akademii. Podobnie jak ojciec, kiedyś służył w wojsku. Tam dostał się do wydziału dochodzeniowego, w którym przepracował pięć lat. Ostatecznie jednak zrezygnował i skończył w policji. Zachowanie kapitana przypominało mu stosunek niektórych oficerów szkoleniowych do swoich wychowanków. Z zamyślenia wyrwało go głośnie trzaśnięcie drzwi.

Cussler wziął teczkę i przez chwilę chodził po gabinecie ze wzrokiem wlepionym w akta. Udając, że czyta, zastanawiał się, jak dać do zrozumienia jednemu ze swoich najlepszych ludzi, że ma dość takiej samowolki. Nie znajdując odpowiednio łagodnej formy przekazu, przeszedł do sedna:

— Czyś ty zwariował? Nie mogłeś go postrzelić w nogę, w rękę, w prawe jądro? Od razu w klatę... I to trzykrotnie!

— Celował w chłopaka! Co miałem robić?

— Postrzelić go, obezwładnić, zagadać, cokolwiek! Musiałeś go akurat zabijać? Ty wycelowałeś w niego, a teraz media celują w nas. Jedni widzą w tobie bohatera, a inni chętnie by cię ukrzyżowali za nadmierną brutalność. Ci od praw człowieka już ustawiają się w kolejce po farby i pędzle. Co kręcisz głową... Nie wierzysz, to poczekaj. Idę o zakład, że jutro będziemy tu mieli manifestację. Nie wspomnę już, co będzie się działo na i po pogrzebie tego sukinsyna. Mamy pecha. Facet nie był wcześniej notowany. To był jego pierwszy wybryk.

— I ostatni...

— Uważasz to za zabawne?! — Cussler spiorunował detektywa wzrokiem.

— Miałem dopuścić do tego, żeby wszystkich pozabijał?

— Miałeś wykazać się rozsądkiem. Zareagować wcześniej albo poczekać na wsparcie, jeżeli sobie nie radziłeś.

— Bez trudu opanowałem sytuację... — powiedział z całkowitym spokojem detektyw.

Cussler myślał, że wybuchnie. Na dodatek, w telewizorze wiszącym w rogu gabinetu zobaczył początek relacji z miejsca, w którym poprzedniego dnia doszło do tajemniczej eksplozji. Stracił główny wątek reprimendy i złapał za pilota, pogłodził, a następnie rzucił nim na biurko. Usiadł w fotelu i opuścił bezwładnie ręce. Wlepił wzrok w ekran, na którym pojawiały się kolejne ujęcia z miejsca wybuchu.

— A do tego wszystkiego jeszcze to jest teraz na mojej głowie!

— Wskazał na telewizor.

Detektyw zobaczył na ekranie znajomą twarz. Dla telewizji DC NEWS relacjonowała Kate Frost — wysoka, ciemnowłosa reporterka o niezwykle ponętnej figurze. Przed sobą trzymała mikrofon i hipnotyzującym wzrokiem wpatrywała się w widza.

— Za chwilę zaczną zadawać mi pytania, jakie mamy zabezpieczenia antyterrorystyczne w mieście i dlaczego, do cholery, nie działają w takich przypadkach — warknął Cussler. — Z drugiej strony, mam ich w dupie. Niech burmistrz się tłumaczy albo ci z rady. To ich miasto.

— Myśli pan, że to byli terroryści?

— Cholera wie, kto, ale sępy wypatrzyły padlinę. Wczoraj miałem ciekawy telefon. Ktoś zapytał mnie, jak policja ma zamiar przeciwdziałać takim atakom. Wyobrażasz to sobie?! Jeszcze nie wiedzą, co się wydarzyło, a już snują te swoje pieprzone teorie spiskowe. Ale... nie odbiegajmy od tematu! Co do wczoraj... — Kapitan ściszył głos. — Nieoficjalnie... dobra robota. A oficjalnie... — ton jego głosu znowu stał się surowy — jak

jeszcze raz pošlesz komuś trzy kulki w plecy, to wylatujesz na zbity pysk! Czy to jasne?!

Stewart uśmiechnął się.

— Jak słońce, panie kapitanie. — Wstał i poszedł w stronę drzwi.

— Jeszcze jedno!

— Tak?

— Posprzątaj ten chlew na dole! Świnia nie chciałaby tam mieszkać, a sprzątaczką boi się wejść. Wczoraj spotkała mnie na korytarzu i całkiem poważnie oznajmiła, że nie będzie u ciebie sprzątać, bo jak coś się zgubi, to zwalisz to na nią.

— Przesadza... Niech po prostu niczego nie wyrzuca.

— Mam do ciebie zajrzeć?!

— Dzisiaj to ogarnę.

— Nie rozumiem. Oświeć mnie, Stewart. Twój ojciec był wojskowym, ty służyłeś w wojsku. Masz czterdzieści lat i...

— Trzydzieści siedem...

— ...i jeszcze się nie nauczyłeś sprzątać?

— To chwilowe... Robię porządek w biurze. Już prawie skończyłem. Jutro będzie dobrze.

Gdy zamknął za sobą drzwi, oczy wszystkich pracowników zwróciły się w jego kierunku. Z twarzy *świeżej ofiary* Cusslera można było wyczytać dumę i zadowolenie, co wywołało u obserwatorów spore zdziwienie. Wszystko jednak wróciło do normy, kiedy kolejna osoba została wezwana na dywanik.

— Davis, do mnie!

— George, zostaw już tę kamerę i zbieramy się stąd. Musimy jeszcze zrobić parę ujęć komisariatu do jutrzejszych wiadomości.

Kto wie, może będziemy mieli szczęście i ustrzelimy kapitana. — Kate Frost poganiała kamerzystę, który starał się nakręcić kilka ciekawych ujęć miejsca domniemanego zamachu.

Operator miał lekką nadwagę, ale nad wyraz zwinnie biegał raz w jedną, raz w drugą stronę. Krzątał się po odgradzonej żółtymi taśmami ulicy i chodniku, próbując znaleźć jak najlepsze miejsce, aby nagrać chociażby kilkusekundowy materiał. Było to jednak niezwykle trudne. Gapie, a także konkurencyjne ekipy telewizyjne cały czas wchodziły mu w kadr, utrudniając pracę.

— Daj mi jeszcze pięć minut! — krzyczał poirytowany.

— Dwie i ani minuty dłużej — odpowiedziała żartobliwie Kate.

— Dzięki za łaskę, o *Wielka!*

Telefon w jej torebce zaczął energicznie wibrować. Spojrzała na wyświetlacz i uśmiechnęła się.

— Cześć kochanie, co u ciebie? — radośnie przywitała swojego partnera.

— Widziałem cię w telewizji. Świetny reportaż.

— Daj spokój, jak zwykle zbieram ochłapy, a ten skurwieli, Michaels, miał wczoraj wyłączność na wywiad z lekarzami z ostrego dyżuru. — Nerwowo przeczesła ręką włosy.

— Nie martw się.

— A właśnie, że się martwię!

— Jesteś od niego ładniejsza.

— Dobrze już, dobrze, *Panie Milusiński.*

— Pamiętasz o kolacji? Wieczorem jedziemy do moich rodziców.

— Oczywiście. Muszę jeszcze tylko skoczyć na komisariat. Zrobimy szybko parę ujęć i popędzę do domu przypudrować nos.

— Świetnie, podjadę po ciebie o osiemnastej.

— W takim razie, do zobaczenia. — Wrzuciła telefon do torebki. — Skończyłeś?! — wrzasnęła w stronę kamerzysty, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

— A jak myślisz?! — odkrzyknął poirytowany.

ROZDZIAŁ 4

Parking pod centrum handlowym świecił pustkami. Kilkanaście miejsc zajmowały samochody należące do pracowników ekip remontowych. Wielkie otwarcie nowego pasażu handlowego miało nastąpić niebawem i wszyscy uwijali się jak wukropie. Prace wykończeniowe prowadzono na wyższych piętrach, ale odgłosy rozchodziły się po całym budynku.

Skąpe oświetlenie poważnie utrudniało poruszanie się po tym miejscu — większa część podziemi pogrążona była w ciemności. Kierowcy wjeżdżający tutaj musieli wykazywać się sporą ostrożnością przy manewrowaniu pomiędzy masywnymi filarami podtrzymującymi całą konstrukcję.

Wjazd na podziemny parking był ograniczony barierką, ale każdy, kto chciał, mógł ją swobodnie podnieść i dostać się tam. Tak też zrobił spóźniony na wieczorną zmianę Russell Miller. W godzinach największego ruchu, podczas przetasowania ekip pracujących na zmiany, przy wjeździe stał stróż, pilnując, aby ktoś niepowołany nie odważył się skorzystać z darmowego parkingu. Teraz jednak nikogo na straży nie było i pracownik musiał sam się pofatygować i unieść szlaban.

Gdy Russell Miller podniósł barierkę i wsiadł z powrotem do samochodu, zobaczył zbliżającą się furgonetkę z włączonym kierunkowskazem.

— I bardzo dobrze... — powiedział cicho pod nosem. Dzięki temu, że ktoś jeszcze wjeżdżał za nim, nie musiał opuszczać szlabanu. Ruszył szybko, aby nie tarasować wjazdu. Zjechał pochyłą drogą w dół i za czwartym filarem skręcił w lewo. Wiązka naturalnego światła wpadająca do budynku nie obejmowała już samochodu i tylko reflektory pojazdu wskazywały na jego obecne położenie.

Miller dostrzegł fragment oświetlonego parkingu i nieznacznie przyspieszył. Upatrzył sobie miejsce najbliżej windy towarowej, której pracownicy używali, aby dostać się na wyższe piętra.

Kierowca pojazdu dostawczego zatrzymał się za szlabanem, wyszedł z furgonetki i opuścił barierkę. Spokojnie odczekał, aż poprzedzający go samochód zniknie z pola widzenia. Gdy mężczyzna zajął z powrotem swoje miejsce, wyłączył światła, a jego towarzysz siedzący na miejscu pasażera sięgnął po krótkofalówkę.

Miller był już spóźniony o dobre pół godziny i w jego ruchach wyczuwało się podenerwowanie. Po omacku szukał w samochodzie torby. Nie mógł jej znaleźć, więc postanowił ułatwić sobie zadanie, włączając wewnętrzne oświetlenie. Ze zdenerwowania nie potrafił wcelować w przycisk na podsufitce, toteż ze złością otworzył szeroko drzwi, co miało przynieść taki sam efekt. Głuchy trzask wypełnił otaczającą go przestrzeń i pojazdowi stojącemu obok włączył się alarm. Przeróżliwe wycie wypełniło wymarłe podziemia.

— Cholera jasna! Jeszcze tego brakowało! — Niechcący uderzył drzwiami w sąsiedni samochód, powodując niewielką szkodę w postaci wgniecenia i krótkiej, ale głębokiej rysy. Myślał, że zwariuje. Przypomniawszy sobie o torbie, która spowodowała całe zamieszanie. Rozejrzał się po samochodzie i w końcu ją dostrzegł.

Przewróciła się i leżała częściowo skryta pod deską rozdzielczą. Mocno szarpnął za rączkę brązowej, skórzanej torby i wysiadł z pojazdu. Przykucnął i przyjrzał się drzwiom samochodu, który zarysował. Nie wiedział, do kogo należy ten pojazd, ale spodziewał się, że właściciel nie będzie zadowolony.

— Mówi się *trudno...* — mruknął pod nosem. Zamknął swój pojazd i pobiegł w kierunku windy. Dźwięk włączonego alarmu był tak nieznośny, że mężczyzna zatykał uszy, choć niewiele to pomagało. Dotarł do windy i energicznie nacisnął przycisk przywołujący kabinę. Brak jakiegokolwiek odpowiedzi ze strony urządzenia zaowocował wiązką soczystych przekleństw. Wszystko sprzysięgło się przeciw niemu. Pozostała klatka schodowa.

Gdy znalazł się na pierwszych stopniach, uświadomił sobie, że w pośpiechu zapomniał zabrać z samochodu dyskietkę meldunkową. Już chciał zawrócić, gdy nagle ktoś złapał go od tyłu.

— Hej! Co do... — Poczuł bolesne ukłucie w okolicy szyi. Parę sekund później nogi zaczęły się pod nim uginać, a oczy zaszyły mgłą. Czuł, że błyskawicznie opuszczają go siły, a wszystkie mięśnie niemalże jednocześnie odmawiają posłuszeństwa. Kiedy mimowolnie przechylił głowę, zobaczył, jak ręka w czarnej rękawiczce odsuwa od jego szyi strzykawkę.

Stracił przytomność, a dwaj napastnicy stojący tuż za nim przytrzymali osuwające się ciało. Mieli na sobie czarne kombinezony, a na głowach kominiarki. Zlewali się z otoczeniem. Całe wydarzenie trwało jakieś trzydzieści sekund, więc alarm przypadkiem uderzonego samochodu wciąż wył. Jeden z mężczyzn wyciągnął krótkofalówkę.

— Tu *Dwójka!* Mamy go! Podjeżdżajcie!

— Piętnaście sekund, bez odbioru.

Napastnicy dostrzegli furgonetkę zjeżdżającą z pochylni. Przez uchylone drzwi mignęli kilka razy latarką, aby naprowadzić kierowcę na cel. Trzy piętra powyżej miejsca, w którym się znajdowali, coś trzasnęło i ktoś pospiesznie zaczął schodzić w dół. Alarm, który się uruchomił, przesłał powiadomienie na telefon właściciela.

Sekundy ciągnęły się jak minuty. Jeden z napastników ponownie uchylił drzwi, chcąc sprawdzić, czy transport już dotarł. Zobaczył oślepiające światła furgonetki pędzącej w ich stronę.

Pisk opon towarzyszący ostremu hamowaniu rozszedł się po całym parkingu. Kierowca ustawił samochód równolegle do ściany, tuż przy wejściu.

— Idziemy! — rzucił napastnik do towarzysza, który podtrzymywał bezwładne ciało i obserwował, jak sylwetka osobnika zbiegającego po schodach staje się coraz wyraźniejsza.

Porywacze przeciągnęli Millera pod drzwi furgonetki. Te otworzyły się i mężczyzna stojący na pace pomógł wciągnąć ofiarę do środka. Pozostali dwaj szybko wskoczyli do pojazdu i zasunęli drzwi.

— Spadamy! Ktoś idzie!

Kiedy alarm ucichł, samochód porywaczy pędził już w stronę pochylni. W bocznym lusterku kierowca zauważył, jak drzwi klatki schodowej otwierają się i wybiega przez nie mężczyzna w roboczym, pomarańczowo-szarym kombinezonie.

Furgonetka skręciła ostro w prawo i zatrzymała się na podejździe przed barierką. Jeden z porywaczy podniósł szlaban, po czym wskoczył z powrotem do ruszającego samochodu, który chwilę później z impetem wtargnął na ulicę. Rozległ się pisk opon

i klaksony innych uczestników ruchu. Furgonetka przyspieszyła i skręciła na najbliższym skrzyżowaniu.

— *Trójka*, jesteś tam? Odbiór.

— Tu *Trójka*. Jak sytuacja?

— Przechwycenie zakończone pomyślnie. Możesz przywrócić zasilanie windy i opuścić budynek.

— Zrozumiałem. Bez odbioru.

Dwaj mężczyźni siedzieli z tyłu furgonetki, wpatrując się w ciało leżące u ich stóp. Kierowca dostosował prędkość do obowiązujących przepisów, aby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Pasażer siedzący obok niego wyjął telefon i wybrał numer.

— Obyście mieli dobre wieści, bo kończy nam się czas — odezwał się ochryply głos.

— Pomimo drobnych komplikacji operacja zakończyła się powodzeniem — oznajmił porywacz.

— Świetnie. Ktoś was widział?

— Nie. Samochód ofiary stoi jeszcze na parkingu, ale za niedługo stamtąd zniknie.

— Doskonale. Czy w ciągu ostatnich kilku godzin ofiara kontaktowała się z kimś lub zrobiła coś, co mogłoby zaszkodzić operacji?

— Z prowadzonych obserwacji i podsłuchu wynika, że nie wykonał żadnych istotnych telefonów, a z domu pojechał bezpośrednio do pracy. Poinformował jedynie swojego szefa, że spóźni się około trzydziestu minut.

— Za ile możemy się was spodziewać?

— Za godzinę.

— Dobrze. Poinformuję mojego człowieka. Pamiętajcie... Możecie rozmawiać z nim i tylko z nim. Gdyby z jakiegoś powodu nie było go na miejscu, nie róbcie niczego głupiego, tylko dzwońcie do mnie.

— Zrozumiałem.

ROZDZIAŁ 5

— Zawrócisz? — zapytała Kate Frost.

— Nie interesuje cię, co się stało? — odparł ze spokojem Nick Stewart.

— Nie... Jestem głodna.

Detektyw przewrócił oczami i włączył kierunkowskaz. Od dobrych pięciu minut nie ruszyli się nawet o milimetr, więc dwóch innych kierowców natychmiast poszło w jego ślady.

— Spóźnimy się... — oznajmiła dziennikarka, spoglądając na zegarek.

— Mogłaś się tak długo nie stroić.

— Pewnie, moja wina. Następnym razem pójdę goła.

— Mi pasuje. Nie wiem tylko, co na to powie mój ojciec.

— Raczej matka, bo ojcu pewnie się spodoba.

— Mama zawsze powtarza, że robi dla niego wszystko.

— No to załatwione...

Gdy winda w kilkupiętrowej kamienicy ruszyła w dół, trzaskom i zgrzytom nie było końca. Prześwitujące, okratowane ściany nie zapewniały wystarczającego poczucia bezpieczeństwa osobom podróżującym tym środkiem transportu. Rdza panosząca się na klatce ochronnej szybu windy zaprzeczała prowadzeniu w tym

miejscu jakichkolwiek prac konserwacyjnych. Już na pierwszy rzut oka wszystko nadawało się do generalnego remontu.

Na klatce schodowej oznaki zaniedbania były jeszcze bardziej widoczne — myte od święta posadzki, odrapane, spękane ściany i odpryskujące płyty farby, a gdzieniegdzie i tynku nadawały wnętrzu posępnego charakteru.

Kate i Nick stali na parterze i przysłuchiwali się złowrogo brzmiącej mieszaniu dźwięków wydobywających się z szybu windy i z kilkudziesięcioletniego urządzenia utrzymującego kabinę w ryzach. Kobieta z obawą spoglądała w górę, wypatrując zbliżającej się katastrofy.

— Nick?

— Tak?

— Skorzystajmy ze schodów... — wyraziła swoje obawy najsubtelniej, jak tylko potrafiła.

— Boisz się? — zapytał z ironią.

— Szczerze? Bardzo! Poza tym, widząc wszystko to, co dzieje się wokoło, gdy jestem w pracy, myślę, że głupio byłoby zginąć w windzie i to na własne życzenie.

— Myślisz, że moglibyśmy zginąć? Przecież to tylko kilka pięter.

Kate popatrzyła na niego z politowaniem.

— Dwadzieścia minut temu powiedziałaś, że możesz tutaj biegać na golasa. A teraz boisz się paru zgrzytów?

— Słusznie zauważyłeś, ale biega się schodami, a nie windą. Poza tym, jeżeli chcesz mnie jeszcze kiedyś tak zobaczyć, pójdziemy schodami.

Świetnie bawił się jej kosztem, choć zdawał sobie sprawę, że partnerka nie żartuje. Nie chodziło już nawet o stan windy. Od

dziecka nie lubiła zamkniętych przestrzeni. Jako mała dziewczynka spędziła niemal cały dzień w unieruchomionej kabinie windy, zanim ktoś ją stamtąd uwolnił. Nabawiła się przez to wydarzenie klaustrofobii, na szczęście łagodnej. Oczywiście w pracy musiała korzystać z wind. Wieżowiec stacji telewizyjnej, który stał się jej drugim domem, był do ujarzmienia tylko w taki sposób. Kiedy jednak czas nie naglił, wolała korzystać z tradycyjnej metody pokonywania pięter.

— Dobrze, pójdziemy schodami.

Oczy Kate pojaśniały i pocałowała Nicka w policzek.

Gdy osiągnęli poziom półpiętra, winda zatrzymała się na parterze. Jak spod ziemi wyrósł obok niej łysawy dozorca ubrany w kraciastą, na pół rozpiętą koszulę i jasne, poplamione spodnie. Widząc wchodzących na górę, krzyknął w ich kierunku:

— Halo!

Odwrócili się.

— Aaa... Witam państwa. — Od razu rozpoznał parę. — Proszę pozdrowić rodziców.

— Dzień dobry, a właściwie dobry wieczór — roześmiał się Nick. — Dziękuję bardzo, oczywiście przekażemy.

— Dlaczego państwo nie skorzystacie z windy?

— Sport to zdrowie! — odparła natychmiast Kate, po czym dodała po cichu: — I życie...

— To prawda, panienko. Szczera prawda. — Mężczyzna uśmiechnął się do niej, poklepał po brzuchu i wrócił na fotel w obskurnej recepcji. Wziął gazetę do ręki i wielkimi kęsami zaczął pochłaniać kanapkę, którą przyniósł ze sobą.

— Dlaczego twoi rodzice nie przeprowadzą się do... przyjaźniej-szego budynku? Przecież ojciec jest majątnym

człowiekiem. Spokojnie mógłby zamieszkać gdzieś w centrum.

— Wiem! A co gorsza, on też to wie, ale, jak sam mówi, nigdy nie był przyzwyczajony do wygod. Połowę życia spędził w wojsku. Gdy cofnęli mu emeryturę, nie usiadł i nie zaczął płakać, tylko wziął się w garść. Wszystko, co ma, zdobył ciężką pracą. Dawniej wielokrotnie poruszaliśmy ten temat, jednak za każdym razem kończyło się tak samo. Stwierdzał, że dobrze się czuje w tej okolicy i nie ma zamiaru niczego zmieniać. Nie jest z tych, którym przyływ gotówki przewrócił w głowie. Wychował się tutaj. To mieszkanie należy do naszej rodziny od dwóch pokoleń. Problem nie tkwi w mieszkaniu, a w okolicy, która podupadła. Ojciec stwierdził, że sentyment i szacunek nakazują mu być wiernym temu miejscu. Nie wiem, czy wiesz, ale to jedna z najstarszych kamienic w tej części miasta.

— Jestem w stanie w to uwierzyć — rzuciła żartobliwie Kate.

— Ale wracając do twojego ojca... Dziś rzadko spotyka się ludzi jemu podobnych.

— Tak upartych?

— Dobrych...

— Prawda... Moi rodzice to wyjątkowi ludzie.

Po pokonaniu kilkudziesięciu schodów dotarli na trzecie piętro. Nick, przez wzgląd na swoją pracę, dbał o kondycję i nie odczuł tego *małego spacerku*. Z kolei Kate miała wyraźnie przyspieszony oddech i tętno. Należała do osób, które mogą jeść tyle, ile dusza zapragnie, a waga ani drgnie — zgrabną sylwetkę zawdzięczała głównie genom, a nie zdrowemu stylowi życia. Natomiast z kondycją było już znacznie gorzej.

Stanął przed drzwiami, na których widniała odrapana, metalowa tabliczka z ledwo widocznym nazwiskiem STEWART.

— Home, sweet home! — rzucił wesoło Nick i nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyły się i para wpadła w objęcia rodziców Nicka.

Jennifer miała smukłą sylwetkę. Była odrobinę wyższa od męża, co często stawało się tematem żartów i docinków. Miała ufarbowane na czarno włosy i naturalnie ciemną karnację. John stanowił jej przeciwieństwo. Był dumnym właścicielem małego brzuszka i posiwiałej łepetyny. Kanciaste okulary, które wisiały na jego piersi, zakładał tylko w razie konieczności. Jak twierdził, niepotrzebnie go postarzały.

Rodzice Nicka uwielbiali wybrankę syna. Dała im się poznać jako inteligentna, miła i ciepła osoba. Cała czwórka rzadko miewała okazje spędzać wspólnie wieczór, więc każda taka chwila była dla nich na wagę złota.

Kate również polubiła rodziców Nicka. Już od pierwszego spotkania świetnie się z nimi rozumiała. Byli odzwierciedleniem jej rodziców, których przed trzema laty straciła w wypadku samochodowym podczas wycieczki na Florydę. Ojciec Kate, próbując ominąć dwa zderzające się samochody, wpadł w poślizg i zjechał na pobocze, uderzając w drzewo, które rozplątało przód pojazdu na pół. Rodzice zginęli na miejscu, a Kate w ciężkim stanie została przetransportowana helikopterem do szpitala. Wypadek spowodował handlarz narkotyków uciekający przed policyjną obławą. Wyprzedzając *na trzeciego*, próbował zgubić ścigające go radiowozy. Ostatecznie jeden z manewrów zakończył się tragicznie zarówno dla niego, jak i dla kierowcy samochodu nadjeżdżającego z naprzeciwka.

Obławę oraz pościg prowadził Nick, który po wypadku, czując się winnym śmierci rodziców Kate, regularnie odwiedzał ją w szpitalu, aż doszła do siebie. Jeszcze długo po wydarzeniach

tego feralnego dnia nie potrafił sobie wybaczyć, że nie zatrzymał przestępcy wcześniej.

Gdy zakończono gorące powitania, cała czwórka zasiadła w jadalni wokół małego, okrągłego stolika. Jennifer podała ciasto domowej roboty z orzechami i polewą karmelową.

— Moje ulubione! — Nick przyklasnął w dłonie i wyprostował się.

— Wiem, przygotowałam je specjalnie z myślą o was! — powiedziała uradowana matka. Gdy tylko postawiła paterę z ciastem na stole, natychmiast cztery kawałki znalazły się na talerzykach.

— Hola! Chcesz mnie utuczyć? — rzuciła Kate, widząc, jak Nick nakłada jej największy kawałek.

Nie odpowiedział, bo miał już pełne usta. Pokręcił tylko przecząco głową.

— Jedz, dziecko, jedz! — powiedziała dobrodusznie Jennifer do przyszłej synowej. — W twoim wieku niczego sobie nie odmawiałam.

— Może chociaż pan się za mną wstawi? — Spojrzała błagalnie na Johna.

— Kochana, bez okularów nawet nie widzę, co oni ci robią.

— Wszyscy jesteście dzisiaj przeciwko mnie. — Kate założyła ręce na piersiach. W końcu jednak skapitulowała — sięgnęła po talerzyk i śliczny srebrny widelczyk należący do starej zastawy stołowej przekazywanej w rodzinie Stewartów z pokolenia na pokolenie.

— Jak się pan czuje? Słyszałam o wczorajszej... przygodzie.

— Tyle razy prosiłem, żebyś mówiła mi po imieniu — powiedział ciepło, chociaż z lekkim oburzeniem w głosie, ojciec

Nicka.

— Oj, przepraszam! Zawsze o tym zapominam.

— Mieliśmy trochę problemów, jednak wystarczyła szybka interwencja naszego detektywa i po strachu.

— Tato!

— Przepraszam. Szybka interwencja naszego policjanta! — John, rozbawiony podenerwowaniem syna, przysunął dłoń do twarzy i cicho dodał, zwracając się do Kate: — Nie lubi, gdy go tak nazywam.

— Raczej przezywam! — dorzucił rozbawiony Nick.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Co ja mogę za to, że jestem z ciebie dumny?

Nick, zbywając docinki ojca kręceniem głowy, zajadał się ciastem w najlepsze.

— Ej, dajcie głośniej! — krzyknął nagle John, widząc Kate w telewizji.

— O nie... — Zakryła dłońmi twarz, nie chcąc na siebie patrzeć.

— *...nikt do końca nie jest pewny, co wydarzyło się tutaj wczorajszego dnia, a władze jak na razie milczą. Wiemy jedynie, że wybuch nastąpił około pięćdziesięciu metrów od miejsca, w którym obecnie stoję. — Kamerzysta skierował obiektyw na grupę techników w niebieskich kombinezonach, skupionych wokół resztek ciężarówki. — Ekipa trzydziestu osób zabezpiecza wszystkie ślady i bada ewentualne poszlaki. Do tej pory udało nam się ustalić, że w wyniku wybuchu zginęło osiem osób, w tym jedno, siedmioletnie dziecko. Ponad pięćdziesiąt osób odniosło poważne obrażenia. Być może tragedia ta miałaby mniejsze*

rozmiary, gdyby nie pobliskie centrum handlowe, które zawsze przyciąga rzesze kupujących. — W tym momencie realizator przedstawił kilka ujęć nagranych poprzedniego dnia. Materiałowi towarzyszył komentarz reporterki: — Prawie wszyscy poszkodowani, także ci z najcięższymi obrażeniami, zostali przetransportowani do Szpitala Świętego Patryka, gdzie od razu otoczono ich specjalistyczną opieką medyczną. Ponad pięćdziesięciu lekarzy i około stu pielęgniarek pracowało dodatkowo przez całą noc przy udzielaniu pierwszej pomocy. Z informacji, jakie udało nam się uzyskać, wynika, że wszyscy pacjenci są w stanie stabilnym, a pierwsi, z najłżejszymi obrażeniami, zostaną zwolnieni do domów już dzisiaj. Z okolicy centrum handlowego Low Price dla Wiadomości DC NEWS mówiła Kate Frost.

— Wracając do wczoraj... Wiecie, że z tego wszystkiego naprawdę zapomniałem kodu do sejfu? Wcale nie grałem na zwłokę... Chętnie oddałbym draniowi te pieniądze, ale nie mogłem sobie przypomnieć tych kilku cyfr i musiałem robić z siebie wariata. Trochę go tym zdenerwowałem.

— Mówiłeś, że poszedłeś po kod na zaplecze — zauważył Nick, ściągając brwi.

— Pewnie, musiałem coś wymyślić. Tylko że w portfelu miałem zapisany pin do karty, a nie szyfr do sejfu. Grałem na zwłokę.

— Jezu... — Nick dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo ojciec ryzykował.

— Spokojnie... — John poklepał syna po kolanie. — Najważniejsze, że chłopakowi nic się nie stało. Nie wybaczyłbym sobie tego.

Jennifer westchnęła.

John niespodziewanie złapał się za klatkę piersiową.

— Wszystko w porządku, kochanie?

— Tak, tak. Od wczoraj coś mnie tu strzyka. Muszę w końcu wybrać się do lekarza.

— Koniecznie! Wiesz, przez co wczoraj przeszedłeś, a twoje serce nie jest już najmłodsze — zmartwiła się Jennifer.

— Wiem, wiem. Jutro z samego rana zadzwonię do przychodni i umówię się na wizytę.

Rozmowa rozgorzała na dobre i nikt nie zwracał uwagi na upływający czas. Kiedy Jennifer ostatecznie spojrzała na mały, zabytkowy zegar stojący na komodzie, uświadomiła sobie, że już dawno powinna podać kolację.

— To wy, moi drodzy, obgadajcie resztę sąsiadów, a ja pójdę do kuchni i zajmę się posiłkiem.

— Posiedź jeszcze z nami — zaprotestował Nick.

— Muszę wstawić mięso do piekarnika. Za chwilę do was dołączę. — Jennifer przeszła do kuchni, a głos zabrał John:

— Powiedzcie mi... Wiadomo, co tam się stało?

— Na tę chwilę jeszcze nie — odparł Nick. — Za prawdopodobną przyczynę wybuchu uznano samochód zaparkowany pod centrum handlowym. Na pace miał sporo butli z gazem. Eksplozja była tak potężna, że zmiotła z powierzchni ziemi małe drzewka posadzone wzdłuż chodnika, a jeszcze przecznicę dalej można było zauważyć powybijane szyby w oknach.

— Dobrze, że mieszkamy daleko od tego miejsca! — krzyknęła z kuchni Jennifer.

— To prawda! — przyznała Kate.

— Gdyby nie to — kontynuował Nick — że większość mieszkańców była jeszcze w pracy, a pobliskie centrum świeciło o tej porze pustkami, liczylibyśmy ofiary w setkach.

— Coś okropnego! Mam nadzieję, że znajdą winnego! — powiedział poirytowany John.

— Ja również — dorzuciła Jennifer.

— To nie jest takie pewne. Wybuch z pewnością zatarł ślady. Niewykluczone, że mogło to być samoczynne rozszczelnienie butli i wystarczył niedopałek, który spowodował reakcję łańcuchową.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Muszę skoczyć do toalety. Nigdzie nie uciekajcie. — John pogroził palcem i podniósł się z krzesła, głośno westchnąwszy.

— Będziemy grzecznie czekać — odparła Kate.

Gdy ojciec Nicka odszedł od stołu, zbliżyła się do partnera.

— Przecież mówiłeś, że znaleźli fragment bomby — szepnęła mu do ucha.

— Domniemany fragment — odpowiedział równie przyciszonym głosem. — Nie chcę martwić rodziców tym, że sąsiednia dzielnica stała się miejscem ataku terrorystycznego. Mieli dość zmartwień wczorajszego dnia.

Kate zmieszała się. Zrobiło jej się głupio, że o tym nie pomyślała.

— O czym moje gołąbki gruchają? — Jennifer wyjrzała z kuchni.

— Mówiłam Nickowi, że musi mi załatwić przepis na to ciasto. W przyszłości upiekę je, jak będę czegoś od niego chciała — powiedziała Kate.

Jadalnię wypełnił gromki śmiech.

Dobry nastrój i luźna rozmowa zostały zakłócone przez łomot dochodzący z korytarza. Wszyscy jak na komendę odwrócili głowy, a Nick zerwał się z fotela i ruszył w kierunku łazienki.

ROZDZIAŁ 6

Okolice Waszyngtonu...

Kierowca zatrzymał furgonetkę na środku leśnego traktu — ponad kilometr od głównej drogi. Podczas gdy on obserwował okolicę, pasażer podmienił tablice rejestracyjne i odlepił boczne napisy z karoserii. Teraz na vanie widniało logo ze splecionych liter A i C, będących symbolem *AC PHARMACEUTICALS* — hurtowni farmaceutycznej zaopatrującej szpitale oraz placówki medyczne w leki i środki pomocnicze.

Mężczyźni szybko przebrali się — zastąpili czarne stroje białoszarymi kombinezonami z logo hurtowni na piersiach.

— Jedziemy! — rozkazał pasażer, zapinając pas.

Zapadł zmierzch, kiedy znaleźli się przed potężną, kutą bramą. Kamery zarejestrowały wszystko i stróż siedzący w niewielkiej budce po wewnętrznej stronie ogrodzenia zatelefonował do swojego nadzorcy.

— Tak, Barney? — odezwał się gruby, męski głos szefa ochrony.

— Panie Bradford, mamy gości.

— Leki czy żywność?

— Leki.

— Jeżeli to Mike, wpuść go. Jeżeli ktoś inny, będziesz musiał poczekać, aż przyjdę.

— Jeśli mnie wzrok nie myli, to przyjechali ci, co zawsze.

— Upewnij się pięć razy! Jak wszystko będzie w porządku, możesz ich wpuścić.

— Jasne.

Stróż zakończył rozmowę i opuścił posterunek. Otworzył furtkę obok bramy i podszedł do furgonetki. Obok niej stał już ochroniarz w czarnym garniturze, uważnie obserwując każdy ruch mężczyzn w pojeździe.

— Witam panów. — Barney skierował latarkę na twarze kierowcy i pasażera, którzy przymrużyli oczy. — Czy wy zawsze musicie przyjeżdżać tak późno?

— Taka praca — odpowiedział obojętnie pasażer i podał do kontroli identyfikator oraz dokumenty.

Stróż obejrzał dokładnie plaketkę. Nie budziła żadnych zastrzeżeń, a co najważniejsze, należała do Mike'a. Porównał ją ze wzorem i sprawdził na liście dane przewoźnika. Jeszcze raz przyjrzał się twarzy i ponownie zerknął na zdjęcie. Obszedł samochód i poświecił po rejestracji. Ona również widniała na liście wraz z opisem marki pojazdu i kolorem nadwozia.

— W porządku. Możecie jechać.

Barney wyłączył latarkę i wrócił do stróżówki. Po chwili olbrzymia brama bez najmniejszego zgrzytu otworzyła się i pojazd wjechał do środka.

— Nie znoszę tego imienia... Mike... Kto je w ogóle wymyślił...
— bąknął pasażer.

— Zawsze mogło być gorzej.

— Na przykład?

— Bob? Dick?

Mike pokręcił głową. Wybrał numer pracodawcy i poinformował go o przybyciu.

Samochód poruszał się szeroką, wybrukowaną drogą pomiędzy idealnie przyszyżonymi żywotnikami. Minęli zakręt i tuż za nim wjechali w wąską uliczkę. Gdy dotarli do olbrzymiego budynku, zatrzymali się przed podnoszoną bramą. Obok niej znajdowały się drzwi pancerne. Pasażer wysiadł, po czym dwukrotnie nacisnął dzwonek.

Po kilku sekundach otworzyło się małe okienko i pełniący dyżur mężczyzna poprosił o identyfikator. Gdy upewnił się, że wszystko jest w porządku, podniósł bramę i pojazd wjechał do środka.

— Abraham, Noah, Seth...

— Dobra, daj już temu spokój...

Magazyn był ogromny. Spokojnie mógłby jednocześnie pomieścić kilka samochodów dostawczych. Trzy rampy umożliwiały równoczesny rozładunek trzech ciężarówek. W ciągu dnia na jednej zmianie pracowało zazwyczaj trzech pomocników. Teraz, ze względu na późną porę, służbę pełnił tylko jeden magazynier. Nie był jednak sam. Towarzyszyło mu non stop sześć kamer dokładnie monitorujących wszystko, co działo się w środku hali rozładunkowej.

— Witam — zaczął Mike.

— Co macie?

— Bardzo niestabilny materiał biologiczny, który należy transportować i przechowywać w odpowiednich warunkach. Otrzymaliśmy wyraźne instrukcje. Mamy czekać, aż ktoś się pojawi.

— Kto?

— Mnie nie pytaj. Ja tylko dostarczam towar. Mieliśmy zadzwonić, jak tylko się zjawimy. Zadzwoniłem i teraz jedyne, co możemy, to czekać.

— Pierwszy raz zdarza mi się coś takiego.

— A mnie niestety nie... Ważniaki zawsze każą na siebie czekać. Z drugiej strony, dniówka leci.

— Niby tak.

Po pięciu minutach nerwowego oczekiwania w drzwiach magazynu pojawiła się pożądana osoba — mężczyzna w średnim wieku, w jasnym uniformie, z maską na twarzy i czepkiem na włosach. Było widać tylko jego oczy, ale to wystarczyło, aby wszyscy zrozumieli, że ten osobnik traktuje swoją pracę bardzo poważnie. Postawą, zachowaniem i wyglądem przypominał chirurga przygotowującego się do poważnej operacji.

— Witam panów. — Niezauważalnie skinął głową. — Podobno macie coś dla mnie.

— Zgadza się — odparł Mike. — Z tyłu samochodu jest kilka standardowych pojemników z lekami i jeden specjalny.

— Nie traćmy więc czasu. Ustawcie samochód tyłem do rampy. — *Doktor* strzelił palcami i wskazał magazynierowi wózek pod ścianą. Pomocnik od razu wykonał polecenie i przyprowadził go.

— To wszystko. Zamknij się w biurze i czekaj tam, dopóki nie skończymy rozładunku.

— Pomogę wam.

— Materiał jest wysoce niestabilny. Jeden fałszywy ruch i może dojść do skażenia. Jeżeli tak się stanie, natychmiast będziesz musiał zamknąć to pomieszczenie. To dla twojego bezpieczeństwa i naszego również. Wolę, żeby ktoś trzymał rękę na telefonie.

— Dobrze...

Kierowca zawrócił i ostrożnie wycofał, podjeżdżając pod samą rampę. Jego towarzysz przeszedł na pakę i otworzył tylne drzwi do oporu. *Doktor* pchnął dwumetrowy, wąski wózek na

zmechanizowany podest. Obniżył go do wysokości podłogi furgonetki, po czym wjechał wózką do samochodu. Od razu zauważył ciało. Było przykryte białą folią, która delikatnie falowała w takt oddechu uprowadzonego mężczyzny. Przy jego stopach stało kilka niebieskawych, pustych pojemników.

Doktor precyzyjnie przesuwał się obok wózka i przeszedł na przód samochodu. Pomocnik już tam na niego czekał.

— Młody o niczym nie wie i nie mam zamiaru go wtajemniczać — bąknął *doktor*.

Kierowca spojrzał przez przednią szybę w stronę chłopaka, który nerwowo kręcił się po biurze, co chwilę zerkając w ich stronę.

— Rozumiem.

Doktor pochylił się nad ciałem i zdjął folię z głowy ofiary. Wyjął latarkę i, łagodnie odchylając powieki, poświecił po źrenicach.

— W porządku. Pośpi sobie jeszcze trochę.

Mężczyźni usunęli z pojemnika drugie dno i ostrożnie podnieśli ciało, a następnie ułożyli je na dnie wózka. Ofiara była ciężka i kosztowało ich to sporo wysiłku.

Kierowca w tym czasie obserwował magazyniera. Gdy ten nie wytrzymał — opuścił biuro i podszedł niebezpiecznie blisko — kierowca chrząknął porozumiewawczo, przekazując w ten sposób ostrzeżenie.

— Co za idiota... Dawaj szybko płytę — rozkazał *doktor*.

W okamgnieniu ułożyli drugie dno w pojemniku, przykrywając ciało. Sekundę później młody pracownik magazynu zajrzał na pakę i zobaczył, jak mężczyźni kończą wkładać pojemniki do wózka.

— Wszystko w porządku?

— Gdzie miałeś być?!

— Nigdy to tyle nie trwa. Myślałem, że coś jest nie tak.

— To bym cię zawołał! — wrzasnął poirytowany *doktor*.

Widząc wózek wyjeżdżający z samochodu na rampę, chłopak oddalił się w kierunku głównego wyjścia.

— Mało brakowało — odezwał się kierowca.

— To jego ostatni dzień w tej pracy, możesz mi wierzyć. — *Doktor* wymownie uniósł brwi. Nie należał do ludzi, z którymi warto zaczynać. — To wszystko, panowie! Dziękuję! — zakończył głośniej, aby zachować pozory przed magazynierem.

— Proszę tutaj podpisać. Płatność jak zwykle przelewem, do czternastu dni.

— Nie zajmuję się pierdołami.

— Informuję tylko, bo pana podpis widnieje na dokumencie.

— Żegnam panów... — To było jedyne potwierdzenie, jakie usłyszeli.

Kierowca włączył silnik, po czym rzekł:

— Co za buc.

— Taki Bob... Ale miałem do czynienia z gorszymi. Wierz mi. Są hardzi, dopóki biegają po swoim terenie.

ROZDZIAŁ 7

— Tato?! Wszystko w porządku?! — zawołał głośno Nick, ale nie usłyszał odpowiedzi. Gdy podszedł pod same drzwi, zapukał kilkakrotnie. — Tato?! Jesteś tam?!

Dalej cisza.

— John? — Przerażona Jennifer podbiegła do syna. — Kochanie, wszystko w porządku?

Kate stała nieco dalej, nerwowo przypatrując się całej sytuacji.

— Coś musiało się stać... Odsuńcie się! — Nick zaczął szarpać klamkę. — Tato?! — krzyknął, chociaż domyślał się, że i tym razem nie usłyszy odpowiedzi.

Drzwi nie chciały dać za wygraną. Łazienka była niewielka i Nick zdawał sobie sprawę, że ojciec prawdopodobnie stracił przytomność.

— Kate! Dzwonź po pomoc! Podaj adres i powiedz, że w łazience zatrzasnął się człowiek, który stracił przytomność i nie możemy się do niego dostać! Niech przyślą karetkę i straż pożarną! Powiedz też, że na miejscu jest już policjant! Podaj numer mojej odznaki! Jest w marynarce!

Natychmiast wykonała polecenie.

Nick przypomniał sobie, że drzwi łazienki zabezpieczone są tylko małą zasuwą.

— Gdzie tata trzyma narzędzia?!

— W meblościance. Na dole, pierwsza szuflada od okna.

Nick wrócił w niecałe piętnaście sekund. Założył wygiętą końcówkę młotka stolarskiego pomiędzy futrynę a drzwi, na wysokości, gdzie powinien znajdować się zamek. Szarpnął z całej siły. Zgrzyt gnącego się metalu i gwoździ wyrywanych z futryny roz-szedł się po mieszkaniu. Skrzydło odskoczyło, ale natychmiast wróciło do poprzedniej pozycji. Nick przekręcił gałkę. Resztki zabezpieczenia tkwiły jeszcze w ościeżnicy. Szarpnął kilka razy, całkowicie niszcząc zasuwę. Okazało się, że bezwładne ciało Johna wcale nie leżało na podłodze... Naparło na otwierające się drzwi, a te uderzyły Nicka, który poleciał na przeciwległą ścianę.

— Jezus Maria! — krzyknęła Jennifer.

— Pomóżcie mi... — wydusił z siebie Nick, próbując unieść osiem-dziesięciokilogramowe ciało ojca. — Mamo, odsuń się i przytrzymaj te cholerne drzwi! Kate?! Kate!

— Już jadą! — Nadbiegła z salonu.

— Asekuruj jego głowę!

Ciało Johna zaklinowało się w drzwiach w nienaturalnie skrzyżowanej pozycji.

— O mój Boże! Kochanie, trzymaj się! — błagała zapłakana Jennifer.

— Jeszcze chwila i wyslizgnie mi się z rąk! Tak nie damy rady.

— Złapię za nogi, a ty pod ramiona — zaproponowała Kate.

— Dobra!

Jennifer również im pomogła. Ostatecznie cała trójka wydostała Johna z łazienki i ostrożnie ułożyli go w przedpokoju.

Za oknem słyhać już było wycie syren.

Nick sprawdził puls.

— Jest dobrze... — oznajmił i szybko pobiegł w kierunku drzwi wejściowych. Gdy tylko usłyszał szelest na klatce, krzyknął na całe gardło:

— Tutaj! Trzecie piętro!

Sanitariusze i strażacy natychmiast ruszyli schodami na górę.

— Co się stało? — odezwał się pierwszy z ratowników, wchodząc do mieszkania.

— Prawdopodobnie zawał, może zwykłe zasłabnięcie. Nie wiem — odparł Nick.

Strażacy, którzy zauważyli, że nie są potrzebni, zaczekali na zewnątrz, a sanitariusze pochylili się nad nieprzytomnym i poprosili rodzinę o odsunięcie się.

— Nie ma czasu do stracenia! Żyje, ale jego puls jest słaby. Musimy go jak najszybciej zawieźć do szpitala. Czy pacjent miał już tego typu omdlenia? Chorował na serce? — zapytał ratownik.

— Tak — odpowiedziała Jennifer. — Dwa lata temu też zasłabł.

— Czy cierpi na choroby przewlekłe lub jest uczulony na jakieś leki?

— Nie... proszę pana... nic mi o tym nie wiadomo — odpowiadała łamiącym się głosem Jennifer. — Od wczoraj skarżył się na kłucie w klatce piersiowej.

— Wezwijcie windę! — krzyknął sanitariusz do jednego ze strażaków.

Kate drgnęła, gdy usłyszała te słowa. Chciała zareagować, ale wiedziała, że w tej chwili liczy się czas i on jest tutaj najważniejszy. Sanitariusze ułożyli nosze obok Johna i zwinnym ruchem *na trzy* przenieśli go na nie.

— Proszę się odsunąć. Pacjenta kierujemy do Szpitala Świętego Patryka. Bardzo proszę, aby ktoś udał się tam od razu, w celu udzielenia niezbędnych informacji.

— Oczywiście — powiedział Nick, patrząc, jak sanitariusze wnoszą jego ojca z mieszkania. Podszedł do zapłakanej matki odprowadzającej wzrokiem nieprzytomnego męża i mocno ją przytulił. Ostry zgrzyt wypełnił otaczającą ich przestrzeń i kabina ruszyła w dół.

— O nic się nie martw, mamó, wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ 8

Klinika *SIEDEM GWIAZD* była miejscem, w którym pojęcie *leczenie* zostało przeniesione na zupełnie nowy poziom.

Majestatyczny kolos górujący nad Zatoką Pohick został wzniesiony przez milionera Josepha Blancharda jeszcze w latach siedemdziesiątych. Z trzech stron budynek otoczono młodym lasem. Obecnie drzewa dobijały wysokością do poziomu dachu, prawie całkowicie zasłaniając budynek.

Pierwotnie klinika pełniła funkcję sanatorium i kurortu dla najbogatszych. Obiekt cieszył się bardzo dobrą opinią i przyciągał coraz większe rzesze nowych gości. Składał się z ponad stu luksusowo urządzonych apartamentów i oferował swoim pensjonariuszom szereg usług z zakresu podstawowej opieki zdrowotnej. Pracowali tutaj reumatolodzy, masażyści, dietetycy i lekarze wielu innych specjalizacji, którzy za odpowiednio większe wynagrodzenia przeszli do sektora prywatnego.

Na początku dwudziestego pierwszego wieku w sanatorium doszło do niemałej rewolucji. Zmienił się zarząd i miejsce to dodatkowo zaczęło pełnić funkcję prywatnego szpitala. Chętnych nie brakowało. Majętni obywatele USA byli w stanie zapłacić każde pieniądze za należytą opiekę w luksusowych warunkach. Podjęto również decyzję o rozbudowie tego miejsca. Stary gmach powiększono o dwa skrzydła, co poskutkowało powstaniem kolejnych stu apartamentów. Wzniesiono również zupełnie nową część — trzypiętrowy budynek mający zamknięte połączenie z częścią mieszkalną. Nie tylko przeniesiono do niego wszystkie zabiegi, ale również — po zatrudnieniu kolejnych specjalistów — wzbogacono ofertę ośrodka i w ten sposób sanatorium przekształciło się w potężną klinikę rehabilitacyj-no-medyczną, oferującą niemalże pełen zakres świadczeń zdrowotnych.

Cały teren był pilnie strzeżony przez setki kamer i armię ochroniarzy. Czterometrowej wysokości mur ogradzający całość miał zapewniać spokój oraz gwarantować całkowitą anonimowość

przebywającym w klinice najznakomitszym obywatelom USA. Pomiedzy budynkami a ogrodzeniem ciągnął się pas gęsto posadzonych drzew, uniemożliwiający dostrzeżenie czegokolwiek z zewnątrz.

Przed wejściem do apartamentowca zatrzymał się czarny jaguar. Kierowca opuścił limuzynę i otworzył tylne drzwi. Z pojazdu wysiadł wysoki mężczyzna w stalowoszarym garniturze.

— Poczekaj tu z ojcem. Zaraz wracam — powiedział do szofera i udał się w kierunku wejścia do budynku.

Pięć minut później szedł już z powrotem w towarzystwie dwóch, równie wysokich jak on, dobrze zbudowanych mężczyzn, ubranych w białe spodnie prasowane na kant i białe koszule z długimi rękawami. Jeden z nich prowadził wózek inwalidzki.

— Ojciec jest w samochodzie. Bardzo proszę o ostrożność. Jest osłabiony i nie czuje się najlepiej.

Kierowca odsunął się, a starszy mężczyzna, wsparłszy się o drzwi limuzyny, opuścił pojazd. Jeden z pielęgniarzy chciał pomóc pacjentowi, ale nie opłaciło mu się to.

— Dam ci znać, jak mnie sparaliżuje!

Richard Peterson pokręcił tylko głową i machnął ręką, wstrzymując pomocników.

Gdy staruszek wygodnie usadowił się na wózku, jeden z sanitariuszy pojechał z nim w stronę wejścia, a drugi zabrał z bagażnika limuzyny dwie walizki.

— Czy zechce pan dopełnić formalności podczas rejestracji pana ojca, czy ktoś od nas ma się z panem skontaktować w późniejszym terminie?

— Załatwmy to na miejscu.

— W takim razie zapraszam do budynku.

Wszyscy, oprócz szofera, udali się do apartamentowca. Wnętrze było bardzo prosto urządzone. Zadbano o połączenie funkcjonalności z estetyką. Wszystkie podłogi pokrywał marmur, a ściany miały nieskazitelny, biały kolor. Nie było na nich żadnych zabrudzeń. Wzdłuż korytarzy odchodzących w kierunku prawego i lewego skrzydła przymocowano chromowane poręcze. Co kilka metrów, we wnękach, znajdowały się ławki. Były ustawione w taki sposób, aby nie przeszkadzały osobom przemieszczającym się korytarzami. Obok każdej stała duża palma w szarej, kamiennej donicy. Ciemna zieleń liści wspaniale kontrastowała z jasnymi korytarzami. Oświetlenie w całym kompleksie było podporządkowane warunkom zewnętrznym. W pełni zautomatyzowany system czujników dostosowywał natężenie światła do pory dnia i stopnia nasłonecznienia.

Za biurkiem, naprzeciw głównego wejścia, siedziała recepcjonistka. Na widok nowych gości wstała i uśmiechnęła się.

— Witam serdecznie w naszej klinice. Mam na imię Jane. Jak mogę panom pomóc?

— Richard Peterson. — Milioner wyciągnął rękę na powitanie.

— A to mój ojciec, Collin Peterson. — Dziedzic fortuny wskazał zgryźliwego starca na wózku.

Kobieta grzecznie ukloniła się w jego kierunku.

— W takim razie poproszę jednego z panów o podanie danych meldunkowych.

— Oczywiście — odpowiedział Richard Peterson. — Chętnie odpowiem na wszystkie pani pytania — dorzucił, próbując roztoczyć swój urok osobisty przed młodą i atrakcyjną kobietą. Jasny uniform dobrze podkreślał jej ciemną karnację. Szczupła,

ale nie chuda, ciemne, ale nie czarne włosy, gładka cera nie zniszczona przez słońce i ten uwodzicielski uśmiech — idealnie wpasowywała się w wyrafinowany gust Richarda Petersona, który postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję.

Kobieta od razu wyczuła ukryte zamiary mężczyzny stojącego przed nią, ale udała całkowitą obojętność, czym jeszcze bardziej podekscytowała napalonego adoratora. Usiadła na swoim miejscu i najzwyczajniej w świecie rozpoczęła:

— Jeżeli panowie sobie życzą, możemy wypełnić papiery w poczekalni. Można będzie wygodnie usiąść, napić się kawy...

— Nie, nie. Nie trzeba. Załatwmy to tutaj.

Jane sięgnęła po kartę przyjęcia.

— W takim razie poproszę jeszcze raz o imię i nazwisko pacjenta.

— Collin...

— Collin Peterson! — krzyknął starzec, psując atmosferę.

— W porządku, tato. Załatwię to za ciebie.

— Nie lubię, gdy ktoś za mnie coś załatwia.

— To zrozumiałe, ojcze, ale daj mi, proszę, raz w życiu zająć się tobą jak należy.

Collin Peterson nie odpowiedział, tylko zmarszczył czoło, odchrząknął i odwrócił głowę.

— Najmocniej przepraszam za to małe zamieszanie, panno...

— Proszę mi mówić Jane. — Wskazała ręką tabliczkę z imieniem stojącą centymetry od łokci Richarda Petersona, który niemal leżał na blacie.

— Racja... Powinienem zapisać się do waszego okulisty.

— Na pewno znajdziemy jakiś wolny termin.

— Może dziś wieczorem?

Zarumieniła się i mimowolny uśmiech pojawił się na jej twarzy. Ostatecznie jednak obydwójce opanowali emocje.

— Na czym skończyliśmy? — zapytał Peterson, czując, że powoli zyskuje przewagę.

— Na... Przepraszam, zapomniałam. — Zupełnie się pogubiła.

— A tak... Proszę podać adres pacjenta, a także numer kontaktowy do pana lub opiekuna pana Petersona. Dobrze, gdyby takowa osoba była stale dostępna.

Richard Peterson skrupulatnie wypełnił rubryki.

— To już wszystko? — zapytał, nie spuszczając wzroku z dokumentu.

— Jeszcze parę standardowych pytań dotyczących stanu zdrowia pana ojca.

— Długo jeszcze?! — warknął Collin Peterson.

— Powoli kończymy, proszę pana.

— Mam pomysł. Ojciec jest osłabiony. Nie musi być obecny podczas tych papierkowych bzdur. Może panowie — wskazała na pielęgniarzy — odprowadziliby go do pokoju?

— Oczywiście... — podchwyciła Jane. — Zawieźcie pana Petersona do jego pokoju. — Przekazała im zakodowaną, magnetyczną kartę. — Pomóżcie panu się rozpakować i pokażcie wszystko.

Richard Peterson podszedł do ojca.

— O nic się nie martw. Jutro przyjadę zobaczyć, jak się urządziłeś. Dobrze?

— A mam wyjście?

— Nie masz.

— No właśnie — odburknął staruszek i sanitariusze udali się z nim w kierunku pokoju sto osiemnaście, mieszczącego się na drugim piętrze.

— Na czym to znowu skończyliśmy?

— Na... — Jane zerknęła do dokumentu — chorobach towarzyszących. Formularz ma jeszcze dwie strony, więc jeżeli pan sobie życzy, może przejść do poczekalni i tam spokojnie dokończyć wypełnianie dokumentu. Nie po to nasz szef wydał miliony, żeby goście byli narażeni na niewygodę — uśmiechnęła się serdecznie.

— Cieszę się, że w końcu mogę trochę postać. Wieczne spotkania głównie opierają się na siedzeniu, więc gdy tylko nadarza się okazja, korzystam z nóg. Wie pani, jak to jest. Nieużywany narząd zanika.

— Podobno tak jest... — Kobieta ponownie się zarumieniła.

Peterson zauważył to i bawił się w najlepsze. Nie miał zamiaru zmieniać dogodnej pozycji. Oparty o wysoki blat, górując nad recepcjonistką, mógł bez przeszkód wpatrywać się w jej dekolt. Miał gdzieś wygodę — po prostu nie chciał stracić tego widoku.

— Wracając do pana ojca... — kontynuowała. — Czy cierpi na jakieś choroby dodatkowe lub inne schorzenia, które są panu znane?

— Oprócz astmy, niewydolności wątroby i nerek oraz upierdliwości przewlekłej ostatnio nie zdiagnozowano niczego nowego — powiedział wesoło Peterson, na co Jane zareagowała głośnym śmiechem.

Po wypełnieniu ostatniej strony formularza milioner pożegnał się z przemiłą recepcjonistką i opuścił ośrodek. W ręce kurczowo trzymał wizytówkę kliniki. Na jej odwrocie widniał pospiesznie

zapisany numer telefonu kolejnej kobiety, która wpadła w jego sidła. Kierowca stał już obok otwartych drzwi.

— Jimmy!

— Słucham pana?

— Mamy jeszcze w barku trochę whisky?

— Zaraz sprawdzę.

— Napijemy się.

— Wie pan, że nie mogę.

— Wiem, ale głupio nie zaproponować.

Rozbawiony szofer zajął swoje miejsce i otworzył skrytkę w desce rozdzielczej przed siedzeniem pasażera, która w samochodzie Petersonów pełniła funkcję zapasowego barku.

— Jest. Ale tylko połowa...

— Popijasz sobie, jak mnie nie ma?! — powiedział żartobliwie biznesmen.

— Nie śmiałbym, proszę pana.

— Żartuję, Jimmy, żartuję...

— Znudziło się panu brandy?

— Nie, mój drogi. Teraz piję za zdrowie mojego ojca. Uwielbiał whisky.

— Rozumiem...

W kieszeni płaszcza odezwał się telefon. Peterson odszukał ręką aparat i odruchowo odebrał.

— Słucham?

— Witam, panie Peterson — odezwał się tajemniczy głos. — Chciałem poinformować, że pana ojciec przejdzie operację pojutrze o godzinie dziewiątej. Jeżeli nie będzie żadnych

komplikacji, potrwa ona kilka godzin. Skontaktuję się z panem, gdy już będzie po wszystkim.

— Świetnie. Proszę mnie informować na bieżąco. — Milioner nie był pewien, z kim rozmawia, ale nie miało to dla niego w tej chwili większego znaczenia.

— Oczywiście.

— Powodzenia.

Rzucił telefon na siedzenie i wydał kierowcy instrukcję — chciał już wrócić do domu. Wtedy otrzymał wiadomość sms. Gdy ją odczytał, zrzęła mu mina. Po dobrym humorze sprzed paru minut nie został już nawet cień uśmiechu na jego twarzy. Ze złością wyjrzał przez szybę na olbrzymi kompleks, w którym zostawił swojego ojca — człowieka, któremu zawdzięczał wszystko.

Natychmiast wybrał numer osoby, z którą przed chwilą rozmawiał.

— Słucham, panie Peterson. Przypomnę tylko, że miał się pan z nami kontaktować tylko w ostateczności.

— Musimy zmienić plany.

— Nie rozumiem. Rezygnuje pan z przeprowadzenia operacji ojca? Od razu zaznaczę, że środki...

— Z niczego nie rezygnuję. Wręcz przeciwnie. Ojciec musi przejść operację, ale ta... nie może się powieść.

— Nie wiem, czy dobrze rozumiem.

— Myślę, że doskonale pan rozumie.

ROZDZIAŁ 9

Czujnik drzwi na końcu długiego korytarza wykrył ruch i mechanizm uruchomił siłowniki — skrzydła automatycznie

rozsunęły się, uwidaczniając osobnika pchającego metalowy wózek. Czekala na niego kobieta w białym kitlu.

— Doktorze... — przywitała się skinieniem głowy.

— Dzisiaj mamy ciężką dostawę.

— Właśnie widzę.

— Przygotowałaś pokój?

— Oczywiście. Dwójka jest wolna.

— Doskonale.

Pokonali kręty korytarz i na rozwidleniu skręcili w lewo, mijając windę obsługującą parter i wyższe piętra. Dotarli do zamkniętych drzwi strzeżonych przez czytnik linii papilarnych. Doktor przyłożył do niego dłoń. Promień światła przeskanował ją, a procesor odszukał pasujący wzorzec. Charakterystyczny dźwięk zaświadczył o zwolnieniu blokady i oboje ruszyli dalej.

Korytarz był całkowicie pusty. Sprawiał wrażenie wysterylizowanego tunelu prowadzącego do ściśle tajnych pomieszczeń w bazie wojskowej, o której istnieniu nikt nie ma pojęcia. Skąpe oświetlenie rozmieszczone w suficie co parę metrów potęgowało grozę tego miejsca.

Zatrzymali wózek przed drzwiami z numerem dwa, a kobieta otworzyła je najszerzej, jak tylko się dało. Wózek był zaledwie parę centymetrów węższy od futryny.

Wnętrze pomieszczenia było równie surowe, jak sam korytarz. Na środku znajdowało się łóżko z taśmami do przywiązywania nadpobudliwych pacjentów. Obok niego stała aparatura do monitorowania podstawowych funkcji życiowych oraz zestaw do podawania kroplówki. Przeszklona szafka przy ścianie zawierała sporo fiolek, a na najniższej półce leżały plastikowe worki z wyjałowionymi płynami.

— Przekładamy go na łóżko — oznajmił oschle doktor. Po usunięciu pokrywy opuścił ścianki wózka.

— To będzie trudne — westchnęła kobieta.

— Ja już też mam dziś dość. Załatwmy to szybko. Raz... dwa... trzy...

Mężczyzna ważył prawie dziewięćdziesiąt kilogramów, a do tego był bezwładny. Głośny jęk spowodowany wysiłkiem wydobył się jednocześnie z ust lekarza i jego asystentki. Gdyby nie dźwiękoszczelne ściany i drzwi, echo rozniosłoby go po wszystkich korytarzach.

— Dobra robota, najgorsze za nami — pochwalił doktor. — Przygotuj, proszę, mały koktajl dla naszego gościa. Niech sobie pośpi, bo jutro czeka go nerwowy dzień.

— Nie chciałabym być w jego skórze, kiedy się obudzi. Myślał pan, doktorze, co czują pacjenci, kiedy...

— Dzisiaj już nie myślę. Zresztą nie płacą nam tu za filozoficzne wywody.

Kobieta obojętnie odebrała opryskliwą uwagę. Była przyzwyczajona do gburowatego charakteru współpracownika. Spokojnie otworzyła szufladę w połowie wysokości szafki. Wyjęła dziesięciomililitrową, jałową strzykawkę, a w małym pudełeczku odszukała igłę o średnicy siedmiu dziesiątych milimetra. Z przeszklonej części szafki wyjęła dwie fiołki z anestetykami i worek z płynem mającym stanowić rozcieńczenie dla podawanych leków. Z każdej buteleczki pobrała ściśle określoną dawkę i podeszła do kroplówki.

— Już go nakłułem. — Doktor wskazał na wenflon tkwiący w żyłę pomiędzy ramieniem a przedramieniem pacjenta. — Można podawać. — Przy okazji sprawdził drożność sprzętu.

Pomimo potwornego zmęczenia, niczego nie miał zamiaru pozostawić przypadkowi.

— Słodkich snów — rzuciła ironicznie kobieta do nieprzytomnego pacjenta, podając mu lek.

Doktor w tym czasie przywiązywał Russella Millera do łóżka. Nie wiedział, jak długo pozostanie on nieprzytomny. Zakładał, że dawka wystarczy na dwanaście godzin, jednak nie mógł mieć pewności i nie chciał ryzykować niespodziewanym, przedwczesnym przebudzeniem się pacjenta. Na każdy organizm leki działają nieco inaczej, z czego doktor doskonale zdawał sobie sprawę.

Na koniec podłączyli pacjenta do aparatury pomiarowej.

— To wszystko. Chyba możemy iść. Skończyłaś?

— Tak. — Kobieta wyrzuciła zużytą strzykawkę.

Wyszli, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 10

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny Szpital Świętego Patryka przeżywał prawdziwe oblężenie. Prawie wszystkie ofiary wybuchu w centrum miasta skierowano właśnie tutaj. Nawet wieczorem punkt informacyjny wyglądał jak kasa supermarketu przed świętami — kolejka nie miała końca. Ludzie tłoczyli się i przeciskali jeden przez drugiego. Co chwilę dochodziło do nerwowych spięć. Personel wielokrotnie prosił, aby wszyscy, którzy nie muszą przebywać na terenie szpitala, opuścili go. Niewielu jednak posłuchało. Każdy chciał spędzić czas ze swoimi bliskimi i dowiedzieć się jak najwięcej o ich stanie.

Jednym ze skrzydeł, które najmniej odczuło zamieszanie, był budynek D. Sprawy toczyły się tam swoim własnym rytmem i nic

nie wskazywało na to, by coś miało się zmienić. Kiedy doktor Paul Darger kończył obchód, przystanął przy automacie z kawą. Wyskrobał z kieszeni trochę drobnych i kupił gorącą czekoladę. Maszyna wydała kilka syknięć i strumień ciemnobrązowego napoju popłynął stróżką prosto do kubka.

Doktor spojrzął na pager, który milczał od dłuższego czasu. Poszedł korytarzem przed siebie, popijając czekoladę. Miał nocny dyżur, a do rana było jeszcze bardzo daleko. Wszedł do dyżurki i rozłożył się wygodnie na beżowej kanapie. Wziął ze stolika nowy numer czasopisma medycznego i rozpoczął lekturę.

Po przeczytaniu kilku stron poczuł, że oczy mu się kleją. Odłożył gazetę. Położył się i próbował zasnąć, ale nie potrafił się wyciszyć. Sporo myśli krążyło mu po głowie. Gdy odezwał się telefon, z radością po niego sięgnął. Nie musiał się już dłużej okłamywać w kwestii zasypiania. Na wyświetlaczu zobaczył imię i nazwisko innego lekarza — kolegi — doktora Greena.

— Słucham cię, Robercie — zaczął żartobliwym tonem. — Powiedz, że masz coś dla mnie, bo za chwilę ocipieję z nudów.

— Nowa pacjentka pojawi się za pięć minut. Jeżeli masz chwilę, chciałbym, żebyś mi towarzyszył. Co dwie głowy to nie jedna.

Darger wstał i otworzył szerzej oczy, jakby nagle ktoś zrobił mu zastrzyk z adrenaliny. Wyostrzyły mu się zmysły i skupił się na rozmowie, którą na początku potraktował niezbyt poważnie. Zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

— Dlaczego tutaj?

— Nie pytaj, ale wierzę, że przemówię im do rozsądku.

— Im?

— Przywiezie ją córka.

— Mam nadzieję, że przypadnie mi ta młodsza.

— Przyjdź jak najszybciej do mojego gabinetu. Jeżeli się pospieszysz, zdążysz przed nimi i spokojnie pogadamy.

— Jasne, już idę...

Po tym telefonie Darger zachowywał się jak w hipnozie. Nieumyślnie trącił ręką kubek z niedopitą czekoladą. Napoju było niewiele, ale to wystarczyło, aby brązowy płyn zalał niemal całą serwetkę na stoliku. Lekarz wyszedł z pomieszczenia, nie zwracając najmniejszej uwagi ani na to, ani na niedomykające się drzwi, których siłownik był uszkodzony. Spokojnymi, potężnymi krokami zmierzał korytarzem w kierunku windy.

Przed budynkiem D zatrzymała się czarna limuzyna. W ciemności była prawie niewidoczna, a metalizowany lakier odbijał wszystko — jak w salonie krzywych luster.

Najpierw wysiadła młoda kobieta ubrana w szary żakiet i sięgającą kolan spódnicę tego samego koloru. Nienagannie ułożone rude włosy, permanentny makijaż i wypielęgnowane dłonie ozdobione kilkoma cennymi pierścionkami świadczyły o jej wysokim statusie społecznym. Tuż po niej samochód opuściła druga dama. Była znacznie starsza, ale wiek nie odbierał jej dostojności czy elegancji. Asekurowana przez swoją córkę, ostrożnie stawiała każdy krok. Nie była niedołączna, lecz postępująca choroba ostatnio dawała jej się mocno we znaki.

Kobiety weszły przez rozsuwane drzwi na oddział i nie zwracając uwagi na nikogo i na nic, od razu skierowały się w pierwszy korytarz po lewej — według instrukcji, którą wcześniej otrzymały.

— Przepraszam! — zawołała pielęgniarka pełniąca nocny dyżur. — Dokąd panie idą? Już po godzinach odwiedzin. O tej

porze nikogo nie wpuszczamy.

— Najmocniej przepraszam — powiedziała młodsza kobieta, robiąc kilka kroków w kierunku pielęgniarki. — Byłyśmy umówione na wizytę do doktora Greena. Oczekuje nas. Jeżeli mogłaby nam pani wskazać, gdzie dokładnie znajduje się jego gabinet, byłabym niezmiernie wdzięczna.

— Pierwsze słyszę, żeby doktor Green przyjmował kogoś o tej porze — powiedziała zdziwiona pielęgniarka.

— Po prostu nie mogłyśmy wcześniej. Rozmawiałam osobiście z doktorem i w drodze wyjątku zgodził się nas jeszcze dzisiaj przyjąć.

— Proszę chwilę zaczekać, muszę to potwierdzić. — Zniesmaczona pielęgniarka podniosła słuchawkę i połączyła się numerem wewnętrznym z dyżurką lekarską. Oczekując na doktora, zlustrowała nachalne paniusie od stóp aż po czubek głowy. Nie znosiła takich jak one. Gardziła tymi, którzy pieniędzmi otwierają sobie wszystkie drzwi. Szła o zakład z samą sobą, że za chwilę zasilą portfel doktora o dobrych kilka setek.

— Doktorze, są tutaj pacjentki, które twierdzą, że były umówione na wizytę. O tej porze... — powiedziała z niedowierzaniem.

— Tak, tak. Proszę te panie skierować do mojego gabinetu. Zaraz je przyjmę. Przepraszam, że pani nie uprzedziłem. Zupełnie wyleciało mi to z głowy.

— Nic nie szkodzi, doktorze. W takim razie posyłam je do pana.

Pielęgniarka wstała i zza biurka wskazała ręką kierunek, w którym kobiety miały się udać. Zwolniła także blokadę drzwi.

— Proszę korytarzem do końca i w prawo! Ostatnie drzwi po prawej! — przekrzyczyła irytujące brzęczenie.

— Dziękujemy... — odpowiedziały zgodnie.

Doktor Darger zatrzymał się pod drzwiami gabinetu kolegi. Z wnętrza dochodziły odgłosy rozmowy mężczyzny z kobietą. Spóźnił się. Poprawił kitel i zapukał.

— Proszę! — usłyszał zza drzwi i wszedł do środka.

Pomieszczenie było skromnie urządzone. Pojedyncze biurko wraz z komputerem i kozetka stojąca nieopodal drzwi stanowiły jego główne wyposażenie. Przeciwległą ścianę zajmowała metalowa szafka na dokumenty i książki. Robert Green traktował to miejsce raczej jako swój prywatny pokój niż gabinet do przyjmowania pacjentów. Było tam ciasno i brakowało dodatkowych krzeseł. Dwie kobiety będące jego gośćmi musiały usiąść na niewygodnej kozetce przykrytej białym prześcieradłem.

— Witaj, Paul. — Green wstał i uściśnił dłoń kolegi, którego jeszcze tego dnia nie miał okazji widzieć, a następnie przedstawił kobiety: — To panie, o których ci już wcześniej wspominałem. Poznaj panią Marry Fulton i jej córkę Jessicę.

— Bardzo nam miło. — Młodsza kobieta wstała i jako pierwsza wyciągnęła rękę na powitanie. Doktor Darger z wyczuciem uściśnił delikatną dłoń.

— Proszę wybaczyć, że nie wstanę, ale zdrowie już nie to, co dawniej — odezwała się starsza kobieta.

— Proszę się nie przemęczać... — Darger ucałował rękę seniorki.

— Jaki szarmancki — rzuciła Marry Fulton i zarumieniła się.

— ...ani nie martwić — dokończył za kolegę Green. — Od teraz jest pani w dobrych rękach. Słyszałem, że miała pani ciężki dzień.

— Nie do...

— Matka zemdląca. Boję się, że to może być coś poważnego.

— Rozumiem. Dzisiejszą noc spędzi pani tutaj, na oddziale. Pobierzemy próbki do badań, a rano przewieziemy panią do innego ośrodka, znacznie ładniejszego i zdecydowanie mniej przygnębiającego, gdzie będzie można się zrelaksować i zapomnieć o szarej codzienności szpitala. Tam postawimy panią na nogi.

— Bardzo się cieszę! — odpowiedziała radośnie starsza kobieta. — Nie lubię takich miejsc jak to. Przepraszam, ale przypominają mi, jak bardzo jestem stara i co mnie niedługo czeka. Kostnica z miłą obsługą...

— Mamo...

— No co?! Sama prawda!

— W takim razie nie pozostało mi nic innego, jak pokazać pani jej pokój. — Green poszedł po wózek inwalidzki i pomógł kobiecie przesiąść się.

— Bardzo pan uprzejmy, doktorze, ale mogłabym iść sama.

— Daj spokój, mamo.

— Proszę, aby się pani niepotrzebnie nie przemęczała. — Darger uśmiechnął się i przejął wózek. — A teraz zrobimy sobie małą wycieczkę. Co pani na to? — Wyjechali na korytarz.

— Z tobą wszędzie, młodzieńcze!

Doktor Green pozostał z Jessicą Fulton w gabinecie. Gdy drzwi zamknęły się, a córka miała pewność, że matka jej nie usłyszy, rozpoczęła przyciszonym głosem:

— Zwariować można. W samochodzie wrzeszczała, że chcę ją zamknąć w psychiatryku.

— Starsi ludzie wymagają szczególnej cierpliwości.

— Sama szybciej się tam dostanę. Panie doktorze, czy możemy rozmawiać tutaj otwarcie?

— Oczywiście.

— Mam nadzieję, że w naszej poprzedniej rozmowie wyraziłam się jasno. Matka nie może się niczego domyślić!

— Zrozumiałem. Pani instrukcje były bardzo jasne.

— Ja wiem, że pan wie, ale wolę, żeby wszystko było oczywiste i nie chcę pozostawiać żadnych nieudomówień. Zaciągnięcie jej tutaj to była prawdziwa katorga.

— Jak już wspomniałem, zgodnie z pani wolą, wszyscy lekarze i pielęgniarki zostaną odpowiednio poinformowani o pani zaleceniach.

— Mam nadzieję, bo jak nie... — zagroziła kobieta.

— Pani Fulton — zaczął spokojnie Green — gdybyśmy nie byli dyskretni, to dzisiaj nie miałaby pani okazji ze mną rozmawiać. Po drugie, pięć milionów dolarów jest w stanie uczynić z nas prawdziwych profesjonalistów. Może mi pani wierzyć.

— Zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby przenieść matkę już dziś. Dopóki jest w skowronkach. — Kobieta trochę się uspokoiła i ton jej wypowiedzi złagodniał.

— Ja jestem za. Im mniej angażujemy w to szpital, tym lepiej. Przypomnę tylko, że to był pani pomysł, aby najpierw sprowadzić ją tutaj.

— Nie chcę, żeby nabrała podejrzeń. Dzisiaj jest wesoła, ale co chwilę płacze, że oddamy ją do zakładu i tam umrze w samotności. Moja matka jest tradycjonalistką. Gdyby zobaczyła

prywatną klinikę, bez rozmowy z panem, bez rozmowy z pana kolegą, bez tego wszystkiego dookoła — rozłożyła ręce — obawiam się, że wpadłaby w panikę. Jej umysł... nie działa już tak, jak powinien.

— Dobrze. Zrobimy tak... Żeby nie nabrała podejrzeń, zostawię ją dzisiaj w szpitalu na obserwacji pod pretekstem wykonania badań, a jutro jedna z karettek należących do kliniki zabierze ją do przygotowanego apartamentu. Zapewnimy jej szereg udogodnień, które pomogą zapomnieć o codzienności. W miarę możliwości będę do niej zaglądał.

— Pana współpracownicy ze szpitala nie będą niczego podejrzewać? Nie dość, że przyjechałyśmy tu w środku nocy, to na dodatek jutro moja matka stąd zniknie. Pielęgniarka w recepcji nie wyglądała na taką, która niczego nie zauważa.

— Zajmę się dokumentacją — uspokoił Green.

Jessica Fulton zmieszała się trochę, bo kolejne pytanie, które miała zadać, było dla niej bardzo trudne.

— Panie doktorze... A jeżeli to się nie uda?

— Nie bierzemy pod uwagę takiej ewentualności.

Chciała zadać jeszcze parę pytań, ale w tej chwili drzwi gabinetu lekko zaskrzypiały i do środka wjechała jej matka, a tuż za nią wszedł lekarz.

— Zobacz, już sama potrafię tym jeździć — powiedziała radośnie Marry Fulton. — Musisz spróbować i przekonać się, jaka to frajda.

— Wybacz, mam, ale mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała.

— Nie wiesz, co tracisz!

— Jak wycieczka? Jak się czujesz?

— Przy tym panu? O piętnaście lat młodsza!

Budynek B

Oddział intensywnej terapii Szpitala Świętego Patryka był miejscem, którego każdy człowiek chciałby w swoim życiu uniknąć. Trafiały tam ciężkie przypadki wymagające stałego monitorowania oraz ci, którym często nie rokowano najlepiej. Znajdujące się tam osoby w większości były nieprzytomne i nieświadome swojego położenia. Za to ich rodziny przeżywały w tym czasie prawdziwy koszmar.

Na korytarzu przy szerokim oknie ustawiono kilkanaście krzeseł. Pomimo późnej pory, wszystkie były zajęte przez zatroskanych ludzi. Do normalnie, jak co dzień napływających pacjentów, w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dołączyło ponad dwadzieścia osób ciężko rannych w wybuchu, do którego doszło poprzedniego dnia.

Na krzesłach siedzieli również Nick i Kate. Czekali na Jennifer. Zobaczyli ją na końcu korytarza. Wracała od lekarza przyjmującego Johna na oddział. Musiała udzielić wszelkich możliwych informacji o zdrowiu pacjenta, które mogły mieć istotny wpływ na jego dalsze leczenie.

Nie czekając, aż matka do nich podejdzie, Nick wstał i pobiegł w jej kierunku.

— Wiadomo już coś?!

— Doktor powiedział, że najgorsze ma za sobą. Teraz musi odpoczywać. Jego stan jest stabilny.

Nick złapał matkę za ramiona, opuścił głowę i odetchnął głęboko.

— Dzięki Bogu... To na pewno przez ten napad — dodał natychmiast. — Ewidentnie dusił to w sobie. Już na pierwszy rzut oka było widać, jaki wpływ miało na niego to wydarzenie.

— To prawda — przyznała Jennifer. — Nie chciał o tym rozmawiać, ale wiem, jak bardzo to przeżył. Jestem prawie pewna, że w nocy nie zmrużył oka. Kilkakrotnie wstawał i szedł do kuchni napić się wody. Myślał, że spałam.

— Jezu...

— Na szczęście doktor powiedział, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, ojciec wkrótce wróci do domu. To, co się tutaj dzieje, będzie miało na niego zły wpływ. — Jennifer rozejrzała się po korytarzu, gdzie zapłakane rodziny ofiar nerwowo oczekiwały na jakiegokolwiek wieści.

— Masz rację, musimy go stąd jak najszybciej zabrać — przytaknął Nick. — Jednak na razie powinniśmy zaufać lekarzom. Oni wiedzą lepiej od nas, co będzie dla ojca najlepsze.

Jennifer pokiwała twierdząco głową i w asyście syna poszła w kierunku miejsca, gdzie siedziała Kate. Przyszła synowa spojrzała na nią ze współczuciem i wstała, gdy ta podeszła do niej. Chciała ją pocieszyć, ale nie wiedziała jak. Złapała ją po prostu za rękę i mocno przytuliła. Czuła żal ściskający za gardło.

— Wiem, moja droga... Wiem... — wydusiła z siebie Jennifer, jakby wyczuła to, co miało zostać powiedziane.

— Kate, wracaj do domu — zaproponował Nick. — Jutro musisz wcześniej wstać. Mówiłaś, że lecisz do Nowego Jorku.

— To prawda, ale nie martw się. W tej chwili najważniejsze jest zdrowie twojego ojca. A wyjazd zawsze mogę przełożyć.

— Niepotrzebnie... Będziemy tutaj, gdyby ojciec czegoś potrzebował.

— Wiemy, że nas wspierasz, jednak masz swoje obowiązki. Nick będzie cię informował o wszystkim — nalegała Jennifer.

Kate spojrzała na ich przekonujące twarze.

— Dobrze. W takim razie pojedę się spakować, ale obiecujcie mi, że jeżeli cokolwiek się wydarzy, to zadzwonicie.

— Obiecujemy — potwierdzili zgodnie.

— A... I coś jeszcze!

— Tak? — zapytała Jennifer.

— Nie próbujcie planować przyjęcia powitalnego dla Johna beze mnie!

Nieco wymuszone uśmiechy pojawiły się na twarzach całej trójki.

Kate pożegnała się z Nickiem i z jego matką. Idąc korytarzem, wyciągnęła telefon i wezwała taksówkę. Gdy opuściła budynek, chłód nocy sprawił, że przeszył ją zimny dreszcz. Nagle poczuła, że zaczyna brakować jej tchu. Sięgnęła do torebki po inhalator. Włożyła końcówkę do ust i robiąc wdech, ścisnęła mocno plastikowe urządzenie, z którego wydobył się dźwięk uwalnianego gazu. Powtórzyła czynność i po chwili oddech, z płytkiego i przyspieszonego, stał się normalny. Atak minął.

DZIEŃ 3

ROZDZIAŁ 11

Słońce wzeszło, budząc opustoszałe ulice Waszyngtonu.

Pod zabytkową kamienicą w północnej części miasta zatrzymał się granatowy ford explorer. Po chwili drzwi pasażera otworzyły się i wysiadła z niego starsza kobieta. Miała podkrążone oczy i bladą cerę. Jej wygląd odzwierciedlał potworne zmęczenie po nieprzespanej nocy. Próbowwała oszukiwać organizm i sprawiała wrażenie silnej, ale w głębi duszy była wdzięczna synowi, że odwiózł ją do domu. Dłużej nie dałaby rady walczyć z samą sobą.

— O nic się nie martw. Co jakiś czas będę dzwonił do szpitala. Policjantowi muszą odpowiedzieć na wszystkie pytania, choćby nie wiem co. — Nick uśmiechnął się do matki, która cały czas była myślami przy mężu leżącym w jednej ze szpitalnych sal.

— Dobrze, postaram się przespać, a po południu pojedę do Johna. Martwię się jednak o ciebie! Przez całą noc nie zmrużyłeś oka, a teraz jeszcze jedziesz do pracy.

— Wezmę sobie wolne. Pojedę na komisariat zameldować się i poproszę szefa o kilka dni urlopu.

— Zrób tak! Musisz odpocząć.

Pożegnali się i Jennifer z największym trudem weszła powoli po schodach do kamienicy, którą poprzedniego wieczoru opuszczali z takim pośpiechem. Minęła obskurną recepcję,

a portiera zbyła oschłym *dzień dobry*. Spojrzała dobrotliwie na klatkę schodową i z radością powitała kabinę windy stojącą przed nią otworem. W pierwszej chwili ze zmęczenia zapomniała, na którym piętrze mieszka. Odruchowo wcisnęła guzik z numerem trzy. Przez całą drogę w górę analizowała, czy dokonała właściwego wyboru. Dopiero gdy stanęła naprzeciwko drzwi z tabliczką, na której widniało jej nazwisko, pojęła, że dobrze wybrała.

Nacisnęła klamkę i zupełnie nieświadoma tego, że drzwi nie powinny tak łatwo ustąpić, pchnęła je do środka. Dopiero będąc w przedpokoju, zorientowała się, że coś jest nie tak. Pewnie zapomnieliśmy je zamknąć, pomyślała, próbując przypomnieć sobie, gdzie mogła zostawić klucze. Machnęła ręką, bagatelizując problem.

Jej wzrok zatrzymał się na wyłamanych drzwiach łazienki. Poczowała, że słabnie i natychmiast przeszła do salonu. Usiadła na sofie i nałożyła sobie na talerzyk kawałek podsuszonego ciasta. Łza spłynęła jej po policzku i spadła na karmelową polewę. Czuła głód i chciała zacząć jeść, ale organizm ostatecznie odmówił posłuszeństwa. Osunęła się na oparcie sofy, wypuszczając talerzyk z rąk.

Dwadzieścia minut później Nick podjechał na parking komisariatu. Tego ranka było tam wyjątkowo tłoczno. Wszędzie stały wozy ekip telewizyjnych. Wysiadając z samochodu, omal nie uderzył drzwiami przebiegającego kamerzysty.

— Może by tak wolniej?! — krzyknął detektyw, ale ten nawet się nie obejrzał.

Wśród tłumu dziennikarzy nastąpiło wielkie poruszenie. Nick spojrzał na schody, aby dostrzec jego przyczynę. W drzwiach

pojawił się Carl Cussler w asyście dwóch mężczyzn — funkcjonariusza odgrywającego rolę ochroniarza oraz człowieka do spraw kontaktów z mediami, który od niedawna był na usługach waszyngtońskiej policji. Jego rolą było podpowiadanie i przejmowanie inicjatywy, kiedy inni już sobie nie radzili.

Cała trójka zeszła kilka stopni w dół i od razu została otoczona przez żądnych sensacji dziennikarzy, którzy zaczęli mówić jeden przez drugiego.

— Panie i panowie, trochę rozsądku i porządku! — krzyknął poirytowany kapitan. — Odpowiem na państwa pytania, ale po kolei. Będę wyznaczał osobę, która zada pytanie. Na początek pani w czerwonym żakiecie.

— Czy pojawiła się jakaś poszlaka, która mogłaby pomóc w ustaleniu, kto jest odpowiedzialny za zamach w centrum?

— Pragnę jeszcze raz zdementować plotki. Na chwilę obecną nie mamy żadnych dowodów świadczących o tym, że doszło do aktu terrorystycznego tudzież zamachu. Proszę nie mylić faktów. Jesteśmy w trakcie zbierania i analizowania informacji. Gdy tylko uzyskamy odpowiedzi, prześlemy je również państwu.

Kapitan wskazał kolejną dziennikarkę z podniesioną ręką.

— Co było powodem wybuchu?

— Półciężarówka przewożąca butle z gazem. Prawdopodobnie doszło do rozszczelnienia jednego z pojemników. — Kilka osób podniosło ręce, jednak kapitan nie dał nikomu dojść do słowa. — Od razu uprzedzę kolejne pytanie. Firma, do której należał samochód, oraz jej pracownicy są teraz dokładnie przez nas sprawdzani. Jak dotąd, nie odkryliśmy żadnego niepokojącego powiązania.

Cussler udzielił głosu następnemu dziennikarzowi.

— Czy obywatele mogą czuć się bezpieczni?

— Jak w każdy inny dzień. Poza tym mogę obiecać wszystkim poszkodowanym i ofiarom, a także ich rodzinom i bliskim, że sprawę traktujemy priorytetowo i niezwłocznie wskażemy winnych.

Nick nie miał zamiaru dłużej czekać. Był zmęczony i jedyne, czego pragnął, to położyć się do łóżka. Poszedł w kierunku osaczonego kapitana. Ten zauważył go kątem oka, jednak nie uciekł wzrokiem od kamer. Gdy Nick przechodził obok dziennikarzy, jeden z nich zaczepił go.

— Przepraszam, czy to pan przedwczoraj udaremnił napad na jeden z marketów, ratując przy okazji tego chłopca?

Nick nie wiedział, co odpowiedzieć. Mężczyzna całkowicie go zaskoczył. Detektyw stanął na schodach jak wryty, próbując szybko pozbierać myśli, ale z powodu zmęczenia nie był w stanie wymyślić żadnej wymijającej odpowiedzi.

— To znaczy, ja...

— Tak jest! — krzyknął Cussler, który idealnie wyczuł nadarzącą się okazję na okiełznanie tłumu. — Tu macie bohatera i na nim się skupcie, a nie na teoriach spiskowych. — Wskazał Nicka, którego już całkowicie sparaliżowało. — Zapraszam do nas, detektywie! — zawołał.

Nick z wielką niechęcią spełnił prośbę szefa.

— Przedstawiam wam detektywa Nicolasa Stewarta. Udaremnił napad z bronią w ręku i uratował przed szaleńcem cztery osoby, w tym dziecko.

Tłum dziennikarzy oszalał. Zapomnieli o podnoszeniu ręki. Każdy chciał zadać bohaterowi pytanie. Kapitan szybko jednak rozwiął nadzieje zebranych.

— Przykro mi, ale razem z detektywem musimy się skupić na łapaniu przestępców. Dzisiaj nie mam już nic więcej do powiedzenia. Kolejne informacje będą w jutrzejszym, pisemnym oświadczeniu dla prasy. Dziękuję państwu.

Cussler, zadowolony z obrotu sprawy, odwrócił się i poklepał Nicka po ramieniu. Dziennikarze nie chcieli dać za wygraną i rzucali kolejne pytania. Policjant towarzyszący kapitanowi stanął pomiędzy nim a tłumem. Rozłożył szeroko ręce, zagrządzając mediom dostęp do zwierzchnika i dając natrętom do zrozumienia, że wystąpienie dobiegło końca.

— Dzięki za ratunek. Myślałem, że pożrą mnie żywcem — powiedział cicho kapitan.

— Wcale nie miałem zamiaru...

— Daj spokój. Najważniejsze, że mamy ich z głowy.

Weszli do budynku i udali się do biura Nicka.

— Jestem ciekaw, czy posprzątałeś. — Kapitan pchnął drzwi i mocno się zdziwił. Biuro błyszczało. — Nareszcie...

— Mówiłem, że to stan przejściowy.

Cussler wyjrzał na korytarz, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma za drzwiami, po czym zamknął je i poważnie spojrzał na swojego podwładnego.

— Nick, mamy problem. — Spowaźniał i przyciszył nieco głos.

— Wiem o tym wybuchu, nie musi pan szeptać.

— Mam na myśli coś innego.

Detektyw zerknął na szefa i natychmiast zrozumiał, że tego dnia może zapomnieć o urlopie. Przestał krzątać się po gabinecie i wyteżył osłabione po nieprzespanej nocy zmysły.

Atmosfera stała się dziwnie napięta.

— Jesteś poważnym gliną. Obiecuj mi, że to, co usłyszysz, pozostanie między nami.

Nicka przeszedł dreszcz. Widział już szefa spokojnego, złego, ale jeszcze nigdy przerażonego. W jego oczach malował się niepokój, a głos brzmiał tajemniczo.

— Proszę się nie obawiać. Nic nie wyjdzie poza to pomieszczenie.

Kapitan zawahał się i spojrzał w kierunku drzwi. Akurat ktoś przechodził i cień przesunął się po szybie. Odwrócił z powrotem głowę i wbił wzrok w detektywa.

— Nick, nie będę owijał w bawełnę. Jest źle, a będzie jeszcze gorzej — zaczął enigmatycznie. — Dwa tygodnie temu miałem telefon od znajomego z Filadelfii, też kapitana policji. Od słowa do słowa doszliśmy, jak zwykle, do tematów związanych z pracą. Powiedział, że w jego mieście liczba niewyjaśnionych zaginięć wzrosła dwukrotnie.

Detektyw wyprostował się i zmarszczył czoło.

— I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby ludzie znaleźli się po paru dniach albo ktoś zażądał okupu, tudzież policja odnalazła ciało. Normalny bieg wydarzeń w naszym zawodzie. Ale nie! Wszystko wskazuje na to, że ci ludzie po prostu rozpłynęli się w powietrzu.

— Ile przypadków?

— Kilkanaście w ciągu roku.

— Średnio jeden na miesiąc...

— Z opisu wynikało, że ludzie ci prowadzili najnormalniejsze w świecie życie. Nie mieli żadnych problemów ani wrogów, a ich kartoteki były w większości czyste jak łąza.

— To jeszcze nie powód do snucia teorii spiskowych. Sam pan co chwilę to powtarza. — Nick próbował racjonalizować.

— To samo powiedziałem znajomemu. Odparł, że zaczyna się tym martwić, bo jak sprawa wyjdzie na jaw, ludzie przestaną wychodzić na ulice. Na początku pomyślałem, że zwariował, że przesadza, ale w końcu sam zacząłem nad tym myśleć.

— Facet ma rację. Ludziom wiele nie potrzeba, a dziennikarze wykorzystają każdą okazję, żeby zwiększyć nakłady. Wystarczy jeden artykuł, żeby zwrócić uwagę na problem.

— Właśnie! Najgorsze, że to jeszcze nie koniec historii.

Nick spodziewał się, że taka błahostka nie mogła przerazić nieustraszonego Cusslera.

— Zupełnie przypadkiem, przed kilkoma dniami, na ostatniej konferencji spotkałem innego kolegę, tym razem z Nowego Jorku. Nie uwierzysz...

— U nich też jest podobny problem? — zgadywał detektyw, który zaczynał domyślać się, o co może chodzić.

— Tak. Podobnie jak w Filadelfii, zniknięcia dotyczyły zupełnie przypadkowych osób. Większość miała rodziny lub była w stałych związkach. Żadnych tajemniczych zgonów, żądań okupu, ciał wyławianych z jeziora. Nic! Wyparowali...

Nick przyznał w myślach, że sytuacja zaczęła wyglądać podejrzanie.

— Najlepsze zostawiłem na koniec. Jak tylko wróciłem ze spotkania w Nowym Jorku, poprosiłem o akta wszystkich osób zaginionych w naszym okręgu w przeciągu ostatniego roku. Możesz mi wierzyć lub nie, ale doszukałem się kilku niewyjaśnionych zniknięć idealnie pasujących do schematu.

Nick szerzej otworzył oczy i uniósł brwi ze zdumienia.

— I nie chcę słyszeć, że to przypadek, bo pracuję już w tym gównie ponad dwadzieścia pięć lat i niejedno szambo widziałem. Coś tutaj śmierdzi, a smród ciągnie się znacznie dalej niż do granicy miasta.

Nick zapadł się w fotelu. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

— Chce pan powiedzieć, że w ciągu roku w trzech miastach zniknęło ponad dwadzieścia przypadkowych osób, które są ze sobą jakoś powiązane, tylko nikt nie wie jak?

— Dokładnie tak.

Nick siedział oszołomiony, próbując zrozumieć.

— Domyślam się, że nikt o tym nie wie.

— Tutaj nie, a w innych miastach, podobnie jak u nas, na razie toczą się odrębne postępowania w każdej sprawie. Zrozum... — Cussler podniósł nieco głos. — Gdyby coś takiego dotarło do prasy, wybuchłaby ogólnokrajowa panika! Ludzie przestaliby wychodzić z domów, a matki nie wypuszczałyby dzieci do szkół. Opinia publiczna i dziennikarze ukamienowałiby nas za bezradność.

— Zaczynam się zastanawiać, dlaczego przyszedł pan do mnie z tym problemem.

— Zakładam, że już wiesz.

— Niech zgadnę. Mam zająć się tą sprawą.

— Zgadłeś... Jesteś świetnym policjantem, służyłeś w wojsku, podobnie jak ja. Nadajemy na tych samych falach i wiem, że mogę ci ufać. Honor, ojczyzna i inne duperele.

— Malcolm też jest dobrym gliną — zauważył Nick.

— Ale ty masz w sobie to coś. — Cussler zastanowił się przez chwilę. Komplementy z trudem przechodziły mu przez gardło. —

Nie zawahasz się, jeżeli trzeba będzie zaryzykować. Tak samo, jak z tym facetem z marketu. Chciał zastrzelić dzieciaka, więc zabiłeś sukinsyna... i bardzo dobrze. Potrafisz podejmować trudne decyzje i kierujesz się instynktem. Kogoś takiego mi trzeba.

Nick spochmurniał, kiedy dowiedział się o nowym zadaniu. Spadła na niego olbrzymia odpowiedzialność, a to, po wydarzeniach ostatniej nocy, nie poprawiło mu humoru.

— Wierz mi — kontynuował kapitan — sam zająłbym się tą sprawą, ale wzbudziłbym za dużo podejrzeń.

— A ja nie wzbudzę?

— Nie możesz!

— Świetnie... Dlaczego nie pójdzie pan z tym do FBI?

— Bo my to zauważyliśmy i my to rozwiążemy.

— Jeżeli będę zadawał dziwne pytania i pukał do różnych drzwi, prędzej czy później ludzie zaczną coś podejrzewać.

— Lepiej, żeby to było później. Wiem, że to trudne, ale nie mam wyboru. Na początek dostaniesz sprawę najnowszego zniknięcia. Prowadzi ją wydział osób zaginionych, ale poprosiłem o kopię akt.

— Czyli rozumiem, że decyzja już zapadła. Nieważne, co ja mam w tej sprawie do powiedzenia?

— Nie chciałbym, żebyś to tak traktował.

— A jak?! — Nicka zirytowała odpowiedź szefa. Rzucił wiązką przekleństw i uderzył pięścią w blat. Wiedział, że kapitan może przydzielić mu każdą sprawę, jednak ta przerastała jego umiejętności, nie wspominając już o kompetencjach. — A jeżeli sobie nie poradzę?

— Nick, zrozum... Jeżeli mam rację, a my nie zrobimy nic, aby zapobiec temu, co się dzieje, wkrótce wszyscy możemy mieć problemy. A jeżeli kolejną osobą, która zaginie, będzie twoja kobieta albo ktoś z twojej rodziny? Gdyby dotyczyło to twojego ojca? Nie chciałbyś brać w tym udziału?

— Mój ojciec trafił właśnie do szpitala! Proszę go do tego nie mieszać! — krzyknął Nick i wstał zza biurka.

Kapitan zamilkł. Nie mógł wiedzieć, co wydarzyło się ostatniej nocy, ale i tak poczuł się niezręcznie. W pewnym momencie chciał nawet wycofać się z obarczenia Nicka tą sprawą, ale ugryzł się w język. Po prostu nie miał nikogo lepszego.

— Nie wiedziałem... Słuchaj, weź trochę wolnego i uporządkuj swoje sprawy.

Detektyw poczuł ogarniającą go bezradność. Wiedział, że szef ma rację, że muszą coś z tym zrobić, ale bał się tak olbrzymiej odpowiedzialności. Zawalenie takiej sprawy mogło oznaczać wszystko. Usiadł. Próbował podejść do tego racjonalnie. Odsunął emocje na bok, rozpatrując wszystkie *za* i *przeciw*. Nastąpiła chwila ciszy. Nie chcąc zasłaniać się ojcem, próbował znaleźć dobrą wymówkę. Ostatecznie jednak zrozumiał, że oszukuje sam siebie — ktoś musiał wziąć się za tę sprawę.

— Zajmę się tym — zaczął najspokojniej, jak potrafił — ale pod jednym warunkiem.

— Mianowicie?

— Jeżeli ktoś zacznie zadawać pytania, zaprzeczy pan, że miałem z tą sprawą cokolwiek wspólnego. To jest pana pomysł i działałam tylko na pana rozkaz i to nieoficjalny.

— Stoi, ale jeżeli coś znajdziesz, rozumiem, że splendor spada na mnie.

— Na nas. Jeżeli pan nie chce, nie muszę...

— Dobra, dobra!

— W takim razie proszę o akta tej zaginionej osoby oraz wszystkich innych, których uznał pan za godnych uwagi.

— Wszystkie kopie mam u siebie. Nie chciałem z nimi paradować.

Opuścili biuro Nicka i udali się na górę — do gabinetu kapitana, gdzie doszło do nieoficjalnej odprawy.

— Żona zgłosiła zaginięcie wczoraj o godzinie dwudziestej drugiej. Nikt niczego nie słyszał ani nie widział. Facet miał zgłosić się do pracy na godzinę osiemnastą. Po dwugodzinnej nieobecności szef zmiany, którego nasz zaginiony poinformował o półgodzinnym spóźnieniu, zadzwonił do niego. Telefon był wyłączony, więc zadzwonił do domu. Odebrała żona, która nie miała pojęcia, gdzie mąż mógł się podziać. Nie muszę dodawać, że zaginiony nigdy wcześniej nie zniknął z domu. Był wzorowym mężem i ojcem. Żadnych kobiet na boku, wrogów, problemów z hazardem i tym podobnych. Żona obdzwoniła wszystkich i godzinę później zgłosiła zaginięcie. — Cussler rzucił teczką na biurko.

— Wie pan, że zgodnie z regulaminem, zaginionymi zajmujemy się dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach?

— Oczywiście. Nie zdziwiłbym się, gdyby dzisiaj się znalazł. Mam jednak przeczucie, że za dobrze pasuje do naszego głównianego wzoru.

— Zgodzę się, wygląda to podejrzanie. Po co porywać kogoś takiego?

— Chciałbym, żebyś do jutra zapoznał się z aktami pozostałych zaginionych. Przyznam, że przeglądałem je i nic nie rzuciło mi się

w oczy. Jedyne, co ich łączy, to fakt, że tacy ludzie jak oni, nigdy nie znikają.

— Gdzie są te akta?

— Tu masz kopie. Wykonałem je osobiście, więc nikt o tym nie wie. Oryginały wróciły na swoje miejsce.

Kapitan wyciągnął z szafki stertę papierów. Nick wziął je pod pachę i udał się w stronę drzwi. Na odchodne usłyszał od Cusslera kilka słów zachęty, które miały skierować wszystkich wścibskich na inne tory myślenia.

— I weź się w końcu do roboty! Do jutra masz poprawić te pieprzone raporty!

Nick zamknął za sobą drzwi i pokręcił przecząco głową, odgrywając tym samym swoją rolę. Wszyscy, których biura znajdowały się na otwartej przestrzeni, przed paszczą samego lwa, odprowadzili go współczującymi spojrzeniami.

Wrócił do swojego biura, ale zanim wziął się za robotę, wyciągnął telefon i wybrał bezpośredni numer oddziału intensywnej terapii.

— Dzień dobry. Chciałem zapytać o stan pacjenta. John Stewart. Przywieziono go do was wczoraj wieczorem. Nazywam się Nicolas Stewart, jestem jego synem.

— Przepraszam, ale nie udzielamy takich informacji przez telefon — odparł kobiecy głos, brzmiący prawie jak automat.

Nick nie chciał sięgać po asa w rękawie, jednak pielęgniarka nie dała mu innego wyboru.

— Jestem detektywem. Jeżeli mi pani nie ufa, to proszę rozłączyć się i oddzwonić na numer, który się pani wyświetlił. Zgłosi się informacja komisariatu albo można od razu na mój

numer wewnętrzny dwadzieścia cztery. — Dodatkowo podał numer odznaki oraz nazwisko przełożonego.

Pielęgniarka szybko zrozumiała, że to nie ma sensu. Przełożyła kilka papierów i po chwili ciszy odezwała się obojętnym głosem:

— Pacjent jest stabilny. Z godziny na godzinę stan pana ojca się poprawia. Czy mam połączyć z doktorem prowadzącym? — zapytała od niechcenia.

— Nie, nie. To wszystko, co chciałem wiedzieć. Bardzo pani dziękuję. — Rozłączył się. Natychmiast chciał zadzwonić do matki i przekazać dobre wieści, jednak uświadomił sobie, że pewnie położyła się spać. Nie chcąc jej budzić, napisał wiadomość tekstową.

Z tego wszystkiego zapomniał poprosić o dzień wolnego. Rozdrażniony, kopnął fotel, który uderzył o ścianę. Wisząca na niej tablica korkowa spadła, narobiwszy potwornego rabanu. Oparł dłonie na biodrach i spuścił głowę. Policzył do dziesięciu. Przeprowadził z powrotem fotel. Powiesił tablicę. Wyjął z kieszeni marynarki portfel i poszedł do automatu po dwie kawy.

DZIEŃ 4

ROZDZIAŁ 12

Przestrzeń powietrzna USA, gdzie nad Filadelfią

W luksusowych fotelach prywatnego odrzutowca siedzieli dwaj dobrzy znajomi — kardiochirurg Marcus Fisher i anestezjolog Arthur Ford. Pierwszy z nich był stosunkowo niewysoki, przysadzisty i czesał się z przedziałką. Drugi, nieco wyższy, miał charakterystyczny dołek w podbródku, owalną twarz ismuklejszą sylwetkę. Pracowali ze sobą od ponad piętnastu lat i często ich kontrastujący wygląd był obiektem nieszkodliwych drwin. Poznali się w szpitalu w Nowym Jorku, gdzie we wzajemnej asyście zoperowali setki pacjentów.

Gdy Marcus Fisher otrzymał lukratywną propozycję pracy dla kliniki *SIEDEM GWIAZD*, nawet nie pomyślał o odmowie. Zgodził się bez zastanowienia. Po zadomowieniu się tam i zyskaniu przychylności dyrektora nakłonił zarząd do zatrudnienia także jego najlepszego przyjaciela — Arthura. W ten sposób rozpoczęło się ich nowe, obfitujące w luksusy życie.

Wbrew powszechnej opinii, będąc sówiciej wynagradzani, pracowali mniej niż kiedyś. Minusem tego rozwiązania była konieczność dyspozycyjności. Na każde zawołanie musieli stawić

się w pracy, a to wiązało się ze sporą ilością podróży w ciągu roku — na co dzień mieszkali bowiem w Nowym Jorku.

Samolot, którym lecieli, należał do biznesmena — Benjamina Knighta. Dyrektor kliniki — Jonathan Morris — w obawie o zdrowie i życie przyszłego pacjenta zaproponował asystę lekarzy podczas lotu, na który uparł się milioner. Cierpiał on na problemy kardiologiczne i każdy stres był w jego przypadku niewskazany. Dwaj lekarze lecieli do kliniki, aby uczestniczyć w operacji Knighta, więc mężczyźni wzajemnie wyświadczyli sobie przysługę. Lekarze czuwali nad bezpieczeństwem pacjenta w zamian za ekspresową i darmową podróż w luksusowych warunkach.

— Arthurze, jak samopoczucie? — zapytał towarzysz, delektując się lampką znakomitego białego wina, które zaproponował im gospodarz.

— Nie najlepiej. Wiesz dobrze, że nie znoszę latania. Za oknem jest ciemno. Czuję się jak w trumnie ze skrzydłami.

— Daj spokój. Jak ktoś stawia, to czemu nie? Masz cały samolot dla siebie i wszystkie jego wygody do dyspozycji. À propos wygód... — ściszył głos. — Widziałeś tę babkę? Ciekawe, czy masaż jest w cenie lotu?

— Zapytaj żonę.

— Co cię ugryzło?

— Dziesięć kilometrów próżni pod nami.

— Nie do końca próżni.

— A widziałeś tam coś?

— Dokąd idziesz?

Arthur Ford wstał i poszedł w kierunku toalety. W tym samym czasie z kabiny pilotów wyszedł lekko przygarbiony mężczyzna

w średnim wieku. Miał na sobie białe spodnie, białą koszulę i ciemnobrązową marynarkę z jasnymi łatami na łokciach. Był wysoki i musiał przemieszczać się po samolocie lekko pochylony.

— Jak mija panom ta krótka podróż? — zapytał Benjamin Knight.

— Wyśmienicie! — zachwycił się Marcus Fisher. — To znaczy... w moim przypadku wyśmienicie.

— Pana kolega źle się czuje? Nie lubi latać? — zapytał cicho biznesmen, zajmując chwilowo miejsce Forda.

— Ma z tym pewien problem — powiedział równie przyciszonym głosem doktor Fisher, nie chcąc wprowadzić towarzysza w zakłopotanie. — Kilka lat temu był na lotnisku i czekał na samolot, gdy jeden z prywatnych odrzutowców podczas lądowania uderzył o ziemię i stanął w płomieniach. Na szczęście nikomu nic się wtedy nie stało, ale ten obraz wbił mu się w pamięć i za każdym razem daje o sobie znać. Podczas samego lotu nie jest jeszcze tak źle. Gorzej przy starcie i lądowaniu.

— Rozumiem. — Mężczyzna zamyślił się i po chwili dorzucił: — A czy to wydarzenie miało miejsce na lotnisku w Filadelfii?

— Nie jestem pewien, ale chyba tak. Dlaczego pan pyta?

Biznesmen nie odpowiedział, tylko wstał i podszedł do ścianki oddzielającej ich od następnego przedziału. Ściągnął oprawiony w ramkę artykuł z gazety i podał doktorowi cenną pamiątkę.

— A niech mnie! — Fisher odczytał na głos tytuł artykułu: — *Milioner wychodzi cało z katastrofy samolotu*. To pana samolot wtedy się rozbił?! Nie wierzę!

— Nie do końca mój... Wtedy jeszcze wynajmowałem. Ale przyznam, że swojego czasu było o tym głośno.

— W życiu nie skojarzyłbym, że...

Słyszając słowa *katastrofa* i *rozbił się*, Arthur Ford natychmiast wyskoczył z toalety. Przez chwilę analizował pracę silników i stabilność samolotu. Uspokoił się, słysząc równomierny warkot i nie odczuwając najmniejszych nawet turbulencji.

— Przepraszam, panie Knight. Czy lot długo jeszcze potrwa?
— zapytał, ocierając pot z czoła. Byli w powietrzu niecałe pół godziny, ale z minuty na minutę odczuwał coraz większy dyskomfort i marzył o tym, aby pod stopami poczuć wreszcie ziemię.

Nie doczekał się odpowiedzi, ponieważ jego kolega od razu zmienił temat rozmowy.

— Daj spokój, Arthurze! Czy ty wiesz, kim jest nasz gospodarz?! Padniesz z wrażenia, jak się dowiesz!

Ford spojrzał niezrozumiale na przyjaciela, którego rozpierał zachwyty.

— Coś mnie ominęło?

— Otóż, drogi kolego, ten oto stojący tu człowiek był właścicielem... przepraszam... czarterował samolot, którego katastrofę widziałeś przed kilkoma laty!

Ford otworzył szerzej oczy ze zdumienia. Jeszcze raz przeanalizował słowa, aby mieć pewność, że dobrze zrozumiał. Obrzucił milionera pytającym spojrzeniem, żądając wyjaśnień.

— Nie patrzcie tak na mnie! Nie jestem duchem — zaśmiał się Knight.

— To katastrofę pana samolotu widziałem? — zapytał zaskoczony Ford.

— Prawdopodobnie tak. Z tego, co wiem, na lotnisku w Filadelfii nie było więcej podobnych wypadków w tamtym

czasie.

— Oszalamiający zbieg okoliczności...

W tym momencie maszyna zatrzęsała się i Ford, przypomniawszy sobie widok płonącego przed laty samolotu, złapał mocno za podłokietniki fotela, wbijając palce w drogą skórę. Fisher był bardziej odporny na tego typu anomalie, ale również on miał w tej chwili dziwne myśli. Benjamin Knight spojrzał pobłażliwie na swoich gości.

— Panowie, spokojnie, to tylko drobne turbulencje. Żałujcie, że nie lecieliście ze mną do Chicago w burzy śnieżnej. Wtedy dopiero była zabawa. Zamknęli prawie wszystkie lotniska na północy, ale gdzieś trzeba było lądować. Zaczynało nam brakować paliwa i... — Podekscytowany milioner zaczął kolejno przytaczać sytuacje, których omal nie przyplacił życiem. Nie tylko te związane z lataniem. Uwielbiał adrenalinę buzującą w organizmie.

Słuchacze zapomnieli wprawdzie o drganiach, które wkrótce ustały, ale opowieści gospodarza wcale ich nie uspokoiły. W pewnym momencie ekscytacja biznesmena jego własnymi przeżyciami osiągnęła apogeum i mężczyzna nagle opadł na fotel, łapiąc się za serce. W pierwszej chwili pasażerowie myśleli, że to jakiś żart, ale już po kilku sekundach wiedzieli, że sprawa jest poważna.

— Wszystko w porządku? — Fisher poderwał się z fotela. Natychmiast wyostrzyły mu się zmysły, nieco przytłumione wyśmienitym winem.

— Nie jestem pewien... — odpowiedział Knight, zapadając się w fotelu. — Moje... serce — wydukał z trudem i potworny grymas wykrzywił jego twarz. Zaczął tracić przytomność.

— Proszę się nie ruszać! — zareagował Fisher. — Arthurze, rozłóż tamten fotel, położymy go! Szybko, wyczuwam słabnący puls!

Ford natychmiast zapomniał o strachu związanym z lataniem. Teraz już wiedział, dlaczego dyrektor Morris tak bardzo nalegał na podróż tego ekscentryka w asyście lekarzy. Jego pogłębiająca się niewydolność krążenia mogła dać o sobie znać w każdej chwili i... właśnie to zrobiła.

— Podłączę go, a ty przygotuj defibrylator! — powiedział stanowczo Fisher. — Nie widziałeś gdzieś adrenaliny? Może się przydać.

— Może jest w apteczce z tyłu. Zaraz przyniosę — odparł Ford.

Samolot Benjamin Knighta nie był typowym odrzutowcem.

Milioner w którymś momencie swojego szalonego życia postanowił zadbać oto, aby jak najskuteczniej uniknąć przypadkowej śmierci. Po pierwszym zawale, jaki cudem przeżył w przestworzach, wyposażył maszynę we wszystkie urządzenia, które mogły pomóc jego opiekunom w przywróceniu go do świata żywych. Do tej pory nigdy nie musiał korzystać z zainstalowanych udoskonaleń, ale gdyby był teraz przytomny, z pewnością doceniłby swoje przezorne posunięcie.

— Mój Boże... — Stewardessa w granatowym mundurku i krótkiej, białej spódniczce zasłoniła rękami usta, widząc nieprzytomnego Knighta i krzątających się dookoła niego lekarzy. — Co się stało?!

— Mamy problem... Proszę kazać pilotowi trzymać samolot prosto... Nie potrzebujemy większych komplikacji.

— Dobrze...

Fisher spojrział na monitor.

— Zanik pracy serca! Defibrylator!

— Naładowany. — Ford pospiesznie podał urządzenie i rozzerwał koszulę pacjenta.

— Raz... dwa... trzy...

Ciszę przeszył głuchy stuk i na ekranie pojawiła się pojedyncza pionowa kreska. Niestety tylko jedna.

— Jeszcze raz! Raz... dwa... trzy...

Kolejny głuchy stuk wypełnił dobrze wyciszoną kabinę samolotu.

Na ekranie znowu pojawiła się kreska. Tym razem za nią, w regularnych odstępach, rysowały się kolejne linie. Serce zaczęło pracować.

Fisher wytarł spocone czoło. Wyciągnął telefon i wybrał pospiesznie numer.

— Morris, słucham... — odezwał się lekko zaspanym głosem dyrektor kliniki.

— Tu doktor Marcus Fisher. Mamy poważny problem!

— Słucham?!

— Lecimy z Benjaminem Knightem. Będziemy na waszym lotnisku za jakieś piętnaście, może dwadzieścia minut. Facet właśnie miał atak. Serce stanęło.

— O mój Boże... — Dyrektor od razu odzyskał pełną sprawność umysłu.

— Udało się go przywrócić do świata żywych, jednak to, co widzę na monitorze, nie rokuje najlepiej. Jego serce jest słabe i nie wiem, ile jeszcze wytrzyma.

Nastąpiła chwila ciszy. Żona dyrektora, słysząc szmery rozmów, przebudziła się.

— *Co się dzieje, kochanie?*

Fisher usłyszał cichy kobiecy głos w telefonie.

— Nic. To... znajomy. Idź spać. Muszę coś załatwić.

— Jest pan tam, panie Morris?

— Jestem, jestem... — powiedział szeptem dyrektor, a odgłos zamykanych drzwi słyszalny w telefonie zaświadczył o opuszczeniu przez niego sypialni. — Zrobimy tak. Jutro... to znaczy dzisiaj, mieliśmy kroić Petersona, ale to nic. Zamieniamy kolejność. Dziesięć baniek nie ucieknie, a dwadzieścia może w każdej chwili przepaść. Karetka dojedzie, zanim wylądujecie. Zobaczę, kogo uda mi się ściągnąć.

— Jest ze mną jeszcze doktor Ford.

— Racja, przecież lećcie razem! — Morris przypomniał sobie o obecności drugiego lekarza na pokładzie samolotu. — Świetnie, mamy anestezjologa. Jeden problem z głowy.

Po ustaleniu kilku szczegółów mężczyźni zakończyli rozmowę. W tym samym momencie do kabiny pasażerów weszła stewardessa.

— Ustabilizowaliśmy go, ale sytuacja może się powtórzyć. Na razie jest w porządku — uspokoił ją Fisher.

— To ma być *w porządku*? — Pokazała na półnagięgo miliardera.

— W porównaniu z tym, co było, owszem. Teraz spokojnie śpi. Na lotnisku będzie czekała karetka. Proszę się o nic nie martwić, wszystkim się zajmiemy.

Kobiety ani trochę nie przekonały słowa lekarza, ale przypomniała sobie, z jaką wiadomością przyszła.

— Kapitan prosił, aby przekazać, że za jakieś dziesięć minut lądujemy. — Podenerwowana podeszła do nieprzytomnego szefa.

— Mogę go przypiąć?

— Tak, tylko ostrożnie... Proszę nie dotykać czujników.

— Spróbuję... — Po wykonaniu zadania stewardessa przeszła na tył samolotu i sama zajęła miejsce.

Pasażerowie poczuli, jak pilot zaczął stopniowo obniżać pułap, a następnie wykonał nawrót i rozpoczął ostre schodzenie w dół. Fordowi żołądek podskoczył do gardła.

— Następnym razem wezmę dodatkowe sto tysięcy, jeżeli znowu każą mi lecieć pierdolonym samolotem — powiedział, łapiąc za skórzane podłokietniki.

Fisher spojrział na kolegę z udawanym współczuciem w oczach. Trzymał w ręku butelkę wina.

— Może jednak?

ROZDZIAŁ 13

Mężczyzna w chirurgicznej masce, idący żwawo słabo oświetlonym korytarzem, nie był zadowolony z wczesnej pobudki, jaką mu zafundowano. Niemalże bokiem przemknął przez leniwie otwierające się drzwi. Po kilkunastu metrach dotarł do kolejnych — zaopatrzonych w czytnik linii papilarnych. Obejrzał się za siebie, po czym przyłożył dłoń do urządzenia i po chwili był już w następnej części korytarza. Minął dwoje drzwi po prawej i zatrzymał się przed kolejnymi — opatrzonymi numerem trzy. Tym razem musiał użyć karty magnetycznej. Po przeciągnięciu jej przez czytnik usłyszał cichy szcęk zamka. Pchnął drzwi i wszedł do niewielkiego pomieszczenia.

Zbliżył się do stojącego na środku łóżka i wyciągnął latarkę. Gdy rozsunął powieki pacjenta, ten nagle zerwał się i zaczął szarpać. Gdyby nie skórzane pasy, byłby już wolny.

Mężczyzna w masce gwałtownie odskoczył. Przestraszył się reakcji, która w żadnym wypadku nie powinna nastąpić. Spojrzał na zegarek i dokonał szybkich obliczeń. Dawka, masa ciała, czas. Zastanawiał się, gdzie popełnił błąd, choć na pierwszy rzut oka takowego nie dostrzegł. Nie było czasu na dogłębną analizę problemu. Błyskawicznie sprawdził zabezpieczenia. Pasy solidnie trzymały, więc pacjent nie miał szans na oswobodzenie się.

— Co się tutaj dzieje?! Gdzie mnie zamknęliście?! Kim jesteście?! Co ja tutaj robię?! — Mężczyzna na łóżku wykrzykiwał kolejne pytania, ale osobnik w masce najzwyczajniej w świecie go ignorował. Podszedł do szafki i wyciągnął dwie fiolki anestetyków, strzykawkę i igłę. Nabrał po parę mililitrów płynów i wrócił do pacjenta.

— Panie Mitchum, w tej chwili tylko od pana zależy, czy igła wbije się w ramię, czy gdzieś indziej — spokojnie ostrzegł swoją ofiarę. — Może mi pan wierzyć, że dla pańskiego dobra będzie lepiej, jak trafię za pierwszym razem i to tam, gdzie zamierzam.

Mężczyzna chwilowo przestał się ruszać. Od szarpania skóra pod pasami zaczęła go palić. Wiedział, że tej walki nie wygra. Chcąc nie chcąc, podporządkował się woli szaleńca.

— I po krzyku...

— Proszę! Ja mam rodzinę... dzieci... Żona w domu pewnie odchodzi od zmysłów! — Łzy zaczęły spływać mężczyźnie po policzkach.

Osobnik w masce obszedł łóżko. Zastanawiało go, dlaczego jego ofiara była przytomna. Nie powinno się to zdarzyć, chyba że sam życzyłby sobie tego. Zbadał drożność zestawu do podawania kroplówki. Schylił się i znalazł przyczynę. Gumowy wężyk dostał się pomiędzy rurki ze stelażu łóżka. Przepływ był znikomy

i niewielka dawka anestetyków pozwoliła na niekontrolowane przebudzenie.

Po niecałych dwóch minutach pacjent się uspokoił. Jego głowa bezsilnie opadła na łóżko. Senność wygrała ze świadomością — zasnął, tracąc kontakt z rzeczywistością.

Opiekun sprawdził odczyty na monitorze. Wszystko wyglądało dobrze.

— Do zobaczenia już za niedługo — rzucił cynicznie pod nosem.

ROZDZIAŁ 14

Zatoka Pohick

Poza pracą dyrektor Jonathan Morris i jego najbardziej zaufany człowiek — doktor Edward Harris — traktowali się jak starzy przyjaciele, choć każdy znał swoje miejsce w klinice. Jonathan Morris nie miał problemów z wydawaniem poleceń, a Edward Harris z ich wykonywaniem, dlatego też zerwał się na równe nogi, gdy tylko dyrektor zadzwonił i poinformował, że Benjamin Knight za parę minut zjawi się w ich szpitalu. Gdy karetka podjechała pod budynek, Harris czekał już przy drzwiach. Tuż za nią pojawiła się czarna limuzyna.

Pojazdy zatrzymały się przy bocznym wejściu — specjalnie przygotowanym na tego typu przypadki. Z szoferki karetki wyskoczyli dwaj sanitariusze. Jeden z nich otworzył tylne drzwi. Ostrożnie, w asyście trzeciej osoby, która przebywała z pacjentem na tyłach pojazdu, wysunięto nosze, na których leżał nieprzytomny Knight.

W tym samym czasie kierowca limuzyny otworzył drzwi pasażerom. Harris od razu rozpoznał wysiadających mężczyzn — natychmiast dopasował twarze do nazwisk. Razem byli bardzo charakterystyczni i nie mogło być mowy o pomyłce. Flip i Flap we własnych osobach.

Odstąpił od drzwi, robiąc miejsce sanitariuszom.

— Wiecie, gdzie ma trafić?

— Na salę numer jeden...

— Dokładnie... Podłączcie go, zaraz przyjdę.

Szpital świecił jeszcze pustkami i odgłos wózka, na którym transportowano pacjenta, rozchodził się po wszystkich zakamarkach.

— Marcus? Arthur? Miło was znowu widzieć.

Wchodzący natychmiast rozpozнали witającego ich mężczyznę w białym fartuchu.

— Tak, Edwardzie, miesiąc szybko zleciał.

— Z tego, co mi wiadomo, Knight miał przyjechać limuzyną, a nie karetką — zauważył wesoło Harris, wiedząc doskonale o wydarzeniach, jakie rozegrały się na pokładzie odrzutowca.

— Cóż... Nasz pacjent jest do ciebie podobny — Fisher zwrócił się do towarzysza.

— Mianowicie? — zapytał Ford, ściągając brwi.

— Latanie wam nie służy.

Śmiech wypełnił puste korytarze i wszyscy trzej udali się w kierunku sekcji mieszkalnej.

ROZDZIAŁ 15

Nick Stewart przetarł oczy. Wydawało mu się, że wciąż jest noc. Przewrócił się na bok i poprawił poduszkę, spod której wysunął się pistolet. Od niechcienia spojrział na budzik stojący na nocnym stoliku. Zobaczył wskazówki ustawiające się pod kątem prostym — dochodziła dziewiąta.

— W mordę... — Zerwał się z łóżka i podszedł do drzwi balkonowych. Kiedy szarpnął zasłonę, oślepił go strumień jasnego światła. Przesłonił ręką twarz. Uchylił drzwi i poczuł świeże powietrze zastępujące całonocny zaduch.

Wziął budzik do ręki. Po chwili wszystko stało się jasne. Alarm był wyłączony. Nick nie pamiętał, czy nie ustawił go wieczorem, czy wyłączył o siódmej rano, dając sobie kilka minut na dojście do siebie. W tej chwili było to najmniej istotne. Już dawno miał być na komisariacie, a tymczasem biegał półnagi po mieszkaniu.

— Brawo, Stewart... — Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spóźnił się do pracy. Jako były wojskowy wczesne wstawanie miał zakodowane w DNA.

Szybko odświeżył się i wrócił do sypialni. Sięgnął do szafy po koszulę i pierwsze lepsze spodnie. Oczywiście stwierdzenie *pierwsze lepsze* okazało się bardzo ogólnikowe. Na ubraniach nie było najmniejszej fałdki. Również bieliznę utrzymywał w nienagannym porządku — ułożona wzorcowo w szerokiej szufladzie robiła wrażenie nawet na Kate, która nie była bałaganiarą.

Nick wybiegł z mieszkania, pospiesznie zakładając marynarkę. Opuszczając osiedlowy parking, zastanawiał się, czy zamknął za sobą drzwi. Przez to spóźnienie zupełnie stracił głowę. Nie było już czasu na powrót. W drodze do wydziału przypomniał sobie, że nie załatwił najważniejszej sprawy.

— Psiakrew...

Szybko wybrał numer szpitala. Miał szczęście — odebrała ta sama pielęgniarka, co poprzedniego dnia. Rozpoznała jego głos i tym razem, bez słownej przepychanki, natychmiast przybliżyła mu dokładny stan ojca, który czuł się znacznie lepiej i szybko wracał do zdrowia.

Pozytywne informacje od razu zostały przekazane matce, która była akurat w drodze do szpitala. Kiedy kończył rozmowę i już miał odłożyć telefon, jego uwagę zwrócił mocny rozbłysk niewiadomego pochodzenia. Jedno spojrzenie w lusterko i wszystko stało się jasne.

— Kurwa mać! — wrzasnął na całe gardło.

Samochód został uwieczniony na zdjęciu z fotoradaru. Nick nie zdawał sobie sprawy, że w tym całym pośpiechu poruszał się w terenie zabudowanym o ponad trzydzieści kilometrów za szybko. Co więcej — rozmawiał przez telefon podczas jazdy i prawdopodobnie przejechał przez skrzyżowanie, gdy zapaliło się już czerwone światło.

Gdy zatrzymał się przed budynkiem komisariatu, wziął głęboki oddech i mocno chwycił dłońmi kierownicę, prostując przy tym ręce w łokciach — maksymalnie naprężył mięśnie.

— Ogarnij się, Stewart...

Poszedł bezpośrednio do biura szefa. Ten rozmawiał właśnie z jednym ze swoich podwładnych. Jak zwykle, robił to w charakterystyczny dla siebie sposób.

— Raport ma być u mnie na biurku za dwie godziny według czasu lokalnego, rozumiesz?!

Kapitan, pozbywając się jednej ofiary, szybko zauważył, że kolejna czeka już na pożarcie. On też musiał dziś wstać lewą nogą.

— Stewart! Nareszcie! Nie wiedziałem, że bohaterów nie obowiązuje grafik!

— Przepraszam za spóźnienie — Nick odpowiedział jak dziesięcioletek, który właśnie zasnął do szkoły. Wszedłszy, zamknął za sobą drzwi.

Carl Cussler palił tylko wtedy, gdy miał naprawdę sporo na głowie. Tak więc zapach dymu papierosowego nie zwiastował niczego dobrego. Nie trzeba było urodzić się wybitnym analitykiem, aby stwierdzić, że coś jest nie tak.

— Dobra, zapomnij. — Kapitan nagle stał się dziwnie wyrozumiały. — Obyś miał jakieś dobre wieści — dorzucił przyciszonym głosem, przekręcając żaluzje.

— Mam.

Cussler wbił w detektywa wzrok, jakby chciał z jego oczu wyczytać rozwiązanie dziwnej sprawy, o której rozmawiali poprzedniego dnia.

— Mój ojciec ma się coraz lepiej, więc mogę poświęcić całą energię zadaniu, jakie mi pan przydzielił. — Nie wiedział, czy żart był na miejscu, ale postanowił spróbować.

Kapitan zgrzytnął zębami. Obiecał sobie, że ze względu na ostatnie wydarzenia, jakie spotkały jego podwładnego, będzie delikatniejszy niż zwykle.

— Cieszę się bardzo — bąknął, próbując się opanować. — A wracając do sprawy... Masz coś?

Nick spoważniał.

— Przyjrzałem się tym osobom. Miał pan rację, nic ich nie łączy, a daty zaginięć wyglądają na przypadkowe. Brak jakichkolwiek świadków. Osoby te w większości przypadków należały do klasy średniej i mieszkały w różnych częściach

miasta. Naniósłem adresy na mapę i nic. Żadnego ukrytego pentagramu, a linie przecinają się w różnych miejscach, więc prawdopodobnie nie mamy do czynienia ze świrem, który chce nam powiedzieć, jak bardzo świat jest popieprzony. Zajmę się dzisiaj Millerem. Przepytam rodzinę, znajomych, współpracowników. Może na coś trafię.

Cussler spochmurniał. Liczył na jakikolwiek, chociażby najdrobniejszy postęp.

— Tylko bez zbędnego zwracania na siebie uwagi!

Nick skinął głową.

— Jeszcze jedno... Sprawa zniknięć zostaje między nami. Jeżeli to wyjdzie na jaw, ukrzyżują nas głową w dół. Oficjalnie prowadzisz dochodzenie w związku z zaginięciem Millera. Jeżeli ktoś zacznie pytać, wszystkiemu zaprzeczę.

— Jeżeli dobrze pamiętam, wczorajsza umowa brzmiała nieco inaczej.

— Dobrze, że się rozumiemy. — Tego dnia Cussler nie miał zamiaru się targować.

Detektyw zszedł do swojego biura i zaczął zgłębiać akta Millera. Musiał od czegoś zacząć — czegoś się ucześcić. Przeczytał ponownie raport zgłaszający zaginięcie. Nic konkretnego nie rzuciło mu się w oczy, więc odszukał numer kontaktowy żony zaginionego. Przysunął do siebie służbowy telefon i postanowił spróbować szczęścia.

— Halo — odezwał się zaniepokojony, kobiecy głos.

— Witam panią, tu detektyw Nicolas Stewart z wydziału...

— Znaleźliście mojego męża?! — Niepokój ustąpił miejsca rozpaczy.

— Niestety, jeszcze nie, ale rozpoczęliśmy już śledztwo i jeżeli byłoby to możliwe, chciałbym zadać pani kilka pytań odnośnie męża.

Kobieta rozplakała się.

— Jestem teraz u matki w Baltimore. Musiałam zawieźć dzieci — mówiła łamiącym się głosem. — Nie radzę sobie z całą tą sytuacją. Przepraszam...

— Całkowicie rozumiem... — uspokajał Nick. — Kiedy mógłbym do pani przyjechać?

— Wracam wieczorem. Nie wiem, ile czasu zajmie mi powrót. O osiemnastej powinnam już być w domu.

— To może umówmy się na dziewiętnastą?

— Dobrze... Jeżeli wrócę szybciej, dam panu znać. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale chciałabym mieć tę rozmowę jak najszybciej za sobą.

— Oczywiście.

Nick podyktował numer do swojego biura, a także prywatnej komórki. Miła kobieta, pomyślał, odkładając słuchawkę. Że też zawsze nieszczęścia dotyczą takich ludzi.

Wstępny etap poszukiwań przewidywał przesłuchanie pozostałych członków rodziny. Ta rubryka świeciła jednak pustkami, więc Nick odwrócił stronę, aby sprawdzić, gdzie zaginiony pracował. Znalazł tam nazwę firmy remontowo-budowlanej, której siedziba mieściła się kilka przecznic od wydziału.

Opuszczając biuro, zamknął je na klucz. Nie było to w jego zwyczaju, ale nie chciał, aby ktokolwiek dowiedział się, jaką sprawę prowadzi.

W pierwszej chwili chciał pojechać samochodem, ale widząc zakorkowaną ulicę, wybrał spacer. Była to dla niego miła odmiana od codzienności — biura, radiowozu i niewygodnych pytań.

Mijał witryny sklepowe i przewalające się tłumy ludzi. W powietrzu unosił się zapach lata, który nastrajał go pozytywnie. Szum samochodów, dźwięki klaksonów, gwar ludzi rozmawiających ze sobą i przez telefony oraz grupka robotników wiercących dziurę w jezdni — wszystko to w jakiś niezrozumiały sposób działało kojąco. Była to potrzebna odskocznia od zapachu trupów i widoku zapłakanych ludzi.

Podczas przechadzki minął kilku ulicznych handlarzy, mężczyznę zmiatającego chodnik oraz chłopca rozdającego ulotki. Dostrzegł, jak spokojne życie prowadzą niektórzy mieszkańcy Waszyngtonu i jak bardzo są nieświadomi zagrożenia, o którym dowiedział się od kapitana. Zrozumiał, jak wielki wpływ na ten pozorny spokój mogłaby wywrzeć informacja o porwaniu Bogu ducha winnych obywateli, jeżeli dotarłaby do niepowołanych osób. Wyobraził sobie tych wszystkich idących ulicą ludzi, jak siedzą w domach i z przerażeniem wyglądają przez zamknięte okna w obawie o swoje życie. Za wszelką cenę postanowił nie dopuścić do takiego scenariusza.

Wreszcie znalazł się na ulicy, przy której miało mieścić się poszukiwane przez niego biuro. Szedł powoli, aż dotarł do wąskiego przesmyku pomiędzy budynkami, gdzie na jednej ze ścian widniała reklama firmy zatrudniającej Russella Millera.

Skręcił w lewo i po chwili znalazł się na tyłach budynków piętrzących się przy głównej ulicy. Szybko odnalazł wejście.

Za biurkiem siedziała otyła sekretarka w czerwonej sukience. Już na pierwszy rzut oka jej strój był o kilka rozmiarów za ciasny i z daleka można było policzyć fałdy tłuszczu na ciele. Kobieta nie

wykazała zbyt dużego zainteresowania pojawieniem się nowego klienta. Właśnie zaczęła malować paznokcie i niespodziewana wizyta była jej mocno nie na rękę. Przewróciła oczyma, co nie umknęło Nickowi, ale postanowił to zignorować i grzecznie rozpoczął rozmowę:

— Dzień dobry. Detektyw Nicolas Stewart, policja.

Sekretarka, zaskoczona wizytą funkcjonariusza, otworzyła szerzej oczy. Od razu wzrósł jej poziom zainteresowania tak niecodziennym klientem, bo jak większość kobiet, uwielbiała plotki.

— Dzień dobry. — Wstała, zakręcając buteleczkę lakieru. Krzesło zaskrzypiało i amortyzujący mechanizm poczuł ulgę, unosząc siedzenie kilka centymetrów w górę. — Co pana do nas sprowadza?

— Przychodzę w związku ze zgłoszonym zaginięciem jednego z waszych pracowników. Chciałbym porozmawiać z kimś, kto mógłby mi odpowiedzieć na kilka pytań. Najlepiej, gdybym mógł widzieć się z właścicielem.

— Szefa nie ma, a ja panu raczej nie pomogę — odpowiedziała wymijająco.

— Gdzie mogę go znaleźć?

— Dostaliśmy duże zlecenie i szef cały czas przebywa pod tym adresem. — Sekretarka odszukała wizytówkę firmy i szybko nagryzmoła coś na jej odwrocie. — Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc. Pod spodem zapisałam prywatny numer pana Smitha.

— Świetnie, dziękuję. A właściwie... Mam jeszcze jedno pytanie.

— Tak?

— Nie kojarzy pani tego człowieka? Russell Miller... Pracował... Pracuje dla was. — Nick pokazał zdjęcie zaginionego.

— Niestety. Może widziałam go raz czy dwa. Tacy jak on bardzo rzadko zaglądną do biura, jeżeli wie pan, o co mi chodzi.

— Nie do końca...

— Jeżeli przychodzą tu, to albo z podaniem o pracę, albo z wypowiedzeniem.

— Teraz już rozumiem. Dziękuję za pomoc.

— A czy wiadomo, co się stało panu Millerowi?! — wystrzeliła nagle kobieta, koniecznie chcąc dowiedzieć się czegoś więcej.

— Na chwilę obecną niczego jeszcze nie udało nam się ustalić, ale pracujemy nad sprawą.

— Rozumiem... — odparła z nutką zawodu w głosie.

— Do widzenia — zakończył szybko Nick, wiedząc, do czego prowadzi ta rozmowa.

Opuścił biuro i poszedł w kierunku głównej ulicy. Miał do siebie pretensje, że wyszedł właściwie z niczym. Mógł wcześniej zadzwonić i zapytać o właściciela, jednak spacer dobrze mu zrobił. Otrząsnął się z porannych niepowodzeń i czuł się pewniej.

Jeszcze zanim wrócił do wydziału, zadzwonił do właściciela firmy remontowo-budowlanej. Ten bez najmniejszego oporu zgodził się na spotkanie, tyle tylko, że w miejscu, gdzie obecnie przebywał, czyli w centrum handlowym. Nadzorował tam prace wykończeniowe, które wchodziły w końcowy etap.

Nick, nie chcąc tracić czasu, czym prędzej wsiadł w samochód i udał się na wyznaczone miejsce spotkania.

ROZDZIAŁ 16

W tym samym czasie... Nowy Jork

Kate Frost szła chodnikiem wzdłuż jednej z głównych ulic Manhattanu, przyglądając się mijanym witrynom sklepowym. Kiedy przechodziła obok salonu mody ślubnej, jej uwagę zwróciła piękna, biała, prosta suknia, lekko poszerzana u dołu. Zaczęła wyobrazać sobie, jak by w niej wyglądała. Nie mieli z Nickiem dokładnie sprecyzowanych planów na przyszłość, jednak coraz częściej podczas wspólnych rozmów zaczęli poruszać te sprawy. Westchnęła i poszła dalej.

Zmierzała w kierunku budynku jednej z nowojorskich stacji telewizyjnych, mieszczącej się w samym sercu Manhattanu. Szef poprosił Kate, aby — w ramach wyjazdu służbowego — odebrała dla niego ważną przesyłkę.

Spełniwszy priorytetowy obowiązek, jakim był wywiad ze sławnym amerykańskim pisarzem, pozostałą część dnia postanowiła spędzić frywolnie, przechadzając się po ulicach Nowego Jorku — jednej z największych metropolii świata. Umówiła się także ze swoją nowojorską przyjaciółką, Lilian Adler, pracującą w budynku, do którego zmierzała Kate, aby odebrać przesyłkę dla swojego szefa. Tak się złożyło, że owa znajoma kilka dni wcześniej zadzwoniła do niej i zaproponowała spotkanie.

Gdy Kate dotarła na miejsce, wieżowiec zrobił na niej ogromne wrażenie. Był przynajmniej dwa razy wyższy od tego, w którym pracowała w stolicy.

Znalazłszy się w środku, od razu natknęła się na kilku ochroniarzy i bramki, przez które musiał przejść każdy wchodzący. Jako nowa osoba została dokładnie sprawdzona i wylegitymowana. Otrzymała tymczasową przepustkę umożliwiającą jej przebywanie na terenie budynku. Na plakietce

widniały jej dane osobowe oraz dopisek *GOŚĆ*. Ostrożnie przypięła identyfikator do żakietu i ruszyła na podbój stacji.

Idąc w kierunku stanowiska informacji, dwukrotnie została potrącona przez śpieszących się ludzi. Całkowicie pochłonięci rozmową trzej mężczyźni omal jej nie staranowali. To wszystko przypominało mrowisko rozjuszonych, czerwonych mrówek, niespodziewanie kęsających z każdej strony.

— Witam, w czym mogę pomóc? — zaczęła grzecznie recepcjonistka, choć było widać, że jest już zmęczona tym wszystkim.

— Dzień dobry. Nazywam się Kate Frost. Jestem dziennikarką z Waszyngtonu. Mój szef poprosił, abym odebrała przesyłkę od pana Brysona.

— Momencik. — Kobieta spojrzała w komputer. — Przykro mi, ale nie widnieje pani na dzisiejszej liście gości pana Brysona. Czy jest pani pewna, że...

— Wizyta z pewnością nie była planowana... Mam tylko coś zabrać i znikam. Podobno pani szef rozmawiał z moim szefem. Wie pani, jak to jest... — Przewróciła oczami.

— Tak, tak...

— Jeżeli byłaby pani uprzejma skontaktować się z nim, to z pewnością potwierdzi moją wersję.

— Niestety, nie jestem upoważniona do bezpośrednich rozmów z dyrektorem. Ale... proszę przejść do windy i wybrać piętro trzydzieste drugie. Kiedy wyjdzie pani na korytarz, proszę skrócić w prawo. Dojdzie pani do gabinetu pana Brysona. Jego osobista sekretarka na pewno jakoś pani pomoże. W najgorszym wypadku tam odbije się pani od drzwi — zakończyła z wymuszonym uśmiechem.

— Dziękuję... Mam jeszcze pytanie. Gdzie znajdę Lilian Adler?
Recepcjonistka ponownie wystukała coś na klawiaturze.

— Pani Adler pracuje na dziesiątym piętrze. Dział informacji cyfrowej.

— Jeszcze raz dziękuję.

Kate pożegnała się i poszła w kierunku windy. Wiedziała, że nie ma wyboru. Trzydzieste drugie piętro... Przy jej kondycji schodami dotarłaby tam zimą.

Gdy znalazła się w kabinie, doznała przyjemnego uczucia. Pierwszy raz poczuła się komfortowo w tak ciasnym pomieszczeniu. Winda, jak na windę, była stosunkowo duża i obawy okazały się nieuzasadnione. Lustrzane ściany dodatkowo optycznie powiększały przestrzeń.

Całą podróż z parteru na trzydzieste drugie piętro przejechała sama. Przez ten czas zachodziła w głowę, dlaczego jeszcze u nich nikt nie wpadł na pomysł, żeby ładnie nazwać działy, w których pracują. Nowojorski *dział informacji cyfrowej* w Waszyngtonie to wciąż był INTERNET.

Biorąc pod uwagę krzątanie na dole, samotny kurs wydał jej się trochę dziwny. Czyżby ludzie byli tak zabiegani, że nie mieli czasu czekać na windę, zastanawiała się. Mrówki-żołnierze wysyłane na pola bitew musiały zajmować najniższe piętra. Reszta była przywiązana do swoich stanowisk od świtu do zmierzchu.

Korzystając z chwili spokoju, włączyła przeglądarkę w telefonie i wpisała *Bryson*. Znała ze słyszenia to nazwisko i wiedziała, z kim przyjdzie jej rozmawiać. Joseph Bryson, jeżeli chodziło o informację w Nowym Jorku, a pewnie i na świecie, był wskazywany jako ten zaraz po Bogu. Podlegały mu trzy czasopisma, kilka portali internetowych i oczywiście stacja

telewizyjna. Facet podobno wiedział o wszystkim, nawet o tym, co jeszcze się nie wydarzyło.

Zgodnie ze wskazówkami, po opuszczeniu kabiny skręciła w prawo. Idąc korytarzem po ładnie kontrastującej z jasnymi ścianami bordowej wykładzinie, miała nieodparte wrażenie, że piętro jest opustoszałe. Minęła portrety oraz zdjęcia najwybitniejszych dziennikarzy obecnych i minionych czasów. Dalej rozpoczął się szerszy odcinek hallu, gdzie wisiały liczne przeszklone gabloty z nagrodami oraz wyróżnieniami, jakie zdobyły mrówki Brysona. Ściany dodatkowo zdobiły podświetlone fotografie jego najlepszych reporterów i dziennikarzy. Była to pewnego rodzaju sala chwały, którą każdy, kto chciał spotkać się osobiście z dyrektorem, musiał pokonać, przez co nabierał pokory i sporego dystansu.

Kate była pod wrażeniem. Żałowała, że jej szef nie wpadł na podobny pomysł. Oczyma wyobraźni widziała swoje zdjęcie w takiej sali. Rozmarzona, nawet nie zorientowała się, kiedy doszła do celu — gabinetu asystentki dyrektora. O dziwo, drzwi stały otworem.

Zauważyła starszą, pochyloną nad papierami kobietę. Zaskoczył ją widok kilkudziesięcioletniej sekretarki. Myślała, że zastanie młodą, długonogą piękność. Szybko jednak przypomniała sobie, że w tym zawodzie doświadczenie jest ważniejsze niż aparycja.

Kiedy asystentka dyrektora spostrzegła, że ktoś ją obserwuje, odłożyła długopis i zmierzyła wzrokiem nowo przybyłą osobę.

Kate czuła się, jakby za chwilę miała odbyć rozmowę w sprawie pracy. Została zlustrowana od stóp do głów.

Brak jakichkolwiek ozdóbników w pomieszczeniu, do którego weszła, nadawał mu dziwnie poważny charakter. Biurko, fikus

w kwadratowej donicy nieopodal okna i kilka szafek na dokumenty stanowiło wyłączone wyposażenie gabinetu sekretarki.

— Dzień dobry. Nazywam się Kate Frost — zaczęła nieśmiało.
— Na dole skierowano mnie bezpośrednio do pani. Jestem dziennikarką z Waszyngtonu. Podobno pan Bryson oczekuje mnie w celu przekazania poufnych informacji mojemu pracodawcy — wyjaśniła bez zająknięcia.

Kobieta za biurkiem nie przestawała się jej przyglądać.

— Pan Bryson jest w tej chwili zajęty, ale przekażę mu, że pani przyszła.

— Dziękuję.

Sekretarka podniosła słuchawkę i wybrała numer wewnętrzny.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest tutaj panna Frost z Waszyngtonu i... Dobrze. — Odłożyła słuchawkę. — Pan Bryson oczekuje... — poinformowała i wskazała gabinet dyrektora.

Kate odetchnęła z ulgą. To było proste, pomyślała. Od samej recepcji miała wrażenie, że jej wizyta skończy się na pocałowaniu klamki. Na szczęście myliła się i z odrobiną podekscytowania zapukała w mahoniowe drzwi.

— Proszę, proszę... — Usłyszała zza nich przyjazny, męski głos.

Gdy weszła, chciała się przedstawić, jednak dyrektor stał już przed nią z wyciągniętą ręką.

— Panno Frost, miło mi panią wreszcie poznać. Sporo dobrego o pani słyszałem.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiedziała grzecznie, całkowicie zaskoczona otwartością dyrektora.

Gabinet, w którym się znalazła, był urządzone w starym stylu. Rzeźbione gabloty oraz biurko i kilka obrazów na ścianach

doskonale pasowało do osoby samego gospodarza. Joseph Bryson był niewielkiego wzrostu, jednak budził respekt we wszystkich rozmówcach. Niewielkie zakola na głowie, posiwiałe włosy oraz lekko wystający brzusek na pierwszy rzut oka nie sprawiały wrażenia, że ten człowiek mógłby komuś zaszkodzić. Co więcej, był ubrany jak przypadkowy staruszek — wytarte łokcie marynarki oraz sprane spodnie w żadnej mierze nie przypominały ubioru korporacyjnego rekina. Jednak znał się na rzeczy jak mało kto i miał wyjątkowe podejście do informacji. Potrafił z zamkniętymi oczyma wskazać, która odkryta przez dziennikarzy historia będzie w przyszłości coś warta. Był za to niezwykle ceniony i szanowany w swojej branży. Od razu przypadł Kate do gustu. Z pewnością był stanowczym człowiekiem, przy tym jednak ciepłym i dobrym. Potrafiła trafnie oceniać ludzi już podczas pierwszego spotkania.

— Co nowego w stolicy?

— Sporo się dzieje. Ten wybuch w...

— Tak, tak. Słyszałem o nim i widziałem reportaż. Czy to nie pani... Oczywiście! To panią widziałem w telewizji!

— Tak, miałam przyjemność... Chociaż przyjemność to źle...

— Świetny reportaż — dyrektor nie dał jej dokończyć. — Przy okazji... Nie chciałaby pani pracować dla nas? Mamy akurat jedno wolne miejsce.

Kate oniemiała.

— Drugi raz nie zapytam...

ROZDZIAŁ 17

Waszyngton

Nick zatrzymał samochód przy chodniku — naprzeciw oszklonego kolosa. Wsiadł i przebiegł przez ulicę. Stał przed obrotowymi drzwiami, które nie miały zamiaru drgnąć nawet o milimetr. To właśnie tutaj miał spotkać się z szefem Russella Millera — Adamem Smithem. Spróbował popchnąć drzwi, ale te trwały w miejscu jak przyspawane. Jediną rozsądną opcją był telefon.

— Adam Smith. Z kim mam przyjemność? — odezwał się właściciel firmy.

— Witam, panie Smith. Detektyw Stewart. Byliśmy umówieni na rozmowę dotyczącą pana pracownika.

— A tak, zgadza się. Jak tylko pan pojedzie, proszę dać znać. Zejdę do pana. Główne wejście jest zamknięte.

— Właśnie zauważyłem...

— Proszę? Aaa... Dobra, już biegnę do pana.

Dwie minuty później Nick zobaczył za szklaną przegrodą zbliżającego się szybkimi krokami wysokiego, barczystego mężczyznę w pomarańczowo-szarym kombinezonie. Na głowie miał biały kask. Adam Smith odblokował boczne drzwi i wpuścił detektywa, wyciągając rękę na powitanie.

— Bardzo mi miło.

— Dziękuję, że zgodził się pan spotkać.

— Nie ma problemu.

Po wymianie uprzejmości szef brygady remontowej zablokował ponownie drzwi i mężczyźni zaczęli wolno iść wzdłuż pustych witryn sklepowych. Niecały miesiąc dzielił to miejsce od wielkiego otwarcia, a wszystko było w stanie surowym.

— Przed wami jeszcze sporo pracy.

— Proszę nawet nie mówić. Na szczęście odpowiadamy tylko za górne piętra. Parterem zajmuje się inna firma. Tak między nami... Nie mają szans się wyrobić. Pracują po osiem godzin dziennie, a jak widać na załączonym obrazku... dzisiaj, nie wiedzieć czemu, zrobili sobie wolne, podczas gdy moi chłopcy zasuwiają bez przerwy przez całą dobę na trzy zmiany. Ale nie będę pana zanudzał...

— Rozumiem, że nie wie pan, gdzie Russell Miller mógł się podziąć...

— Przykro mi, nie mam pojęcia. Tego dnia poinformował mnie tylko, że spóźni się do pracy. Dwie godziny później próbowałem się z nim skontaktować, ale bez skutku, więc zadzwoniłem do jego domu. Odebrała żona i powiedziała, że już dawno pojechał do pracy.

— Mówił, dlaczego się spóźni?

— Nie. To znaczy... mówił coś o swoim gapiostwie, ale nie wspomniał o dokładnym powodzie spóźnienia.

— Szkoda, to mogłoby stanowić jakąś poszlakę.

— Niestety, nic konkretnego nie powiedział.

— Często zdarzały mu się takie spóźnienia?

— Praktycznie nigdy. Może ze dwa, trzy razy w roku, to wszystko.

— Zatargi z pracownikami? Miał wrogów?

— Skąd! Russ nie skrzywdziłby nawet muchy. Był całkowicie bezkonfliktowy. Czasem tylko przychodził parę minut później na swoją zmianę. Może i był trochę kiepsko zorganizowany, ale za to w pracy wyróżniał się solidnością. Nadrabiał drobne spóźnienia, rezygnując z lunchu. Nie uznawałem tego za problem. Był naprawdę dobrym pracownikiem...

— Może miał jakieś długi?

— Nic mi o tym nie wiadomo. To raczej pytanie do jego żony.

— Nie chciał pożyczyć od pana pieniędzy? Nie wiercił panu dziury w brzuchu o wcześniejszą wypłatę?

— Nigdy...

— Kiedy widział go pan ostatni raz?

— W przeddzień jego zniknięcia. Był w pracy. Przepracował całą nocną zmianę i tyle.

— Może któryś z pana ludzi mógłby rzucić trochę światła na sprawę? Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym z nimi porozmawiał?

— Oczywiście, że nie. Są do pana dyspozycji. Poinformowałem ich, że pan przyjedzie i być może będzie chciał z nimi rozmawiać.

— To świetnie.

Mężczyźni doszli do windy towarowej i ruszyli na trzecie piętro. W miarę, jak przemieszczali się coraz wyżej, szum maszyn stawał się wyraźniejszy... Kiedy drzwi kabiny otworzyły się, Nick zobaczył jeden wielki. *uporządkowany chaos*. Korytarz był spowity pyłem, a z każdego kąta dochodziły inne odgłosy. Dwóch pracowników przycinało potężne płyty posadzkowe. Dwaj inni zajmowali się podwieszaniem sufitu. Elektryk zmagął się z okablowaniem. Kilka osób pracowało w oddali. Wszyscy nosili maski przeciwpyłowe i tylko pomarańczowe elementy kombinezonów wyróżniały ich na tle szarego otoczenia.

Smith gwizdnął na palcach i prace ustały.

— Podejdźcie tutaj na chwilę! Wszyscy!

Zbliżywszy się, robotnicy stanęli w półokręgu.

— To detektyw Stewart, o którym wam mówiłem. Ma do was parę pytań.

Oczy pracowników zwróciły się na funkcjonariusza.

— Witam wszystkich i przepraszam za zamieszanie — zaczął Nick, próbując objąć zebranych wzrokiem. — Widzę, że macie sporo roboty, więc będę się streszczał. Pewnie już wiecie, w jakiej sprawie przychodzę, ale dla jasności... Dwa dni temu żona Russella Millera — pokazał zdjęcie — zgłosiła jego zaginięcie. Zniknął w drodze z domu do pracy. Może ktoś z was wie o czymś, co nam pomoże, co naprowadzi nas na jakiś ślad?

Nastała cisza. Nikt nie miał Millerowi nic do zarzucenia, więc wszyscy zapewne uznali, że nie ma sensu się odzywać.

— Dajcie spokój. Musieliście coś widzieć albo słyszeć — ponaglił swoich pracowników Smith.

— Ktoś z was przypomina sobie jakieś wydarzenie z ostatnich dni, które mogło mieć coś wspólnego ze zniknięciem pana Millera?

— Dwa dni temu ktoś zarysował mi wóz — powiedział mężczyzna stojący w drugim rzędzie.

W pomieszczeniu rozległy się drwiące śmiechy.

— Myślisz, że zjawiała się policja i od razu dadzą ci nowy? — powiedział ktoś z przekorą w głosie.

— A kiedy dokładnie to się stało? — Nick podchwycił temat.

— Jeśli się nie mylę, właśnie w tym dniu.

— Może pan opisać przebieg tego zdarzenia?

— Nic istotnego. — Mężczyzna przerwał, kiedy kolejne szmery rozmów i docinki rozeszły się wśród zebranych.

— Dla mnie istotny jest każdy szczegół. Może to i śmieszne, panowie — Nick zwrócił się do pozostałych — ale wieczorem mam się spotkać z żoną pana Millera, która oczekuje ode mnie wyjaśnień. Chciałbym jej powiedzieć, że mamy już jakiś trop.

Szmerzy ucichły.

— Słucham. Co chciał pan powiedzieć?

— Dwa dni temu miałem nocną zmianę. Dostałem sygnał na komórkę, że włączył się alarm w moim samochodzie. Zbiegłem na dół i zobaczyłem, jak jakaś furgonetka szybko opuszcza parking. Nie zwróciłem na nią większej uwagi. Podbiegłem do auta, które stało pomiędzy dwoma innymi samochodami. Zobaczyłem, że wszystko jest w porządku i wróciłem na górę. Gdy rano wróciłem do domu i wjechałem do garażu, zauważyłem wgniecenie na drzwiach pasażera. Już wiedziałem, dlaczego wtedy włączył się alarm.

— Rozumiem. A czy któryś z samochodów, pomiędzy którymi stał pana wóz, mógł należeć do pana Millera?

— Nie, od strony kierowcy stał samochód George'a. — Mężczyzna wskazał na jednego ze współpracowników. — Drugiego pojazdu nie skojarzyłem, ale pamiętam, że po nocnej zmianie tego samochodu już nie było.

— Pamięta pan markę i kolor?

— Czerwony ford galaxy.

— Czy któryś z pana pracowników jeździ takim samochodem?

— Nick zwrócił się do Smitha.

— Z tego, co wiem, to nie. Kojarzy ktoś taki wóz?! — Szef rzucił pytanie do swoich ludzi.

Robotnicy pokręcili przecząco głowami.

— Może ktoś z innej zmiany? — dociekał Nick.

— Zapytam, jak tylko przyjdą, ale wszystkich z tamtej zmiany ma pan właśnie przed sobą. Nie mieszam ludzi między różnymi ekipami.

— A jakim samochodem jeździł Miller?

— Chyba czarnym taurusem — odparł ktoś z tłumu.

— Proszę zapytać żonę — podsunął Smith.

— Tak też zrobię, jak tylko będę miał okazję. W porządku. W takim razie nie będę już zawracał wam głowy. Dziękuję za poświęcony czas. Gdyby komuś coś się przypomniało, to zostawiam moją wizytówkę. — Nick wręczył ją właścicielowi firmy. — A do pana mam jeszcze prośbę — zwrócił się do mężczyzny, który opisał zdarzenie z samochodem. — Czy może pan zejść ze mną na dół, na parking i zobrazować całe zajście?

— Oczywiście. Przy okazji... Nazywam się Ben, Ben Berry. — Robotnik podszedł do detektywa.

— To nie potrwa długo... — powiedział Nick do Smitha. Ten skinął głową i ponaglił ludzi, aby wracali do swoich obowiązków.

Szary pył był wszechobecny i każdy krok pozostawiał po sobie ślad. Mogli użyć windy, jednak Nick chciał, aby Ben dokładnie odwzorował mu wydarzenia tamtego wieczoru, więc zeszli na dół schodami. Gdy osiągnęli poziom parkingu, zatrzymali się w drzwiach.

— Dlaczego nie użyłeś wtedy windy?

— Chciałem, ale nie działała. To normalne. Czasem robią coś z prądem i wyłączają zasilanie.

— Rozumiem, że z tego miejsca zobaczyłeś, jak furgonetka opuszcza parking.

— Gdy otworzyłem drzwi, była już prawie na zakręcie. — Ben wskazał ręką koniec parkingu.

— Pamiętasz, jakiego była koloru?

— Raczej szara z jakimś napisem na boku, ale z tej odległości trudno...

— Mógłbyś go chociaż opisać?

— Nie ma szans.

— Co było dalej?

— Nic. Mój samochód stał w tym samym miejscu. — Ben wskazał szarego sedana, zaparkowanego pomiędzy dwoma innymi pojazdami.

Nick podszedł do niego i kucnął przy drzwiach pasażera. Bez trudu zauważył wgniecenie.

— Macie tu kamery?

— Taaa... i noktowizory też.

Detektyw parsknął śmiechem. Rozejrzał się po podziemiach.

— Ta furgonetka... Mówiłeś, że jechała szybko?

— Raczej tak.

— Pamiętasz dokładną godzinę, kiedy włączył się alarm w twoim samochodzie?

— Nie, ale... Zaraz... — Ben wyjął telefon komórkowy i sprawdził godzinę przyjścia komunikatu. — Osiemnasta dwadzieścia pięć.

Nick zapisał to. Zanotował również wcześniejszą informację o czerwonym, rodzinnym samochodzie, który rzekomo zniknął z miejsca zdarzenia. Gdy schował notes, zaczął przyglądać się nawierzchni parkingu. Przy samochodach nie znalazł niczego podejrzanego, jednak w okolicy wejścia na klatkę schodową dostrzegł kilka ciemniejszych linii pochodzących ze spalonej gumy opon. Podziemia były opustoszałe, więc każdy mógł się tutaj popisywać, ale instynkt podpowiadał mu, że te ślady nie były zrobione umyślnie.

— To chyba wszystko. Gdyby coś ci się przypomniało, to szef ma moją wizytówkę. Możesz też dzwonić na komisariat i pytać o mnie.

— Jasne.

— Wydostanę się tędy z budynku? — Nick wskazał kierunek, w którym rzekomo odjechała furgonetka.

— Pewnie... Wyjazd prowadzi bezpośrednio na główną ulicę. Trzeba tylko obejść budynek, aby znów trafić przed główne wejście.

— Dzięki.

— Do usług...

Nick ruszył przed siebie. Usilnie rozglądał się, jednak nie zauważył niczego, co pomogłoby mu w wyjaśnieniu tego dziwnego zniknięcia. Co gorsza, nie dość, że nie znalazł odpowiedzi na żadne pytania, to pojawiły się nowe, które jeszcze bardziej komplikowały sprawę.

Gdy doszedł do końca parkingu, zobaczył podjazd ze szlabanem. Tuż za nim znajdował się chodnik biegnący wzdłuż głównej ulicy. Nick zatrzymał się na moment przed barierką. Miał nieodparte wrażenie, że skądś zna to miejsce. Rozejrzał się po okolicy i dreszcz przeszedł mu po plecach.

Już wiedział, gdzie jest. Dwa dni wcześniej jechał tędy wraz z Kate na proszoną kolację do rodziców. Pamiętał dokładnie. Czekali w korku, po czym zawrócili. Czy to mógł być ten sam moment, w którym furgonetka jak szalona wyjechała z parkingu? Mogło dojść do wypadku i stąd ten korek, domyślił się.

Idąc w stronę samochodu, wybrał numer komisariatu, a następnie wewnętrzny 12. W telefonie odezwał się cienki, męski głos:

— Słucham, Blake.

— Blake? Tu Stewart. Mam sprawę. Jak zawsze, na wczoraj.

— Wiadomo... — odbąknął sarkastycznie młody mężczyzna, od roku pracujący w wydziale.

— Możesz namierzyć moją komórkę?

— Mogę nie tylko to... — powiedział dumnie Blake. — Tylko że trochę to zajmie. Mogę za to od razu namierzyć twój samochód, jeżeli jest w pobliżu.

— Świetnie! Zrób to!

— A o co dokładnie chodzi?

— Wiesz już, gdzie jestem?

— Moment! Okej, wiem, gdzie jest twój samochód. Stoi pod tym nowym centrum handlowym.

— Zgadza się. Dwa dni temu, około osiemnastej trzydzieści, z tego budynku wyjechała furgonetka i to bardzo szybko. Sprawdź, czy w okolicy nie ma jakichś użytecznych kamer, które mogłyby nam coś o niej powiedzieć. Mogło wtedy dojść do wypadku, więc posprawdź wszystko dokładnie.

— Myślałem, że masz coś trudniejszego.

— Będę za dwadzieścia minut.

— No tak...

— Dzięki!

ROZDZIAŁ 18

Nowy Jork

Kate była przytłoczona szybkością prowadzonej rozmowy. W ciągu kilku sekund nie tylko została rozpoznana, ale także zaoferowano jej pracę. Musiała ochłonąć.

— Przepraszam, ale. przyszedłam tylko odebrać dokumenty dla pana Corrigan.

— Wiem, ale profesjoniści nie rosną na drzewach. Trzeba o nich zabiegać, jak tylko pojawią się na horyzoncie.

— Jest pan bardzo uprzejmy, ale dziękuję — zmieszała się. Skąd miała wiedzieć, czy to nie jest zagranie dwóch cwaniaków, uknute, aby przetestować jej lojalność. — Myślę, że gdyby pan Corrigan wiedział, że w ogóle się zastanawiam, nie miałabym po co wracać do Waszyngtonu. — Uśmiechnęła się, ale wcale nie było jej do śmiechu.

— Skądże. Ja tylko proponuję przeprowadzkę do Nowego Jorku. Mój znajomy wynajmuje mieszkania, apartamenty. Na pewno znajdzie jakiś, który się pani spodoba. A jeżeli tak się stanie, to bezsenssem byłoby dojeżdżanie do pracy do Waszyngtonu, prawda?

— Jest pan przemiły, ale podziękuję. Jestem tutaj z innego powodu.

— Rozumiem, tylko proszę nie wspominać pani szefowi, że chciałem zwerbować jego pracownicę. — Bryson roześmiał się. — Bill miałby mi za złe...

— Proszę się nie martwić. Wszystko zostanie między nami.

Dyrektor usiadł za biurkiem i otworzył górną szufladę. Wyciągnął z niej kopertę zaadresowaną do szefa Kate.

— Proszę... Miałem ją wysłać pocztą, jednak pojawiła się okazja, więc czemu z niej nie skorzystać... Poza tym, nie chciałbym, żeby wpadła w niepowołane ręce.

— Dziękuję za zaufanie.

— To Bill panią polecił, więc jeżeli coś pójdzie nie tak, będzie mógł mieć pretensje wyłącznie do siebie. A jeżeli on pani ufa, to ja

również.

To nie brzmiało dobrze. Joseph Bryson nie tracił dobrego humoru, z kolei Kate zaczynała się poważnie martwić wagą informacji, jakie ma objąć opieką. Wiedziała, że tacy ludzie jak Bryson często posiadają dane, które nieraz mogłyby zaszkodzić całemu państwu i uznała, że transport tak cennej przesyłki zdecydowanie przekracza jej kompetencje. Chciała się odezwać w tej kwestii, ale nie wiedziała, jak zacząć. Z zamyślenia wyrwał ją głos sekretarki dochodzący z komunikatora.

— *Przepraszam, ale właśnie przybył pan Batt.*

— W porządku... Niech wejdzie... Już kończymy.

Kate otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia.

— Jason Batt? On tutaj pracuje?

— Nie inaczej, moja droga. Chociaż nie jest etatowym dziennikarzem. Jason Batt to... Jason Batt.

— Nigdy nie myślałam, że kiedyś będę miała okazję spotkać go osobiście, przecież to legen... — Drzwi gabinetu otworzyły się i Kate urwała w pół słowa.

Do środka wszedł wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o wyrazistych rysach twarzy. Elegancki, czarny garnitur mocno podkreślał jego sylwetkę gladiatora, a ciemne włosy i lekki zarost świetnie współgrały z całością.

Jason Batt był znany wszystkim dziennikarzom, a już na pewno każdemu dyrektorowi stacji telewizyjnej czy redaktorowi naczelnemu gazety. Współpracownicy nazywali go żartobliwie *Batmanem*. Szukał tematów tam, gdzie inni nie mieli odwagi i bywał w miejscach, które przerażały zwykłych ludzi. Był niedościgniony, jeżeli chodziło o teorie spiskowe, które Amerykanie tak bardzo upodobali sobie w ostatnich latach.

Potrafił odnaleźć najgłębiej zakamuflowane fakty i dotrzeć do informatorów, o których nikt nie miał pojęcia. Często pracował nocami i zapuszczał się w miejsca, które innych przerażały — stąd wziął się jego przydomek.

Gdy stanął na środku gabinetu, Kate spojrzała na niego i zarumieniła się.

— Widzę, że masz gościa — zaczął Batt.

— To panna Frost, dziennikarka z Waszyngtonu.

— Szkoda... Gdybym wiedział, przyszedłbym wcześniej. — Podeszedł do Kate i przywitał się. To wystarczyło, aby zawstydzila się jak mała dziewczynka i wbiła wzrok w podłogę. Z trudnej sytuacji wyratował ją dyrektor.

— Proszę... To przesyłka, o której rozmawialiśmy. — Podał dziennikarce kopertę.

— Jak tylko wrócę do Waszyngtonu, przekażę ją panu Corriganowi. Dziękuję za poświęcony czas.

— Było mi bardzo miło panią poznać, panno Frost. Życzę spokojnej podróży i błyskawicznego rozwoju kariery. W razie czego proszę pamiętać o moim znajomym, który wynajmuje mieszkania.

— Dziękuję. Do widzenia panom. — Pożegnała się z dyrektorem i skinęła głową w kierunku Batta, który odpowiedział tym samym. Niemal wybiegła z gabinetu. Wzięła głęboki oddech i podziękowała asystentce. Puls powoli wracał do normy. W głowie zaczynała odtwarzać przebieg niecodziennego spotkania. W ciągu kilku chwil miała możliwość zmienić pracę i poznać jednego z najznakomitszych dziennikarzy obecnych czasów. Nie mogła się już doczekać, kiedy podzieli się tym z przyjaciółką.

Joseph Bryson został sam na sam ze swoim najlepszym dziennikarzem. Usiedli po przeciwnych stronach olbrzymiego biurka.

— Masz coś nowego? — odezwał się dyrektor głosem, który brzmiał znacznie poważniej niż podczas rozmowy z Kate.

— W tej sprawie niewiele — odpowiedział enigmatycznie dziennikarz. — Dalej upieram się, żeby nie przesyłać tych danych dalej.

— Doceniam twój upór, ale właśnie je przesłałem.

Batt ściągnął brwi.

— Dałeś je tej kobiecie?!

— To najlepsze rozwiązanie — powiedział spokojnie Bryson.

Dziennikarz wyprostował się. Wyglądał, jakby uderzył w niego piorun i sparaliżował wszystkie mięśnie.

— Posłuchaj... — kontynuował dyrektor. — Jesteś znakomitym dziennikarzem. Zastanów się... Wypadek kolejowy, katastrofa samolotu, zatonięcie statku... To są przypadkowe wydarzenia, których zazwyczaj nie można przewidzieć i dla miliardów osób nie mają większego znaczenia. Stają się one najwyżej kilkudniową pożywką dla telewizji i prasy i na tym koniec. Informacje, które mi przedstawiłeś, jeżeli tylko są prawdziwe, mogą wywołać międzynarodową panikę. Giełda może się załamać, a konsekwencje będą miały wieloletnie skutki. Ilość ludzi, jaka zostanie boleśnie dotknięta, będzie liczona w milionach, jeśli nie w miliardach. Zgodzę się... — Uniósł palec wskazujący. — Mając wyłączność na tę informację, nasza stacja chwilowo byłaby na ustach każdego Amerykanina, ale wraz z powolnym upadkiem wszystkiego, co nas otacza, również i nas w końcu dotknęłoby to, co sami zapoczątkowaliśmy.

Batt słuchał uważnie każdego słowa, jakie wychodziło z ust Brysona. Starał się zrozumieć, dlaczego dane tak szybko, i dlaczego w ogóle, opuściły to biuro. Postanowił rozwiać swoje wątpliwości i przerwać monolog dyrektora.

— Przepraszam, że wejdę w słowo...

— Tak?

— Rozumiem to wszystko, ale dlaczego informacje zostały przekazane dalej?! W którymś momencie moglibyśmy je wykorzystać i zarobić kupę kasy!

— Nadal nic nie rozumiesz...

— Staram się właśnie zrozumieć! — krzyknął poirytowany dziennikarz.

— W swojej pracy masz kontakt z różnymi osobami, czasem dobrymi, czasem złymi. Nieważne, skąd pochodzi informacja. Istotne, aby była prawdziwa. Doceniam to, ale grzebiąc coraz głębiej, narażasz się na niebezpieczeństwo. Myślisz, że ludzie odpowiedzialni za to nie dowiedzą się, kto i komu sypnął? Założę się, że już wiedzą i szukają winnych.

— Ryzyko jest wpisane w nasz zawód.

— Owszem. I dlatego się zabezpieczam. Jeżeli dotrą do zdrajcy, dotrą też do ciebie, a potem do mnie. Informacja mogłaby przepaść na zawsze. W Waszyngtonie mam dobrego znajomego, któremu mogę zaufać. Nie ujawni niczego bez mojej zgody. Jego zadaniem będzie przechować tę informację na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ 19

Przy bramkach na parterze budynku stacji ochroniarze sprawdzali właśnie serwisanta, który miał wykonać przegląd dźwigu i mechanizmów wind. Miał na sobie szaro-niebieski

kombinezon oraz rękawiczki i czapkę z daszkiem w tym samym kolorze. Jeden strażnik przeszukiwał mężczyznę, a drugi — pudełko narzędzi oraz torbę z laptopem i niewielkim urządzeniem służącym do monitorowania... Bóg wie czego.

Po niecałej minucie mechanik był już wolny i żwawo maszerował w kierunku wejścia technicznego, gdzie czekał na niego kolejny ochroniarz.

— Mogę prosić o przepustkę? — zapytał groźnie mężczyzna w czarnym garniturze.

— Oczywiście. — Serwisant podał mu plaketkę otrzymaną na bramkach przy wejściu.

Obejrzawszy uważnie identyfikator, strażnik ustawił się tak, że ciałem zasłonił elektroniczny zamek i wbił sześciocyfrowy kod, a następnie przeciągnął swoją kartę magnetyczną przez czytnik. Mechaniczny stuk zaświadczył o zwolnieniu blokady zamka.

— Dziękuję... — Ochroniarz oddał mężczyźnie plaketkę i przytrzymał drzwi, aby ten mógł spokojnie wgramolić się do środka wraz z całym sprzętem.

Tuż za drzwiami zaczynały się metalowe schody. Mechanik zszedł do podziemi i położył przyniesione torby. Z wewnętrznej kieszeni kombinezonu wyciągnął plan budynku. Jeszcze raz przypomniał sobie drogę, którą wielokrotnie studiował w domu. Schował mapę i zaczął powoli przemieszczać się w kierunku pomieszczeń kontrolnych.

Czuł unoszący się w powietrzu zapach wilgoci. Po drodze minął kilka pułapek na szczury. Zewsząd dobiegały przedziwne odgłosy świadczące o tym, że budynek nie śpi. W którymś momencie pod stopami zaczęła się kratownica. Pod nią ciągnęły się rury i przewody zasilające budynek. Piwnice nie były zbyt malowniczym miejscem, ale nie zmieniało to faktu, że właśnie

w nich biło serce budynku, skutecznie ukryte przed wzrokiem pracowników i gości.

Serwisant założył, że zanim zasiądzie przed głównym komputerem, będzie musiał pokonać jeszcze jedną przeszkodę. Nie pomylił się. W miarę, jak zbliżał się do celu, jego uszy drażnił coraz głośniejszy szum o zmiennym nasileniu. W pierwszej chwili nie potrafił go zidentyfikować, ale po kilkunastu kolejnych metrach wszystko się wyjaśniło. Komentator sportowy szalał, próbując najdokładniej, jak tylko potrafił, zrelacjonować przebieg meczu koszykówki.

Gdy mechanik dostrzegł uchylone drzwi prowadzące do pomieszczenia kontrolnego, zwolnił, aby generować jak najmniej hałasu. Dwa metry przed wejściem odłożył rzeczy i z pudła z narzędziami wyciągnął dwudziestoparocentymetrowy, masywny klucz francuski. Ostrożnie zajrzał do pomieszczenia.

Pod ścianą ulokowano ogromny panel z mnóstwem przycisków, diod, dźwigni i kilkoma monitorami. Aortą wszystkiego był centralny układ sterowania budynkiem, skondensowany w jednym potężnym komputerze. Tuż przed nim siedział lekko posiwiały mężczyzna. Był odwrócony tyłem do wejścia i całkowicie pochłonięty przebiegiem meczu. Nie wiedział, kiedy stalowy klucz wylądował na jego potylicy. Nie był nawet pewien, czy czuł jakiś ból. Czerń przesłoniła mu wzrok i spadł z krzesła, uderzając ciężarem bezwładnego ciała o betonową podłogę. Jego nogi blokowały dostęp do stanowiska, więc mechanik bez skrępowań szarpnął ofiarę, torując sobie drogę do terminala. Wrócił po rzeczy, po czym usiadł przy pulpicie i podłączył się do komputera. Wstukał kilka komend i na ekranie jego laptopa pojawił się pasek postępu — procenty zaczęły rosnać w szybkim tempie.

Po chwili instalacja aplikacji została ukończona i mężczyzna kliknął dwukrotnie nową ikonę, która pojawiła się na pulpicie głównego komputera. Jego dysk zaczął charakterystycznie zgrzytać. Ikona zniknęła, a mężczyzna podwinął rękaw i ustawił zegarek na odliczanie — dał sobie dziesięć minut.

ROZDZIAŁ 20

Dziesiąte piętro było równie ciche jak to, na którym mieścił się gabinet dyrektora Brysona. Gdy winda zatrzymała się i Kate wyszła na korytarz, w pierwszej chwili miała wrażenie, że zablądziła. Przeszła kilka metrów, ale nic nie wskazywało na to, że piętro jest użytkowane. W oddali świeciło się kilka biurowych lamp, ale boksy pracownicze imitujące małe biura były opustoszałe, a drzwi ościennych gabinetów pozamykane. Już chciała zawrócić, kiedy zza ścianki wyłoniła się znajoma twarz.

— Lily?! — zawołała Kate, wytężając wzrok.

Lilian Adler zbaraniała. Nie spodziewała się przyjaciółki. Przyłożyła palec wskazujący do ust, nakazując milczenie.

— Cicho... — wyszeptała. — Chodź tutaj... — Zachęciła ręką, na co Kate zareagowała zdziwieniem.

Lilian Adler miała długie, spięte z tyłu blond włosy i zwisające, sięgające do ramion kolczyki. Była ubrana gustownie i schludnie. Beżowa spódnica za kolana i biała bluzka wskazywały na niezbyt ekstrawagancki styl. Pospiesznie podbiegła do przyjaciółki nieco pokraczonym krokiem i, z uśmiechem na twarzy, szarpnęła ją za rękę, wciągając do pobliskiego boksu. Dziennikarka była zupełnie dezorientowana, ale poddała się bez większego oporu.

— Możesz mi powiedzieć, co się tutaj dzieje?

— Szef naszego działu ma dzisiaj urodziny i chcemy zrobić mu niespodziankę. Wszyscy się schowali i czekamy, aż przyjedzie. Powiedzieli nam, że jest już na dole. Myśleliśmy nawet, że ty to on — wyjaśniła rozbawiona Lilian.

— Dobrze, że zgoliłam wąsy — rzuciła Kate.

Kobiety zachichotały, ale natychmiast ucichły — rozległ się dzwonek zwiastujący przybycie windy. Drzwi rozsunęły się i z kabiny wyszedł średniego wzrostu mężczyzna o posiwiałych włosach. Ubrany był w brązową marynarkę z łatami na łokciach i czarne, dżinsowe spodnie. Podejrzanie rozejrzał się po opuszczonych boksach. Przystanął i położył neseser na podłodze.

— Dobrze, możecie już wyjść — powiedział donośnym, wesołym głosem.

Kilkanaście osób jednocześnie podniosło się z podłogi, krzycząc *Wszystkiego najlepszego!* Uściskom i życzeniom nie było końca.

— Słuchaj... Ja pędzę wyściskać szefa, a ty poczekaj tu na mnie. Wprawdzie byłam już na przerwie, ale dzisiaj i tak wszyscy świętujemy, więc nikt nie zauważy mojej chwilowej nieobecności. Pójdziemy do kawiarni na dole, gdzie będziemy mogły spokojnie porozmawiać, bo tutaj, jak sama widzisz, byłoby to niemożliwe.

— Dobrze, w takim razie czekam przy windzie.

Lilian Adler wróciła po kilku minutach i razem z Kate weszły do czekającej już na nie kabiny.

— Chyba dobrze się dogadujesz z szefem? — zapytała Kate.

— Nawet nie masz pojęcia! Najlepszy kierownik działu, jakiego miałam! — powiedziała szczerze Lily, po czym nacisnęła przycisk z numerem jeden i winda ruszyła w dół.

ROZDZIAŁ 21

Serwisant biegł przez podziemia w kierunku wyjścia. Po pokonaniu schodów zatrzymał się przed drzwiami. Zapukał dwukrotnie i ochroniarz otworzył mu.

— Szybko — zdziwił się rosły mężczyzna, spoglądając na zegarek.

— Trzeba pracować na najwyższych obrotach, bo zaraz znajdą kilku chętnych na twoje miejsce.

Strażnik pokiwał głową i zrobił skwaszoną minę.

Mechanik niosący osprzęt skierował się w stronę wind. Jedna właśnie zjeżdżała w dół z dziesiątego piętra. Spojrzał na pozostałe wskaźniki położenia kabin. Tą będzie najszybciej, pomyślał.

Po chwili drzwi windy rozstąpiły się i z wnętrza kabiny wyszły dwie kobiety w doskonałych nastrojach.

— Daj spokój. To, że uważam, że jest dobrym szefem, nie oznacza, że miałabym na niego ochotę! — powiedziała blondynka, udając oburzenie.

— Nie musisz się przyznawać. To widać!

— Świnia...

Mężczyzna odsunął się trochę, aby zrobić im miejsce. Były tak pochłonięte konwersacją, że nawet go nie zauważyły i blondynka nieumyślnie zahaczyła kolanem o torbę z laptopem.

— Oj... Najmocniej przepraszam. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

— Bardzo pana przepraszamy — powiedziała brunetka, rozbawiona gapiostwem koleżanki. — Moja przyjaciółka jest tak zauroczona pewnym facetem, że nikogo poza nim nie zauważa.

Obie roześmiały się, a mężczyzna poczuł lekkie zmieszanie.

— Nic się nie stało. Życzę paniom miłego dnia.

— Jeszcze raz przepraszamy. Co złego, to nie my...

Mechanik odprowadził wzrokiem kobiety, które skręciły w korytarz prowadzący do kawiarni.

Gdy znalazł się w kabinie, wyjął z kieszeni mały klucz i włożył w otwór znajdujący się w panelu sterującym. Wbił czterocyfrowy kod i nacisnął guzik z numerem trzydzieści dwa. Zabieg ten miał mu umożliwić dotarcie na wybrane piętro bez zatrzymywania się.

Odwrócony twarzą do ściany i jednocześnie plecami do kamery, spojrzął na zegarek. Pozostała mu jeszcze niemal połowa założonego czasu. Szybko rozpiął kombinezon. Miał pod nim elegancki garnitur, dobrze maskowany do tej pory przez luźną odzież ochronną. Zdjął szare rękawiczki, pod którymi były drugie — czarne. Pochylił się nad pudłem z narzędziami i energicznym pociągnięciem wysunął drugie dno — schowek na pistolet z tłumikiem. Spojrzął na licznik pięter — właśnie minął poziom dwudziesty piąty. Szybko sięgnął po kombinezon. Po jego wewnętrznej stronie, na plecach, znajdowała się spora skrytka. Rozpiął suwaki i wyjął z niej czarny, płaski prostokąt, który po rozłożeniu stał się torbą. Wyglądała jak sportowa, choć była wykonana z bardzo cienkiego materiału. Mechanik szybko spakował do niej pudło z narzędziami, torbę z laptopem i resztę rzeczy. Pistolet schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Tylko buty — tenisówki — zdecydowanie nie pasowały do garnituru, jednak postanowił przeboleć ten młodzieżowy styl.

Kiedy cisza na trzydziestym drugim piętrze została przerwana przez irytujący dzwonek windy, sekretarka kończyła parzyć ulubioną kawę dyrektora — czarną, pochodzącą ze świeżo zmielonych kolumbijskich ziaren. Aromat rozchodził się po całym piętrze i gdy drzwi kabiny otworzyły się, na twarzy mężczyzny

pojawił się uśmiech. Nie wiedział, że przyjdzie mu tak przyjemnie zakończyć zadanie. Spokojnie odczekał dwie minuty.

Wkrótce zegarek trzema sygnałami oznajmił, że upłynął założony czas. Niemalże w tym samym momencie szyby wind przeszyły metaliczne zgrzyty. Komputer zablokował dźwigi i kabiny utknęły w miejscach, gdzie akurat się znajdowały.

— Proszę bardzo! — zawołała zniecierpliwiona asystentka, usłyszawszy, że ktoś czai się przy drzwiach.

— Tak, tak. Przepraszam... Musiałem dokończyć rozmowę. — Mężczyzna pokazał telefon, który trzymał w prawej ręce. Gdy podszedł do sekretarki, ta od razu zwróciła uwagę na nietypowy wygląd gościa. Szczególnie zdziwiła się na widok rękawiczek i sporego bagażu.

— A pan to się tutaj przeprowadza, czy będzie robił porządki?

— Raczej to drugie. — Mężczyzna schował telefon, jednocześnie wyciągając pistolet.

Kate Frost i Lilian Adler siedziały na krzesłach barowych przy wysokim blacie i delectowały się mrożoną kawą. Kawiarnia była idealnym miejscem na wytchnienie podczas stresującego dnia. Jej okna wychodziły na Central Park i zielony krajobraz działał łagodząco na zszargane nerwy pracowników.

— Jak już rozmawiamy o pracy, to powiem ci w tajemnicy, że pan Bryson zaproponował mi posadę — szepnęła Kate z prowokującym uśmiechem.

— To świetnie! — podchwyciła Lily. — Zaczynj się pakować, a ja ci poszukam jakiegoś miłego mieszkanca na Manhattanie. Będziemy miały do siebie blisko.

— Oszalałaś? Żartowałam... To znaczy, może nie tyle żartowałam, co nie potraktowałam tej oferty poważnie.

— Nasz szef nigdy nie żartuje! — oburzyła się Lily. — Bierz, póki dają. A co dokładnie miałybyś robić?

— Nie wiem. Mówił coś, że widział mój reportaż i...

W tej chwili na zewnątrz, tuż obok okna, przy którym siedziały kobiety, coś z ogromnym impetem wbiło się w maskę samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Parę sekund później chodnik został zasypany odłamkami szkła spadającymi z nieba.

Rozległ się pisk opon gwałtownie hamujących pojazdów. Przerazone kobiety podskoczyły na krzesłach. Zszokowane, zaczęły przyglądać się rozwojowi wydarzeń na ulicy. Obok nich natychmiast znalazło się kilkanaście osób, które w tym czasie również przebywały w kawiarni. Przypadkowi przechodnie szybko opuszczali miejsce zdarzenia, osłaniając się, czym tylko mogli, przed spadającym szkłem. Kilka sekund później o chodnik uderzył olbrzymi kawał grubej szyby i odłamki odskoczyły na wszystkie strony. Droga wyglądała, jakby była pokryta drobnymi kawałkami lodu.

Gdy pierwsze niebezpieczeństwo minęło, najodważniejsi zaczęli zbliżać się do rozbitego samochodu. Wkrótce ludzie otoczyli miejsce zdarzenia. Na zewnątrz pojawili się ochroniarze z budynku i przypadkowo przechodzący tamtędy policjant.

— Jezu! — Lily zasłoniła ręką usta, widząc, co leży na masce samochodu.

— Wyjdźmy na dwór! — zaproponowała Kate, w której odezwała się żyłka dziennikarki.

ROZDZIAŁ 22

Ochroniarze starali się odciągnąć gapiów. W szczególności dotyczyło to kobiet, które prawie mdlały z przerażenia. Niestety

żadna z nich nie była na tyle mądra, aby nie podchodzić, gdy ktoś ostrzegał przed makabrycznym widokiem.

— Policja! Proszę zrobić przejście! — krzyczał funkcjonariusz, przedzierając się przez tłum.

Gdy ludzie rozstąpili się, jego oczom ukazał się widok, jakiego jeszcze na służbie nie uświadczył. Na popękanej szybie i wgniecionej masce samochodu leżało ciało. Było zmasakrowane od uderzenia. Nogi zwisały nad przednim zderzakiem, a ręce były powykręcane w nienaturalny sposób. Po lewej części głowy spływała krew, gromadząc się w zagłębieniach maski samochodu.

Wśród zebranego tłumu znaleźli się również pracownicy telewizji. Mimo iż wygląd ofiary był wręcz makabryczny, jedna z kobiet rozpoznała, czyje ciało ma właśnie przed oczami.

— Mój Boże, przecież to pan Bryson! — krzyknęła.

— Racja! To nasz dyrektor! — powtórzył ktoś z zebranych.

Coraz więcej osób rozpoznawało zwłoki. Policjant, słysząc to, natychmiast przywołał najbliższego ochroniarza i nakazał mu pozamykać wszystkie wejścia i wyjścia z budynku. Ten błyskawicznie wyjął krótkofalówkę i skontaktował się ze współpracownikami.

Szum rozmów i spekulacji narastał, aż został częściowo zagłuszony przez dudnienie nad głowami zebranych ludzi. Dla większości z nich helikopter na tle nowojorskiego nieba był codziennością, więc nawet go nie zauważyli. Pozostali po prostu zignorowali to zjawisko. Wszyscy byli zbyt przejęci wydarzeniem, które właśnie rozegrało się na ich oczach. Gdy odgłos wirników helikoptera ucichł, okolica została zalana wyciem syren alarmowych.

Kilka radiowozów i dwie karetki pędziły jak szalone na miejsce zdarzenia.

Kate i Lilian precyzyjnie przeszły przez ciekawskich zebranych przy szybie kawiarni i pobiegły w kierunku głównego wyjścia. Kiedy były w połowie drogi, zauważyły, że coś jest nie tak. Przy drzwiach kotłowało się około dwudziestu ludzi chcących opuścić budynek.

Kate, wsparłszy się na ramionach koleżanki, podskoczyła i dostrzegła przy wyjściu dwóch ochroniarzy próbujących zrozumieć coś z przekazywanych im przez krótkofalówki komunikatów. Z trudem powstrzymywali napierających ludzi. Wkrótce prośby już nie wystarczyły i posypały się groźby.

— Co się dzieje?! — zapytała Kate, bezradnie rozkładając ręce.

— Nie wiem, ale zaczynam mieć złe przeczucia.

W tym momencie Lily odebrała wiadomość tekstową od znajomej, która znajdowała się wśród osób zebranych przed budynkiem — na miejscu tragedii. Kiedy Lily przeczytała informację, nogi się pod nią ugięły.

— Co się stało?! — zapytała Kate, widząc reakcję przyjaciółki. Podtrzymała ją za ramię i zaprowadziła na jedną z kanap w hallu.

Kobieta zaniósła się szlochem.

— Pan... Bryson.. nie żyje. To był... pan Bryson — wydusiła z siebie.

— Co takiego?

— Właśnie dostałam wiadomość od znajomej, która jest na zewnątrz.

— Poczekaj, poczekaj... Chcesz powiedzieć, że to, co właśnie widziałyśmy, to było spadające ciało dyrektora, z którym kilkanaście minut temu rozmawiałam?

— Chyba tak... — Lily pociągnęła nosem, szukając chusteczek w torebce.

Kate dostrzegła grupę uzbrojonych ochroniarzy — biegli w kierunku schodów prowadzących na wyższe piętra. Miała coraz gorsze przeczucia.

ROZDZIAŁ 23

Klatka schodowa rozbrzmiewała stukotem butów i pokrzykiwaniami ochroniarzy. Pięciu mężczyzn w czarnych garniturach biegło na górę. Minęli już dwudzieste piętro, kiedy szef grupy — Wes Barton — otrzymał raport od podwładnego, który miał sprawdzić pomieszczenia techniczne w podziemiach budynku.

— Tu *Dwójka*. Znalazłem nieprzytomnego kontrolera. Musiał porządnie oberwać, bo nie mogę go docucić. Karetka już jedzie.

— Jakies pomysły, co mogło spowodować awarię wind?

— Na razie nie, ale sprawdzę komputer. Może coś znajdę.

— Nie trać czasu! Wezwij techników i niech natychmiast się tym zajmą!

— Komputer w ogóle nie odpowiada na moje komendy! Nie mogę wejść w program diagnostyczny!

— Cholera... Spróbuj zresetować system, odcinając zasilanie! Na panelu kontrolnym masz dużą, czerwoną dźwignię! Pociągnij w dół, odczekaj chwilę i pchnij ją do poprzedniego położenia! Jak zielona dioda przestanie pulsować i wszystko się włączy, spróbuj ponownie z programem diagnostycznym! I wezwij tych cholernych techników!

— Zrozumiałem.

Na klatce schodowej, gdzie znajdowała się grupa interwencyjna, podobnie jak w całym budynku, nastąpił kilkusekundowy brak zasilania. Po chwili lampy ponownie zaczęły zapalać się i metaliczne dźwięki świadczące o zwolnieniu zablokowanych mechanizmów wind wypełniły ciszę.

— Dobra robota, *Dwójka!* Jak tylko zjawią się medycy i zabiorą tego gościa, zabezpiecz drzwi i nie wpuszczaj nikogo do środka, dopóki nie zjawią się serwisanci!

— Szefie...

— Co znowu?

— Przypomniałem sobie, że jakieś pół godziny temu wpuszczałem tutaj kogoś takiego... Miał sprawdzić działanie wind.

— Jest tam gdzieś jeszcze?

— Nie. Co dziwne, zajęło mu to może piętnaście minut. Zdziwiłem się, że tak szybko skończył. Osobiście go legitymowałem i wszystko grało. Posiadał przepustkę i...

— Natychmiast podaj wszystkim jego rysopis! Nie może nam się wymknąć!

— Zrozumiałem. Bez odbioru.

Kiedy pięcioosobowa grupa dotarła na trzydzieste drugie piętro, szef ochrony — Wes Barton — rozkazał zatrzymać się. Był najstarszy z całej piątki, ale miał najlepszą kondycję. Pomimo blisko dwóch metrów wzrostu i prawie stu kilogramów, z czego sporą część stanowiły mięśnie, wykazywał się wzorową sprawnością i wytrzymałością. Jego postawna sylwetka, a także kanciasta twarz i groźna mina wskazywały na osobę, z którą nie chciałoby się mieć do czynienia. Powagi dodawały mu krótko ścięte włosy. Pozostali wyglądali przy nim mizernie i chociaż byli

znacznie młodszy, nawet w połowie nie dorównywali mu kondycją. Gdy Barton zorientował się w sytuacji za drzwiami, nie zwlekając, wydał dalsze rozkazy:

— Jak wejdziemy, rozdzielamy się. Facet prawdopodobnie nie opuścił jeszcze budynku, więc może być wszędzie. Ja, John i Mark pójdziemy bezpośrednio do gabinetu Brysona. Wy dwaj — wskazał na pozostałych — pójdziecie w drugą stronę, sprawdzicie pozostałe pomieszczenia i dach. Wszyscy zachowują absolutną ciszę. Może uda nam się go zaskoczyć. Wszystko jasne, czy mam to komuś namalować?

Potakujące ruchy głów zastąpiły odpowiedzi.

Drzwi trzydziestego drugiego piętra powoli otworzyły się i szef grupy jako pierwszy wszedł na pusty korytarz. W powietrzu unosił się jeszcze aromat kawy. Brak jakichkolwiek odgłosów był na tym piętrze czymś zupełnie naturalnym, jednak tym razem nie zwiastował niczego dobrego.

Mężczyźni rozdzielili się. Barton wraz z dwoma strażnikami wolno przemieszczał się w stronę gabinetu Brysona, gdzie miał nadzieję odnaleźć dyrektora i jego sekretarkę. Minęli *salę chwały* — wydawało się, że wszystko jest w porządku. Dopiero gdy dotarli do miejsca, z którego byli w stanie zobaczyć skromne biuro asystentki, ich nadzieje na odnalezienie kobiety żywej prysły w okamgnieniu. Na podłodze dostrzegli wykręcone ciało, częściowo schowane za biurkiem. Leżała twarzą do nich. Miała otwarte oczy i dziurę po kuli niemalże dokładnie na środku czoła. Sącząca się z niej krew utworzyła dużą, nieregularną czerwoną kałużę wokół głowy.

Wes Barton ostrożnie zbliżył się do zwłok i przykucnął przy nich. Rutynowo sprawdził puls, jednak nie łudził się, że go wyczuje. Kobieta musiała nie żyć od dobrych kilkunastu minut.

Wstał i, osłaniany przez towarzyszy, podszedł do drzwi gabinetu dyrektora. Ostrożnie nacisnął klamkę i pchnął ciężkie skrzydło. Mocny podmuch uniósł w powietrze mnóstwo luźnych kartek. Barton został oślepiiony gwałtownym, ostrym wiatrem porywającym wszystko, co napotykał na swojej drodze. Nie miał możliwości kontrolowania sytuacji. Osłaniając twarz ręką, nakazał swoim ludziom iść tuż za nim. Gdy tylko ostatni znalazł się w środku, przeciąg zatrzęsnął za nimi drzwi.

Widok był przerażający. Przez wybite szyby wpadał wiatr, roznosząc papiery po całym biurze. Na resztkach szkła, które pozostały w ramie, widniały czerwone ślady krwi oraz częściowy krwawy odcisk dłoni.

— Spójrzcie! — krzyknął Barton.

Obok zabytkowej biblioteczki, która pełniła funkcję szafki na dokumenty, leżał na plecach mężczyzna. Poruszał ręką. Był przytomny, ale nie potrafił się podnieść. Prawdopodobnie próbował wezwać pomoc, jednak szum wiatru zagłuszał wszystko.

— John, wezwij sanitariuszy!

Barton przykucnął przy rannym i pobieżnie sprawdził jego stan. Już na pierwszy rzut oka mężczyzna miał dwie rany postrzałowe. Jedna kula poharatała ramię lewej ręki, drugi otwór był na wysokości serca. Wokół rany w obrębie klatki piersiowej nie było ani kropli krwi. Ochroniarz rozpiął koszulę ofiary i... zdziwił się. Postrzelony mężczyzna miał na sobie kamizelkę, która skutecznie ochroniła go przed niechybną śmiercią.

— Spryciarz — powiedział pod nosem Barton i zaczął uciskać krwawiące ramię. — Halo! Słyszysz mnie pan?! Jak się pan nazywa?! — Nachylił ucho nad usta ofiary, aby lepiej słyszeć słowa, które ginęły w tym zamieszaniu.

— Ja... — wymamrotał leżący mężczyzna.

Barton nie zrozumiał ani jednego słowa. Sprawdził kieszenie marynarki i znalazł portfel. Odszukał prawo jazdy — było wystawione na nazwisko Batt.

— Wszystko w porządku, panie Batt! — krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił. — Proszę się nie ruszać! Zaraz pojawią się sanitariusze i zabiorą pana stąd!

Półprzytomny dziennikarz bezwładnie ruszał głową i próbował wypowiadać jakieś zdania, jednak ani jedno jego słowo nie było zrozumiałe.

Barton zauważył na szafce ślady krwi — nie był to typowy rozbryzg mogący powstać podczas strzelaniny. Przyjrzał się ponownie ofierze i ostrożnie dotknął tylnej części głowy rannego. Gdy odsunął rękę, jego dłoń była umazana krwią. Wiedział już, co prawdopodobnie się stało. Po postrzale Jason Batt zatoczył się i uderzył głową o szafkę. Ta teoria w pełni tłumaczyła jego umyślowe splątanie.

Do gabinetu wbiegli medycy. W pierwszym momencie stan pomieszczenia mocno ich zdezorientował, jednak szybko odzyskali pewność siebie i zajęli się rannym dziennikarzem.

Barton wstał i zrobił im miejsce.

— Czy wie pan, co się tutaj stało?! — wykrzyczał sanitariusz.

— Postrzał w ramię i rozwalona głowa! Tyle udało mi się ustalić! Reszty możemy się tylko domyślać!

Gdy medycy przenieśli poszkodowanego na nosze, ten jęknął z bólu.

— Trzymaj się, chłopie! Musisz z tego wyjść, żeby mi pomóc ogarnąć ten bajzel! — wrzasnął Barton do półprzytomnego

pacjenta. Szef ochrony wraz ze swoimi ludźmi towarzyszył sanitariuszom aż do samej windy.

— Wiem, że utrudnię wam pracę — zwrócił się do medyków — ale muszę przydzielić mu ochronę. — Wskazał Batta leżącego bezwładnie na noszach. — To jedyny naoczny świadek morderstwa i nie mogę go stąd wypuścić samego. Moi ludzie pojedą z wami.

— Nie jestem pewien, czy...

— Zrozumcie... To dla jego dobra i dla waszego również. Ludzie, którzy urządzili tę jatkę, nie cofną się przed niczym, aby dokończyć dzieła.

Sanitariusze spojrzeli na siebie z niepokojem w oczach. Po tym, co usłyszeli, nie mieli zamiaru protestować.

— Jeżeli pan tak stawia sprawę, to nie widzę przeszkód. Jeden może jechać w karetce.

— Dobrze. Drugi pojedzie samochodem za wami — powiedział Barton, patrząc na mężczyzn, którzy twierdząco skinęli głowami. — Być może dołączy do was również któryś z funkcjonariuszy.

Winda ruszyła w dół i na korytarzu pozostał osamotniony Barton. Nie poszedł jednak na dach, gdzie znajdowała się druga grupa. Skierował się z powrotem do gabinetu Brysona. Gdy tylko znalazł się tuż przed drzwiami, wyciągnął krótkofalówkę i nawiązał kontakt ze swoimi ludźmi na dachu.

— Tu Barton. Macie coś?

Po chwili usłyszał szelest.

— Korytarze, pomieszczenia i dach czyste! Brak jakichkolwiek śladów! Facet po prostu rozpułnął się w powietrzu!

— Czekaście tam na mnie, zaraz do was przyjdę.

— Przyjąłem. Bez odbioru!

Barton schował krótkofalówkę i ponownie wszedł do gabinetu dyrektora. Nie miał czasu do stracenia. Przykucnął przy wysokiej szafce i otworzył ją — jego oczom ukazał się połyskujący metaliczną czernią sejf. Był otwarty i pusty. Barton ze złością trzasnął drzwiczkami. Pospiesznie wybiegł z gabinetu i udał się w kierunku schodów.

Na dachu wieżowca przywitały go silne podmuchy wiatru. Od razu zauważył swoich ludzi — szukali śladów przy murku stanowiącym krawędź dachu. Gdy zauważyli dowódcę, przerwali poszukiwania. Widząc przywołujący gest ręki, zbliżyli się i zdali mu relację.

— Niczego nie znaleźliśmy. Musieliśmy się z nim minąć na schodach. Pewnie, gdy nas usłyszał, skrył się na którymś piętrze — wywnioskował jeden z ochroniarzy.

— Nie, nie... Mamy do czynienia z profesjonalistą. Wiem, gdzie jest, a dokładniej, gdzie go nie ma.

Mężczyźni spojrzeli pytająco najpierw na siebie, a później na szefa.

— Jestem pewien, że w tej chwili nie ma go już w tym budynku — powiedział Barton, aby rozwiać ich wątpliwości. — Co więcej, jak spojrzycie za siebie, zrozumiecie skąd ten wniosek.

Mężczyźni odwrócili się. Po chwili bezowocnych spekulacji ponownie obrzucili zwierzchnika pytającymi spojrzeniami. Nie wiedzieli, czy żartuje sobie z nich, czy nie dostrzegają jakiegoś bardzo oczywistego faktu.

— Panowie, co powinno być na tym dachu, a czego na nim nie ma?

Ochroniarzy przeszedł zimny dreszcz. Obaj w tym samym momencie zrozumieli, co szef miał na myśli. Nie wiedzieli tylko, dlaczego wcześniej na to nie wpadli.

Na dachu, na olbrzymiej, białej literze H, nie było helikoptera.

— Panowie, założę się z wami o lunch, którego wcześniej dzisiaj nie zjemy, że w gabinecie dyrektora nie znajdziemy zapasowych kluczyków do śmigłowca.

Cała trójka opuściła dach i wróciła na korytarz trzydziestego drugiego piętra. W milczeniu szli przed siebie, kiedy nagle cisza została zakłócona dzwonkiem obwieszczającym przybycie windy. Z kabiny wybiegło trzech funkcjonariuszy. Jeden z nich wycelował w ochroniarzy idących w jego kierunku. Ci również podnieśli broń.

— Spokojnie, panowie! — krzyknął Barton, podnosząc ręce. — Jesteśmy po waszej stronie!

ROZDZIAŁ 24

Północny Waszyngton

Drzwi otworzyły się, uderzając o szafkę stojącą obok wejścia. Nick Stewart wpadł do swojego biura i niechcący kopnął teczkę z dokumentami leżącą na podłodze. Podniósł ją i przeczytał dołączoną notatkę: „Szybciej nie mogłem... B.”.

Uśmiechnął się i powiesiwszy marynarkę na oparciu fotela, usiadł za biurkiem. Gdy otworzył teczkę i spojrzał na pierwszą stronę, serce zabiło mu mocniej. Pod zdjęciem szarej furgonetki widniał zidentyfikowany przez Blake'a numer rejestracyjny.

Przeszukanie policyjnej bazy zaowocowało pozytywnym wynikiem, jednak nie takim, jakiego można by sobie życzyć. Tablice należały do czarnego audi, które widniało w kartotekach jako pojazd skradziony. To zdecydowanie nie jest audi A4, pomyślał Nick i przerzucił kartkę. Na następnych dwóch stronach

pojawiło się coś, co bardzo go zainteresowało — nieco rozmazane zdjęcie furgonetki jadącej wzdłuż jakiegoś budynku. Kadr był nieostry, najwyraźniej został uzyskany z kamery przemysłowej. Nick był pod dużym wrażeniem, jak szybko Blake wyczarował te wszystkie dane. Zapalił lampkę na biurku i podsunął fotografię pod strumień jaśniejszego światła.

Na boku furgonetki widniało niewyraźne logo, które zostało powiększone i wyostrzone na kolejnej stronie. Dokładnie mu się przyjrzał.

— Chyba żartujesz... — powiedział do siebie Nick i wyjął wizytówkę, jaką otrzymał od sekretarki Smitha, kiedy osobiście złożył wizytę w siedzibie firmy. Logo na wizytówce było identyczne z tym, które znajdowało się na samochodzie. Natychmiast wybrał numer do właściciela firmy, aby odbyć kolejną rozmowę.

— Słucham! — odezwał się zziębnięty Smith, próbując przekrzyczeć pracującą piłę.

— Mam ważne pytanie — zaczął Nick bez zbędnych uprzejmości.

— Proszę poczekać! — Wkrótce odgłosy w tle znacznie przycichły. — Słucham pana.

— Czy macie w firmie furgonetkę?

— Oczywiście. Dlaczego pan pyta?

— Czy jest pan pewien, że nadal ją macie?

— Chodzi o to, czy nie została skradziona?

— Zgadza się.

— Nie, nie sądzę.

— Jest pan tego absolutnie pewien?

— Tak... Parę minut temu zabrałem z niej kilka rzeczy. Co więcej, poruszam się nią każdego dnia, więc mogę zapewnić, że nic takiego nie miało miejsca.

Ta odpowiedź zbiła Nicka z tropu.

— Rozumiem... To znaczy... Dziękuję... Aaa... Jeszcze jedno! A tego wieczoru, kiedy zaginął Russell Miller, był pan w centrum lub w jego pobliżu?

— Nie, byłem na południu, na nowym placu budowy. Negocjowałem kolejne zlecenie. Dodam, że pojechałem furgonetką razem z pomocnikiem, więc mam alibi. Czy mogę się dowiedzieć, dlaczego pan pyta?

— Było mi to potrzebne do śledztwa. Chcę jak najdokładniej poznać okoliczności zaginięcia pana Millera. Niestety, na razie nie mogę powiedzieć nic więcej.

— Wiadomo, dobro śledztwa przede wszystkim — rzucił nieco ironicznie Smith. — W razie czego, proszę dzwonić.

— Dziękuję, do usłyszenia.

Nick potrzymał jeszcze przez chwilę słuchawkę, zastanawiając się, gdzie szukać nowego punktu zaczepienia. W końcu od niechcienia odłożył ją na widełki aparatu. Teoria o kradzieży firmowej furgonetki legła w gruzach. Rozsądek podpowiadał, że pojazd ze zdjęć jest bezpośrednio zamieszany w porwanie. Co gorsza, napastnicy zadali sobie sporo trudu, aby zadbać o kilka szczegółów, które pomogły im w zbliżeniu się do ofiary bez wzbudzenia najmniejszych podejrzeń.

Nick zaczął głośno myśleć.

Jeżeli furgonetka należała do porywaczy, to całe zdarzenie musiało rozegrać się na podziemnym parkingu.

Chodził po gabinecie, snując kolejne domysły.

W takim razie można sprecyzować godzinę porwania. Napastnicy, wyjeżdżając z parkingu, uciekali przed facetem zbiegającym po schodach. Dlatego się spieszyli. Alarm! Musiał zostać włączony przez Millera wjeżdżającego w pośpiechu na parking! Nicka olśniło. Było ciemno, a facet był spóźniony. Pewnie zadrapał sąsiedni samochód przednim zderzakiem albo drzwiami! No dobra, tylko gdzie jest jego wóz? Poza tym pracownicy mówili, że miał czarnego sedana. Skąd się wziął czerwony ford i gdzie się...

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — warknął Nick, wyraźnie dając odczuć, że nie chce, aby mu teraz przeszkadzano.

Do środka wszedł Carl Cussler.

— Myślałem, że ktoś jeszcze tu jest.

— Nie... — Nick zmieszał się. — Musiałem mówić do siebie.

— Mam się martwić?

— Na pewno nie tym... Zidentyfikowałem furgonetkę, która mogła brać udział w porwaniu. — Nick sięgnął po zdjęcia i pospiesznie podał je Cusslerowi.

— Nieźle...

— Nie do końca. Założono skradzione tablice, a logo na boku pojazdu jest sfałszowane.

Kapitan, przyglądając się obrobionej fotografii, zmarszczył czoło.

— Ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby wszystko wyglądało bardzo wiarygodnie.

— I to właśnie mnie martwi. Miller był zwykłym człowiekiem. Wystarczyło wejść do jego domu i stamtąd go sprzątnąć. Jego

rodzina nie ma pieniędzy na okup. To wszystko nie trzyma się kupy.

— Tak jak mówiłem, sprawa jest podejrzana i wali gównem na kilometr. Dobra robota, jak na pierwszy dzień. Oby tak dalej. — Cussler skinął z uznaniem głową i skierował się w stronę drzwi. W tym samym momencie w kieszeni Nicka odezwał się telefon.

— Stewart — zaczął krótko, odprowadzając kapitana wzrokiem.

— Tu Jessica Miller. Jestem już w domu... Chciał pan porozmawiać.

— Oczywiście, będę do pół godziny! Do zobaczenia.

Nick szybko sprawdził adres, pod jaki miał się udać. Porwał marynarkę z oparcia fotela i wybiegł z biura. Na schodach wydziału zdążył nawet wyprzedzić szefa idącego na lunch do restauracji. Kapitan nie omieszkał opatrzeć tego widoku komentarzem.

— To rozumiem!

Carl Cussler, pomimo swego specyficznego charakteru, trafnie oceniał ludzi. Widząc biegnącego na złamanie karku detektywa, który prawdopodobnie nawet nie usłyszał tego, co do niego powiedział, upewnił się, że wybrał idealnego kandydata do tego zadania.

ROZDZIAŁ 25

Helikopter z logo stacji telewizyjnej opuścił przestrzeń powietrzną Nowego Jorku i zmierzał w kierunku niezamieszkałych, zalesionych terenów rezerwatu Eagle Rock leżącego na zachód od wielkiej metropolii.

Pilot wypatrzył miejsce lądowania, starannie wybrane kilka dni wcześniej. Była to niewielka polanka tuż obok głównego budynku dyrekcji, oddzielona od niego drogą, przy której znajdowały się miejsca parkingowe.

Właśnie odbywał się remont nawierzchni asfaltowych okolic rezerwatu i park był chwilowo niedostępny dla turystów. Został zamknięty na dwa tygodnie. Ekipy remontowe kończyły ostatni etap prac, polegający na renowacji nawierzchni skrzyżowania łączącego drogę główną z dojazdową do rezerwatu. Wszyscy pracownicy znajdowali się w tamtym miejscu i strefa lądowania, którą wybrał uciekinier, była całkowicie opustoszała.

Pilot obniżył lot. Gdy znalazł się kilkadziesiąt metrów nad ziemią, robotnicy zaczęli ciekawsko spoglądać w górę. Martinez — szef brygady — zauważył logo stacji telewizyjnej na boku maszyny.

— Mam nadzieję, że byliście ostatnio u fryzjera — zwrócił się do swoich ludzi. — Wielcy tego świata pragną nas poznać.

Robotnicy spojrzeli po sobie bez cienia entuzjazmu.

— Ciekawe, czy mają pozwolenie na lądowanie w rezerwacie — zastanawiał się głośno jeden z pracowników. — Jeszcze parę takich maszyn tu wyląduje i wypłoszą wszystkie zwierzęta. W parku zostaną same drzewa.

— Nie przerywajcie pracy — nakazał szef. — Pójdę tam i zobaczę, po co przylecieli.

— Do kamery to pierwszy, a do roboty ostatni — zauważył jeden z robotników, kiedy brygadzista oddalił się na kilkanaście metrów.

Martinez szedł wolno, obserwując lądowanie. Korony drzew targał wiatr wywołany ruchem dużego wirnika. W pewnym momencie maszyna zniknęła z pola widzenia i tylko coraz cichszy

dźwięk silnika świadczył o jej obecności. Brygadzysta przeszedł kilkadziesiąt metrów, zanim znowu ujrzał helikopter — stał na środku polanki otoczonej drzewami. Jego rotory z obrotu na obrót zwalniały, pracując już niemal bezgłośnie. Zaczął wypatrywać pilota, jednak nie było go nigdzie w pobliżu. Zobaczył tylko jegomościa ubranego w drogi garnitur, białą koszulę i czarne rękawiczki, wsiadającego do jednego z zaparkowanych samochodów. Martinez rozglądał się za pracownikami telewizji, licząc na publiczne wystąpienie, jednak po kilku minutach oczekiwania zwątpił i zawrócił w stronę swoich ludzi.

W drodze powrotnej minął go samochód. Za kierownicą siedział elegancik, którego zauważył na parkingu. Brygadzysta machnął kilkakrotnie ręką przed twarzą, aby rozproszyc pył wzbity w powietrze przez przejeżdżający pojazd. Gdy dotarł do skrzyżowania, stanął nad wyrwą w jezdni i z rękami w kieszeniach, zawiedziony, zakomunikował:

— Niestety, panowie, dzisiaj nie będziemy sławni. Śmiechy i ciche docinki znowu zagościły na ustach pracowników. Samochód, który przemknął obok robotników, nie wzbudził ich zainteresowania. Byli znacznie bardziej zajęci obgadywaniem szefa i jego ewentualnego wystąpienia w telewizji niż jakimś niedzielnym kierowcą. Rzucili tylko w jego stronę kilka przekleństw, kiedy z nadmierną prędkością przejechał tuż obok nich remontowanym odcinkiem, unosząc w powietrze tumany kurzu.

Niecałą minutę później granatowy sedan mknął już główną drogą. Kierowca wyjął ze schowka telefon i włączył go, po czym wybrał jedyny dostępny numer. Odezwała się automatyczna sekretarka. Nagrał się, umiejętnie formułując wiadomość. Poprawił się w fotelu i spojrzął na licznik. Dostosował prędkość

do ograniczeń panujących na jezdni — nie chciał wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. Zakończył zadanie i jedyne, co mu pozostało, to delectowanie się jazdą.

ROZDZIAŁ 26

Waszyngton

Mieszkańcy spokojnej północno-zachodniej dzielnicy byli zupełnie nieświadomi wewnętrznego dramatu, jaki przeżywała Jessica Miller. Opuściła bramę garażową i kamiennym chodnikiem otaczającym dom poszła w kierunku drzwi wejściowych. Miała na sobie ciemnoczerwoną sukienkę do kolan i spory kapelusz tego samego koloru zasłaniający część twarzy. Spod niego spływały na ramiona długie ciemne włosy. Duże okulary przeciwsłoneczne perfekcyjnie maskowały zmęczone oczy. Wyglądała jak dama, ale zdecydowanie tak się nie czuła.

Gdy spróbowała włożyć klucz do zamka, drzwi ustąpiły, otworzywszy się bez jakiegokolwiek oporu. Poczowała lodowaty dreszcz wędrujący po całym ciele. Zdrętwiała. Czyżby Russ wrócił, pomyślała.

— Dzień dobry, pani Miller!

Krzyk dziecka dochodzący z ulicy wyrwał ją z odrętwienia. Chłopiec na rowerze zatrzymał się na ich podjeździe. Od razu go rozpoznała. Siedmiolatek był synem Fischerów mieszkających kilka domów dalej i często bawił się z jej dziećmi.

— Dzień dobry — odpowiedziała przytłumionym głosem, niespokojnie rozglądając się po okolicy.

— Czy Jason i Jill będą dziś jeździć na rowerach?

— Obawiam się, że nie. Pojechali w odwiedziny do babci. Zostaną tam przez parę dni.

Na twarzy chłopca zagościła skwaszona mina.

— Nie martw się. Wkrótce wrócą.

— Długo tam będą?

— Kilka dni. Mam do ciebie pytanie.

— Tak?

— Nie widziałeś tutaj kogoś? Mojego męża albo jakichś innych ludzi...

— Chyba nie — odparł obojętnie chłopiec, wzruszając ramionami.

— Przypomnij sobie.

— Nie widziałem pana Millera. Nie wie pani, gdzie on jest?

— Czekam na niego. Myślałam, że może już wrócił. Rura w piwnicy cieknie i wezwałam hydraulika. Zastanawiam się, czy przypadkiem się z nim nie minęłam.

— Nikogo nie widziałem.

— W takim razie życzę ci miłej przejażdżki.

— Do widzenia, pani Miller! — rzucił na pożegnanie siedmiolatek i z całej siły nacisnął na pedały. Kilka sekund później zniknął z jej oczu.

Jessica Miller stała przed wejściem. W jej głowie kłębiły się pytania bez odpowiedzi. Patrzyła na uchylone drzwi, które powinny być zamknięte. Bała się, ale wiedziała, że w końcu musi to zrobić. Odczekała jeszcze chwilę, po czym wzięła głęboki oddech i przestąpiła próg.

— Russ?! To ty?! — zawołała niepewnym głosem. — Daj spokój... Nie wygłupiaj się! To nie jest śmieszne! Już dość strachu mi napędziłeś! — Wymawiając imię męża, próbowała dodać sobie

otuchy. W pierwszej chwili pomyślała, że to również dobry sposób na odstraszenie ewentualnych złodziei — głośne słowa mogły ich spłoszyć. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że wzywaniem męża oznaczało jego nieobecność w domu, a każdy złodziej bez większego problemu poradzi sobie z bezbronną kobietą. Zamilkła i zaczęła nasłuchiwać.

Brak jakiegokolwiek odzewu jeszcze bardziej pogłębił obawy. Zatrzymała się w salonie. Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy jakieś odgłosy dochodzące z piętra. Zamarła i skierowała wzrok na sufit. Delikatne stukanie co jakiś czas przecinało ciszę. Była pewna, że nie jest sama w domu.

Po chwili do stukania dołączyło szuranie czegoś po podłodze. Poczowała uderzenie gorąca i kropla potu spłynęła jej po skroni. Chciała uciec z domu, jednak nogi odmówiły posłuszeństwa — całkowicie zdrętwiała. Do oczu napłynęły łzy bezsilności. Nie wytrzymała i rozpaczliwie krzyknęła:

— Russ!

Szmery ucichły, a kobieta odzyskała władzę nad ciałem. W amoku pobiegła do kuchni i wyjęła ze stojaka największy nóż, jaki w nim tkwił. Rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy jest bezpieczna. Brak jakichkolwiek dźwięków dodał jej odwagi. Wróciła do salonu i zaczęła ostrożnie iść w kierunku schodów, jednocześnie obserwując, czy nikt nie zbiega w dół. Z głową skierowaną w górę dotarła do podestu. Schodek po schodku zaczęła pięć się coraz wyżej.

Gdy była w połowie drogi na piętro, ponownie dotarły do niej dziwne odgłosy przypominające szuranie. Serce biło jej coraz mocniej, jednak nie miała zamiaru zawrócić. Zaszła za daleko, aby teraz się poddać. Przecież to mógł być jej mąż potrzebujący pomocy.

Osiągnąwszy poziom piętra, spojrzała przed siebie. Drzwi na końcu korytarza były uchylone. Wpadał przez nie strumień światła z okna, w którym pojawiło się zachodzące słońce. Z każdym krokiem odgłosy stawały się wyraźniejsze. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, wtargnęła do pokoju.

Coś przemknęło pod jej nogami. Odwróciła głowę, ale w tym samym momencie potknęła się o dywanik i runęła na podłogę, popychając jednocześnie drzwi, które otworzyły się na oścież. Klamka z impetem wbiła się w ścianę. Panele zostały obsypane drobinami tynku.

Leżała chwilę, próbując zebrać myśli. Upadła na plecy, głową uderzając o podłogę. Nie straciła przytomności, ale nie była w stanie powiedzieć, co się właśnie wydarzyło. Bodźce zewnątrz analizowała z opóźnieniem i z dużą trudnością. Ten stan trwał dobrą minutę. Kiedy poczuła na policzku delikatny, mokry i szorstki język, z trudem obróciła głowę.

Niewiele brakowało, a rozplakałaby się, gdy poznała sprawcę tych wszystkich hałasów. Obok niej siedział mały szaro-biały kot i lizał ją po policzku. Tuż obok stała pusta miska, z której zwierzę jeszcze niedawno jadło, a która omal nie przyprawiła właścicielki o zawał serca.

— Aleś mnie wystraszył, łobuzie! — Jessica Miller, wciąż leżąc, pogłaskała kota. Wsparła się na rękach i z największym trudem usiadła. Poruszyła kolejno wszystkimi kończynami, aby upewnić się, że żadna z nich nie jest złamana. Wzięła zwierzątko na ręce i przytuliła mocno do siebie.

Wtedy usłyszała coś, co ponownie spowodowało szybsze bicie jej serca. Na parterze rozbrzmiewały powolne, ale wyraźne kroki. Ktoś właśnie wszedł do domu. Tym razem nie miała wątpliwości. Postawiła kota obok miski i sięgnęła po nóż leżący

nieco dalej. Wstała i, najciszej jak tylko mogła, poszła w kierunku schodów.

Opierając się o poręcz, wychyliła głowę najdalej, jak było to możliwe. Zobaczyła czyjaś sylwetkę znikającą w kuchni. Serce waliło jej jak szalone. Teraz albo nigdy, pomyślała. Zeszła dwa schodki i zatrzymała się. Cały czas sondowała parter. Zrobiła kilka kolejnych kroków. Była już w połowie drogi, gdy jej plan ucieczki został pokrzyżowany przez wydłużający się cień na korytarzu. Nie zdążyłaby uciec. Jedynym wyjściem było stawienie czoła napastnikowi.

Wtedy coś w niej pękło. Zaczęła krzyczeć jak opętana i błyskawicznie zbiegła na parter. Była niecałe dwa metry od wejścia do kuchni, kiedy dostrzegła rękę z pistoletem. Bez większego namysłu zamachnęła się. Było jej wszystko jedno, czy zrani napastnika, czy odetnie mu rękę. Trafiła w broń i metaliczny odgłos rozniósł się po domu. Wytracony pistolet upadł na podłogę. Już miała zadać kolejny cios, ale mężczyzna odskoczył i podniósł ręce na znak poddania się.

— Spokojnie, pani Miller... Jestem z policji... Mieliśmy się spotkać... Nazywam się Nicolas Stewart... Dzwoniła pani do mnie, prosząc o wcześniejszy przyjazd...

Ciałem kobiety władała adrenalina. Szaleństwo, z jakim zaatakowała potencjalnego napastnika, dalej w niej tkwiło. Z jej oczu można było wyczytać obłęd — nie wierzyła w ani jedno słowo, które usłyszała. Roztrzęsiona, stała z wyciągniętym przed siebie nożem i próbowała opanować myśli.

— Tylko spokojnie — kontynuował Nick, starając się wykonywać jak najmniej ruchów, aby nie denerwować kobiety. — Wiem, że miała pani ciężki dzień. Przyjechałem, aby porozmawiać

o pani mężu. Nie chcę pani skrzywdzić. Pamięta pani naszą rozmowę?

Kobieta nagle opuściła nóż, a serce, jakby na rozkaz, zwolniło. Dopiero druga seria zdań dotarła do niej i zrozumiała, że omal nie pozbawiła dłoni funkcjonariusza policji.

— Sięgnę teraz do kieszeni i pokażę pani moją odznakę. — Powoli odsunął lewą część marynarki i włożył rękę do kieszeni.

— Nie, nie. — Upuściła nóż i zakryła dłońmi twarz. — Proszę mi wybaczyć — wyłkała. — Idiotka ze mnie...

— Całkowicie rozumiem pani reakcję! Zobaczyła pani obcego, uzbrojonego mężczyznę w domu i postanowiła zadbać o swoje bezpieczeństwo. Na pani miejscu postąpiłbym tak samo! — Kopnął nóż, który poleciał pod szafkę.

Jessica Miller podniosła głowę i opuściła rękę.

— Przepraszam, ostatnio nie panuję nad sobą. To wszystko przez Russa! Zniknął gdzieś i zostawił mnie samą. Od dwóch dni nie wiem, co się ze mną dzieje!

— To zrozumiałe. Przejdźmy może do salonu, usiądziemy i spokojnie porozmawiamy.

Zrezygnowana kobieta potaknęła głową, sięgając po pudełko chusteczek leżące na stoliku w przedpokoju.

— Będzie pan tak uprzejmy i zamknie drzwi?

— Oczywiście.

— Nastawię wodę. Muszę napić się kawy. Normalnie piję trzy, cztery dziennie. Nie wiem, czy przez ostatnie dwa dni wypilałam jedną. Napije się pan też?

— Poproszę.

Nicka ucieszył fakt, że kobieta powoli odzyskuje pewność siebie. W pierwszej chwili, gdy się załamała, stracił nadzieję, że

cokolwiek z niej wyciągnie. W oczekiwaniu na kawę przyjrzał się małej galerii zdjęć na kominku. Na kilku fotografiach widniał Russell Miller. Miał szczery uśmiech i pogodną twarz. Albo tak dobrze się maskował, albo rzeczywiście jego zniknięcie było czymś bardzo dziwnym.

W końcu detektyw usiadł na dwuosobowej sofie z jasnej skóry. Na półce pod stolikiem leżały gazety. Były to magazyny wędkarskie. Przeczytał kilka akapitów pierwszego lepszego czasopisma, ale poczuł narastające znużenie. Podobnie jak Jessica Miller, sam ledwie trzymał się na nogach.

— Mój mąż uwielbiał wędkować. — Kobieta pojawiła się z dwoma kubkami kawy i przerwała mu nudną lekturę.

— Przepraszam, nie chciałem szperać...

— Nic nie szkodzi. Taką ma pan pracę. Proszę wybaczyć tę napaść z nożem. Myślałam, że jest pan złodziejem albo kimś gorszym.

Jessica Miller mówiła już całkiem składnie. Wydawało się, że sam zapach kawy przywrócił ją do świata żywych.

— Nie, nie. To moja wina. Usłyszałem jakiś trzask i uderzenie... Zadzwońłem i zawołałem, ale nikt mi nie odpowiedział, a drzwi były otwarte. Zboczenie zawodowe.

— Niczego nie słyszałam — zdziwiła się. — Musiałam być bardziej nieprzytomna, niż sądziłam.

— To znaczy?

— Gdy wróciłam do domu, moją uwagę przykuły jakieś dziwne odgłosy dochodzące z piętra. Przestraszyłam się, zabrałam z kuchni nóż i poszłam to sprawdzić. Wchodząc do jednego z pokoi na górze — spojrzała na sufit — potknęłam się i upadłam, a drzwi walnęły w ścianę. Zanim...

— To tłumaczy dwa uderzenia... — przerwał Nick.

— Tak... Wszystko układa się w logiczną całość — zauważyła, unosząc brwi. — Jak doszłam do siebie, usłyszałam pana kroki. Potem było już tylko gorzej...

— Bez przesady.

— Bez? Parę centymetrów w prawo i...

— A co było przyczyną tych dziwnych odgłosów? — Nick umiejętnie przerwał. Nie chciał prowokować u niej kolejnych wyrzutów sumienia.

— Arthurro...

— A Arthurro to...

— Mój kot. Nasz... Zajadał się jak wściekły potrawką z kurczaka i... — Kolejne słowa utknęły w jej gardle. Kobieta w momencie poblądła i wbiła wzrok w detektywa.

— Coś się stało?

Bez słowa spojrzała w stronę schodów.

— Co się stało? — powtórzył pytanie Nick.

— Przecież ja go nie karmiłam...

ROZDZIAŁ 27

Zatoka Pohick

Pomieszczenie konferencyjne kliniki mieszczące się w budynku szpitala było przygotowane na obrady ponad pięćdziesięciu osób. Przez środek ciągnął się długi, masywny stół, przy którym zarząd i lekarze mogli wspólnie debatować na tematy nie tylko medyczne. Miejsce to było zaopatrzone w kilka monitorów, komputer oraz rzutnik do prezentacji. Przed każdym

stanowiskiem znajdował się mikrofon, dzięki któremu uczestnik mógł bezproblemowo wypowiadać się, bez obawy, że nie zostanie usłyszany przez kolegów siedzących gdzieś dalej. Sala umożliwiała prowadzenie zarówno tradycyjnych zebrań jak i telekonferencji ze specjalistami z całego świata.

Zapadał zmierzch i późna pora sprawiła, że obecnie jedynie pięć osób zajmowało miejsca z tyłu stołu. Byli to: Arthur Ford, Marcus Fisher, Robert Green, Paul Darger oraz dyrektor kliniki — Jonathan Morris. Mieli za sobą potwornie ciężki dzień i każdy z nich padał z nóg. Z ich twarzy można było wyczytać, że marzą o odpoczynku w zaciszu własnego apartamentu. Nie prowadzili żadnej debaty, nie mieli już na to siły. Zebrali się tylko po to, aby podsumować trudną operację Benjamina Knighta, którą zakończyli pół godziny temu.

— Dobra robota, panowie — odezwał się dyrektor. — Ofiarowaliśmy panu Knightowi nowe życie. Nie ukrywam, że była to operacja, której bardzo się obawiałem. Świetnie się spisaliście. Oczywiście na koncie każdego z was niedługo pojawi się rekompensata za trudy dzisiejszego dnia.

— Jutro kroimy Petersona? — zapytał od niechcienia doktor Fisher, przypominając wszystkim, że są dopiero na półmetku.

— Tak — odparł Jonathan Morris. — Załatwimy to szybko i będziecie wolni.

— A potem? Jakie plany na przyszłość? — odezwał się doktor Darger.

— Kolejny tydzień upłynie spokojnie. Mamy nową pacjentkę, ale musimy przeprowadzić jeszcze szereg badań. Stan kobiety określam jako dobry i stabilny, więc mamy trochę czasu i możemy się dobrze zastanowić nad wszystkim. Zakładam, że pani Fulton spędzi u nas jakieś dwa tygodnie, zanim podejmiemy decyzję

o zabiegu. Ze względu na jej wiek, należy przeprowadzić szereg dodatkowych testów, aby stwierdzić przewagę korzyści nad ryzykiem operacji. Nie chcę mieć tutaj zrozpaczonej córki rzucającej pozewem na miliony dolarów.

— Wiadomo... — podchwycił Green.

— Doszły mnie również słuchy o innym pacjencie z Nowego Jorku, ale dopiero trwa rekonesans. W teczkach macie dane Petersona. Jest w nich wszystko. Doktorze Ford, uczulam, że to pacjent cierpiący na astmę, więc proszę mieć się jutro na baczności. Nie będę pana pouczał, wszak jest pan w tym lepszy ode mnie, ale apeluję o ostrożność.

— Będzie zabawnie — prychnął Ford i od niechcienia zerknął do dokumentacji.

— Czy macie jakieś pytania?

Zebrani pokręcili przecząco głowami.

— W takim razie nie zatrzymuję dłużej. Jutro spotykamy się o godzinie ósmej na sali operacyjnej. Oczekuję od was, zresztą jak zawsze, pełnego skupienia i otwartego umysłu. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to, wliczając dzisiejsze wynagrodzenie, jutro każdy będzie bogatszy o ćwierć miliona.

Na twarzach zebranych pojawiły się uśmiechy.

— Całkiem nieźle, jak na dwa dni roboty — zawołał wesoło Fisher. — Opłacało się lecieć, prawda Arthurze?

— Następnym razem i tak pojedę samochodem — odburknął Ford.

Zebrani roześmiali się i zaczęli wstawać od stołu.

— Dobranoc panom — rzucił na odchodne Morris. Gdy został sam na korytarzu, wyciągnął telefon i wybrał numer swojego zaufanego człowieka.

— Słucham cię, Jonathanie — wysapał Edward Harris.

— Jak ci idzie?

— Już kończę...

— Świetnie. Wpadniesz do mnie? Mam butelkę świetnego wina i problem do rozwiązania.

— Przekonałeś mnie. — W głosie doktora Harrisa dało się słyszeć szczere zadowolenie. — Ale im dłużej będziemy gadać, tym później przyjdę.

— Święta racja! W takim razie nie przeszkadzam. Do zobaczenia.

Do uszu wychodzącego z sali operacyjnej Edwarda Harrisa dobiegł gwar rozmowy dwóch kobiet — sprzątaczek. Gdy go zauważyły, grzecznie przywitały się i natychmiast wróciły do rozmowy i pracy.

Doktor odwzajemnił uprzejmości i opuścił blok operacyjny. Minął windę oraz kilka pomieszczeń i po pokonaniu dwóch zakrętów dotarł do celu — gabinetu dyrektora. Zapukał. Nie usłyszał odpowiedzi, a jedynie coraz głośniejsze kroki. Kiedy drzwi się otworzyły, stanął twarzą w twarz z Morrisem, który trzymał przy uchu telefon.

Harris nie chciał przeszkadzać, jednak zachęcony zapraszającym gestem dyrektora, wszedł do środka i zajął miejsce w wygodnym fotelu przy dużym, drewnianym biurku. Naprzeciwko usiadł Morris. Miał dziwną minę — posępną, ale z przebłyskiem uśmiechu.

— Udało się? — zaczął Edward Harris, gdy przyjaciel zakończył rozmowę.

— Z czym?

— Daj spokój. Przecież wiesz...

— Nie, ale zostaje na dłużej. Miała jechać na jedną noc odwiedzić swoją przyszywaną kuzynkę. — Morris opatrzył to zdanie cudzysłowem. — Właśnie mi zadzwoniła, że spędzi u niej nie tylko dzisiejszą noc, ale i kolejną. Spokojnie... W końcu popełni błąd. Zapłaciłem mu dwa razy więcej niż zwykle. Powiedział, że nie będzie jej odstępował na krok.

— Rzeczywiście jechała do kuzynki?

— Tak. To jakaś dalsza rodzina, ale od zawsze dobrze się dogadują.

— Czyli będzie ją kryła.

— I to mnie martwi.

— Załóżmy, że ten detektyw ją nakryje. Co potem?

— Rozwód... A co ma być? Suka nie dostanie ani grosza. Dopilnuję, żeby skończyła pod mostem albo przy drodze.

— No to problem rozwiązany... — uśmiechnął się Harris. — A gdzie wino?

— Sknera ze mnie. Najpierw zapraszam, a potem nie częstuję.

— Dobrze, że dostrzegasz swoje wady.

Roześmiali się.

— Ale nie dlatego chciałem z tobą rozmawiać.

— Jest coś jeszcze?

Morris pomaszerował do barku. Wyjął wino i dwa kieliszki. Otworzył butelkę. Zapach, który dotarł do jego nozdrzy, był zniewalający. Nalał odrobinę do kieliszka i skosztował.

— Młody Peterson ma humory — zaczął dyrektor, rozlewając wino do kieliszków. — Chce wykończyć starego i zwalić to na nas.

— Że niby podczas operacji?

— Dokładnie...

- A to ci kutafon. Co zamierzasz?
- Nie co, tylko za ile. Klient nasz pan.
- Nie martwi cię to?
- Nie wszystkie operacje się udają. Stary ma astmę. W takich przypadkach zawsze istnieje ryzyko.
- Rozmawiałeś o tym z Fordem?
- Jeszcze nie i... zastanawiam się, czy w ogóle go w to wkreślać. Jeżeli operacja się nie powiedzie i stary wykituje na stole, zaczną nam patrzeć na ręce. Znacznie lepiej byłoby, gdyby przekręcił się później. Niektóre powikłania bywają opłakane w skutkach.
- Dałbym mu jakiś tydzień.
- Też tak myślę.
- W takim razie... Za udane operacje i za udane... powikłania. Harris uniósł kieliszek i stuknął się nim z przyjacielem.

ROZDZIAŁ 28

Waszyngton

- Czy ktoś jeszcze ma klucze do waszego domu? — zapytał Nick, nerwowo rozglądając się wokoło.
 - Nie. Russ miał... — Jessica Miller załamał się głos. — To znaczy ma. Zapomniałam o jeszcze jednym istotnym szczególe...
 - Mianowicie?
 - Gdy wróciłam do domu, drzwi były otwarte.
- Nick spojrzał na kobietę z niedowierzaniem. Jak mogła zignorować ten fakt i iść parzyć cholerną kawę?! Przystawił palec do ust, podszedł do niej, nachylił się i szepnął:

— Proszę robić wszystko, co powiem.

Jessica Miller spojrzała na niego z obawą, po czym porozumiewawczo skinęła głową. Znowu zaczęła się bać.

— Będziemy dalej rozmawiać, jak gdyby nigdy nic — kontynuował szeptem — i powoli przejdziemy do wyjścia. Proszę mi zaufać i nie robić żadnych gwałtownych ruchów.

Z trudem wstała — nogi miała jak z waty.

— Proszę mi powiedzieć — zaczął głośnym, zupełnie normalnym tonem — czy pani mąż miał ostatnio jakieś problemy? Pojawił się ktoś, kto mu groził? Może dostawali państwo dziwne listy albo telefony z pogrózkami? — Prowadząc rozmowę, wymownym gestem nakazał przejść do drzwi.

— Nie, nigdy. A mówimy sobie o wszystkim.

— A problemy finansowe?

— Raczej nie. Mamy tylko kredyt, ale spłacamy go regularnie. Wszyscy mają kredyty i jakoś nikt przez nie nie znika.

Gdy znaleźli się przy drzwiach, Nick ostrożnie otworzył je i szybko rzucił okiem na okolicę. Na widok broni kobieta pobladała jeszcze bardziej. Detektyw szybkim i zdecydowanym ruchem nakazał opuścić dom. Zbiegli po schodach na kamienny chodnik.

— Szybko, do samochodu!

Jessica Miller nie zastanawiała się nad tym, co robi. Całkowicie zawierzyła policjantowi. Co sił w nogach biegła w kierunku granatowego forda explorera. Nick, osłaniając ją własnym ciałem, podążał za nią z pistoletem skierowanym ku ziemi. Wyjął z kieszeni kluczyki i zdalnie odblokował samochód. Kilka sekund później siedzieli już w pojeździe.

— Czy może mi pan wyjaśnić, do cholery, co się dzieje w moim domu?! — Ponownie dostała ataku paniki.

— Nie jestem pewien — odparł, sięgając po komunikator. — Centrala, tu detektyw Nicolas Stewart, numer odznaki 1285. Proszę o przysłanie dwóch patroli na Perkins Street 78, podejrzenie włamania. Napastnicy prawdopodobnie są uzbrojeni. Być może nie opuścili jeszcze budynku. Postarajcie się ich nie spłoszyć i błagam... pospieszcie się!

— *Tu centrala. Przyjąłem zgłoszenie, patrole pojawią się do dziesięciu minut.*

Jessica Miller nie mogła uwierzyć, że to wszystko spotkało właśnie ją. Ją i jej rodzinę.

— Przepraszam, ale nie mogłem ryzykować.

— Myśli pan, że... oni tam jeszcze są? — Z przerażeniem spojrzała na dom.

— Nie mogę tego wykluczyć. Sama pani stwierdziła, że kiedy weszła na górę, kot wyjadał resztki z miski. Kto inny mógł go nakarmić?

— W jakim celu? Aby odwrócić moją uwagę?

— Nie sędzę. Myślę, że spodziewali się pani znacznie później i zrobili to nieumyślnie. Pewnie miauczeniem kot doprowadzał ich do szafu, więc uciszyli go w najprostszy możliwy sposób. Pani szybszy powrót do domu pokrzyżował im plany. Kiedy pojawiłem się przy drzwiach, nieświadomie odciąłem im drogę ucieczki i musieli improwizować. Wymknęli się tyłem albo są jeszcze w domu. Wróciłbym tam, ale mając panią w samochodzie, nie mogę ryzykować.

— Dlaczego? Przecież nic mi tutaj nie grozi.

— Nie jestem tego taki pewien. Zakładam, że jeżeli są jeszcze w domu, to właśnie nas obserwują.

— Więc jedźmy stąd w cholerę!

— Wtedy mogą zwać.

— Zwariuję! To jest ponad moje siły! — Łzy napłynęły do jej oczu. — Czego jeszcze mogą ode mnie chcieć?! Przecież wszystko mi zabrali! — krzyknęła zdesperowana.

— Nie wiem, ale ma to związek z zaginięciem pani męża. Jak tylko przyjadą patrole, pojedziemy na komisariat i spróbujemy poskładać to wszystko w całość, zgoda?

Chwilę później na zakręcie pojawił się pierwszy radiowóz. Zgodnie ze wskazaniem Nicka, jechał bez włączonego sygnału i dodatkowego oświetlenia. Tuż za nim wyłonił się drugi policyjny pojazd. Radiowozy zatrzymały się przy krawężniku obok sąsiedniego domu. Z każdego z nich wyszli pośpiesznie dwaj policjanci. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia z Nickiem, który wskazał im dom Millerów.

Po paru minutach nerwowego oczekiwania policjanci wyszli stamtąd spokojnym krokiem. Nick wysiadł i podszedł do najstarszego z nich.

— I jak?

— Czysto. Nikogo tam nie ma. Musieli uciec tyłem. Drzwi były otwarte — wyjaśnił funkcjonariusz.

— Cholera jasna! To wszystko nie ma sensu. — Nick spuścił głowę. Kątem oka zerknął na załamana kobietę przypatrującą im się z samochodu.

— Co takiego?

— Nie, nic. Głośno myślę. Doceniam, że tak szybko przyjechaliście.

— Szkoda, że na darmo.

Nick wrócił do żony Millera.

— Mają kogoś? — zapytała zrozpaczona, gdy detektyw zajął miejsce kierowcy.

— Niestety nie. Mam nadzieję, że ma pani gdzie się zatrzymać na kilka dni.

— Przecież nikogo nie znaleźli...

— Tylne drzwi były otwarte. Prawdopodobnie włamywacze uciekli tamtędy.

Kobieta wbiła wzrok w podłogę.

— Dlaczego to wszystko musiało spotkać akurat naszą rodzinę?

— Nie wiem, ale postaramy się do tego dojść. Załatwię obserwację domu przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Jeżeli ktoś nie znalazł tego, czego szukał, może wrócić. Ma pani zaufanych znajomych, u których mogłaby przenocować?

— Zadzwońię do przyjaciółki. Mieszka sama i powinna się zgodzić.

— Świetnie. Ma pani jeszcze siły jechać na komisariat?

— Wszystko, żeby tylko ten koszmar jak najszybciej się skończył! Mogę zabrać samochód? Pojadę swoim i spotkamy się na miejscu. Przynajmniej nie będę zdana na taksówki, a koleżanka mieszka za miastem.

— Nie widzę przeszkód. Dla pewności pojadę za panią.

Kobieta wysiadła, a Nick zgłosił kapitanowi potrzebę obserwacji domu przez najbliższe dni. Kiedy kończył rozmowę, do jego samochodu podszedł jeden z funkcjonariuszy. Oparłszy się o pojazd prawą ręką, nachylił się w stronę Nicka.

— Nie mamy tu chyba nic więcej do roboty. Gdyby jeszcze babka dała nam klucze do garażu, moglibyśmy tam zajrzeć i mieć to z głowy.

Nick spojrział niezrozumiale na policjanta.

— Nie przeszukaliście garażu?

— Był zamknięty. Co miałem zrobić? Wyłamać drzwi? — odrzekł z pretensją młody funkcjonariusz.

— Naszczać na nie i czekać, aż się rozpuszczą! Debil!

Nick wyskoczył z auta i pobiegł w stronę domu. Wiedział, że jeżeli włamywacze mieli klucze do domu, na co wskazywał brak śladów włamania, to prawdopodobnie byli również w posiadaniu kluczy od drzwi oddzielających garaż od części mieszkalnej.

— Pani Miller! — krzyknął, jednak nikt mu nie odpowiedział.

Policjanci patrzyli na niego i próbowali zrozumieć tę nagłą zmianę zachowania.

— Co mu się stało? — zapytał jeden z nich.

— Powiedziałem, żeby załatwił klucze z garażu i facet zwariował — wyjaśnił młodszy policjant, idąc w stronę kolegów.

— Nie sprawdziłeś garażu?! — zapytał jego partner.

— Mówię, że nie miałem kluczy! Tak trudno to, kurwa, zrozumieć?!

— Ale z ciebie dupek! Szybko! — rozkazał najstarszy stopniem. — A ty, kretynie, zostań tu i pilnuj, żeby nikt nie opuszczał domu!

Trzej mundurowi pobiegli za detektywem.

Gdy Nick znalazł się w środku, od razu skręcił w krótki korytarz zakończony drzwiami garażowymi. Były otwarte.

— Pani Miller?! — Szedł wolno, z bronią wycelowaną przed siebie. Do jego uszu dotarł jedynie metaliczny szczęk i parę zgrzytów. Wywnioskował, że to automatyka bramy garażowej. Teraz albo nigdy, pomyślał. Szybkim susem wskoczył do pomieszczenia. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył czarnego forda

taurusa, za którego kierownicą siedziała długowłosa brunetka. Oparł się o ścianę i spojrział w górę, w myślach dziękując siłom wyższym.

Wrócił do domu i gdy był już przy drzwiach wejściowych, usłyszał kroki na schodach. Odwrócił głowę i zobaczył Jessicę Miller schodzącą w dół.

— Patrzy pan na mnie, jakby zobaczył ducha.

Detektyw w pierwszej chwili zbaraniał. Spojrział w krótki korytarz. Gdy usłyszał pisk opon, zerwał się do biegu. Wpadając do garażu, zobaczył jedynie tylne światła czarnego samochodu opuszczającego podjazd.

Za Nickiem pojawili się trzech funkcjonariusze i zdeorientowana Jessica Miller.

— Czy ktoś mi powie, co się tutaj wydarzyło?! — krzyknęła poirytowana.

Mężczyźni spoglądali na siebie i nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Wtedy podszedł do nich młodszy funkcjonariusz, który pozostał na zewnątrz.

— Babka potrafi jeździć — powiedział z uśmiechem i wyraźnym podziwem. Kiedy jednak zobaczył właścicielkę domu stojącą za kolegami, zrzędała mu mina.

— Zbierajcie dupy! Nie może nam uciec! — krzyknął Nick.

Policjanci jak oparzeni pobiegli do radiowozów. Najmłodszy też chciał do nich dołączyć, ale dostał ostrą reprimendę od swojego przełożonego, który kazał mu pozostać na miejscu. Ktoś w końcu musiał ponownie, tak jak należy, przeszukać dom.

Nick natychmiast rozkazał Jessice Miller wrócić do jego samochodu. W pierwszej chwili również chciał wziąć udział

w pościgu, ale w ten sposób niepotrzebnie naraziłby kobietę, więc zaniechał pomysłu.

Radiowozy z piskiem opon ruszyły w pogoń za uciekinierką.

ROZDZIAŁ 29

— Centrala... Tu *Siódemka*... Odbiór.

— *Centrala, słucham...*

— Ścigamy czarnego forda taurusa. Prowadzi go kobieta podejrzana o włamanie i rabunek. Może być uzbrojona. Prosimy o wszelkie możliwe wsparcie. Jesteśmy na ulicy Stanforda i zbliżamy się do ronda. Podejrzana ma nad nami trzysta metrów przewagi i zmierza w kierunku Connecticut Avenue. Odbiór.

— *Przyjęłam. Poinformuję wszystkie dostępne jednostki w waszej okolicy oraz śmigłowiec. Bez odbioru.*

Radiowozy pędziły jak szalone. Rondo okrążyły na piszczących oponach. Funkcjonariusze musieli nadrobić jakieś dwadzieścia sekund, o które zostali wyprzedzeni. Co jakiś czas, gdzieś w oddali, pojawiał się i znikał tył czarnego samochodu lawirującego pomiędzy innymi pojazdami.

Uciekinierka nie miała zamiaru dać za wygraną. Sunęła ponad sto kilometrów na godzinę, zygzakiem mijając kolejne samochody. Często wjeżdżała na przeciwległe pasy ruchu, zmuszając kierowców jadących z naprzeciwka do ustępowania jej drogi. Niemal każdy mijany na centymetry samochód odwdzięczał się długim klaksonem. Dzięki temu policjanci mieli choć trochę ułatwione zadanie — tracąc z widoku skradziony pojazd, nasłuchiwali klaksonów.

Samochody zjeżdżały na bok, ustępując miejsca policji. Ścigający powoli zbliżali się do czarnego taurusa. Nadrobili już

niemal połowę dystansu. Policjanci domyślili się, dokąd kobieta ich prowadzi — na zatłoczonej ulicy zaczynała tracić przewagę, więc zmieniła zamiary i pomknęła na północ, w kierunku czterysta dziewięćdziesiątej piątej międzystanowej.

Do pościgu dołączył wkrótce kolejny radiowóz, a po chwili następny, który wyjechał z bocznej drogi niemalże tuż za uciekinierką.

Czerwone światło nie zrobiło na kobiecie najmniejszego wrażenia. Jeszcze mocniej wdepnęła gaz. Korzystając z przeciwnego pasa ruchu, ominęła czekające samochody i przestrzeliła skrzyżowanie, cudem unikając zderzenia. Piesi również niewiele ją obchodzili. Gdyby nie refleks będących w tej chwili na przejściu, miałyby na swoim koncie kilka ofiar. Ludzie odskoczyli w ostatnim momencie.

Zredukowała bieg — zaczął się podjazd prowadzący na między-stanową. Dwa auta przed nią jechały równolegle do siebie, drzwi w drzwi. Klakson niewiele pomógł. Nacisnęła pedał gazu i lekko pchnęła pojazd na lewym pasie. Spodziewała się, że zszokowany kierowca zwolni i tak też się stało. Skryła się za samochodem na prawym pasie. Szybko wykorzystała powstałą lukę i wbiła się w nią. Droga do Baltimore stała przed nią otworem.

Radiowozy z rozważą minęły najpierw skrzyżowanie, a po chwili także samochód z lekko wgniecionym tylnym zderzakiem, zatrzymujący się na prawym pasie.

Międzystanowa miała swoje wady i zalety — kobiecie zapewniła prędkość, a ścigającym — przestrzeń sprzyjającą zatrzymaniu. Kolumna radiowozów przyspieszyła, aby zbliżyć się do czarnego taurusa. Policyjne samochody dysponowały większą mocą, więc bez trudu dogoniły uciekinierkę.

— *Tu policja! Proszę się zatrzymać!* — Padło ostrzeżenie z głośnika pierwszego radiowozu. — *Proszę zjechać na pobocze i zatrzymać samochód! W przeciwnym razie będziemy zmuszeni użyć siły! Powtarzam...*

Kobieta nie miała zamiaru się poddać. Teraz zrozumiała, że wjazd na międzystanową również nie był najlepszym rozwiązaniem. Była jak na widelcu. Nie miała szans wygrać szybkością, nie w tym samochodzie. Dodatkowo na drodze pojawił się cień zmierzający w tym samym kierunku, co ona. Oprócz czterech radiowozów za samochodem podążał także helikopter. Musiała szybko obmyślić nowy plan.

Zbliżając się do kolejnego *wycieczkowicza*, zwolniła i umyślnie zahaczyła przodem o prawą, tylną część poprzedzającego ją pojazdu, po czym gwałtownie odbiła w lewo.

Policjanci prowadzący pościg zauważyli nietypowy manewr uciekinierki i pozostali w bezpiecznej odległości. Kierowca uderzonego samochodu stracił panowanie nad pojazdem i przy dużej prędkości obróciło go. Rozległ się pisk opon, spod których buchnęły kłęby dymu.

Trzy radiowozy przemknęły obok, ale czwarty nie miał już tyle szczęścia. Z impetem uderzył w bok obracającego się pojazdu. Poduszki i kurtyny powietrzne obydwu aut wystrzeliły niemalże jednocześnie.

Kobieta, zachęcona sukcesem swojego posunięcia, postanowiła je powtórzyć. Zanim jednak wybrała kolejny cel, dostrzegła światła stopu poprzedzających ją pojazdów. Trwał remont pięciokilo-metrowego odcinka drogi i ilość przejezdnych pasów została zredukowana do jednego.

— Cholera! — warknęła przez zaciśnięte zęby.

Dwa pasy jezdni były całkowicie wyłączone z ruchu i z trzech nagle robił się jeden, poprzedzony sporym korkiem i mnóstwem niezadowolonych kierowców. Większość ustawiała się w długi rząd, a ci sprytniejsi jechali jak najdalej, aby skręcić na zakorkowany pas tuż przed znakami ostrzegawczymi.

Uciekinierka miała już tylko niecałe pięćdziesiąt metrów na zjazd. Nikt nie chciał jej wpuścić, więc gwałtownie skręciła. Otarła się o jeden z samochodów, spychając go na barierkę ochronną.

Radiowozy również wbiły się w powstałą lukę.

Chwila radości kobiety z kolejnego sukcesu była jednak krótka. Pojazdy przed nią poruszały się w ślimaczym tempie, co umożliwiło policjantowi będącemu na czele pościgu zrównanie się z uciekinierką — niszcząc kilka słupków ostrzegawczych, wjechał na zamknięty, środkowy pas. Jego nawierzchnia była już gotowa. Drogowcy kończyli malować pasy na jezdni. Gdy zobaczyli pędzący prosto na nich radiowóz, natychmiast usunęli się z drogi.

Kobieta była pewna, że za chwilę zaliczy boczne uderzenie, ale wtedy zobaczyła coś w oddali i jej usta wykrzywił szyderczy uśmiech. Nie czekała, aż radiowóz ją staranuje. Sama uderzyła lewym bokiem w policyjne auto, niszcząc kilka plastikowych pachołków, które wystrzeliły na boki i w górę. Po chwili powtórzyła czynność. Radiowóz nie doznał większych uszkodzeń, ale nie to było jej celem. Przymierzała się do czegoś zupełnie innego, ale w pierwszej kolejności musiała rozproszyć kierowcę.

Policjant umiejętnie manewrował pomiędzy dwoma rzędami pachołków, kontruując jednocześnie coraz częstsze uderzenia. W końcu sam postanowił przejąć inicjatywę. Radiowóz był cięższy od pojazdu, z którym się przepychał. Uderzył mocno prawym bokiem.

Kobietą aż zarzuciło na siedzeniu, ale wiedziała, że jeszcze chwilę musi wytrzymać. Kolejne uderzenie było jeszcze mocniejsze. Czarny taurus został zepchnięty na barierkę ochronną i otarł się o nią, wywołując lawinę iskier. Kobieta odbiła i skorygowała tor jazdy. Wreszcie nastąpiła długo wyczekiwana chwila. Mocno skręciła kierownicą, z impetem uderzając w radiowóz. Policjant utrzymał się na swoim pasie, ale było już za późno.

Uciekinierka mogłaby przysiąc, że usłyszała krzyk dochodzący z radiowozu.

Na pasie, którym poruszało się policyjne auto, stała zaparkowana ciężarówka. Nie było dokąd uciec. Trzeci pas również był zajęty przez ciężki sprzęt. Policjant wcisnął z całej siły pedał hamulca, ale niewiele to dało — radiowóz wbił się w podwozie olbrzymiej ciężarówki. Siła uderzenia zmiażdżyła maskę pojazdu i urwała dach. W ostatniej chwili funkcjonariusz zdążył się skulić. Niemal połowa policyjnego auta skończyła pod naczepą. Wgniatająca się maska i pękająca deska rozdzielcza unieruchomiły oficera, miażdżąc mu nogi.

Zwężenie skończyło się i kobieta znowu mogła pokazać, na co ją stać. W grze pozostały dwa radiowozy i śmigłowiec. Myślała, że wszystko idzie ku lepszemu, ale po kilku kilometrach szczęście ponownie ją opuściło. Dostrzegła rząd migających jak szalone światła na całej szerokości jezdni.

— Sukinsyny... — Nie miała zamiaru zwalniać. Dodała gazu. Niespodziewanie na poboczu dostrzegła tablicę informującą o zjeździe z międzystanowej za pięćset metrów. — Co za idioci!

Mknęła ponad sto sześćdziesiąt na godzinę. Kilkadziesiąt metrów przed zjazdem nieco zwolniła, aby nie wypaść z zakrętu.

Blokadę zostawiła po lewej. Tylko dwa radiowozy uparcie za nią pędziły.

Ruch całkowicie zamarł. Ten zjazd był rzadko uczęszczany, więc nie musiała przepychać się pomiędzy innymi samochodami. Uszczęśliwiona ominięciem blokady — straciła czujność. Koła piszczwały na zakręcie. To, co wydarzyło się w ciągu kilku kolejnych sekund, zszokowało ją. Zjazd okazał się pułapką — skrzyżowanie na końcu drogi było obstawione przez kilka radiowozów. Skupiając się na ominięciu ich, nie zauważyła kolczatki. Huk, a zaraz po nim kolejny, przeszyły okolicę. Wszystkie cztery koła zostały przebite i kobieta straciła panowanie nad pojazdem. Rozpaczliwie kręciła kierownicą, ale samochód ledwie reagował. Wiedząc, że uderzy w radiowozy, specjalnie dodała gazu.

Policjanci rozbiegli się, aby uniknąć potrącenia. Obity czarny taurus staranował środkowy radiowóz. Odłamki karoserii, potłuczone szyby i szkła reflektorów posypały się na wszystkie strony, a kobieta wypadła przez przednią szybę. Bezwładne ciało zahaczyło o dach policyjnego pojazdu i przekoziółkowało nad nim, kończąc na utwardzonym poboczu.

Gdy funkcjonariusze zbliżyli się do ofiary, wiedzieli już wszystko. Twarz i włosy kobiety były umazane krwią, a jej głowa tkwiła w nienaturalnym ułożeniu w stosunku do ciała — odcinek szyjny kręgosłupa nie wytrzymał uderzenia.

ROZDZIAŁ 30

Manhattan, Nowy Jork

Kate Frost i Lilian Adler siedziały w olbrzymiej sali konferencyjnej razem z kilkudziesięcioma innymi osobami, które w momencie wypadku dyrektora Brysona przebywały na najniższym piętrze budynku. Spisywano po kolei każdego, a odnotowanych posyłano na drugi koniec pomieszczenia. Policjanci i ochroniarze musieli zanotować dane wszystkich osób przebywających w budynku podczas incydentu. To samo działo się na pozostałych piętrach. Każde z nich zamknięto i zabroniono ludziom przemieszczać się pomiędzy nimi. Trwało to już dobrych kilka godzin i wyczerpanie oraz nerwy dawały o sobie znać. Dodatkowo odgłosy z ulicy, na której toczyła się akcja policyjna, nie wpływały korzystnie na samopoczucie zgromadzonych.

Pomiędzy wycieńczonymi pracownikami zaczął przedzierać się policjant. Zatrzymał się na środku sali i krzyknął:

— Proszę o uwagę! — Szmery rozmów ucichły. — Dziękujemy państwu za cierpliwość! Piętro trzydzieste drugie, jedna z wind oraz dach zostały wyłączone z użytku do czasu zakończenia pełnego śledztwa. Uprzejmie prosimy, aby osoby, które nie muszą przebywać w budynku, powoli zaczęły go opuszczać. Dziękuję i apeluję o ostrożność podczas ewakuacji!

Gdy policjant skończył, ludzie leniwie ruszyli w kierunku wyjścia. Apele o rozwagę nie były potrzebne. Wycieńczenie większości osób było nad wyraz widoczne. Część zebranych wręcz pozostała na zajmowanych miejscach, dając pierwszeństwo bardziej żwawym kolegom.

— Co o tym wszystkim myślisz? — odezwała się Kate.

— Nie wiem... To straszne — odparła załamana Lilian. — Najgorsze jest to, że musimy wrócić do pracy i zachowywać się, jak gdyby nigdy nic. Na dodatek będziemy musieli o tym napisać i powiedzieć. Wyobrażasz to sobie?

Kobiety wraz z tłumem wolno przesuwały się w kierunku głównego hallu. Kate zauważyła, że z przeciwnej strony przedziera ją się dwaj ochroniarze. Kiedy zatrzymali się tuż przed nią, wiedziała już, że to jeszcze nie koniec.

— Panna Frost?

— Tak.

— Pozwoli pani z nami. Mamy kilka dodatkowych pytań.

Kobiety wymieniły enigmatyczne spojrzenia.

— O co chodzi? — zapytała Lilian.

— Tak jak powiedziałem, mamy kilka pytań do panny Frost i chcielibyśmy, aby na nie jak najszybciej odpowiedziała.

— Wszystko w porządku — Kate uspokoiła przyjaciółkę. — Zadzwoń do ciebie, jak będę wolna.

— Nie rozumiem — rzuciła roztrzęsiona Lilian.

— Ja też nie, ale mam nadzieję, że wszystko za chwilę się wyjaśni. To na pewno jakieś nieporozumienie.

Kobiety pożegnały się i Kate, eskortowana przez dwóch osiłków w czarnych garniturach, wydostała się z tłumu. Odprowadzeni podejrzliwymi spojrzeniami pracowników minęli recepcję.

Jeden z ochroniarzy wymownym gestem ręki wskazał korytarz, w który skręcili, a następnie poszedł przodem i zatrzymał się przy trzecich z kolei drzwiach. Otworzył je specjalną kartą i zaprosił kobietę do środka. Za nią wszedł jego współpracownik. On sam pozostał na zewnątrz — stanął na straży.

Pomieszczenie było skromnie urządzone. Do wyposażenia należał tylko metalowy stolik i składane krzesła. Dodatkowym elementem był płaski telewizor, zawieszony w rogu pod sufitem.

— Witam, panno Frost — zaczął szorstko olbrzym siedzący za stolikiem i wskazał miejsce naprzeciwko. Mężczyzna był potężny, miał kanciastą twarz i rysy płatnego zabójcy. — Nazywam się Barton, a to detektyw Mills, który będzie nam towarzyszył. — Szef ochrony przedstawił niewysokiego policjanta stojącego w kącie sali. Ten skinął głową na powitanie. Normalnie sam przesłuchałby świadka, ale postanowił dać wolną rękę człowiekowi, którego dobrze znał, i który na co dzień tutaj rządził.

Na chwilę zapanowała cisza. Wes Barton kończył studiować skromne dane dostarczone przez policję. Specjalnie to przeciągnął, aby zdenerwować kobietę.

— Nie chcę być nieuprzejma, ale powiecie mi, dlaczego się tutaj znalazłam? — Kate nie wytrzymała narastającego napięcia.

— Z dwóch powodów. — Barton wyprostował się. — Po pierwsze... Była pani jedną z siedemnastu osób, które nie należały do pracowników, a znajdowały się na terenie budynku w chwili śmierci pana Brysona.

— Gdzie pozostałych szesnaście?

— Czekają na swoją kolej.

— A po drugie?

— Pani jako ostatnia widziała się z dyrektorem.

Kate zaniemówiła. Już wiedziała, dlaczego to właśnie ona trafiła do sali przesłuchań — była podejrzaną numer jeden o zabójstwo. W myślach szybko zaczęła analizować wizytę u Josepha Brysona. Przypomniała sobie, że nie tylko ona widziała go tuż przed śmiercią.

Wes Barton zauważył zmieszanie kobiety. Dał podejrzaną trochę czasu, jednak nie miał zamiaru go marnować — dokładnie

obserwował jej zachowanie, wnikliwie analizując każdy, nawet najdrobniejszy ruch.

— Mylicie się! — zaprzeczyła ku zdziwieniu wszystkich.

— A to dlaczego? — Barton oparł się o blat.

— Byłam w biurze dyrektora, ale zanim wyszłam, pojawił się Jason Batt. Pewnie go pan zna. Nazywają go... — Zimny dreszcz przeszedł po plecach dziennikarki. — O mój Boże... Myślicie, że to on mógł...

— Nie sądzę... Pan Batt również ucierpiał. Został poważnie ranny i karetka odwiozła go do szpitala.

— Chciałbym sprostować — zabrał głos policjant. — Dopóki śledztwo się nie zakończy, nie wykluczamy nikogo.

Barton odwrócił głowę i spojrzał wilkiem na oficera. Nie znosił, jak ktoś mu przeszkadza, ale wiedział, że musi tolerować tego człowieka, nawet będąc na swoim terenie. Całkowicie zignorował tę wypowiedź i pozwolił kobiecie kontynuować.

— W takim razie, kto mógł to zrobić? — zapytała Kate.

— Właśnie próbujemy to ustalić. Mamy pewne podejrzenia, ale ich ujawnienie mogłoby zaszkodzić dalszemu śledztwu — odpowiedział detektyw ku rosnącemu niezadowoleniu szefa ochrony.

— Rozumiem, dlaczego mnie tutaj sprowadziliście, ale naprawdę nie wiem, co mogłabym wnieść do śledztwa. Gdy zdarzył się ten wypadek... morderstwo... — głos Kate załamał się — byłam na dole i piłam kawę w restauracji razem ze znajomą. Ona może to potwierdzić.

— Rozumiem i wierzę w to, że nie pani wypchnęła dyrektora z trzydziestego drugiego piętra, bo musiałby bardzo długo lecieć. Może jednak widziała pani coś, co mogłoby nam pomóc?

— Być może dyrektor Bryson powiedział coś albo dziwnie się zachowywał? — wtrącił detektyw.

Kate znieruchomiała, co nie uszło uwadze Bartona. Przypomniała sobie, że w torebce ma kopertę, którą otrzymała od Josepha Brysona. A jeżeli ci ludzie właśnie tego szukają, zachodziła w głowę. Jeżeli to im pomoże? A może to coś, co ich pogrąży? Dlaczego dziennikarz miałby pozbywać się sensacyjnego materiału? Przeleciała wzrokiem po twarzach otaczających ją mężczyzn. A jeżeli oni wcale nie mieli zamiaru nikomu pomóc, nikogo łapać, tylko chcieli wybadać, co wie? Życzeniem dyrektora było dostarczenie koperty do rąk własnych jej szefa, więc postanowiła uszanować *ostatnią wolę* Josepha Brysona, może i dla własnego bezpieczeństwa.

— Nie przypominam sobie niczego nietypowego — odpowiedziała wreszcie.

— Mieszka pani w Waszyngtonie?

— Zgadza się.

— Dlaczego odwiedziła pani dyrektora akurat dzisiaj? — Barton wyczuł, że czegoś nie dopowiedziała.

Usłyszawszy to pytanie, Kate straciła resztki pewności siebie. Szef ochrony wysnuł słuszny wniosek, a ona, chcąc zachować tajemnicę, musiała szybko wymyślić jakieś kłamstwo. Wtedy ją olśniło. Nie musiała kłamać — mogła powiedzieć szczerą prawdę.

— Powiem wam dlaczego, ale proszę nie rozpowiadać tego, bo mogę stracić pracę. — Popatrzyła błagalnie po zebranych.

— Jasne... — Wes Barton ściągnął brwi. Wreszcie jakieś konkrety, pomyślał.

— Pan Bryson zaproponował mi pracę. Widząc jeden z moich reportaży, uznał, że jestem tym, kogo szuka. Nie chcąc, aby ktoś

z mojej stacji nabrał podejrzeń, wykorzystałam wyjazd służbowy jako przykrywkę. Miałam przeprowadzić wywiad ze sławnym pisarzem, a ostatecznie postanowiłam upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. A nawet trzy.

— Trzy?

— Spotkałam się jeszcze z przyjaciółką.

— Hmm... I dostała pani tę pracę? — zapytał zawiedziony Barton.

— Nie... — Kate udała smutek. — Pensja, jaką mi zaoferowano, była znacznie niższa od tej, którą mam obecnie, a poza tym... musiałabym się przeprowadzić. Owszem, brałam to pod uwagę, ale liczyłam na...

— Rozumiem — przerwał jej Barton, podnosząc dłoń. — No cóż... Myślę, że na razie to wszystko... — Spojrzał na detektywa, który skinął głową. — Mamy do pani numer, więc będziemy dzwonić w razie czego.

— Żałuję, że nie mogłam bardziej pomóc.

— My również — dorzucił detektyw, który, podobnie jak szef ochrony, średnio wierzył w historię dziennikarki-karierowiczki i ciągle, nawet gdy wstawała z krzesła, lustrował ją wzrokiem.

Wychodząc, Kate zatrzymała się w drzwiach i obrzuciła ich błagalnym spojrzeniem.

— Jeszcze raz panów proszę, aby powód mojej wizyty tutaj pozostał między nami.

— Oczywiście... — odpowiadając, Barton nawet na nią nie spojrzał. Zagłębiał się już w akta kolejnej osoby.

Kate opuściła pomieszczenie techniczne, służące obecnie za pokój przesłuchań. Idąc korytarzem, minęła sporo osób z identyfikatorami *gości*, które również, podobnie jak ona, nie

pracowały dla stacji, a były w budynku podczas tragedii. Gdy już uspokoiła oddech i uporządkowała myśli, wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Nicka.

— Cześć, kochanie... — Usłyszała powitanie, częściowo zagłuszone przez szum pędzącego samochodu i jakiś niezrozumiały policyjny komunikat.

— Jeżeli stoisz, to usiądź — zaczęła. — Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło.

— Nie wiem, czy przebijesz moją historię, ale możesz spróbować — powiedział ironicznie Nick.

— Jesteś zajęty?

— Wiozę świadka na komisariat — odparł krótko. — Nie mogę wdawać się w szczegóły.

— Wszystko w porządku?

— Tak. Teraz już tak. Kiedy wracasz?

— Pewnie jeszcze dziś. Właśnie odbyłam mało przyjemną rozmowę z trzema facetami, z których jeden wyglądał groźniej od drugiego.

— Co się stało?

— Przed chwilą byłam świadkiem, jak jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Nowym Jorku spadł z trzydziestego drugiego piętra prosto na zaparkowany przy chodniku samochód.

— Żartujesz?!

— Chciałabym... Najpierw spisano mnie jako świadka, potem zaczęto wypytywać o szczegóły mojego spotkania z tym człowiekiem. Widziałam się z nim jakieś dziesięć, może piętnaście minut przed tym zdarzeniem. Powiedzmy sobie szczerze... Twoja narzeczona właśnie stała się główną podejrzaną o morderstwo.

— I wypuścili cię? — Nick sygnął czarnym humorem.

- Mnie nie było do śmiechu jeszcze przed chwilą.
- Domyślam się...
- Cholera... — Spojrzała na zegarek.
- Co tym razem?
- Nie zdążę na samolot. Za długo to wszystko trwało.
- Wróc rano. Jedź do przyjaciółki, pogadajcie trochę, odpocznij.
- Odbierzesz mnie jutro z lotniska?
- Postaram się. Daj znać, o której będziesz i uważaj na siebie.
- Dobrze, kocham cię.
- Ja ciebie też.

Kate schowała telefon do torebki. Wreszcie mogła opuścić przygnębiający wieżowiec. Spodziewała się, że trafi prosto na dziennikarską strzelnicę z wycelowanymi w nią obiektywami, że wpadnie w tłum gapiów, a tymczasem na zewnątrz zastała pustkę. Wszyscy kłębili się za żółtymi taśmami rozciągniętymi pomiędzy radiowozami ustawionymi w promieniu pięćdziesięciu metrów od miejsca zdarzenia.

Skinieniem głowy pożegnała się z policjantem, który stał przy wejściu i wsiadła do najbliższej taksówki.

— Dzień dobry pani — powiedział łagodnie czarnoskóry kierowca, zerkając w lusterko. — Dokąd?

— Hotel Victoria — odpowiedziała obojętnie.

— Oczywiście. Przepraszam, jeżeli będę wścibski, ale czy pani wie, co się tam stało? — zapytał taksówkarz, ruszając z miejsca.
— Wszędzie pełno policji. Przed chwilą przejechał tędy wóz korone-ra. Wygląda mi to na jakąś grubszą sprawę.

Nie chcąc zdradzać zbyt wielu szczegółów, odpowiedziała wymijająco:

— Chyba ktoś skoczył z dachu.

— Tak myślałem... Kolejny nie wytrzymał. To już trzeci w tym miesiącu. Gięda zbiera swoje żniwo. Coraz częstsza przypadłość tego miasta — powiedział niewzruszony taryfiarz i spojrział w lusterko, licząc, że nawiąże kontakt wzrokowy z klientką. Ta jednak odwróciła głowę i patrzyła przez tylną szybę na powoli znikające w oddali rozbłyśki czerwono-niebiesko-białych świateł.

ROZDZIAŁ 31

Wes Barton skończył przesłuchiwać ostatnią z osób, które nie pracowały w budynku stacji, a były w nim obecne podczas morderstwa dyrektora Brysona. Wyszedł z pomieszczenia, w którym spędził ponad trzy godziny i rozprostował ramiona, napinając wszystkie zastygłe mięśnie. Rozkazał swoim ludziom mieć się na baczności i na wszelkie możliwe sposoby ułatwiać pracę policji. Pożegnał się z detektywem i poszedł do centrum monitoringu. Siedzieli tam dwaj młodzi informatycy i przeglądali nagrania z kamer ochrony.

— Macie coś? — zapytał donośnym głosem Barton, stając pomiędzy nimi.

Mężczyźni nawet na niego nie spojrzeli.

— Niestety nie, szefie. Wszystko wskazuje na to, że zabójca dostał się do budynku w przebraniu serwisanta. Pogrzebał w głównym komputerze. Wpuścił do systemu piracki program, który na szczęście już usunęliśmy. Gdy opuścił podziemia — chłopak wskazał na prawy monitor, gdzie zrobił stopklatkę — od razu poszedł w stronę wind i pojechał do góry. W kabinie zmienił strój. Pokaż to...

Drugi technik włączył krótkie nagranie, po czym zabrał głos:

— Cwany gnojek. Obrócił się tyłem do kamery w windzie i wiedział, gdzie mamy rozmieszczone pozostałe kamery, więc przy każdej sprytnie zasłonił twarz. Jak do tej pory, na żadnym nagraniu nie jesteśmy w stanie go rozpoznać, a sprawdziliśmy już wszystkie kamery. Jego przebranie w strój Bonda to ostatnia czynność, jaką zarejestrowaliśmy. Po tym nie ma już nic.

— A odbicie w lustrze? W windzie mamy lustra.

— Za słaby sprzęt. Nie da rady na tyle wyostrzyć, żeby rozpoznać twarz.

— A kamera na trzydziestym drugim piętrze?

— Tydzień temu podpisał pan papierek w związku z wymianą tej kamery. Nową mieli przywieźć jutro.

— Ja pierdołę... Na śmierć zapomniałem. Pięknie! Sami przygotowaliśmy dla siebie sznur — skomentował wzburzony Barton.

— Nie pana wina, że uszkodzono ją podczas malowania.

— Moja, bo malowanie skończyło się miesiąc temu. Mogłem zarządzić wymianę wcześniej. Już widzę, jak mnie za to krzyżują. Wezmą najdłuższe i najbardziej tępe gwoździe.

Nastąpiła chwila ciszy.

— A helikopter? Sprawdziliście to, o co prosiłem?

— Ten facet to profesjonalista. Zanim wystartował, rozwalił albo wyłączył urządzenie naprowadzające.

— No tak... Unieruchomiwszy windy, dał sobie na to aż nadto czasu... Cholera jasna! — Barton rąbnął pięścią w stół. — Czyli nie mamy nic!

— A ten cały Batt? — zapytał młody informatyk. — Przecież był naocznym świadkiem morderstwa!

— Prawdopodobnie... To nasza jedyna nadzieja — przyznał Barton. — Jeżeli on nam nie pomoże, to leżymy i kwiczymy! Na razie jest nieprzytomny i nie wiadomo, kiedy się obudzi. Został postrzelony i stracił sporo krwi. Na dodatek przywalił czachą o szafkę. Diabli wiedzą, ile będzie po tym wszystkim pamiętał. Szukajcie dalej i informujcie mnie na bieżąco.

— Jasne, szefie.

— Mam już dzisiaj dość. Jadę do domu. Dowodzenie przekażę Louisowi. Aaa...! Macie już zrobione te kopie dla policji?!

— Robią się...

— Zadzwońcie im, jak skończycie. Będzie to dobrze wyglądało z naszej strony, skoro i tak spierdoliliśmy z kamerą na górze. Gdyby pojawiło się coś nowego, dzwońcie o każdej porze.

— Jasne... — bąknął młodzik i osunął się na niewygodnym krześle, przyjmując luzacką pozę.

Wes Barton opuścił centrum monitoringu i przez krótkofalówkę oznajmił wszystkim, kto obejmuje pieczę nad nocną zmianą. Wybrana osoba miała udzielić wszelkiego możliwego wsparcia funkcjonariuszom prowadzącym dochodzenie.

Korzystając z windy, udał się na podziemny parking. Odszukał swój samochód i pośpiesznie opuścił teren budynku. Nerwowo poluzował krawat. Rzygał już tym wszystkim. Szybko dotarł pod kamienicę na Madison Road, gdzie mieszkał. Zatrzymał się przy krawężniku, wyszedł z samochodu i uzbroił alarm.

Mieszkał w spokojnej okolicy, ale przez wzgląd na swoją pracę uważał, że ostrożności nigdy za wiele. Gdy tylko wszedł do domu, od razu pomknął na piętro — do pokoju, w którym zawsze miał zasłonięte okno. Na środku znajdowały się trzy połączone stoły, a na nich stały liczne monitory. Wszystkie były w trybie czuwania.

Usiadł przy konsoli i nacisnął spację na klawiaturze. Małe diodki na obudowach monitorów zmieniły kolor z żółtego na zielony.

Prawy monitor wizualizował obejście kamienicy. Jego ekran był podzielony na dziewięć kwadratów, a każdy z nich odpowiadał określonemu sektorowi. Na pozostałych monitorach wyświetlane były aktualne obrazy z kamer znajdujących się wewnątrz i na zewnątrz wieżowca, w którym na co dzień pracował.

Wes Barton nie był pracoholikiem, ale lubił swoje zajęcie i był mu bezgranicznie oddany. Jako szef ochrony miał dostęp do każdego rozwiązania, które pomogłoby zachować bezpieczeństwo na terenie obiektu, za który odpowiadał.

Gdy zakończył sondować pracę swoich podwładnych oraz śledczych szwendających się po budynku, przejechał krzesłem do biurka, na którym stał pojedynczy monitor. Włączenie komputera znajdującego się pod blatem zaowocowało pojawieniem się komunikatu powitalnego na monitorze. Chwilę później sprzęt był gotowy do przyjęcia pierwszych poleceń.

Barton uwielbiał mieć pełną kontrolę nad sytuacją, ale lubił też zaskakiwać. Kliknął dwukrotnie ikonę w kształcie małych słuchawek. Włączyło się kilka opisanych okienek. W tej chwili interesowało go tylko jedno, opatrzone napisem *GABINET JOSEPHA BRYSONA*. Wrzucił je na pierwszy plan. Przez całe okienko przesuwwały się pionowe, długie kreski. Barton założył profesjonalne słuchawki, ale od razu musiał je zdjąć. Szum, jaki w nich panował, był nie do zniesienia. Szybko ściszył dźwięk prawie do minimum i ponowił czynność. Teraz było już całkiem znośnie, jednak nie tego oczekiwał. Przewinął wstecz i wybrał interesującą go godzinę, po czym włączył odtwarzanie. Dioda twardego dysku serwera zaczęła szybciej pulsować i usłyszał wyraźne zdania.

— *Świetny reportaż. Przy okazji... Nie chciałaby pani pracować dla nas? Mamy akurat jedno wolne miejsce. Drugi raz nie zapytam...*

— *Przepraszam, ale... przyszłam tylko odebrać dokumenty dla pana Corrigan.*

— *Wiem, ale profesjonaliści nie rosną na drzewach. Trzeba o nich zabiegać, jak tylko pojawią się na horyzoncie.*

— *Jest pan bardzo uprzejmy...*

— Szukamy pracy, akurat... — rzucił nerwowo Barton. Bez problemu rozpoznał ludzi rozmawiających ze sobą. Od początku wiedział, że ta kobieta nie powiedziała mu całej prawdy. Cofnął nagranie, aby utwierdzić się w przekonaniu.

— *...wolne miejsce. Drugi raz nie zapytam.*

— *Przepraszam, ale... przyszłam tylko odebrać dokumenty dla pana Corrigan.*

— *Wiem, ale...*

— Suka... — mruknął pod nosem.

Niestety, pomimo odkrytych w zeznaniu nieścisłości, wiedział, że kłamstwo kobiety niewiele zmienia — to nie ona zabiła dyrektora. Była wtedy gdzie indziej i nie musiał zatrudniać jasnowidza, żeby stwierdzić, że ktoś inny za to odpowiada — prawdopodobnie facet, który dostał się do budynku i rozwalił system. Kobietę Barton zostawił sobie na deser. Na tę chwilę interesował go sam moment zabójstwa. Przesunął nagranie do przodu. W słuchawkach pojawił się nowy głos.

— *Widzę, że masz gościa.*

— *To panna Frost, dziennikarka z Waszyngtonu.*

— *Szkoda... Gdybym wiedział, przyszedłbym wcześniej.*

— *Proszę... To przesyłka, o której rozmawialiśmy.*

— *Jak tylko wrócę do Waszyngtonu, przekażę ją panu Corriganowi. Dziękuję za poświęcony czas.*

— *Było mi bardzo miło panią poznać, panno Frost. Życzę spokojnej podróży i błyskawicznego rozwoju kariery. W razie czego proszę pamiętać o moim znajomym, który wynajmuje mieszkania.*

— *Dziękuję. Do widzenia panom.*

Mamy naszą drugą ofiarę, pomyślał Barton. Tym razem nie ruszał kursorem. Wiedział, że lada moment do gabinetu wejdzie morderca. Kilka minut dialogu Jasona Batta z Josephem Brysonem dłużyło się w nieskończoność. Barton poprawiał się w fotelu, nie mogąc znaleźć dla siebie wygodnej pozycji. Siedział jak na szpilkach, czekając na wielki finał. Wreszcie rozmowa dotarła do etapu, na który czekał.

— *...jeżeli dotrą do zdrajcy, dotrą też do ciebie, a potem do mnie. Informacja mogłaby przepaść na zawsze. W Waszyngtonie mam dobrego znajomego, któremu mogę zaufać. Nie ujawni niczego bez mojej zgody. Jego zadaniem będzie przechować tę informację na wszelki wypadek.*

— *Jak uważasz. Według mnie niepotrzebnie zwlekamy.*

W tym momencie nastąpiła krótka pauza zakończona odgłosem otwieranych drzwi.

— *Przepraszam, kim pan jest? Był pan umówiony? Proszę stąd wyjść. Jestem właśnie w trakcie...*

Słowa Brysona zostały przerwane kilkoma strzałami z pistoletu zaopatrzonego w tłumik. Według szybkiej analizy Bartona, dwa pociski musiały trafić w dyrektora, a cztery pozostałe w szyby za nim. W słuchawkach rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, a potem wszystko zostało zdominowane przez szum wiatru, który gwałtownie wdarł się do gabinetu.

Barton zdjął słuchawki. Rzucając je na blat, zaklął pod nosem.

— Cholerny wiatr... — powiedział do siebie. — Chociaż może... — Nałożył je ponownie. Jego sprzęt był prymitywny pod wieloma względami — służył tylko do odtwarzania. Nie miał w programie opcji umożliwiających obróbkę dźwięku. Wyłuskanie chociażby kilku odgłosów z tego całego zamętu okazało się niemożliwe. Prześledził dokładnie sekundę po sekundzie, jednak biurko, w którym był ukryty podsłuch, znajdowało się zbyt blisko okna. Szelest nieprzejednanie dominował.

Gdy był już pewien, że nie usłyszy niczego więcej, do jego uszu dotarł charakterystyczny trzask. Natychmiast zanotował dokładną godzinę, o której nastąpił. Cofnął nieco nagranie, aby ponownie odsłuchać ten fragment. Domyślił się, że ów odgłos padł w chwili, kiedy zabójca opuścił gabinet i nie dał rady spokojnie zamknąć drzwi — przeciąg wyrwał mu klamkę z ręki.

Barton cofnął nagranie do momentu, w którym morderca wszedł do gabinetu. Łatwo obliczył, że zabójca spędził tam około trzech minut. Od razu domyślił się, że ów osobnik miał nie tylko zlecenie na dyrektora stacji, ale również na coś jeszcze. Być może chodziło o informacje przechowywane w sejfie. Gdyby sprawa dotyczyła samego morderstwa, to taki profesjonalista

uwinałby się w kilka sekund i nie czekał na oklaski, pomyślał Barton.

Ponownie odtworzył całe nagranie, aby dokładnie przysłuchać się rozmowie Batta z dyrektorem. Była dość enigmatyczna, ale wnioski nasuwały się same. Joseph Bryson posiadał informacje, które zagrażały jego życiu. Jako doskonały analityk wiedział, że wraz z jego śmiercią mogą przepaść na zawsze. Wykonał ich kopię i przesłał do Waszyngtonu.

Wtedy Barton doznał olśnienia — kobieta, którą parę godzin wcześniej przesłuchiwał, a którą wypuścił z rąk, była kurierem mającym, być może nieświadomie, przetransportować kopię tych danych do stolicy.

ROZDZIAŁ 32

Waszyngton

Gdy Nick Stewart i Jessica Miller dotarli na komisariat, było już ciemno. Detektyw bez pytania przyniósł dwie kawy z automatu. Wybrał te najmocniejsze. Wiedział, że to będzie dla nich długi wieczór. Wchodząc do swojego biura, zobaczył, jak kobieta z ciekawością przygląda się tablicy, na której rozwiesił zdjęcia zaginionych i najważniejsze informacje o nich. Czołowe miejsce zajmował Russell Miller.

— Przepraszam, nie chciałam... — Przyłapana na rozglądaniu się po biurze, zawstydzona się i natychmiast odwróciła wzrok od tablicy.

— W porządku — uśmiechnął się. — Przecież nie mogę pani zabronić patrzeć. — Całkowicie zapomniał, że od dwóch dni jego biuro stało się miejscem, gdzie próbował rozwiązać zagadkę,

którą szef kazał mu trzymać z dala od kogokolwiek. Miał cichą nadzieję, że Jessica Miller nie zacznie zadawać niewygodnych pytań. Na szczęście, gdy kobieta zobaczyła kubek gorącej kawy, zapomniała o wszystkim, jej oczy pojaśniały, a na twarzy pojawił się niewymuszony uśmiech. Od razu odżyła. Wzięła kilka łyków, prawie parząc sobie gardło. Kawa nie była najlepszej jakości, jak zresztą każda lura z automatu, ale w tej chwili Jessica Miller niczego więcej nie pragnęła.

— Nie wiem, czy będę w stanie jeszcze dzisiaj panu pomóc. Proszę mnie zrozumieć... Tego popołudnia wydarzyło się więcej dziwnych rzeczy niż w ciągu całego mojego życia. — Usiadła na krześle.

— Doskonale panią rozumiem, jednak im wcześniej zaczniemy, tym większe szanse na odnalezienie pani męża. — Umyślnie pominął słowo *żywego*.

— Dobrze. W takim razie... miejmy to z głowy — powiedziała zrezygnowana i oparła się o biurko.

Nick otworzył akta, które znał już na pamięć. Sam nie wiedział, od czego zacząć. Strzelał wzrokiem po rubrykach, aż w końcu odłożył teczkę.

— Na początku skupmy się na wydarzeniach dzisiejszego wieczoru. Jeżeli się nie mylę, są one bezpośrednio powiązane ze zniknięciem pani męża. — Postukał w teczkę. — Proszę jeszcze raz opowiedzieć, minuta po minucie, co się działo po powrocie do domu.

Kobieta westchnęła. Nie chciała ponownie do tego wracać, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Spojrzała w podłogę, próbując przypomnieć sobie ostatnie godziny.

— Przyjechałam, zamknęłam samochód w garażu i poszłam w kierunku wejścia. Wyciągnęłam klucz, ale drzwi były już

otwarte.

— Nie weszła pani przez garaż do domu?

— Nie, niedawno ktoś ukradł mi torebkę. Były w niej klucze. Wymieniliśmy główne zamki, ale nie zdążyliśmy jeszcze zmienić tych w drzwiach pomiędzy domem a garażem. Jedyne komplet miał Russ.

— Gdzie panią okradli?

— W centrum handlowym. Nawet nie wiem, kiedy to się stało.

— Zgłaszała to pani?

— Oczywiście. Na kamerach niczego nie znaleźli.

— Rozumiem... Uściślijmy... Drzwi domu były otwarte na oścież, uchylone, zamknięte z otwartym zamkiem?

— W pierwszej chwili myślałam, że zamknięte, ale gdy próbowałam włożyć klucz do zamka, otworzyły się. Były przymknięte, ale nie zamknięte.

Nick zanotował kilka wyrazów w swoim wysłużonym notesie.

— O której to było?

— Jakies dziesięć minut przed próbą pozbawienia pana dłoni.

— Co było dalej?

— Weszłam i usłyszałam jakieś szmery na górze.

— Czy może je pani dokładnie opisać?

— Brzmiało jak przesuwanie czegoś po podłodze. Później okazało się, że była to kocia miska z jedzeniem.

— Pamiętam... — przytaknął Nick, nie przestając robić notatek.

— Usłyszałam hałas i wzięłam z kuchni nóż. W pierwszej chwili myślałam, że to Russ, ale nie odezwał się, jak go zawołałam. Na górze potknęłam się o krawędź dywanu. Upadłam, popychając

drzwi i uderzyłam się w głowę. Następne, co pamiętam, to pana kroki i cień.

— A kiedy wróciła pani ponownie do domu, gdy policjanci rzekomo wszystko sprawdzili, usłyszała pani lub zobaczyła coś podejrzanego?

— Ma pan na myśli włamywaczkę, która ukradła samochód?

— Tak.

— Nikogo nie widziałam.

— Nie słyszała pani uruchamianego samochodu?

— Może i tak, ale nie uznałam tego za istotne. Myślałam, że to któryś z radiowozów na zewnątrz. Pomyślałby pan, że właśnie ktoś kradnie pana samochód, gdy na chodniku roi się od policjantów?

— Słuszna uwaga... Co więcej, myślę, że to nakarmienie kota było znacznie mniej przypadkowe, niż mi się początkowo wydawało.

— Dlaczego?

— Karmiła pani kiedyś kota w pokoju?

— Nie, zawsze w kuchni.

— Otóż to. Widzieli podjeżdżający samochód i chcieli odwrócić pani uwagę. Może i sami zaczęli szurać miską i wydawać dziwne odgłosy, aby tylko zwabić panią na górę. Myśleli, że się wymkną, ale pojawiłem się ja i odciąłem im drogę. Musieli przeczekać.

— Najpierw Russ zniknął, a teraz jeszcze to. — Kobieta rozplakała się i zakryła twarz dłońmi.

— Obiecuję, że znajdziemy pani męża. Stawiam na to moją reputację — powiedział pewnie Nick. — Może chociaż uda mi się załatwić pani jakiś samochód. Ostatnio odstawiono na policyjny parking czerwone ferrari jakiegoś mafiosa. Myślę, że nie będzie

miał nic przeciwko — powiedział żartobliwie Nick, próbując rozładować nieco atmosferę.

Kobieta podniosła wzrok. Zapłakane oczy mówiły za nią.

— Kolor nawet ten sam, ale gdzie tam ferrari do mojego ukochanego starego forda... — powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Nick stracił wątek. Liczył na jakiś przełom, a tymczasem pojawiły się dodatkowe pytania bez odpowiedzi. Upił trochę kawy. Smakowała jeszcze gorzej niż zwykle. Od niechcienia ponownie otworzył akta sprawy. Dotarł do opisu domniemanych okoliczności porwania Russella Millera — jego wzrok przykuł opis samochodu. Do akt wpisany był czarny ford taurus, rocznik 2010. Nick zatrzymał się chwilę na tych danych. Przeczytał je ponownie i spojrzał niezrozumiale na kobietę.

— Wiem, że jest pani zmęczona, ale coś mi się tu nie zgadza. Proszę spojrzeć... — Długopisem wskazał fragment. — Mam napisane, że pani mąż zniknął razem z samochodem, czyli czarnym fordem taurusem.

Kobieta przymrużyła oczy. Okulary do czytania miała w torebce i odczytanie, a co dopiero zrozumienie tego fragmentu zajęło jej trochę czasu. Ostatecznie na jej twarzy pojawiło się wyraźne zdumienie.

— Ja też nie rozumiem — odparła skonsternowana.

— W kartotece jest napisane... — zaczął Nick, jednak nie zdążył dokończyć, bo Jessica Miller weszła mu w słowo:

— Mój Boże! Przepraszam... Jezu... Wszystko pochrzałam...

— Pokręciła ze zrezygnowaniem głową. — Gdy zgłaszałam zaginięcie, byłam przekonana, że, jak co dzień, Russ zabrał swój samochód. Zapomniałam, że tego dnia wziął moje auto. Powiedziałam mu, że coś się dzieje z prawym kołem i chciał to

sprawdzić. Wie pan, jak to z wami, facetami, jest. Musiał ocenić to osobiście. Nie mógł mi zaufać na słowo. Głupia baba za kierownicą. Całkowicie wyleciało mi to z głowy!

Nick, słuchając wyjaśnień, wyprostował się. Zaczął przeglądać swój notes, w którym zapisywał poszlaki dotyczące prowadzonych śledztw. Gdy odnalazł stronę ze skąpych informacjami, jakie udało mu się wyłuskać od współpracowników Millera, jego wzrok zatrzymał się na opisie samochodu, którego tajemniczy kierowca wyrządził szkodę jednemu z robotników z nocnej zmiany.

— Czerwony ford galaxy? — rzucił Nick.

— Skąd pan wie?

— A ja biegam za czarnym taurusem, podczas gdy ten stoi w waszym garażu — zirytował się, ale trudno było kobietę winić. Od razu skorygował błąd w aktach i podszedł do tablicy, gdzie również naniósł poprawki. Usiadł z powrotem przy biurku i wyjaśnił żonie uprowadzonego sytuację, która prawdopodobnie rozegrała się w podziemiach centrum handlowego. Nagle wszystko ułożyło się w całość. Nick poznał dokładną godzinę porwania oraz ułożył sobie wielce prawdopodobny scenariusz zdarzeń, jakie miały miejsce tego feralnego dnia.

Rozmowa z panią Miller trwała jeszcze pół godziny, jednak nie wniosła do śledztwa żadnych istotnych informacji. Kiedy skończyli, wezwał taksówkę, która odwiozła kobietę do przyjaciółki — tam miała spędzić noc. Został sam w biurze i po raz kolejny podszedł do tablicy, aby po raz setny jej się przyjrzeć. Zdał sobie sprawę, że przełom, jaki dokonał się odnośnie samochodu, był w rzeczywistości mało istotny. Co gorsza, Nick nie wiedział, gdzie szukać kolejnego punktu zaczepienia. Miał nadzieję, że pościg za uciekinierką zakończy się pomyślnie i w ten sposób zdobędzie kolejne informacje.

Rozległo się pukanie. Osobnik na korytarzu nie czekał na zaproszenie — kapitan wszedł i zatrzęsął za sobą drzwi.

— Cholera jasna! — przywitał się na swój charakterystyczny sposób i rzucił na biurko jakieś akta.

— Mam się bać?

— Jak dziwka remontu drogi. Ale najpierw poczytaj sobie... — Cussler stanął przed tablicą, tyłem do Nicka i zaczął przyglądać się efektom jego pracy. Ten z zainteresowaniem sięgnął po teczkę. Po otwarciu zobaczył zdjęcie atrakcyjnej kobiety o rudych włosach i nieco przesadzonym makijażu.

Kapitan w tym czasie zaczął nerwowo krążyć po biurze.

— Tu nic nie ma... — odezwał się Nick, przelatując wzrokiem po pustych tabelkach.

— Już myślałem, że nie zauważysz...

DZIEŃ 5

ROZDZIAŁ 33

Szpital Roosevelta, Nowy Jork

Pacjenci oraz ich rodziny i znajomi snuli się po korytarzach szpitala. Wśród nich co chwilę dało się zauważyć zagonionego lekarza lub pielęgniarkę w białym albo niebieskim kitlu, w pośpiechu mijających resztę smutnych, nijakich postaci. Szmery rozmów rozchodziły się po korytarzach, dochodząc ostatecznie także do pokoju 103, gdzie leżał nieprzytomny Jason Batt.

Kiedy przypadkowy osobnik pospiesznie przebiegł przez drzwi działowe jednego z korytarzy, przestarzała automatyka nie stawiała wystarczającego oporu i metalowe skrzydło uderzyło o ogranicznik. Głośny trzask rozniósł się po piętrze, docierając do każdego zakamarka.

Ciało dziennikarza wykonało mimowolny, spastyczny ruch i powieki delikatnie się uniosły. Światło wpadające przez przysłonięte okno było znikome i wzrok szybko przyzwyczał się do panującego półmroku.

Jason Batt z wolna odzyskiwał świadomość, wychwytyjąc z otoczenia coraz więcej nowych bodźców. Jego serce przyspieszyło, kiedy odwrócił głowę w stronę drzwi i zobaczył, że obok nich, na krześle, śpi mężczyzna w czarnym garniturze.

Otępienie ustępowało w zaskakująco szybkim tempie i zaczął przypominać sobie wydarzenia z poprzedniego dnia. Jedyne uderzenie w głowę, które poprzez pulsujący ból od razu po przebudzeniu dało o sobie znać, powodowało, iż fakty dochodziły do Jaso-na Batta wolniej, aniżeli zazwyczaj.

Kiedy miał już przed sobą całkowity obraz wydarzeń, zaczął zastanawiać się, dlaczego ochroniarz siedzi pod jego drzwiami. Czyżby chcieli mnie aresztować? Te sukinsyny podejrzewają mnie o zabójstwo Brysona. Snując kolejne przypuszczenia, z każdym nowym popadał w coraz większą paranoję.

Nie miał zamiaru ryzykować. Spotkał się już w swojej pracy z wieloma dziwnymi przypadkami. Zastanowił się chwilę i obmyślił plan działania. Chciał się poruszyć, ale tępy ból przeszył ciało. Syknął, przypominając sobie o czymś, o czym całkowicie zapomniał — opatrunek na lewym ramieniu nie znajdował się na nim bez powodu. Spróbował poruszyć ranną ręką. Ukłucie, jakie poczuł, sprawiło, że od razu zaniechał dalszych prób. Nie miał szans bezszelestnie się wymknąć. Nie czekając dłużej, postanowił porozmawiać ze swoim nowym towarzyszem.

— Halo! Przepraszam... Może mi pan pomóc?! — powiedział na tyle głośno, aby wstrząsnąć *czujnym* wartownikiem.

Strażnik zerwał się na równe nogi. Sekunda wystarczyła, aby zrozumiał, że zasnął na służbie. Nie miał czasu na rozmyślania. Jason Batt właśnie usiłował wstać z łóżka.

— Proszę się nie ruszać, jest pan ranny — powiedział ostro, podbiegając do dziennikarza. — Jest pan w szoku. Zaraz kogoś wezwę.

— Przytrzymując reportera za zdrowe ramię, uniemożliwił mu przejście do pozycji siedzącej.

— Co się stało? Gdzie ja jestem? — Batt rozpoczął zaplanowaną wcześniej grę i odtrącił przytrzymującą go rękę.

— Został pan postrzelony. Proszę się nie ruszać! — powstrzymywał dziennikarza zdezorientowany ochroniarz. Nie bardzo wiedział, co robić. Domyślał się, że gdy tylko puści pacjenta, ten od razu spróbuje wstać. — Panie Batt, proszę się uspokoić, bo wyrządzi pan sobie krzywdę! — Nazwisko niespodziewanie podziałało uspokajająco. Dziennikarz przestał się miotać i spojrzał pytająco na ochroniarza, który strzelał oczami, rozglądając się za przyciskiem przywołującym personel. Gdy wreszcie go znalazł, nacisnął z całej siły.

— Pamięta pan coś z wczorajszego dnia?

Reporter pozornie wyteńczył umysł, próbując znaleźć odpowiedź na kółdrze, na ścianie i za oknem.

— Nie... — odpowiedział, udając oszołomienie. — Nie... Nic nie pamiętam. Skąd się tutaj wziąłem?

— Został pan postrzelony. Pamięta pan chociaż swoje imię?

Dziennikarz wodził oczyma po suficie, a następnie po drzwiach.

Strażnik nie miał wątpliwości, jaka odpowiedź zaraz padnie.

— Nie wiem... jak się nazywam... Co się ze mną stało? — rzucił beznamiętnie, skupiając wzrok na oddalonym, nic nieznaczącym punkcie.

— Brał pan udział w zdarzeniu, które zostanie panu przedstawione, gdy tylko poczuje się pan nieco lepiej. — Zniecierpliwiony strażnik spojrzał w stronę drzwi, w których już dawno powinien pojawić się lekarz lub pielęgniarka. — Zawołam kogoś. Jeszcze raz proszę, aby się pan nie ruszał.

Reporter odruchowo potaknął głową, po czym ochroniarz opuścił salę, pozostawiając uchylone drzwi.

— Obudził się, pilnuj go...

Batt zauważył drugiego mężczyznę, w równie smutnym garniturze, idącego korytarzem w stronę sali. Wychodzący strażnik przymknął drzwi i szybko wymienił kilka uwag z kolegą.

Dziennikarz bez namysłu sięgnął do szafki stojącej tuż obok łóżka. Liczył, że znajdzie w niej swój telefon. Nie pomylił się. Zastanowił się chwilę, po czym wybrał numer informacji i poprosił o bezpośrednie połączenie z budynkiem stacji telewizyjnej w Waszyngtonie.

— Telewizja DC NEWS, w czym mogę pomóc? — odezwał się kobiecy głos.

Klamka drzwi drgnęła i Batt błyskawicznie schował telefon pod kołdrę.

— Witamy w świecie żywych... — zaczął ochroniarz i skinął głową.

— Dzień dobry... — odrzekł reporter i wbił wzrok w ścianę.

Strażnik uniósł brwi i przymknął drzwi, pozostając na zewnątrz.

Batt natychmiast przystawił telefon do ucha.

— Halo... — rzucił zniecierpliwiony głos po drugiej stronie. Kobieta nadal była na linii. Dziennikarz wiedział, że nie otrzyma, ot tak, upragnionego numeru, więc musiał improwizować.

— Dzień dobry. Nie wiem, jak to powiedzieć, więc postaram się najprościej, jak tylko potrafię — zaczął zagadkowo. — Mam informacje, za które wasza telewizja będzie mi bardzo wdzięczna. Jednak są one poufne i muszę spotkać się osobiście

z którymś z waszych reporterów terenowych. Czy może mi pani w tym pomóc?

Nastąpiła chwila ciszy. Dla Batta każda sekunda była na wagę złota, więc postanowił pomóc kobiecie w podjęciu decyzji.

— Jeżeli nie jesteście zainteresowani, to dzwonię dalej. Żegnaj.

— Proszę poczekać!

— Nie mam czasu. Moje życie może być zagrożone.

— Już szukam kogoś dostępnego. Skąd pan dzwoni?

— Z Nowego Jorku.

— Mamy tam w tej chwili trzech reporterów, z czego dwóch. Chwileczkę... Proszę poczekać...

— Szybciej...

— Mam! Jediną obecnie dostępną będzie panna Kate Frost...

— Jak mogę się z nią skontaktować?

— Podam panu numer telefonu. Ma pan coś do pisania?

— Mam dobrą pamięć.

Poszło łatwiej, niż myślał. Potrafił podejść ludzi. Szczególnie takich, jak on sam.

— Proszę się pospieszyć. Dzisiaj wraca do Waszyngtonu, ale może ją pan jeszcze złapie, zanim wsiądzie do samolotu.

— Dziękuję.

Batt natychmiast rozłączył się i od razu wybrał numer, który otrzymał. *Abonent ma wyłączony telefon lub jest poza zasięgiem sieci...* Ciche przekleństwo wydobyło się z jego ust. Klamka ponownie opadła. Natychmiast wrzucił telefon do szuflady i wbił wzrok w opuszczoną roletę.

Waszyngton

Nick Stewart zerknął przez wizjer. Nie spodziewał się nikogo o tak wczesnej porze, a już na pewno nie samego kapitana.

— Wpuścisz mnie, czy mam zacząć się prosić? — warknął Cussler, wiedząc, że jest obserwowany.

Detektyw otworzył drzwi, ale nie miał pojęcia, jak się przywitać. *Dzień dobry* nie pasowało, ponieważ dzień na pewno nie zapowiadał się dobrze, a na *cześć* było jeszcze o sto tego typu wizyt za wcześnie.

— Nie martw się, to się więcej nie powtórzy. — Cussler wszedł pomimo braku zaproszenia. Miał ze sobą teczkę, którą natychmiast wręczył Nickowi, gdy tylko ten zamknął za nim drzwi.

— Proszę dalej...

— Nie mam czasu. Wpadłem tylko z tym.

Nick przyjrzał się nowym danym.

— To ta uciekinierka? Ta z wyczyszczoną kartoteką?

— Po pierwsze gratuluję przeszukania domu Millerów. Właśnie się dowiedziałem... Podręcznikowa robota — zadrwił Cussler.

Nick milczał.

— Nie mam do ciebie żalu, ale chcę nazwiska policjantów, których ściągnąłeś do tego przeszukania.

— To nie do końca ich wina...

— Moja też nie. Czyli mam rozumieć, że twoja?

Detektyw znowu zamilkł. Carl Cussler miał to do siebie, że często prowadził dyskusje w bardzo charakterystyczny sposób — poprzez monolog. Albo nie dawał swoim ludziom dojść do głosu,

albo nokautował pytaniami, na które najlepszą odpowiedzią było milczenie.

— Do południa nazwiska mają być na moim biurku.

— Mamy cokolwiek? Technicy sprawdzili samochód? — Nick nie potrafił się skupić na aktach. Przed oczami przelatywały mu kolejne zdjęcia podobnych do siebie kobiet. Nic z tego nie rozumiał.

— W samochodzie Millerów chłopcy znaleźli podsłuch, a kilka innych zestawów podsłuchowych walało się po całym samochodzie. Musiała je zdemontować z domu. Tego z samochodu już nie zdążyła.

— Czyli jednak to porwanie było planowane od dawna — zauważył Nick.

— Od dawna czy nie, nie ma to większego znaczenia. Ktoś wyczyścił kartotekę tej kobiety, niczego nie pozostawiając przypadkowi. — Cussler ściszył głos, jakby w obawie, że ktoś ich usłyszy. — Miała przy sobie prawo jazdy, ale tu jest kolejny problem... Nie jedno, a kilka. Chłopcy znaleźli je, przeszukując samochód, oczywiście wypożyczony na fikcyjne dane. Wszystkie prawka wystawiono na fałszywe adresy, na nazwiska innych żyjących kobiet. Żeby było zabawniej, kobiety, pod które się podszywała, były ładzaco podobne do niej.

— Cholerna profesjonalistka.

— Na szczęście ktoś w CIA rozpoznał jej zdjęcie. Okazało się, że przez kilka lat przebywała w Europie. Wysłano za nią list gończy, więc zniknęła na jakiś czas. Byli zaskoczeni, że wypłynęła tutaj. Kobieta oficjalnie nie istnieje. A teraz najlepsze... Babka widnieje w bazie CIA, ale nie w naszej. To znaczy... jest zdjęcie, nazwisko, fikcyjny adres, ale reszta tabelki jest pusta, co zresztą widziałeś. CIA jest w stanie podać nazwiska jedenastu osób, które

zamordowała, a my wiemy tylko tyle, że lubiła nosić peruki i mieszkała w Waszyngtonie niedaleko budki z hot-dogami.

— Bardzo zdolny haker albo ktoś z samej góry.

— Świetnie — rzucił ironicznie kapitan. — Już wiem, dlaczego zostałeś detektywem.

— Rozumiem pana poirytowanie, ale to chyba nie powód...

— Dobra... Zapomnij. — Były to jedyne przeprosiny, na jakie kapitan mógł się zdobyć w tej chwili. — Im dalej w to brniemy, tym więcej pojawia się niewiadomych. Właściwie przychodzę do ciebie tylko z jedną informacją... — Popatrzył paraliżująco na detektywa, jakby za chwilę miał przekazać mu datę końca świata. — Uważaj, z kim rozmawiasz i do czyich drzwi pukasz, bo mam przeczucie, że wdepnęliśmy w niezłe gównno!

ROZDZIAŁ 35

Manhattan, Nowy Jork

Rozległ się dźwięk telefonu. Dzwonek był tak głośny, że mógłby obudzić umarłego. Po trzecim sygnale, oprócz ogłuszającego dźwięku, dało się również słyszeć wyraźne, szybkie kroki — Wes Barton wybiegł ze swojej domowej siłowni. — Słucham — bąknął zdyszany.

— Szefie, tu Mark. Nie mogłem się do pana dodzwonić.

Barton zerknął na komórkę leżącą obok telefonu stacjonarnego. Rzeczywiście miał kilka nieodebranych połączeń. Zapomniał zabrać ją ze sobą, co często mu się zdarzało.

— Co się dzieje?

— Jason Batt odzyskał przytomność.

— Nareszcie jakaś dobra wiadomość.

— Niestety, jest i zła.

Krótkie milczenie dobrze wyraziło poirytowanie Bartona. Dlaczego zawsze musi być ta zła...

— Facet nie ma zielonego pojęcia, kim jest, ani co się stało. Niczego nie pamięta.

— Świetnie... — warknął Barton. — Tylko tego nam brakowało. Jedyne świadek, który mógłby rozpoznać zabójcę...

— Kiepsko to wygląda — przyznał Mark.

— Chociaż... Z drugiej strony...

— Tak?

— Tylko głośno myślę. Macie go pilnować jak oka w głowie. Nikt z wyjątkiem lekarzy nie może do niego wejść. Jeżeli gość ma telefon, zabierzcie mu go. Takie zabawki zawsze łatwo namierzyć. Gdyby facet podskakiwał, powiedzcie, że to nie jego komórka. W końcu stracił pamięć, więc skąd ma wiedzieć, czyj to telefon.

— Szefie, nie możemy...

— Oczywiście, że możemy! Jeżeli będzie się rzucał, to znaczy, że nie ma aż takiej amnezji, jak utrzymuje. Okna przez cały czas mają być zasłonięte.

— Szczerze, szefie? Wypiliśmy każdy po cztery kawy, a i tak ledwo żyjemy. Może mógłby nas ktoś zmienić?

— Pomyślę nad tym, a tymczasem zróbcie sobie zastrzyk z adrenaliny albo z czegośkolwiek innego, co tam macie akurat pod ręką. Cały czas pełna gotowość, rozumiano?

— Tak jest — odparł zrezygnowany podwładny.

Barton rozłączył się i poszedł do kuchni, aby przygotować śniadanie. Zanim otworzył lodówkę, ponownie usłyszał dźwięk

telefonu. Tym razem był to dzwonek komórki. Wrócił do salonu i ze złością przejechał palcem po zielonej słuchawce na ekranie.

— Co znowu?

— Szefie...

— Z kim rozmawiam?

— Danny — odpowiedział ochroniarz pełniący aktualnie wartę przy recepcji w gmachu stacji.

— Co tym razem?

— Ktoś odnalazł nasz helikopter.

— Co?!

— Ktoś odnalazł...

— Słyszałem! Gdzie i kiedy?!

— Nie jestem pewien. Ktoś zadzwonił na recepcję i babka kazała mi iść po policjanta. Nie wiedziałem, o co chodzi, no to poszedłem. Dopiero potem, z wielką łaską, gliny powiedziały mi, kto dzwonił i po co. Nie chcieli zdradzić, gdzie jadą, ale widziałem, jak ten, co gadał przez telefon, zapisał na kartce nazwę Eagle Rock. To rezerwat na zachód od Nowego Jorku.

— Coś jeszcze? — Barton, zamiast do kuchni, skierował się do garderoby. Śniadanie musiało poczekać.

— Nie. Wiem tylko, że zadzwonił jakiś facet z dziwnym akcentem i powiedział, że nasz helikopter stoi na ich terenie i... mamy go sobie zabrać. Tyle powiedziała mi recepcjonistka, jak gliniarze się zmyli.

— Dawaj mi ją...

— Poszła na przerwę. Zaraz jej...

Barton nie miał czasu do stracenia i rozłączył się w pół zdania. Wiedział już, że tego ranka nie będzie mu dane zjeść w spokoju. Spocony, w biegu zakładał koszulę, spodnie i marynarkę. Mijając

kuchnię, zabrał z lodówki kilka plastrów wędzonej, pakowanej hermetycznie szynki. Zdrowa żywność musiała poczekać na lepszy dzień.

Nie minęło pięć minut, a pędził już w kierunku mostu George'a Washingtona. Po wjechaniu na dziewięćdziesiątą piątą międzystanową minął rzekę i pomknął dalej na południowy zachód. Dotarł do skrzyżowania z drogą numer dwieście osiemdziesiąt i od tego momentu gnał już na północny zachód w kierunku West Orange.

Sam się zdziwił, że w godzinach szczytu udało mu się pokonać tę trasę w niecałą godzinę.

Liczba zabudowań malała — powoli zbliżał się do celu. Kiedy był niecałe trzy kilometry od rezerwatu, usłyszał huk, jakby ktoś z niewielkiej odległości odpalił spory ładunek wybuchowy. W pierwszym momencie pomyślał, że coś się stało z samochodem, jednak po chwili dostrzegł na niebie obłok czarnego dymu. Wiedział już, że dziwny odgłos nie pochodził z jego wozu, ale nie zwiastował też niczego dobrego. Ciemna chmura robiła się coraz większa.

Po przejechaniu kolejnych dwóch kilometrów był już pewien, że nietypowe zjawisko pochodzi z miejsca, które było celem jego podróży. Z każdą upływającą sekundą serce biło mu coraz mocniej. Wcisnął pedał gazu do samej podłogi i samochód wyrwał do przodu.

Zjazd z głównej drogi pokonał z piszczącymi oponami. Przez kilkaset metrów nie zwalniał. Zbliżając się do skrzyżowania, zauważył kamienistą drogę przygotowywaną pod nowy asfalt. Zacisnął zęby i z ogromną prędkością wjechał na utwardzoną, żwirową nawierzchnię. Minął stanowisko pracy robotników. Nie

było tam nikogo — po ekipie pozostał tylko sprzęt i słupki ostrzegawcze.

Jechał jak wariat, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Drobne kamyki głośno uderzały o podwozie. Na zakręcie ostro zarzuciło mu tyłem, ale szybko skontrolował i opanował pojazd.

Nad drzewami, oprócz unoszącego się dymu, strzelały pojedyncze płomienie. Po kolejnych kilkudziesięciu metrach Bartonowi ukazał się przerażający widok. Wokół płonących szczątków helikoptera stało siedem radiowozów policyjnych. Wszędzie leżały osmalone kawałki maszyny. Kilka z nich jeszcze się paliło. Policjanci, którzy nie ucierpieli podczas wybuchu, byli pochyleni nad nieprzytomnymi kolegami. Samochody miały powybijane szyby, a w karoseriach tkwiły odłamki helikoptera.

Jeden z rannych policjantów trzymał się za rękę, tamując krwawienie. Inny siedział na ziemi, uciskając prowizorycznym opatrunkiem rozciętą głowę.

Barton zatrzymał samochód przy krawężniku. Wsiadł i przez chwilę stał w bezruchu, nie wiedząc, co ma zrobić w pierwszej kolejności.

— Cholerny kutafon zastawił pułapkę — burknął pod nosem, ogarniając wzrokiem tragedię. Doskonale wiedział, że nawet niewielka ilość materiału wybuchowego umieszczona w odpowiednim miejscu w zupełności wystarczyła, aby dokonać spustoszenia, jakiego właśnie był świadkiem. Podszedł do najbliższego funkcjonariusza.

— Proszę się nie zbliżać! — krzyknął policjant trzymający się za rękę.

— Spokojnie, jestem z wami. — Barton pokazał legitymację agencji ochrony.

Oficer nie miał w tym momencie głowy do studiowania papierków. Nawet do końca nie zrozumiał, co do niego mówiono — jeszcze dzwoniło mu w uszach. Machnął ręką, pozwalając olbrzymowi podejść bliżej.

— Wezwaliście karetki?

— Co?!

— Karetki!

— Tak! Zaraz będą!

— Co się tutaj stało?!

— Nie widzisz?! Wszystko szlag trafił! Dwóch prawdopodobnie nie żyje, a tamci są w stanie krytycznym. — Skinieniem głowy wskazał grupę mężczyzn pochylających się nad leżącymi towarzyszami. — Obiecuję, że jak dorwę tego...

— Kiedyś też straciłem swoich ludzi. Nie ma niczego gorszego od tego uczucia — Barton próbował pocieszyć załamane go oficera. Doskonale wiedział, co w tej chwili czuje ten człowiek. Dopiero teraz dostrzegł jego stopień. To pewnie on dowodził tą akcją, więc nie tylko stracił kolegów, ale także podwładnych i to jego, jak tylko wydobrzeje, będą ciągać po komisjach, a być może i sądach. Już mu współczuł. Sam przeżył tak pięć lat.

— Gdzie jest ta cholerna karetka?!

— Uciskaj tu!

— Nie ucz mnie, co mam robić!

Wszędzie dało się słyszeć nerwowe okrzyki. Oprócz policjantów w akcji ratunkowej pomagali także robotnicy drogowi.

— Cywile też oberwali?

— Na szczęście nie. Pracowali na końcu drogi. — Oficer wskazał ręką kierunek, z którego ekipa przybyła im z pomocą. —

No, nareszcie!

Na zakręcie pojawiła się pierwsza z kilku karettek, które zostały wezwane. Następne jechały w niewielkich odstępach.

— Muszę iść — rzucił dowódca, z wyraźnym trudem podnosząc się z ziemi. Pobiegł w kierunku nadjeżdżających ambulansów, aby wskazać tych, którzy potrzebują pomocy w pierwszej kolejności.

ROZDZIAŁ 36

Szpital Roosevelta, Nowy Jork

Jason Batt leżał w szpitalnym łóżku i rozmyślał nad swoim położeniem. Zabrano mu telefon, który był jego jedyną nadzieją na kontakt z Kate Frost. Pewnie jest już w Waszyngtonie, pomyślał. Nie pozostaje mi nic innego, jak wycieczka do stolicy.

Wiedział, że cokolwiek postanowi, strażnicy za drzwiami nie ułatwią mu tego. Nie mógł poprosić o pójście do toalety, ponieważ miał pokój z łazienką. Skok z okna również nie wchodził w grę — od podłoża dzieliło go ponad dziesięć metrów.

Kiedy był już pewien, że nie zdoła się wymknąć, okazja nadarzyła się sama. Do pokoju wszedł lekarz na rutynową kontrolę. Dziennikarz zmierzył go wzrokiem i doznał olśnienia. Uznał, że lepszej okazji nie będzie. Co więcej, przez domykające się drzwi usłyszał, jak jeden z dwóch pilnujących go mężczyzn mówi, że idzie do toalety, a potem po coś do picia.

— Witam, panie Batt. Jestem doktor Willis. — Medyk zagłębił się w kartotekę.

Pacjent podniósł się na łóżku, jakby chciał wykazać zainteresowanie tym, co miał usłyszeć.

— Dzień dobry... Chociaż nie wiem, czy aż taki dobry... Nie wiem, czy w ogóle dobry... Nic nie wiem... Proszę mi pomóc! — Batt prawie się rozplakał z bezradności i niewiedzy.

— Spokojnie. Podczas upadku uderzył się pan w głowę. Częściowa albo całkowita utrata pamięci przy takich urazach to bardzo częsta przypadłość. Na szczęście, zazwyczaj dość szybko mija. — Lekarz na chwilę odwrócił się plecami do pacjenta, aby zapisać coś w karcie.

Batt nie potrzebował wyraźniejszej zachęty. Z grymasem bólu na twarzy podniósł się na łóżku i z całej siły uderzył męczyzną pięścią w tył głowy. Ten zatoczył się i pociągnięty przez Batta, runął na łóżko, które zamortyzowało upadek. Dziennikarz błyskawicznie przystąpił do realizacji nowego planu. Rozebrał lekarza do bielizny, ułożył go na łóżku, odwrócił na bok i przykrył kołdrą.

— Wybacz, stary. Mam nadzieję, że jak się obudzisz, nie będziesz miał mi tego za złe — powiedział cicho do nieprzytomnej ofiary. — Obiady są tu całkiem znośne...

Otulone kołdrą ciało doktora idealnie imitowało śpiącego pacjenta. Batt i lekarz mieli nawet taki sam kolor włosów i byli podobnie ostrzyżeni.

Do tej pory szło gładko, ale wkrótce pojawił się problem — opatrunek na ramieniu. Batt musiał się go pozbyć. Zaciskając zęby, cedził jedno przekleństwo za drugim. Próbował zdjąć temblak. Najgorsze było jednak przed nim — rozprostowanie kończyny. Z każdym kolejnym centymetrem sprawiało mu to coraz większy ból. Była to prawdziwa tortura. Ból zelżał dopiero, gdy ręka całkowicie się wyprostowała i ustał ruch uszkodzonych mięśni. Założył ubranie doktora, a na koniec narzucił na siebie fartuch. Teatralnym gestem zawiesił stetoskop na szyi i podniósł

notatnik, który leżał na podłodze. Włożył go sobie do lewej dłoni. Temblak schował do kieszeni — Batt miał zamiar go użyć, jak tylko znajdzie się poza terenem szpitala.

Ruszył do wyjścia. Przypadkiem zerknął w stronę mijanej toalety, której drzwi były otwarte. Gdy ujrzał swoje odbicie w lustrze, przeraził się. Niewiele brakowało, a wyszedłby na korytarz z opatrunkiem na głowie. Szybko się go pozbył i zmierzwił włosy. Nie wyglądał zbyt dobrze...

Aby nikt nie nabrał podejrzeń, musiał zachowywać się, jak na lekarza przystało. Energicznie otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Zanim został zauważony, był już odwrócony plecami do ochroniarza.

— Pacjent dostał silne środki nasenne. Proszę go nie budzić — wydał polecenie, nie odwracając się.

— Jasne...

Szybkim krokiem zaczął się oddalać, a strażnik, którego właśnie wykiwał, najspokojniej w świecie wrócił do czytania gazety. Po raz kolejny poszło gładko. Batt miał tylko nadzieję, że nie natknie się na drugiego ochroniarza, który wcześniej był w jego pokoju.

Gdy dotarł do windy, wcisnął guzik przywołania. Po chwili usłyszał dzwonek obwieszczający przybycie kabiny. Gdy drzwi rozsunęły się, reporter zeszytniał. Naprzeciwko stał mężczyzna w czarnym garniturze, o znajomo wyglądającej twarzy — strażnik, z którym wcześniej rozmawiał w sali.

Spojrzeli na siebie, ale ochroniarz nie zwrócił szczególnej uwagi na kolejnego napotkanego lekarza i od razu po wyjściu z windy powiódł wzrokiem za atrakcyjną pielęgniarzką, która przechodziła korytarzem. Niósł sporą papierową torbę — w kawiarni na dole kupił coś zapewne sobie i partnerowi.

Kiedy się oddalił, Batt natychmiast wszedł do windy. Stał bokiem, plecami przylegając do zimnej metalowej ściany. Drżącym palcem wskazującym prawej ręki nacisnął guzik *zero*. Drzwi zamknęły się, a on poczuł lekkie szarpnięcie.

ROZDZIAŁ 37

Rezerwat Eagle Rock

Wes Barton miał pustkę w głowie. Żadnych pomysłów, co dalej robić. Żył nadzieją, że przebudzenie dziennikarza przyniesie jakieś odpowiedzi. Po kiepskiej porannej wiadomości niespodziewanie pojawiła się zaskakująca informacja o odnalezionym helikopterze, jednak przy obecnym obrocie spraw, gorzej już być nie mogło.

Przypomniawszy sobie o pewnym szczególe, który umknął mu podczas nerwowego poranka. Szybko wrócił do samochodu i skontaktował się z dawnym znajomym z czasów akademii — Billem Davidsonem.

— Cześć stary, co słychać?

— Jak zwykle... Mam prośbę... — W głosie Bartona dało się wyczuć nerwowość.

— Jak zwykle... Mów śmiało!

— W nocy wysłałem ci nagranie audio. Dostałeś je?

— Nie sprawdzałem jeszcze poczty. Mów, o co chodzi, a ja w tym czasie zerknę na skrzynkę.

— Przepraszam, ale nie mogę powiedzieć za dużo.

— Rozumiem... Albo i nie.

— Będę się streszczał. Chodzi o bardzo poważną sprawę. Nagranie to jeden wielki szum, ale wierzę, że coś wychwycisz.

Coś, co da mi punkt zaczepienia, przewagę.

— Niczego nie obiecuję, ale postaram się pomóc.

— Tyle mi wystarczy. — Barton wiedział, że ten człowiek zawsze daje z siebie wszystko, nawet jeżeli w grę wchodzi tylko przysługa.

— Mam... Plik nazywa się *Oferta promocyjna*?

— Tak, to ten.

— Oryginalnie... Aż dziw, że nie trafił do spamu...

— I mam jeszcze jedną prośbę...

— Wiem, wiem, na wczoraj — rzucił żartobliwie Bill.

— Też... Zachowaj to, co wychwycisz z tego nagrania, dla siebie. Nikt nie może się dowiedzieć.

— Gruba sprawa?

— Jak kutas King Konga. Zginęło już przez nią kilkoro ludzi, w tym policjanci. Mam nadzieję, że nikt więcej nie będzie musiał...

Nastąpiła chwila ciszy, po której głos zabrał Bill.

— Możesz być spokojny. Jak tylko coś będę miał, natychmiast dam znać. Mogę telefonicznie?

— Tak, ale... rozsądnie.

— Wiem, co masz na myśli.

Barton usłyszał w telefonie dwa sygnały świadczące o tym, iż na linii oczekiwał już kolejny rozmówca.

— Jeszcze raz dzięki za pomoc. Przepraszam, ale muszę kończyć. Obowiązki wzywają.

— Jasne. Do usłyszenia.

Barton pośpiesznie odebrał drugi telefon — dzwonili jego ludzie czatujący w szpitalu pod salą Jasona Batta.

— Powiedz, że facet przypomniał sobie wszystko i jest gotowy do współpracy.

— Szefie... To znaczy... nie przypomniał sobie. — Rozmówca zaczął gubić się w tym, co chciał przekazać i Barton wiedział już, że coś jest nie tak.

— No mów! — powiedział ostro.

— Nie wiem, jak to powiedzieć.

— Wprost!

— Batt... zwiął.

— Jak, do cholery?! Przez okno na drugim piętrze?!

— Raczej... przez drzwi na korytarz.

Irytacja Bartona sięgnęła zenitu.

— A gdzie wy wtedy byliście?! Na kręglach?!

— To skomplikowana historia.

— Nie kazałem wam ułożyć kostki Rubika, tylko siedzieć na dupie pod drzwiami!

— Lekarz wszedł do niego na rutynowy obchód. Po chwili facet w białym kitlu wyszedł. Był odwrócony plecami, więc nie widziałem jego twarzy. Poszedł w kierunku windy i tyle go widzieliśmy. Batt znokautował lekarza i zostawił go nieprzytomnego w łóżku. Owinął faceta kołdrą tak, że wyglądał, jakby to on tam spał. Przebrał się w jego rzeczy i wyrolował nas. Parę minut temu gość się ocknął i wybiegł z sali jak oparzony.

Barton nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

— Dawno zwiął?

— Jakąś godzinę temu.

— Zbierajcie się stamtąd i jedźcie prosto do jego mieszkania. Zadzwońcie do telewizji, na pewno mają adres Batta. Jak tylko go

ustalicie, dajcie znać. Spotkamy się na miejscu.

— Zrozumiałem...

Barton ze złością rzucił telefon na siedzenie pasażera i z całej siły grzmotnął pięścią w kierownicę. Gdy już się opanował, przekręcił kluczyk w stacyjce. Z impetem wcisnął sprzęgło i włączył bieg. Wdepnął gaz i spod maski dało się słyszeć ryk silnika. Gwałtownie puścił sprzęgło. Rolujące opony dopiero po kilku metrach uzyskały pełną przyczepność, pozostawiając dwa symetryczne ciemne ślady na odcinku nowo położonego asfaltu. Na milimetry ominął karetki i wozy straży pożarnej. Po chwili jego samochód zniknął w tumanach kurzu.

ROZDZIAŁ 38

Lotnisko Ronalda Reagana, Waszyngton

Lot z Waszyngtonu do Cleveland był już opóźniony o ponad dwie godziny. Awaria jednego z silników samolotu pokrzyżowała plany prawie dwustu osobom. Podróżni tłoczyli się w terminalu, żądając wyjaśnień i konkretnych zapewnień. Kiedy wreszcie postanowiono, że lot zostanie odwołany, rozdrażnieni i niezadowoleni pasażerowie ruszyli w kierunku wyjść. Dołączyła do nich grupa ponad trzystu osób, które właśnie odebrały bagaż. Dwa samoloty — z Nowego Jorku i z Las Vegas — wylądowały niemalże jednocześnie.

Pierwszym z nich przyleciała Kate Frost. Stała w bardzo wolno posuwającej się kolejce i marzyła o łóżku i śnie. W nocy nie zmrużyła oka. Przez cały czas myślała o wydarzeniach z poprzedniego dnia. Ostatnie czterdzieści osiem godzin

całkowicie ją wyczerpało. Idąc wśród tłumu, odniosła wrażenie, że ponownie znalazła się na parterze wieżowca stacji, który na długo pozostanie w jej pamięci.

Poczuła, że brakuje jej tchu i słabnie — myślała, że zemdleje. Zatrzymała się na chwilę, czym wywołała liczne głosy krytyki osób idących tuż za nią. Świat zaczął wirować. Ktoś ją mocno pchnął. Straciła równowagę i upadła. Ktoś inny pomógł jej wstać. Nie wiedziała, co się dzieje, ani jakim cudem opuściła terminal. Ocucił ją podmuch wiatru niosący świeże powietrze. Natychmiast odstawiła bagaż i sięgnęła do torebki po inhalator. Zaaplikowała sobie dwa wziewy, którym towarzyszyły głębokie wdechy. Drobinki proszku dostały się do dróg oddechowych. Już po chwili odczuła zbawienne działanie leku — jej oskrzela się rozszerzyły. Oddech zaczął się normalizować.

Podeszła do najbliższej taksówki. Kierowca wysiadł i włożył walizkę do bagażnika, po czym pospiesznie otworzył pasażerze drzwi. Była mile zaskoczona tym gestem. Usiadła wygodnie i odszukała telefon. Zapomniała włączyć go zaraz po wylądowaniu. Rozbrzmiał spokojny dźwięk świadczący o rozpoczęciu pracy urządzenia. Po kilku chwilach dotarły do niej cztery wiadomości. Trzy zawierały numery telefonów osób, które próbowały się z nią skontaktować. Jedną z nich był Nick. Dopiero teraz przypomniała sobie, że miała mu dać znać, o której wraca — obiecał odebrać ją z lotniska.

— No trudno...

Uspokoila się, kiedy odczytała wiadomość tekstową z przeprosinami Nicka. Tłumacząc się nawałem pracy, prosił o zrozumienie — nie był w stanie po nią przyjechać.

Dwa pozostałe esemesy zawierały ten sam numer telefonu. Spróbowała oddzwonić, jednak ktoś musiał wyłączyć aparat — od

razu rozbrzmiała automatyczna wiadomość o niedostępności abonenta. Już miała schować komórkę, gdy ta zabręczała. Kate nie rozpoznała numeru, nie był to też ten, z którego wcześniej do niej dzwoniono.

Kierowcą taksówki był Portorykańczyk. Miał ciemną karnację i niedokładnie ogoloną twarz. Sprawiał wrażenie całkowicie wyluzowanego. Poklepywał kierownicę i balansował ciałem w rytm melodii wydobywającej się z głośników. Prowadził szybko, ale pewnie. Jak każdy taksówkarz starał się w jak najkrótszym czasie pokonać dystans i zrobić to w miarę bezpiecznie i komfortowo. Wiedział, że dzięki temu może liczyć na napiwek. Od czasu do czasu spoglądał w lusterko, aby upewnić się, że pasażerka dobrze znosi jego styl jazdy. W pewnym momencie wyraz twarzy kobiety zmienił się i taksówkarz nieco zwolnił. Rozmawiała przez telefon, więc nie chciał jej przeszkadzać. Kiedy skończyła, miała grobową minę. Taryfiarz nie wytrzymał i wreszcie zadał nurtujące go pytanie:

— Wszystko w porządku, panienko? Mam nadzieję, że nie poczuła się panienka źle z powodu szybkiej jazdy.

Kate siedziała w bezruchu, wpatrzona w przesuwany się krajobraz. Była zamyślona i nie słyszała, co do niej mówiono.

Po chwili milczenia mężczyzna ponowił zapytanie:

— Panienko, wszystko w porządku?

— Proszę? — Była oszołomiona. Czuła się jak po narkozie. Rozmowa telefoniczna, którą właśnie odbyła, wprawiała ją w osłupienie.

— Pytałem, czy wszystko u panienki dobrze? Czy dobrze znosi panienka jazdę?

— Tak, dziękuję — odparła obojętnie.

— Na komisariacie będziemy za dziesięć minut.

— Rozumiem... Nie, proszę poczekać! — krzyknęła.

— Mam się zatrzymać? Tutaj?! — zapytał zdezorientowany kierowca.

— Nie, to znaczy... Proszę jechać dalej, ale nie na komisariat.

— W takim razie proszę o nowy adres.

— Johnson Avenue. I... nie musimy się spieszyć.

— Dobrze. Pojadę przepisowo — powiedział wesoło Portorykańczyk, zerkając do lusterka. Podkręcił radio. Był rozmownym człowiekiem, ale wiedział, kiedy ustąpić. Mina kobiety mówiła sama za siebie. Uznał, że najlepiej zrobi, jak się po prostu zamknie. Rozmowa dobra na wszystko — to hasło było przestarzałe i już nieraz się na nim przejechał, inkasując słowne reprymendy o niewtyka-niu nosa w nie swoje sprawy.

Kate doceniła, że nie padły kolejne niewygodne pytania i odwdzięczyła się uśmiechem. Wsłuchując się w latynoskie rytmy, próbowała odgonić złe myśli.

Żółta taksówka pokonywała kolejne kilometry, aż krajobraz urozmaicony zielenią zmienił się w typowo miejski. Dookoła samochodu piętrzyły się teraz wieżowce i jedyne, co było widoczne za szybą, to wystawy sklepowe, zaparkowane samochody i ludzie idący chodnikiem.

Pogrążona w myślach dziennikarka wpatrywała się w oddalony punkt. Kierowca nie przywykł do ciszy w samochodzie i pomimo włączonego radia, podróż bardzo mu się dłużyła. Parę kilometrów przed celem podróży jego ciekawska natura ponownie zwyciężyła.

— Panienska wygląda na bardzo smutną — rzucił do lusterka.

— Wszystko w porządku... — mówiąc to, Kate odwróciła głowę jeszcze bardziej w bok.

— Może muzyka panience nie odpowiada?

Nie zareagowała na pytanie. Dalej nad czymś myślała. Z odrętwienia wyrwał ją ponowny dźwięk telefonu. Na wyświetlaczu pojawiło się ostrzeżenie, że abonent zastrzegł swój numer. Kierowca w tym czasie przeskakiwał z kanału na kanał, szukając innej stacji radiowej. Kate postanowiła zaczekać. Nie chciała, aby jej rozmowa była podsłuchiwana. Odebrała dopiero, gdy w głośnikach pojawił się mocny, rockowy kawałek.

— Słucham?

— Czy panna Frost? — powiedział dojrzały, dziwnie znajomy męski głos.

— Tak...

— Nazywam się Wes Barton. Wczoraj późnym popołudniem, w obecności policjanta i jednego z moich ludzi, odbyliśmy rozmowę w związku z zabójstwem Josepha Brysona.

Koszmar, który zostawiła w Nowym Jorku, powrócił. Przypomniała sobie ciało lądujące na dachu samochodu, panikę ludzi na ulicy, przesłuchanie.

— Pamiętam pana...

— Ja też coś pamiętam... Pytałem, czy podczas spotkania z dyrektorem Brysonem wydarzyło się coś nietypowego. Okłamała mnie pani...

Poczuła przeszywający ją dreszcz i spojrzała na otwartą torebkę, w której ukryła żółtą kopertę.

Barton kontynuował:

— Jednak nie o tym chciałem teraz rozmawiać... Jest pani sama?

— Jadę taksówką — odparła, czując coraz większy niepokój.

— W takim razie proszę nic nie mówić i tylko na końcu potwierdzić, że pani zrozumiała. Nie muszę chyba dodawać, że to, co powiem, powinno zostać między nami. Od tego może zależeć pani życie.

Kate zeszytniała. Powaga, z jaką ten człowiek wypowiadał kolejne zdania, zmroziła jej krew w żyłach.

— Słucham...

— Nie będę mydlił pani oczu. Jest pani w wielkim niebezpieczeństwie. Wiem, że wczoraj odebrała pani przesyłkę od dyrektora Brysona. Przesyłkę dla swojego szefa. Podobno jest pani doskonałą dziennikarką... Pewnie się pani domyśla, że śmierć naszego dyrektora nie była przypadkowa. Jesteśmy pewni, że zabójca skradł również z sejfu pana Brysona poufne dokumenty. Co więcej, zakładamy, że jest pani w tej chwili w posiadaniu ich, być może, jedynych kopii.

— Chwileczkę — przerwała skołowana. — Skąd wiecie, że mam...

— Po prostu wiemy — Barton nie dał jej dokończyć. — W końcu ochraniający ten budynek i musimy wiedzieć, co się w nim dzieje.

— Kiepsko wam to wczoraj poszło — rzuciła poirytowana.

Barton opanował się w ostatniej chwili. Milczał przez parę sekund, a potem ciągnął dalej:

— Rozumiem pani frustrację, ale gdybyśmy wcześniej wiedzieli o dokumentach, od razu moglibyśmy zapewnić pani ochronę.

— Skąd wiecie, co w nich jest i że coś mi grozi?

— Nie wiemy... Przypuszczamy. Jedno jest pewne... Cokolwiek to jest, dla kogoś znaczy więcej niż życie człowieka, więc apeluję o rozsądek. Te informacje nie mogą dotrzeć do miejsca

przeznaczenia. Morderca ostatecznie znajdzie adresata, do którego trafi przesyłka, a wtedy pani szef podzieli los naszego dyrektora. Im mniej osób wie o tych dokumentach, tym lepiej. Każdy, kogo pani spotka, z kim porozmawia, zostanie narażony na niebezpieczeństwo. Powiem więcej... Morderca Josepha Brysona nie zrezygnuje, dopóki nie odzyska kopii.

— Dlaczego przypuszczacie, że o nich wie?

— Wiedział, gdzie są trzymane dokumenty, znał kod do sejfu dyrektora, więc obawiamy się przecieku albo podsłuchu. Zakładamy również, że nieprzypadkowo pojawił się w budynku akurat w dniu, w którym dokumenty miały zostać przekazane.

— Co mam w związku z tym zrobić? Schować się do szafy?

— Jutro z samego rana przylecę do Waszyngtonu. Do tego czasu proszę nie wychodzić z mieszkania, nie wpuszczać nikogo do środka, a obcych traktować jak zarazę.

— Założmy, że ma pan rację i posiadam coś, za co ktoś jest w stanie zabić. To, że oddam dokumenty, nie znaczy, że do nich nie zajrzałam. Jaką mam gwarancję, że ci ludzie dadzą mi spokój?

— Jak tylko pojawię się w Waszyngtonie, wspólnie ustalimy, co dalej — mówiąc to, Barton wyraźnie się zawahał. Nie było dobrej odpowiedzi na to pytanie.

Kate od razu wyczuła zmianę tonu głosu szefa ochrony. Nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Postawiono ją w sytuacji bez wyjścia.

— Przepraszam, ale muszę to wszystko przemyśleć. Odezwę się wieczorem.

— Proszę...

Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, zakończyła rozmowę i wyłączyła telefon.

Taksówka skręciła w Johnson Ave. Ulica posiadała charakterystyczną zabudowę osiedlową — dominowały niewysokie kamienice. Wyglądały na nowoczesne, jednak każdą musiał projektować inny architekt o zupełnie innym guście, ponieważ trudno było szukać dwóch identycznych albo chociaż podobnych do siebie budynków.

Kate wysiadła z taryfy.

— Proszę... — Portorykańczyk wyciągnął torbę z bagażnika.

— Dziękuję bardzo... Reszty nie trzeba. — Wręczyła mu sowity napiwek.

— To ja dziękuję! Życzę panience spokojnego popołudnia i proszę się rozchmurzyć... Życie jest piękne! — rzucił na zakończenie i wrócił do samochodu, gniotąc w dłoni pięćdziesięciodolarowy banknot.

Kate weszła na najbliższe schody i zaczęła szperać w torebce. Podczas gdy ona szukała kluczy, taksówkarz przyjmował kolejne zlecenie. Wreszcie taryfa ruszyła i po chwili zniknęła za zakrętem. Dziennikarka odczekała jeszcze chwilę, po czym niepewnie rozejrzała się i zeszła z powrotem na chodnik. Przeszła na drugą stronę ulicy, minęła dwie kamienice i weszła na trzecie z kolei schody. W ręce trzymała już przygotowany klucz. Wzięła sobie do serca słowa, które usłyszała — starała się zachować wszelkie możliwe środki ostrożności i nikomu nie ufać.

Wdrapała się z walizką na drugie piętro i wreszcie stanęła przed drzwiami swojego mieszkania. Kiedy klucz pokonał zamek, poczuła dziwną ulgę, chociaż wiedziała, że to nie koniec. Właściwie był to dopiero początek. Natychmiast zasłoniła wszystkie okna.

Z górnej półki sypialnianej szafy ściągnęła kartonowe pudełko. Zdjęła wieko i jej oczom ukazał się telefon komórkowy zaplątany

w przewody niewiadomego przeznaczenia. Była to zapasowa komórka, której używała od święta. Spróbowała ją włączyć, jednak ta nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Spomiędzy elektronicznych śmieci wygrzebała ładowarkę. Gdy wreszcie uruchomiła komórkę, natychmiast wybrała numer jedynej osoby, której mogła ufać.

— Kate? Coś się stało, że dzwonisz z drugiego telefonu? — odezwał się Nick.

— Mam prośbę. Mógłbyś do mnie przyjechać? — zapytała z niepokojem w głosie.

— Wszystko w porządku?

— Tak... Chociaż może nie do końca w porządku...

— Mów, co się dzieje! — rzucił Nick z obawą.

— Chodzi o wydarzenia w Nowym Jorku. Chyba przypadkiem wplątałam się w jakąś aferę. Najgorsze jest to, że przeze mnie mogą ucierpieć niewinni ludzie. — Czuła ucisk w gardle, gdy wypowiadała te słowa. Próbowwała myśleć i mówić racjonalnie, ale powoli popadała w obłąd.

— Dokończę tylko coś i przyjadę, okej?

— Przepraszam, ale nie wiedziałam, do kogo zadzwonić...

— Przestań! Dobrze zrobiłaś!

— Dziękuję... — powiedziała bez przekonania. Właśnie naraziła na niebezpieczeństwo osobę, na której najbardziej jej zależało.

ROZDZIAŁ 39

Nowy Jork

Wes Barton jechał wolno przez Manhattan, przyglądając się mijanym budynkom. Adres Batta wrzucił w nawigację, ale wypatrywał także swoich ludzi, którzy gdzieś tu powinni być. Gdy kobiecy głos oznajmił, że podróż dobiegła końca, Barton zatrzymał się na poboczu, w najbliższej wolnej luce pomiędzy ciasno zaparkowanymi samochodami. Telefon nadal leżał na fotelu pasażera — tam gdzie Barton go rzucił, opuszczając Eagle Rock.

— Szefie? — odezwał się niepewnym głosem jego podwładny, David.

— Gdzie jesteście?

— Po przeciwnej stronie ulicy, stoimy za żółtą corvetta.

Barton wypatrzył charakterystyczny samochód.

— Widzieliście go?

— Jak na razie ani śladu Batta.

— Kręciły się tutaj jakieś podejrzanе typy?

— Nie. Czy my aby na pewno możemy robić to, co robimy?

— Nie ma prawa, które zabroniłoby mi siedzieć w samochodzie. Obserwujcie wejście. Jeżeli Batt się pojawi, natychmiast chcę o tym wiedzieć.

— Szefie, jeszcze jedno...

— Co znowu?

— Policja już wie o zajściu w szpitalu. Może się okazać, że nie tylko pan odwiedzi dzisiaj to mieszkanie.

— Cholera jasna... Teraz pewnie i za to dostanę po dupie.

Barton wysiadł z samochodu i trzasnął drzwiami. Zdecydowanym krokiem poszedł w kierunku wejścia, gdzie stał mężczyzna w stalowoszarym garniturze. Od razu rozpoznał

kolegę po fachu. Osobnik przybrał specyficzną pozę, a wzrokiem prześwietlał każdego, kto wydał mu się podejrzany.

Kamienica bardziej przypominała pięciogwiazdkowy hotel niż budynek mieszkalny. Brakowało tylko boyów hotelowych ganiających za gośćmi w zamian za sowite napiwki.

Barton podszedł do portiera stojącego za długim, wypolerowanym na błysk blatem. Chłopak już z daleka witał nowo przybyłego gościa wyprostowaną sylwetką i przyjaznym wyrazem twarzy. Barton wiedział, że bez przedstawienia się nie ma co marzyć o wejściu na górę, a nie chciał wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. Nerwowo facet przy drzwiach cały czas miał go na oku. Najgorzej w świecie zatrzymał się przed recepcjonistą, który wyglądał teraz jak Dawid stojący przed Goliatem.

— Witam... Szukam Jasona Batta. Z tego, co wiem, jest jednym z waszych lokatorów.

— Niestety, pan Batt jest w tej chwili nieobecny, ale może pan zostawić mu wiadomość — oznajmił uprzejmie mężczyzna.

— Nie. Moje nazwisko Barton. — Szybko mignął legitymacją, tak że chłopak nawet nie zdążył przyjrzeć się zdjęciu, a co dopiero odczytać poprawnie imię i nazwisko. — Jestem szefem ochrony w budynku telewizji, dla której pracuje pan Batt. Pech chciał, że facet miał wypadek. Postrzelono go i pobito. Żyje, ale jest w szpitalu. Oberwał porządnie w głowę i stracił pamięć. Mogę panu podać numer telefonu placówki medycznej, w której obecnie przebywa, to sobie pan to sprawdzi. Jadę prosto od niego. — Barton nie miał jednak czasu na takie zagrywki, więc nie dając chłopakowi dojść do słowa, kontynuował wypowiedź: — Pan Batt nie pamięta, dlaczego mógł paść ofiarą ataku. Po odzyskaniu przytomności, na naszą prośbę i za zgodą obecnych w szpitalu policjantów, wydał pozwolenie na przeszukanie jego mieszkania.

Mamy nadzieję, że uda nam się tam znaleźć coś, co pomoże w schwytaniu napastnika.

— To znaczy... — Młody mężczyzna był całkowicie zdezorientowany. Pierwszy raz spotkał się z taką sprawą. Nie wiedział, jak powinien postąpić, ale *Goliat* szybko go uświadomił.

— To znaczy, że nie mamy czasu do stracenia. To nie mój wymysł, lecz rozkaz policji. Mamy udzielić im pełnego wsparcia, na wyraźne zresztą życzenie pana Batta. Tyle wiem. Też mi się nie uśmiecha grzebanie po czyichś brudnych portkach, ale rozkaz to rozkaz. Proszę przydzielić mi kogoś, z kim będę mógł wejść na górę i przeszukać mieszkanie. Może ten mężczyzna? — Wskazał palcem na osiłka przy wejściu, który wyraźnie się zdziwił, że rozmowa dotyczy jego osoby.

— Nie mogę, to nasz jedyny ochroniarz — przyznał z zakłopotaniem portier, drapiąc się po głowie.

— Słuchaj... Jim. — Barton odczytał imię z identyfikatora przypiętego do piersi chłopaka. — Rozumiem, że masz zobowiązania w stosunku do mieszkańców, ale chyba nie proszę cię o zbyt wiele. Mam zacząć pieprzyć o utrudnianiu śledztwa, o odsiadce za to? Myślałem, że jesteś rozsądnym człowiekiem i pominiemy te pierdoły. Nie mam nakazu, bo facet dobrowolnie zgodził się na przeszukanie mieszkania. Daj mi tylko kogoś, z kim pójdę na górę, bo jedyne, co w tej chwili robimy, to tracimy czas. Możecie nawet kręcić film z przeszukania. Mam to gdzieś.

Chłopak zebrał się w sobie i przywołał strażnika.

— Zastąp mnie na chwilę.

Mężczyzna bez słowa zajął miejsce chłopaka, ciągle świdrując wzrokiem podejrzenie zachowującego się olbrzyma.

— Mogę zobaczyć jakiś dokument potwierdzający pana tożsamość? — odezwał się wreszcie strażnik, czym całkowicie

zaskoczył Bartona. Ten ponownie wyciągnął legitymację szefa ochrony.

— Możecie ją sobie nawet zostawić na pamiątkę. — Rzucił skórzane etui na blat i ponaglił portiera: — Idziemy?

— Proszę ze mną.

Po dwóch minutach byli już na górze przed drzwiami z efekciarską, metalową płytką z wygrawerowanym numerem siedem.

— Szczęśliwa siódemka — bąknął chłopak.

— Nie dziś.

— Zdaje pan sobie sprawę, że mogę przez to stracić pracę?

— Na mojej zmianie, w moim budynku, zabito człowieka. Drugiego postrzelono. Ja z pracą pożegnałem się w momencie, gdy to się stało. Po prostu na razie nikt nie miał czasu, żeby sklecić parę zdań i wręczyć mi oficjalne pismo.

Portier westchnął. Pochylił głowę i przekręcił klucz w zamku.

Usłyszeli dochodzący ze środka dźwięk tłuczonego szkła. Chłopak spojrzał na towarzysza, który trzymał już odbezpieczony pistolet. Barton gestem ręki nakazał odsunąć się od drzwi. Ostrożnie nacisnął klamkę. Przez powstałą szczelinę rzucił okiem na przedpokój. Zobaczył otwarte drzwi łazienkowe i leżącą na podłodze słuchawkę telefonu.

— Zaczekaj tutaj.

Wszedł do środka. Szybko wypatrzył najbliższą wnękę, w której mógłby się schować, gdyby doszło do wymiany ognia. Poruszał się wolno, przy samej ścianie. Minął garderobę i przystanął przy otwartych drzwiach. Zerknął do pomieszczenia i natychmiast odsunął głowę — łazienka była pusta. Idąc dalej, dotarł do salonu połączonego z kuchnią i jadalnią. Widok, jaki

zastał, szczególnie go nie zdziwił. Spóźnił się — ktoś wpadł na ten sam pomysł, co on. Zrzucone z półek książki, przekrzywione obrazy, pootwierane i przeszukane szafki — Batt był w posiadaniu czegoś, na czym komuś bardzo zależało.

Usłyszał metaliczny dźwięk. Spojrzał w kierunku, z którego doszedł — okno prowadzące na schody przeciwpożarowe było wybite. Od razu skojarzył to z wcześniejszym odgłosem. Doskoczył do okna i wyjrzał przez nie. Jakiś osobnik ubrany na czarno pospiesznie zbiegał po metalowych schodach na tyły budynku.

Omijając ostre jak brzytwa odłamki wystające z ramy, Barton wyskoczył przez okno.

— Stój! — krzyknął w kierunku mężczyzny.

Jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, była salwa pięciu strzałów. Przykucnął. Jedna z kul przeszła tuż obok jego nogi. Pozostałe rykoszetem odbiły się od metalowych elementów. Włamywacz był już na samym dole i zaczął uciekać w kierunku głównej drogi.

Barton wychylił się i oddał kilka strzałów. Osobnik był sprytny i biegł nieregularnym zygzakiem, ale ostatecznie przyczaił się za metalowym kontenerem, unikając niemalże pewnego postrzału.

Kilka kul odbiło się od grubych ścian śmietnika.

Chwila w zupełności wystarczyła mężczyźnie ze znamieniem na policzku, aby rozeznąć się w sytuacji. Przeładował broń, wychylił się zza kontenera i wycelował na wysokość trzeciego piętra, lecz nikogo już tam nie było. Ścigający go olbrzym biegł w dół na złamanie karku — brał po kilka schodków. Gdy pokonał dwa piętra i niebezpiecznie zbliżył się do poziomu ulicy, sięgnął po krótkofalówkę.

— Jesteście tam, do cholery?! — wrzasnął Barton.

— Tak, szefie...

— Ścigam podejrzanego! Uciekł schodami przeciwpożarowymi! Jesteśmy na tyłach budynku! Odetnijcie mu drogę!

— Jedziemy!

Barton dotarł do drabinki i złapał mocno oburącz rurki spajane przez metalowe szczeble. Nie próbując wyszukiwać nogami podparcia, ześlizgnął się w dół. Tarcie spowodowało piekący ból.

Napastnik przyczajony za metalowym kontenerem był pod wrażeniem zwinności przeciwnika, tym bardziej, że ten nie wyglądał na młodzieniaszka, a ponadto był imponującego wzrostu. Włamywacz nie miał jednak zamiaru czekać, aż staną ze sobą twarzą w twarz. Strzelił kilkakrotnie, gdy tylko ścigający go olbrzym znalazł się na otwartym polu.

Barton nie pierwszy raz w karierze gonił podejrzanego. Doświadczenie nauczyło go, że nigdy nie może stać się nieruchomym celem. Gdy tylko jego nogi dotknęły ziemi, natychmiast rzucił się w bok, wykonując jednocześnie skok przez ramię. Usłyszał strzały, a zaraz po nich świsty kul omijających jego ciało o centymetry. Doskoczył do wnęki, gdzie znajdowały się drzwi prowadzące na zaplecze budynku. Wychylił się i zobaczył, jak złodziej, który wykorzystał sytuację, biegnie co tchu w kierunku ulicy. Barton chciał strzelić, ale chodnikiem szli ludzie i nie mógł ryzykować. Rzucił się w pogoń. Minął kontener i zatrzymał się dopiero na chodniku ciągnącym się wzdłuż głównej ulicy. Jedyne, co zobaczył, to nadjeżdżający samochód jego ludzi.

— Szefie! — krzyknął David, otwierając drzwi zatrzymanego się pojazdu. — Wszystko w porządku?!

— Nic nie jest w porządku! Zwiął! — wysapał poirytowany dowódca, próbując uspokoić pobudzone przez adrenalinę ciało.

Drugi ochroniarz również wysiadł. Ich miny mówiły same za siebie.

— Czemu się dziwicie? Was wykiwał półżywy dziennikarz, a to był cholerny profesjonalista. Kolejny raz dostaliśmy po dupie i tyle. Wracajcie przed budynek, Batt może się jeszcze pojawić. I wezwijcie policję. Zgłoście włamanie oraz strzelaninę. Mieszkanie Batta wygląda jak po trzęsieniu ziemi. Ja wracam na górę. Może uda mi się coś znaleźć, zanim pojawią się *profesjoniści na sygnale*. Jak przyjadą, macie się nie wychylać. Załatwię to.

Mężczyźni bez słowa wykonali polecenie.

Barton obszedł budynek, rozglądając się za podejrzanym. Miał nikłą nadzieję, że wypatrzy włamywacza, choć wiedział, że szanse na to są mniejsze od zera. Wszystko sprzymierzyło się przeciwko niemu, jednak cały czas wierzył, że jakimś cudem uda mu się znaleźć coś, co pomoże ochronić jego tyłek. Strażnik, którego Barton po raz drugi minął na parterze, popatrzył na niego jeszcze bardziej podejrzliwie niż za pierwszym razem.

— Spokojnie, kolego... To się nazywa *déja vu* — rzucił Barton i zabrał swoją legitymację z blatu. Gdy wrócił na trzecie piętro, zastał portiera w mieszkaniu. Chłopak z przerażeniem rozglądał się po wnętrzu, wystraszony jak jagnię w klatce lwa. Z pewnością obawiał się, że to jego pociągną do odpowiedzialności za to wszystko. Z drugiej strony, kogo innego mieliby za to winić?

— Przecież mówiłem, że masz nie wchodzić do środka!

Portier podskoczył z przerażenia.

— A... To pan... Ale skąd się pan tu...

— Potem ci wyjaśnię. Pomóż mi, skoro już tu jesteś.

— Musimy zgłosić włamanie!

— Wszystko załatwione — zapewnił Barton. — Moi ludzie już to zrobili. Policja zjawi się dosłownie za chwilę. Byłeś już wcześniej w tym mieszkaniu?

— Kilka razy, ale tylko na prośbę pana Batta.

— Sądząc po stanie pokoju, ktoś czegoś szukał. Jakieś pomysły?

— Niby jakie? — Portier wybałuszył oczy.

— Słuchaj... Skup się. To włamanie nie było przypadkowe, a facet, którego goniłem, to zawodowiec. Miał broń i potrafił z niej strzelać. Nie przyszedł tutaj po parę dolarów. Czy w tych mieszkaniach standardowo montuje się sejfy?

— Nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie — powiedział stanowczo chłopak.

— To znaczy, że są. Pokażesz mi gdzie, czy dalej będziesz zgrywał bohatera?

Portier nie odpowiedział, ale wzrok uciekł mu w kierunku drzwi w głębi krótkiego korytarza. To w zupełności wystarczyło. Nie czekając na ustną odpowiedź, Barton ruszył w tamtą stronę.

— Chwila! — zaprotestował chłopak. — Nie może pan grzebać w cudzym sejfie!

Sypialnia w porównaniu zresztą mieszkania wyglądała, jakby została oszczędzona przez włamywacza. Nawet pościel na łóżku była w idealnym stanie.

Barton pchnął przesuwne skrzydło zabudowanej we wnęce szafy — trafił za pierwszym razem. Na podłodze stał sejf przytwierdzony do ściany i posadzki. Olbrzym przykucnął, a chłopak stojący tuż za nim w milczeniu obserwował jego poczynania. Barton pociągnął rączkę i drzwiczki ustąpiły bez

najmniejszego oporu. Sejf był otwarty, a co gorsza — pusty. Spóźnili się... Barton zaklął pod nosem.

— Proszę? — odezwał się portier.

— Powiedziałem *cholera!*

— Aaa...

Opuścili sypialnię, a gdy znaleźli się z powrotem w salonie, z głównego korytarza doszły ich odgłosy poważnej rozmowy. Spojrzeli w kierunku drzwi wejściowych i zobaczyli dwóch funkcjonariuszy wchodzących do mieszkania.

— Panowie zgłaszali włamanie i strzelaninę? — odezwał się jeden z policjantów.

— Tak — odparł Barton. — A dokładniej, moi ludzie.

Po kilku minutach funkcjonariusze mieli już z grubsza nakreślony przebieg wydarzeń. Barton powoli zaczął zmierzać w kierunku wyjścia, gdy jeden z policjantów zatrzymał go:

— A pan dokąd?

— Do domu... — oznajmił nadzwyczaj spokojnie Barton.

— Chyba pan żartuje... Zgłasza pan włamanie, bierze udział w strzelaninie i chce tak po prostu wyjść? — Policjanci spojrzeli na siebie i roześmiali się. — Widzę, że urządził pan sobie prywatne śledztwo. Jest pan trochę daleko od miejsca pracy, a pana legitymacja jest, za przeproszeniem, gównem warta.

— Chcecie o niej pogadać?

— Niekoniecznie, ale na pana nieszczęście, tylko pan widział podejrzanego.

— Oczywiście, tyle tylko, że od dupy strony!

— Lepsza taka strona niż żadna. Zapraszamy z nami. Wyjaśnimy sobie kilka spraw.

ROZDZIAŁ 40

Johnson Avenue, Waszyngton

Czekając na Nicka, Kate Frost wpatrywała się w kopertę leżącą na stoliku. Już kilkakrotnie w ciągu ostatniej godziny próbowała się z nią zmierzyć. Brała przesyłkę do ręki, po czym odkładała. Nie wiedząc dlaczego, nie potrafiła się przełamać. Miała świadomość, że jej zawartość może wywrócić wszystko do góry nogami. Z drugiej strony, samo posiadanie takich informacji było niebezpieczne.

Miała dwa wyjścia — otworzyć kopertę i stawić czoła zawartości albo dostarczyć przesyłkę szefowi — Billowi Corriganowi — i narazić go, a pewnie też i inne osoby, na niebezpieczeństwo. Gdy po raz piąty wzięła kopertę do rąk, odezwał się dzwonek. Przestraszyła się i upuściła ją.

— Kate! Jesteś tam?! To ja, Nick! Kate?!

Podniosła kopertę i położyła ją na stoliku. Podbiegła do drzwi. Usłyszała rozmowę dwóch osób — mężczyzny i kobiety.

— Nie widziała jej pani?

— Wiem, że wróciła. Słyszałam, jak wchodziła do mieszkania — odpowiedział dojrzały, kobiecy głos. — Ale chyba nie było jej przez kilka dni.

Kate wiedziała już wszystko. Poirytowana przewróciła oczami i odblokowała zamki w drzwiach, przerywając w ten sposób rozmowę toczącą się na korytarzu. Gdy otworzyła, poczuła na sobie obciążające spojrzenia.

— Już myślałem, że coś ci się stało — rzucił Nick. — Wszystko w porządku? — Objął ją i mocno przytulił.

— Oczywiście, że tak — odpowiedziała z uśmiechem, aby odpędzić podejrzenia wścibskiej sąsiadki.

Po chwili emocje opadły i dziennikarka uprzejmie podziękowała kobiecie za troskę, po czym razem z Nickiem zamknęli się w mieszkaniu.

— Po co ją zaczepiłeś? Wstrętne babsko.

— To ona zaczęła! — Nick podniósł ręce, broniąc się przed zarzutem. — Wyszła na korytarz, jak zacząłem cię wołać.

— Słyszałam dzwonek. Wystarczyło poczekać...

— Następnym razem stanę pod drzwiami i wywołam cię telepatycznie.

— Daj spokój... Wiesz, o co mi chodzi. Trzeba było jeszcze raz zadzwonić. Mogłam spać. Po co od razu urządzać cyrk pod drzwiami?

— Dzwoniłem kilka razy! Kate... Co się dzieje? — Podszedł do niej, ale ona natychmiast go odtrąciła. Poszła do kuchni. Po rozmowach, które odbyła w taksówce, nie kontrolowała emocji. Zastanawiała się, czy rzeczywiście jest z nią aż tak źle, że nawet nie słyszała dzwonka. Włączyła czajnik, aby zagotować wodę i zrezygnowana oparła się o kuchenny blat. Nick podszedł do niej i złapał ją za ramiona.

— Mów, o co chodzi. Cokolwiek by to nie było, na pewno znajdziemy rozwiązanie — zapewnił ciepło.

Wymknęła się z pieszczotliwego uścisku. Zaparzyła kawę i przeszła do salonu. Nick zabrał z blatu swój kubek. Od dłuższego czasu mówili sobie wszystko i nie mieli przed sobą żadnych tajemnic. To zachowanie przeczyło wszystkiemu, co do tej pory osiągnęli. Widział, że Kate bije się z własnymi myślami. Po chwili milczenia wreszcie zaczęła mówić.

Nick siedział wyprostowany, uważnie słuchając relacji z wydarzeń, do jakich doszło w Nowym Jorku. Chociaż sam opis nie zrobił na nim większego wrażenia — pracował w policji i miał do czynienia z dużo dziwniejszymi przypadkami — to z zaciekawieniem chłonał każde usłyszane słowo. Ożywił się, gdy Kate wskazała na kopertę leżącą na stoliku.

— Jak widzisz, sprawa nie jest wcale taka prosta. Cokolwiek to jest, ma dla kogoś ogromną wartość. Ten ktoś był i jest w stanie zabić za to, co jest w środku. Wynajęto profesjonalistę. Wieżowiec był dobrze chroniony, a jednak morderca bez problemu minął strażników. Co go powstrzyma od sprzątnięcia podrzędnej dziennikarki?

— Nie co, a kto. Nie pozwolę, aby stała ci się krzywda. I wcale nie jesteś podrzędną dziennikarką.

Jej obawy ani trochę nie zmalowały, bo niby co miał jej w tej chwili .. Spodziewała się czegoś takiego — zapewnień, że wszystko będzie dobrze. Tymczasem potrzebowała konkretów, a nie pocieszenia.

— Spójrz na to rozsądnie — kontynuowała. — Będąc ze mną, narażasz się na...

— Kochanie... Daj spokój. Jestem policjantem i potrafię sobie radzić z takimi sprawami. Kto lepiej niż ja pomoże ci w tej sytuacji?

Spuściła głowę. Oczywiście musiała przyznać mu rację, lecz zrobiła to niechętnie i tylko w myślach.

— Nie chodzi o pomoc, ale o twoje bezpieczeństwo! — Łzy napłynęły do jej oczu.

— Nic nam nie grozi. — Objął ją ramieniem. — Otwórzmy wreszcie tę cholerną kopertę i sama się przekonasz, że nie ma w niej nic, co mogłoby nam spędzać sen z powiek.

— No dobrze, zobaczymy — zgodziła się, ale bez przekonania.

Nick sięgnął po kopertę leżącą na stoliku i zaczął powoli odrywać zamknięcie.

— Na litość boską... — nie wytrzymała. Stanowczym szarpnięciem oderwała górną część. Wyjęła ze środka zgiętą kartkę. Rozłożyła ją na stoliku i ich oczom ukazała się tabela zawierająca kolumny: *NAZWISKO I IMIĘ, DATA, NUMER KONTA, KWOTA*.

Nick odruchowo odwrócił kartkę na drugą stronę. Ta była jednak pusta.

— A nie mówiłem? Żadnych planów spiskowych ani zdjęć z zaznaczonym celem. Jakaś lista wpłat i to wszystko.

— Lista wpłat opiewających na grube miliony. Dobrze wiesz, że to coś cholernie ważnego. Dlaczego mój szef miałby być adresatem tych informacji, gdyby nie były nic warte?

Nick musiał uznać słuszność argumentu. Na kartce widniały znane nazwiska, które już na pierwszy rzut oka kojarzyły się z najznakomitszymi obywatelami USA. Wielomilionowe kwoty widniejące obok nich również nie mogły być bez znaczenia. Łączna wartość przedsięwzięcia, którego dotyczyła tajemnicza lista, opiewała na jakieś dwieście milionów dolarów.

— Moim zdaniem — upierał się Nick — gdyby były to aż tak cenne informacje, za które warto zabić, twój szef i ten drugi spotkaliby się osobiście, a nie przekazywaliby ich w taki sposób. Przed chwilą powiedziałaś, że facet chciał to wysłać pocztą! Wystarczyłoby, żeby zgubili przesyłkę. Przecież ktoś mógłby ukraść ci torebkę.

— Może tak, może nie. Spójrz na to inaczej... Moja przypadkowa wizyta stała się świetną okazją do zminimalizowania ryzyka. Mogli śledzić Brysona, ale nie byli

w stanie śledzić każdego, z kim się spotkał. Byłam idealnym kurierem.

— Sam nie wiem...

Jedno próbowało przekonać drugie o słuszności wniosków. Nie wiedzieli, co myśleć o zawartości koperty. Z pewnością spodziewali się czegoś gorszego, a już na pewno bardziej konkretnych informacji. Bez dodatkowych objaśnień dane nie przedstawiały większej wartości, ale mimo wszystko mogły okazać się groźne.

— Może twój szef będzie wiedział, co łączy te wszystkie osoby?

— Już mówiłam... Nie chcę niepotrzebnie nikogo narażać.

— A co mu powiesz? Przecież czeka na to. Rozmawiałaś z nim od czasu wizyty w Nowym Jorku?

— Nie. Nie wiem, co mu powiem. Coś wymyślę.

— Mam propozycję... Wrzucę te nazwiska do komputera i zobaczymy. Może na coś trafię.

— Czy ja wiem...

— Zróbmy tak... Powiedz Corriganowi, że niczego nie dostałaś. Zanim zdążyłaś się skontaktować z tym całym Brin...

— Brysonem — skorygowała Kate.

— ...Brysonem, usłyszałaś, że został zamordowany. Da nam to czas na sprawdzenie, z czym mamy do czynienia.

— To chyba najrozsądniejsze wyjście — przyznała Kate. — A jeżeli masz rację i Corrigan rzeczywiście wie, co oznaczają te nazwiska i czeka na tę listę? Może rozmawiali na ten temat z Brysonem?

— Możemy go narażać lub nie. Zdecyduj... — Nick wstał i przeszedł do pokoju, w którym Kate miała komputer i kilka

innych urzędzeń ułatwiających codzienną pracę. Zostawił ją na chwilę samą. Mimo że była dla niego najważniejszą osobą na świecie, nie chciał za nią decydować w tej sprawie.

— Potrzebujesz czegoś konkretnego?! — zawołała.

— Nie...

Urządzenie wielofunkcyjne wydało kilka mechanicznych dźwięków i cichy szelest kartki potwierdził utworzenie kopii. Nick ponowił operację, a następnie wrócił do Kate.

— Proszę... Jedna dla ciebie, druga dla mnie. Oryginał na razie schowaj. Tak jak powiedziałem, wrzucę nazwiska do komputera i zobaczymy.

— Mam nadzieję, że coś znajdziesz.

— Ja również. I jeszcze jedno... Pomieszkać u mnie przez parę dni.

— Zgoda... — Z ulgą przystała na propozycję. Nawet po cichu liczyła na nią, ale nie chciała się narzucać, szczególnie w takich okolicznościach.

— Musimy dmuchać na zimne, bo jeżeli faceci, którzy do ciebie dzwoniли, mają rację i ktoś rzeczywiście będzie chciał... odzyskać te dane... — Zastanawiał się, jak łagodnie powiedzieć Kate, że ma się nie wychylać. Na szczęście ułatwiła mu to:

— Chcesz powiedzieć, że jeżeli naślą kogoś na mnie, to ten ktoś najpierw odwiedzi moje mieszkanie? — Trafiła w sedno, ale Nick nie mógł tego przyznać.

— Gadasz głupoty...

— Czyżby?

— Póki pamiętam. Podaj mi nazwiska osób, które dzwoniły i ostrzegały cię przed niebezpieczeństwem. Sprawdzę ich

wiarygodność. — Nick sięgnął po długopis leżący pod stolikiem i odwrócił kopię listy na drugą stronę.

— Barton... Wes Barton. Ochroniarz, a dokładniej szef ochrony, który przesłuchiwał mnie po zabójstwie.

— A ten drugi? Ten, który dzwonił jako pierwszy?

— Jason Batt. To dziennikarz pracujący głównie na terenie Nowego Jorku. To on jako ostatni rozmawiał z Brysonem.

— Ten sam, który widział, jak dostajesz kopertę od dyrektora?!

— zapytał Nick, wracając pamięcią do opisu wydarzeń sprzed kilkunastu minut.

— Tak...

ROZDZIAŁ 41

Manhattan

Mieszkanie Jasona Batta szybko przyozdobiono żółtą, policyjną taśmą. Kiedy funkcjonariusze skończyli spisywać zeznania portiera i ochroniarza, opuścili apartamentowiec i udali się wraz z głównym uczestnikiem zajścia — Wesem Bartonem — na posterunek, aby rozwiać wątpliwości w związku z jego osobą i strzelaniną, w której uczestniczył.

Pracownik recepcji, mocno roztrzęsiony całym zajściem, wrócił do swoich obowiązków, czyli do trwania w bezczynności. Przez głowę przelatywały mu czarne myśli — wyobrażał sobie różne scenariusze kończące historię jego samodzielnego wejścia do mieszkania dziennikarza. Co ten fajfus sobie wyobrażał? Przecież mogliśmy tam zginąć! Pomimo pozornego spokoju, czuł jak serce bije mu coraz mocniej. Im bardziej starał się opanować emocje, tym gorzej mu to wychodziło.

Samuel — strażnik — zauważył dziwny wyraz twarzy współpracownika. Upewnił się, czy aby nikt nie nadchodzi i zagadał do kolegi ze zmiany:

— W porządku? Wyglądasz jak rozdeptane gówno...

— Dzięki...

— Wyluzuj... Mnie też wkurwiła ta sytuacja.

— Po tobie jakoś tego nie widać — stwierdził portier przyciszonym głosem, nie chcąc, aby ktoś ich usłyszał.

— Mnie to nie rusza... Mam na to sposoby. Jedno słowo i będzie fajnie.

Portier skrzywił się i pokręcił głową.

— Wiesz, że nie mogę...

— Ja też nie i co z tego...

Poddał się.

— Dobra... Dawaj. Teraz już będą mieli dwa powody, żeby mnie wywalić. Mogą sobie wybrać. Ale nie mam dzisiaj kasy, jutro zapłacę.

— Spoko... Ale pamiętaj... — Ochroniarz uniósł palec wskazujący. — Ja nie widzę ciebie, ty nie widzisz mnie.

— Dobrze wiesz, że nie sypnę.

Samuel wyciągnął skręta z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał go koledze.

— Zastąpisz mnie na chwilę?

— Myślałem, że nie zaproponujesz. Kręgosłup włazi mi już w dupę.

Chłopak zahaczył jeszcze o pokój dla personelu. Narzucił na ramiona kurtkę i wyszedł na tyły budynku. Oddalił się parę metrów od oświetlonego wyjścia, aby nie stać bezpośrednio pod

lampą. Było już ciemno i pojawiały się pierwsze gwiazdy. Jedynie słaba łuna z latarni przy głównej ulicy wdzierła się w wąski przesmyk pomiędzy budynkami.

Portier włożył do ust skręta i sięgnął do kieszeni po zapalniczki. Zostały mu dwie. Pierwszą zmarnował, nieumyślnie łamiąc podczas zapalania, więc drżącymi rękami użył ostatniej. Udało się... Kilka razy potrząsnął dłonią i odruchowo wyrzucił zapalniczkę. Ta jednak nie zgasła — dalej tliła się słabym płomieniem. Po chwili od niedopałka zajęła się gazeta leżąca tuż przy nim.

— Cholera jasna... Jak to jest, że czasem wszystko idzie nie tak, jak powinno. — Zaczął deptać gazetę. Wystraszył się, gdy w świetle dogasającego płomienia zobaczył sylwetkę szybko zbliżającego się mężczyzny. Gwałtownie odskoczył, a papier ponownie zaczął się rozpalać.

Chłopak wycofał się do drzwi. Brak jakiegokolwiek odzewu ze strony nieznanego wzbudził w nim jeszcze większy niepokój. Wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, osobnik zatrzymał się przy płonącym kawałku papieru i jednym porządnym nadeptaniem zgasił go.

Pracownik recepcji próbował wymacać za plecami klamkę. Słyszał uderzenia własnego serca. Nie widział twarzy mężczyzny — jego sylwetka zlewała się z otoczeniem.

— Nieładnie, Jim.

Portier ściągnął brwi. Głos wypowiadający te słowa brzmiał dziwnie znajomo. W pierwszym momencie trudno było go przyporządkować do konkretnej osoby, jednak po chwili pamięć Jima zaczęła funkcjonować na zdwojonych obrotach.

— Pan... Batt?

— Nietoperz wyłania się z mroku... — rzucił ironicznie reporter i podszedł bliżej, aby słabe światło lampy całkowicie

objęło jego sylwetkę.

— Niezłe wejście... Co pan tutaj robi?

— Mogę? — Dziennikarz wyciągnął rękę, prosząc o skręta.

Portier był na tyle zszokowany, że bez wahania podał go lokatorowi. Ten mocno zaciągnął się, zamknął oczy i wypuścił dym. Tego mu było trzeba.

— Dobry towar. — Zakaszłał dwa razy. — Naprawdę dobry. Już dawno nie miałem okazji zajarać.

— Wszystko u pana w porządku? — Chłopak zauważył fragment temblaku podtrzymującego lewe ramię dziennikarza. — Był tu jakiś facet i powiedział, że jest pan w szpitalu, że... stracił pan pamięć.

— Trochę przesadzili... Byłem w szpitalu — Batt pokazał unieruchomioną lewą rękę — ale z pamięcią u mnie wszystko w porządku. — Zaciągnął się jeszcze dwukrotnie i oddał resztkę skręta. — Wpakowałem się w niezłe gówno, Jim, i muszę uważać. — Ściszył głos. — Zdobyłem informacje, które inni chcą odzyskać. A to dowód, że mówię prawdę... — Wskazał na swoją rękę.

— Przepraszam, ale dlaczego pan mi to mówi? Swoją drogą, byli tu niedawno policjanci. Może mogliby panu pomóc...

— Policjanci?

— Wezwałem ich w związku z włamaniem do pana mieszkania.

— Jakim włamaniem?! — Batt wyraźnie się ożywił.

— Włamaniem i strzelaniną!

— Chyba sporo mnie ominęło. — Dziennikarza zaintrygowało to, co usłyszał.

— Zdecydowanie... — Chłopak pobieżnie zrelacjonował wydarzenia ostatnich kilku godzin. Wspomniał o włamaniu, strzelaninie i ochroniarzu, który, według policjantów, na własną

rękę prowadził jakieś śledztwo. — Od samego początku gość nie przypadł mi do gustu! — warknął z oburzeniem. Odczuł zbawienne działanie trawki i odzyskał pewność siebie. — Teraz już wiem, że facet zrobił mnie w pręta! Węszył po mieszkaniu i nawet pytał o sejf. Niby nie bał się policji, ale wyraźnie chciał się rozejrzeć, zanim przyjadą.

— A ty stałeś jak kołek i nic nie zrobiłeś.

— Nic mu nie powiedziałem, ale cwaniak i tak domyślił się, gdzie jest sejf.

— Otworzył go?

— Nie.

Batt odetchnął z ulgą.

— Nie musiał. Już był otwarty i... pusty.

— Ktoś mnie okradł?! W strzeżonym budynku?! — krzyknął rozwścieczony dziennikarz.

— Mówiłem, że było włamanie. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Nawet nie wiedziałem, że ktoś wszedł do pana mieszkania. Musieli użyć schodów przeciwpożarowych. Koło recepcji nie przechodził nikt podejrzany... Ani ja, ani Samuel nie wpuścilibyśmy nikogo takiego na górę! Przysięgam na grób mojej matki!

— Jim, twoja matka żyje. Miesiąc temu mówiłeś, że drugi raz wyszła za mąż i nawet ci o tym nie powiedziała. Pamiętasz? Dowiedziałeś się od kolegi.

Chłopak podrapał się po głowie.

— Miałem na myśli, że gdyby nie żyła...

— Dobra, dobra... Posłuchaj mnie teraz uważnie! — Ton reportera stawał się coraz bardziej ostry. Położył rękę na ramieniu chłopaka i spojrzał mu prosto w oczy. — Wiem, że

zabrzmi to groźnie, ale jeżeli mnie nie posłuchasz, mogę zginąć nie tylko ja, ale i kilka innych osób. Zakładam, że tego nie chcesz?

— Wiadomo! — Portier próbował skupić się na słowach dziennikarza, ale miał z tym spore problemy.

— Chcesz zarobić dwieście dolców?

— A kto by nie chciał?!

— Ciszej... Powiem ci, co masz zrobić. Jeżeli mnie posłuchasz, za piętnaście minut będziesz bogatszy o dwie stówki.

Instrukcje dziennikarza były krótkie i precyzyjne. Po ich wysłuchaniu chłopak skinął głową na znak zrozumienia — nawet po wypaleniu skręta nie miał problemów z ich zapamiętaniem.

Gdy ochroniarz pełniący chwilowo obowiązki kolegi zobaczył współpracownika przebiegającego w kurtce obok recepcji, obrzucił go pytającym spojrzeniem.

— A ty dokąd?

— Pilna sprawa... — odparł Jim, zabierając jeden z kluczy.

— Nie spiesz się. To stanowisko mi odpowiada. — Samuel na powrót przyjął wygodną pozę i wrócił do czytania najnowszego wydania magazynu motoryzacyjnego.

Na trzecim piętrze nie było żywej duszy, co znacznie ułatwiło całą operację. Portier zatrzymał się przy drzwiach oblepionych żółtą taśmą i delikatnie oderwał jeden kawałek — powstała wystarczająco duża luka, aby mógł wślizgnąć się do mieszkania.

Głównym celem była sypialnia. W międzyczasie, używając prywatnego telefonu, skontaktował się z firmą całodobowo wynajmującą samochody, której siedziba mieściła się przecnicę dalej. Na swoje nazwisko zarezerwował forda focusa i powiedział, że w ciągu godziny odbierze go znajomy.

Otworzył szafę w sypialni. Obok sejfów stała czarna walizka. Spakował do niej wszystko, co mogłoby być potrzebne na krótką podróż. Kolejnym etapem była łazienka — z szafki nad umywalką zabrał przybory toaletowe i parę drobiazgów.

Ostatnie zadanie, jakie powierzył mu Batt, polegało na wydobyciu zawiniątka ukrytego w ozdobnej poduszce stanowiącej — wraz z kapą — nakrycie łóżka. Chłopak zabrał z kuchni nóż. Ostrożnie wbił ostrze w niedbale wykonane szwy. Nitki puściły i niewielka ilość puszystej zawartości wyleciała na podłogę. Włożył rękę do środka. Od razu wyczuł coś twardego. Wydobyl czarny płócienny worek, w którym schowano coś o kształcie prostopadłościanu. W środku znajdowało się ciężkie pudełko zamknięte na zatrzask. Właściciel kategorycznie zabronił otwierania go. Chłopak ostrożnie ułożył je pomiędzy koszulami. Starannie pozbierał z podłogi puch, a nóż odniósł do kuchni i wytarł rękojeść. Wiedział, że nie może pozostawić po sobie żadnego śladu.

Ostrożnie przełożył walizkę pomiędzy taśmami, aby nie zerwać policyjnych zabezpieczeń. Znalazłszy się na zewnątrz, zapieczętował mieszkanie.

Gdy cichy dźwięk oznajmił przybycie kabiny na najniższy poziom, Samuel od niechcienia odwrócił głowę, aby zobaczyć, kto wyłoni się ze środka. Ujrzawszy współpracownika, natychmiast wrócił do lektury.

— Nie strasz ludzi. Próbuję tu pracować — fuknął, uśmiechając się pod nosem.

— Właśnie widzę... Nie przeszkadzaj sobie.

Ochroniarz nawet nie zauważył, że jego towarzysz zmiany ciągnie za sobą walizkę. Dzień, w którym choć na chwilę mógł się

oderwać od niewdzięcznej roli odźwiernego, uznawał za udany i nic nie mogło odwrócić jego uwagi od słodkiego lenistwa.

Na tyłach budynku czekał już zniecierpliwiony zleceniodawca.

— Co tak długo?

— Przecież musiałem zadbać o to, aby nikt nie zauważył, że tam byłem. Mogę stracić pracę!

— Pewnie... Policja porobiła zdjęcia po włamaniu, po czym znika połowa moich osobistych rzeczy. Na pewno nikt nie zauważy różnicy — zadrwił Batt, czym mocno zaniepokoił portiera.

— Ale sam pan...

— Zapomnij. Zniknęła walizka i moje portki. Każdy normalnie myślący policjant uzna, że sam to zrobiłem. A przy odrobinie szczęścia, drugi raz nawet tam nie zerkną. Pamiętaj tylko, że jak poproszą o nagrania z monitoringu, to masz dać im tylko te z włamania, a dzisiejszą noc zostaw sobie na pamiątkę. Powiesz, że nikogo nie widziałeś. Mogłem wejść schodami przeciwpożarowymi. Okno jest wybite, więc to żadna sztuka.

Portier przekazał walizkę.

— Samochód powinien już na pana czekać.

— Obiecana zapłata. — Batt wyciągnął z kieszeni przygotowane wcześniej dwieście dolarów w banknotach o niskich nominałach.

— To przyjemność mieć takiego lokatora. — Chłopak uśmiechnął się i z radością odebrał zapłatę za wykonane zadanie.

— Nie muszę chyba mówić, że nie było mnie tutaj. Wiem, że wydaje ci się to dziwne, ale od twojego milczenia zależy życie wielu ludzi. Nie wspominając już o twojej posiadzie...

— Jak to? — oburzył się portier, któremu skręt dodał więcej odwagi niż rozumu.

— Palłeś w godzinach pracy... Co więcej, facet przy drzwiach codziennie wali zięlskiem na kilometr. Wystarczy jeden telefon. Za takie coś wylatuje się na zbity pysk z niemiłą adnotacją w papierach. Tak więc nie widziałeś mnie, a ja nie widziałem ciebie.

— Wiadomo — odburknął.

— Świetnie. Nie wydaj wszystkiego od razu.

Zanim Batt wyszedł na główną ulicę, zatrzymał się i otworzył bagaż. Wyjął czarne zawiniątko, a z niego — pudełko. Odbezpieczył zatrask i jego oczom ukazały się trzy pliki banknotów stu-dolarowych, mały pistolet oraz kilka fałszywych praw jazdy. Wybrał jedno z nich i umieścił je w portfelu, zamieniając z dokumentem wystawionym na prawdziwe nazwisko. Często posługiwał się fałszywymi danymi. Zdarzało się, że swoich informatorów pozyskiwał z różnych światków, więc anonimowość była w jego przypadku bardzo wskazana.

Idąc chodnikiem, dotarł do przeszklonej witryny firmy zajmującej się wynajmem samochodów. Zajmowała małe, wręcz klau-strofobicznie ciasne biuro. Przed komputerem siedziała młoda kobieta o kasztanowych włosach i wyraźnie znudzonej minie. Ożywiła się, gdy tylko zobaczyła przystojnego, wysokiego mężczyznę wchodzącego do środka.

— Witam, w czym mogę panu pomóc? — zapytała ciepłym głosem, wstając z miejsca.

— Dobry wieczór. Mój przyjaciel jakieś trzydzieści minut temu zarezerwował telefonicznie focusa. Jest już gotowy?

— Aaa... To dla pana. Samochód czeka na naszym parkingu. Poproszę tylko o jakiś dokument tożsamości, no i oczywiście

proszę powiedzieć, jaki sposób zapłaty pan preferuje.

Jason Batt nie odpowiedział, tylko wyciągnął portfel i położył na biurku pięćset dolarów. Obok pieniędzy wylądowało prawo jazdy.

— Rozumiem, że gotówka, panie... — Kobieta spojrzała na dokument.

— Smith... Brian Smith — podpowiedział dziennikarz, puszczając do niej oczko.

ROZDZIAŁ 42

Zatoka Pohick

Po kolejnym wyczerpującym dniu Jonathan Morris padał z nóg. Siedział w swoim olbrzymim, obitym skórą fotelu i przeglądał gazetę. Na pierwszych stronach znajdował się obszerny artykuł pod tytułem *Zatrzymano pierwszych podejrzanych o zamach w północnym Waszyngtonie*. Morris był ciekaw, kogo wskazano jako winnego, więc pominął pierwsze akapity i przeskoczył wzrokiem do środka tekstu, gdzie w kilku zdaniach znalazł takie słowa jak: *islamscy ekstremiści i terroryści*.

— Dokąd ten świat zmierza... — bąknął pod nosem.

Przewrócił stronę i jego oczom ukazało się duże, kolorowe zdjęcie z miejsca wybuchu. Fotografiię wykonano niecałą godzinę po eksplozji. Widząc ogrom zniszczeń, pokręcił głową na znak dezaprobaty. Właśnie miał przeczytać podpis pod zdjęciem, gdy z zamyślenia wyrwało go głośne, odważne pukanie do drzwi.

— Proszę!

Do gabinetu pewnie wkroczył doktor Edward Harris.

— Wreszcie... — powiedział wesoło dyrektor i trzepnął gazetą o blat biurka.

— Nie mogłem szybciej.

— Coś nie tak? — zapytał zaniepokojony Morris.

— Już nie...

— Na pewno?

— Na sto procent.

Morris podszedł do barku. Zabrał z niego dwa kieliszki i butelkę wina, którą rozpoczęli poprzedniego dnia.

— Wiesz, że nie lubię, jak coś jest nie tak. Chodzi o Petersona? Nie mów, że masz wyrzuty sumienia.

— Jakoś tego nie rozumiem.

— Ja też nie, ale nie nam oceniać.

— Nie to miałem na myśli.

— Wiem, ale dodatkowe pół miliona powinno rozwiązać twoje wątpliwości. Rzadko udaje się tyle zarobić przez dwa dni... — Dyrektor podniósł kieliszek. Jego gość uczynił to samo, ale bez większego entuzjazmu. Szkło zabrzęczało.

— Twoje zdrowie, Jonathanie.

— Nasze...

Wypili po dwa łyki. Uwielbiali raczyć się dobrym trunkiem, jednak stanowczo nie tolerowali pijaństwa. Byli w stanie przez wiele godzin siedzieć przy jednej butelce. Wyborne procenty traktowali jako miły dodatek do rozmowy.

— A jak tam twoje sprawy? — zapytał Harris.

— Masz na myśli tę puszczałską zdzirę, która ze mną mieszka i baluje za moje pieniądze?

Harris uśmiechnął się i skinął głową.

— Ano dalej się puszcza i dalej baluje. Ale nie potrwa to już długo.

— Nie rozumiem, jak możesz spać z nią w jednym łóżku. Po tym, co mi powiedziałeś, mam problem spokojnie minąć się z nią na korytarzu.

— To miło z twojej strony, ale zrozum, że jak ją stąd wywalę, pierwsze co zrobi, to weźmie taksówkę i pojedzie do byle jakiego adwokata, który z łatwością oskubie mnie z połowy majątku. To tak jakbyś spał obok pięćdziesięciu milionów dolarów. Będą twoje, dopóki leżysz cicho. A jak zacznie coś podejrzewać, to przyczai się, cholera wie, na jak długo. Nie wspomnę już, że może zmądrzeć i przestać się puszczać. Chyba bym zwariował. Z drugiej strony, czemu mam nie posuwać swojej żony? A nie może mi nie dawać, bo inaczej ja mógłbym zacząć coś podejrzewać. Koło się zamyka. Tyle tylko, że ona nie wie, że ja wiem.

— Nie zazdrozczę. — Harris zrobił łyk wina, na co dyrektor odpowiedział tym samym. — Coś nowego w sprawie Nowego Jorku?

— Nie... Wiem tylko tyle, że podobno jest źle, ale to informacje z drugiej ręki, jak nie z trzeciej. Po przeprowadzonych badaniach pojawiło się mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Zastanawiają się, czy w ogóle się za to brać. Z drugiej strony, jeżeli to wszystko będzie tyle trwało, to już mogą go pochować.

— Za dużo mlaskania i gdybania, a za mało konkretów...

— A czego oczekujesz od państwowej placówki?

— Dobrze powiedziane.

— Do tego dochodzi zmniejszona krzepliwość u pacjenta i jakieś wady genetyczne. Nie znam szczegółów. Jeżeli w to wejdziemy, będzie zabawa jak cholera.

Harris uniósł brwi.

— Jeżeli? A myślałem, że klient nasz pan.

— W tym przypadku to jak przejażdżka rollercoasterem bez zabezpieczeń. Po przypadkowej — Morris opatrzył to cudzysłowem — śmierci Petersona, średnio będzie nam potrzebny kolejny trup w klinice, gdyby coś poszło nie tak. Tym bardziej, że podobno to pacjent pediatryczny. Ojciec ma kasę i płaci alimenty, ale chłopaka wychowuje matka. On chce operacji, ona nie, bo jest wierząca i coś tam... coś tam... Jakaś paranoja!

— Kiedy będziesz wiedział coś więcej?

— Jutro. Góra zwołała specjalne zebranie.

— Z tego powodu?

— Być może, ale nie sądzę.

— Kiedy wylatujesz?

— Dziś w nocy. Knight wspaniałomyślnie użyzył mi samolotu. Nasz przechodzi właśnie coroczny przegląd, więc gdyby nie szczodry pacjent, byłbym całkowicie udupiony.

— Chciałeś powiedzieć, że musiałbyś jechać limuzyną albo czekać dwie godziny na lotnisku, a potem siedzieć pomiędzy spoconymi biznesmenami, popijając kosmicznie drogie drinki?

— Mówię przecież, że byłbym udupiony.

— To miło ze strony Knighta, że oszczędził ci cierpienia — rzucił Harris, traktując narzekanie towarzysza z przymrużeniem oka.

— Czy ja wiem... Kiedy pytałem, był na wpół przytomny, więc nie jestem pewien, czy wiedział, na co się godzi. — Morris śmiał się, mówiąc to, ale Harris doskonale znał charakter przyjaciela i wiedział, że właśnie tak mogło to wyglądać.

— Wiesz, co jest najzabawniejsze w tym wszystkim? — zapytał Morris, sięgając po kieliszek.

— Zaskocz mnie.

— Od pięciu lat regularnie spotykamy się w tej cholernej willi i nikt nie ma pojęcia, kto pociąga za sznurki, kto wszystko ustala, kto tym kieruje.

— Musicie kogoś podejrzewać.

— Nie mam bladego pojęcia. Słowo skauta.

— Nie byłeś w skautach.

— Ty też nie, więc skąd wiesz?!

Roześmiali się.

— Czy to ważne? — zapytał dyrektor, opróżniwszy kieliszek. — Powiedz mi, jakie szanse miałby ten chłopak, gdyby nie tacy ludzie jak my? Zerowe czy żadne? A jeżeli da się jeszcze przy tym zarobić, to tym lepiej.

— Rycerze Króla Artura ze skalpelami zamiast mieczy. Szlachetne aż do porzygania. Chyba zapominasz o paru rzeczach.

Morris nie odpowiedział, tylko napełnił kieliszki. Tym razem picie szło im wyjątkowo szybko.

— I nigdy nie widzieliście tego faceta?

— Nawet nie wiem, czy to facet. Przypuszczam, że facet, bo wygląda jak facet, ale cholera go tam wie. Łączy się z nami audiowizualnie. Zawsze w garniturze, zawsze w dużych okularach przeciwsłonecznych zasłaniających pół twarzy.

— Faceci w czerni, jak nic! — roześmiał się Harris.

— Śmieję się. Gdy mnie zwerbowali i pierwszy raz tam pojechałem, myślałem, że Kubrick nakręcił nowy film. Ma się uczucie, że jest się nikim w porównaniu z *nim*, chociaż to tylko jedna gęba na monitorze, a nas jest kilku. Gdy on mówi, wszyscy

siedzą cicho. Z drugiej strony w każdej chwili może cię odciąć od koryta wartego miliony, więc nikt się nie wychyla.

— To rzeczywiście musi być dziwne uczucie... Tutaj jesteś prawie bogiem, dajesz innym nowe życie. A tam... pionkiem w skomplikowanej grze?

— Pionki zawsze idą pierwsze na rzeź — zauważył Morris, ciągnąc spory łyk wina.

— Właśnie o tym samym pomyślałem. Problem w tym, że jeżeli ty jesteś pionkiem, to czym ja jestem? Brudem na szachownicy?

DZIEŃ 6

ROZDZIAŁ 43

Na północny wschód od Nowego Jorku

Czarna limuzyna zjechała z dziewięćdziesiątej piątej między-
stanowej i zmierzała w kierunku wybrzeża. Kierowca jechał
wolno, przestrzegając wszystkich napotkanych ograniczeń.

Słońce powoli wznosiło się nad horyzont i mrok nocy ustępował
porannej szarości. Niebo było bezchmurne, a to zwiastowało
piękny wschód słońca. Pasażer za nic w świecie nie chciał go
przegapić.

— Możemy jechać nieco szybciej? — zwrócił się do kierowcy.

— Oczywiście — odparł szofer i mocniej wcisnął pedał gazu.

Limuzyna mknęła szeroką ulicą, przy której stały okazałe
wille. Gdy na rozstaju dróg pojawiła się tabliczka *Park Avenue*,
pasażer poczuł przyływ pozytywnych emocji — był już blisko
celu, blisko wybrzeża, blisko widoku zapierającego dech
w piersiach.

Idealnie wypolerowany pojazd zatrzymał się na drugim z kolei
podjeździe, przed potężną, kutą bramą spajającą wysokie, grube
ogrodzenie wykonane z piaskowca.

Pasażer wylegitymował się do komunikatora zaopatrzonego w kamerę. Na małym ekranie LCD pojawiła się znajoma twarz stróża, który każdorazowo witał gości. Po krótkiej wymianie zdań brama otworzyła się.

Pokonawszy pięćdziesiąt metrów idealnie równej, asfaltowej nawierzchni, limuzyna zatrzymała się przed imponujących rozmiarów rezydencją. Dębowe drzwi wejściowe przytłaczały wielkością. Pięknie prezentowały się na tle jasnych, żółtobrązowych barw, którymi wykończono elewację parteru. Całość utrzymano w nowoczesnej konwencji prostokątnych i kwadratowych brył. Większość pomieszczeń na piętrze była całkowicie przeszklona od strony wybrzeża, co umożliwiało obserwację piękna zatoki. Na olbrzymim tarasie wychodzącym na południe znajdował się dwudziestometrowy basen, którego zakończenie było tak przemyślane, aby zażywający kąpieli mieli wrażenie przebywania w oceanie — zlewało się z wodami zatoki.

Szofer jako pierwszy opuścił limuzynę i otworzył pasażerowi drzwi.

— Panie Morris, jesteśmy na miejscu.

— Chwileczkę — powiedział dyrektor. — Należę sobie tylko drinka. Kiepsko spałem, a lot był za krótki, żeby się zdrzemnąć. Wbrew powszechnemu przekonaniu, to powinno postawić mnie na nogi.

— Oczywiście. Wszystko, co pan widzi, jest do pana dyspozycji.

Morris otworzył barek ulokowany po prawej stronie, w połowie długości samochodu. Wyciągnął dwie szklanki, a następnie sięgnął do małej lodówki. W każdej szklance wylądowały cztery kostki lodu, który przyjemnie zatrzeszczał w zetknięciu z kilkunastoletnią whisky. Z dwoma kryształowymi szklaneczkami Morris opuścił limuzynę.

— Pana bagaż będzie czekał w pokoju — oznajmił kierowca.

— W tym samym, co zawsze?

— Oczywiście.

— Wyśmienicie.

— Czy mogę pomóc panu w czymś jeszcze?

— Nie, dziękuję. Na tę chwilę to wszystko. Ale poczekaj... — Dyrektor postawił szklanki na bagażniku i wyjął z kieszeni marynarki portfel. W rękach szofera wylądowała studolarówka.

— Dziękuję bardzo! — Oczy kierowcy pojaśniały i z radością przystąpił do transportu niewielkiego bagażu do zarezerwowanego pokoju.

Morris nie miał zamiaru przegapić wschodu słońca. Widoki w tej okolicy były zachwycające. Nie zwlekając dłużej, pospiesznie poszedł wybrukowaną, krętą ścieżką w kierunku wybrzeża. Maszerował żwawo przez malowniczy ogród, który z wizyty na wizytę wydawał mu się piękniejszy. Wszystkie rośliny były niemalże przeznaczone miejscom, w których rosły. Idealnie przystrzyżona trawa i krzewy, a także dbałość o każdy, nawet najdrobniejszy kamień, sprawiały niesamowite wrażenie.

Będąc niecałe trzydzieści metrów od celu, dyrektor zauważył mężczyznę stojącego w miejscu, do którego on sam zmierzał. Drewniana kładka osadzona na nagich skałach obmywanych przez spiętrzone fale prowadziła na niewielki taras otoczony solidną barierką. Kiedy Morris postawił pierwsze kroki na deskach, te zaskrzypiały, wytrącając z zamyślenia stojącego nieopodal mężczyznę. Do tej pory trwał w bezruchu, oparty o drewnianą poręcz, jednak teraz wyprostował się i odwrócił. Natychmiast rozpoznał zbliżającego się osobnika.

— Ranny z ciebie ptaszek, Jonathanie.

— Nie chcę nic mówić, ale ty byłeś tu pierwszy.

— Specjalnie przyjechałem godzinę wcześniej. Za nic nie przegapiłbym tego widoku.

Alfred Cole miał zawsze nienaganną aparycję. Wyprostowany i elegancki, ubrany w najlepsze garnitury — był doskonałym przykładem tego, że można starzeć się z godnością. Jego posiwiałe włosy i liczne zmarszczki na twarzy nie ujmowały mu uroku — wręcz przeciwnie. Pomimo swoich siedemdziesięciu sześciu lat w kręgach prywatnych nadal uznawano go za podrywacza i kobieciarza. Z wykształcenia był spawaczem, jednak jego kariera szybko nabrała tempa, kiedy odkrył w sobie zamiłowanie do pieniędzy. Zaczynał jako magazynier w sklepie, a skończył na stanowisku dyrektora jednej z największych firm farmaceutycznych we wschodniej części Stanów Zjednoczonych. W swojej szalonej karierze zetknął się nawet z polityką. W pewnym okresie życia zachciało mu się stanowiska kongresmena. Szybko jednak odkrył, że ten — jak twierdził — zawiły i nudny świat nie jest dla niego.

Gdy Morris spotkał Cole'a po raz pierwszy, od razu polubił jego sposób bycia. Odwiedzali się rzadko, ale regularnie. Dzielili te same pasje — piękne widoki, dobre jedzenie i wyśmienite trunki.

— Skąd wiedziałeś, że tu będę? — zapytał z lekkim zdziwieniem Cole, gdy towarzysz podał mu szklaneczkę whisky.

— Nie wiedziałem... Ta druga również miała być dla mnie.

Roześmiali się i oparli o drewnianą barierkę.

— Uwielbiam ten widok — zachwycił się Cole. — Warto tutaj przyjechać... Choćby tylko dla niego.

— Szczera prawda.

Słońce powoli wschodziło, malując horyzont pomarańczowo-złotymi barwami. Mieszały się one z błękitem wody, tworząc przepiękny widok. Na jaśniejącym niebie dostrzegli kilka krążących ptaków. Wypatrywały pierwszych zdobyczy, którymi mogłyby nakarmić swoje młode. Jeden z podniebnych łowców przestał nagle machać skrzydłami i zapikował do falującej toni. Wbił się w wodę niczym pocisk. Po chwili wynurzył się, trzymając w dziobie zdobycz. Otrzepał pióra i w okamgnieniu był już z powrotem w powietrzu.

— Wiesz, dlaczego przyspieszono zebranie? — zapytał po krótkim milczeniu Morris.

— Nie mam pojęcia, ale coś się szykuje. Czuję to w moich starych kościach... Doszły mnie słuchy, że powstał jakiś przeciek... — Alfred Cole zrobił głębszy łyk.

— Przeciek?

— To tylko plotki.

— Plotki nie biorą się znikąd. Pozostali już są?

— Biorąc pod uwagę ilość podejżdżających limuzyn, myślę, że tak. Chociaż osobiście widziałem tylko Crane'a i Griffina. Nie wiem, co z Hadley'em. Wiesz, jaki on jest. Zawsze robi wszystko po swojemu.

— Jak zwykle się spóźni — zauważył Morris i pociągnął łyk.

— Ten smarkacz nigdy się nie nauczy. Ma głowę do interesów, ale zero szacunku dla innych. Za szybko się dorobił. Zresztą, korzystał z pieniędzy tatusia, więc o czym my tu mówimy... Nigdy ciężko nie pracował ani nie doznał upokorzenia. Od małego uczono go, jak rozstawiać ludzi po kątach. Założę się, że gdybym zatrudnił go w poniedziałek, wyleciałby z mojej firmy jeszcze przed końcem tygodnia.

— Napędza firmie sporo klientów...

— W nieprofesjonalny sposób — zaznaczył ostro Cole. — Kłapie dziobem na lewo i prawo. Taki żwawy szczeniaczek bez kagańca. Powinni go czym prędzej wykastrować i wszczepić mu chip. Zachowuje się, jakby w pokera można było wygrać, grając odsłoniętymi kartami. Zresztą, co ja ci będę tłumaczył...

— Zgadzam się. Zero odpowiedzialności. — Morris pochylił głowę i spojrzał do swojej prawie pustej szklanki. Bawił się mocno nadtopionymi kostkami lodu, które ślizgały się po dnie w różne strony, w zależności od przechyłu. — Myślisz, że ktoś wie?

— Jeżeli jeszcze nie zaczęli węszyć, to za niedługo zaczną. Mnie już jest wszystko jedno... Przeszedłem przez życie tak, że inni mogą mi tylko pozazdrościć. Nie twierdzę, że zawsze postępowałem jak święty. W gruncie rzeczy, wiem o wszystkim, co się tutaj dzieje, ale ostatecznie dostarczam wam tylko leki i inne potrzebne rzeczy. To wy trzymacie nóż w ręce.

— Podjąłem kiedyś taką, a nie inną decyzję... Weź pod uwagę, ile osób z nami współpracuje. Ilu ludzi mógłby dotknąć taki przeciek... Samych lekarzy i pielęgniarek będzie z pięćdziesiąt. Dodaj personel pomocniczy, który coś tam niby wie, ale nie wszystko. Szybko dojdiesz do setki.

Cole dokończył swoją whisky.

— Czyli twierdzisz, że im więcej ludzi jest w to zamieszanych, tym mniejsza wina przypada na jednostkę?

— Nie. Myślę, że jeżeli ktoś coś wie o przecieku, to powinien jak najszybciej się odezwać, bo milczenie może przynieść katastrofalne skutki.

— Rozumiem to wszystko, ale nie sądzisz, przyjacielu, że zabawa we Wszechmogącego zaszła już za daleko?

ROZDZIAŁ 44

Waszyngton

Pomimo wczesnej pory i nieprzespanej nocy Nick Stewart był już na komisariacie. Po tym, jak przeprowadzili Kate do jego mieszkania, rozmawiali jeszcze przez dobrych kilka godzin o wszystkim, co spotkało ją w ciągu ostatnich dwóch dni. Położyli się spać dopiero nad ranem.

Siedział teraz półprzytomny przed komputerem, a na jego biurku tradycyjnie stał kubek z kawą. Detektyw sięgnął do szuflady, gdzie miał nadzieję znaleźć ratunek na pulsujący ból głowy. Zmęczenie dawało o sobie znać, ale walczył z nim, jak mógł. Na szczęście udało mu się wymacać gdzieś w tyle szuflady fiolkę z aspiryną. Tabletki były przeterminowane, ale miał to gdzieś. Wziął dwie i zapił kawą. Skrzywił się, połykając obrzydliwie gorzką mieszankę. Ostatecznie uznał, że im gorszy smak, tym dłużej pozwoli mu pozostać przytomnym.

Priorytetowym zadaniem była sprawa zniknięć, ale wczesna wizyta w pracy miała swoje drugie dno. Lista, którą otrzymał od Kate, nie dawała mu spokoju. Poza tym obiecał, że zajmie się nią i zamierzał dotrzymać słowa.

Zanim zaczął sprawdzać kartoteki osób z listy, chciał się upewnić, czy podąża właściwym tropem. Nie wiedział, w jaki sposób nazwiska, które miał przed oczyma, są ze sobą powiązane. Nie mógł także nikomu zdradzić, skąd czerpie informacje. Był w trudnej sytuacji i nie chciał przysporzyć sobie ani nikomu innemu dodatkowych problemów.

Ponownie przyjrzał się kartce, na której widniało ponad trzydzieści nazwisk. Obok nich znajdowały się daty przelewów

oraz kwoty, na jakie opiewały. Lista była ułożona alfabetycznie. Na początku przeanalizował wszystkie nazwiska po kolei. Prawie jedna trzecia z nich coś mu mówiła, a kilka znał całkiem dobrze ze słyszenia. Na liście figurowali milionerzy z różnych dziedzin życia: handlu, przemysłu, show-biznesu. Znalazło się również nazwisko znanego magnata mediów, jak i byłego senatora USA. Żadna z dat w następnej rubryce nie była dawniejsza niż dwadzieścia cztery miesiące. Dwóch przelewów dokonano w ciągu ostatnich tygodni — Nick zaznaczył je kolorem czerwonym. Włączył przeglądarkę internetową i wpisał pierwsze wyróżnione nazwisko — Peterson.

Na ekranie monitora pojawiło się mnóstwo odnośników. Nick wiedział, czego się spodziewać. Od lat Petersonowie byli znani z fachu, jakim się trudnili. Sam kiedyś odwiedził jeden z ich sklepów jubilerskich i kupił piękny pierścionek zaręczynowy dla Kate.

Na chybił trafił obok nazwiska wpisał datę widniejącą obok przelewu. Wyszukiwarka nie znalazła niczego konkretnego — jedynie promocję, która pojawiła się w sklepie owego dnia.

Wszedł na stronę główną reklamującą dokonania rodzinnej firmy. Odszukał odnośnik do jej historii. Przejechał kursorem na sam dół. W ostatnim akapicie znalazł informację o przejęciu pieczy nad korporacją przez syna Collina Petersona — Richarda. Biorąc pod uwagę datę widniejącą na liście, Nick doszedł do wniosku, że wydarzenie, którego dotyczył przelew opiewający na miliony dolarów, nastąpiło po przejęciu firmy przez syna miliardera. Ponownie wpisał więc w przeglądarkę nazwisko Peterson, dodając imię Richard.

Ekran został zasypany kolejnymi odnośnikami. Tym razem większość z nich nie dotyczyła biznesu, jakim zajmował się młody

dziedzic, ale jego życia prywatnego. Nick kliknął link do plotkarskiej strony, gdzie ukazał się cykl artykułów o przejęciu firmy przez następcę. Nie musiał czytać ich w całości — nagłówki mówiły same za siebie: *Choroba miliardera torpeduje akcje firmy, Młody dziedzic przejmuje jubilerskie imperium, Kolejny „brylant” Richarda Petersona*. Ostatni artykuł zdecydowanie nie dotyczył lukratywnego kontraktu, a raczej modelki poderwanej przez Petersona. Artykuł pochodził sprzed ponad trzech miesięcy, więc Nick wrócił na stronę główną przeglądarki i szukał w kolejnych odnośnikach. Niestety, bez rezultatów. Żadna informacja o rodzinie Petersonów nie pochodziła z ostatniego miesiąca, więc trudno było odnieść jakąkolwiek z nich do kwoty przelewu.

Nick zakończył szybkie prześwietlenie Petersonów i wpisał kolejne imię i nazwisko, które wcześniej oznaczył. Na hasło *Benjamin Knight* komputer również wyświetlił setki odnośników, przez które należało jak najszybciej przebrnąć. Liczne linki do stron o tematyce naukowej świadczyły o profesji, jaką wykonywał ten bogacz. Pierwszy konkretny odnośnik, podobnie jak w przypadku Petersonów, przekierowywał do strony firmy, której właścicielem był Benjamin Knight.

Milioner od wielu lat odnosił sukcesy w dziedzinie biotechnologii. Był nie tylko naukowcem, ale również doskonałym biznesmenem. Potrafił połączyć swoje hobby z życiem codziennym i stworzył własne małe imperium. Przyjmował zlecenia od wszystkich, którzy oferowali godne wynagrodzenie za jego badania — pracował zarówno dla firm farmaceutycznych, jak i dla przemysłu zbrojeniowego — żaden klient nie był ignorowany, jeżeli tylko miał określony cel i fundusze na jego realizację.

Licząc na jakiś ślad, tak jak w poprzednim przypadku, Nick wszedł w historię firmy. Zawiódł się, kiedy przeglądarka wyświetliła komunikat, że podstrona jest właśnie modernizowana. Plusem tej sytuacji była możliwość zapoznania się wkrótce z aktualnymi wydarzeniami, jednak minus był znacznie większy — modernizacja mogła potrwać wieki, a czas naglił.

Szukając dalej, przypomniał sobie plotkarską stronę, na którą natknął się, inwigilując Petersonów. Hasło *Benjamin Knight* nie wywołało takiej burzy, jak nazwisko Peterson. Tym razem pojawiły się zaledwie dwa artykuły, w których komputer doszukał się wyrazów *Benjamin Knight* pisanych obok siebie. Pierwszy był sprzed siedmiu lat i odnosił się do balu charytatywnego. Wśród najbardziej hojnych darczyńców znalazł się właśnie Benjamin Knight. Dzięki temu zasłużył sobie na uwagę i wylądował w artykule zupełnie nie dotyczącym jego życia prywatnego. To dało Nickowi do myślenia. Darowizny... Kate mogła zdobyć listę darczyńców. Pytanie tylko, jaki cel był aż tak szczytny, żeby przeznaczać na niego miliony, a łącznie — setki milionów dolarów. I dlaczego ktoś chciał odzyskać tę listę?

Podeksytowany, natychmiast przeszedł do drugiego postu. Ten artykuł zainteresował go jeszcze bardziej — dotyczył katastrofy samolotu z udziałem filantropa, do której doszło przed kilkoma laty. Nick przypomniał sobie o niej. Postanowił odświeżyć pamięć i zaczął czytać tekst od początku.

ROZDZIAŁ 45

**Lotnisko w Filadelfii, 5 lat
wcześniej...**

Odrzutowiec Benjamin Knighta od piętnastu minut krążył nad ziemią — pilot bezskutecznie starał się uzyskać zgodę na lądowanie. Wieża kontrolna była nieugięta. Na jednym z pasów — specjalnie przygotowanych do lądowania mniejszych maszyn — utknął pojazd obsługi technicznej. Samolot, w którym zdiagnozowano usterkę kilkanaście minut wcześniej — tuż przed jego startem — był już odholowywany do prywatnego hangaru, jednak mechanicy ciągle walczyli z nieoczekiwaną awarią w... swoim pojeździe.

— Wieża do samochodu technicznego — odezwał się główny inżynier koordynujący wszystkie naprawy w obrębie lotniska.

— Tu wóz techniczny — wysapał po chwili jeden z mechaników.

— Co się dzieje? Dlaczego jeszcze jesteście na pasie?

— Mamy awarię samochodu. Wygląda mi to na problem z rozrusznikiem.

— Ja mam w powietrzu dwie maszyny lecące na oparach, a wy się bawicie w warsztat samochodowy?! Wysyłam po was holownik.

— Chcieliśmy to zgło...

— Znacie postępowanie! — wykrzyczał koordynator. — Każdą awarię należy natychmiastowo zgłaszać! Holownik ściągnie was z pasa i zajmiecie się tym w hangarze technicznym! Bez odbioru!

Mężczyźni w pomarańczowo-żółtych kombinezonach odblaskowych spojrzeli na siebie. Wiedzieli, że to jeszcze nie koniec reprimendy. Posłusznie pozbierali narzędzia i wsiedli do samochodu. Nie odezwali się do siebie ani słowem. Po chwili zobaczyli światła ostrzegawcze holownika jadącego w ich stronę.

Pilot Knighta odetchnął z ulgą, gdy usłyszał komunikat z wieży kontrolnej o oczyszczeniu pasa. Od pewnego czasu nerwowo

spoglądał na wskaźnik paliwa, który niebezpiecznie zbliżał się do rezerwy. Był świadom, że ich czas przebywania w powietrzu jest ściśle ograniczony i nieubłaganie skraca się z minuty na minutę. Zatankowali tyle, ile potrzeba, aby zapewnić sobie spokojny lot z San Francisco. Przeciwny wiatr podczas niemalże całej podróży opóźnił ich tylko w nieznacznym stopniu, ale kosztowało to więcej paliwa, niż wcześniej zakładali.

Milioner siedział w fotelu i pozbawiony jakichkolwiek obaw czytał kwartalnik, do którego regularnie pisywały najtęższe umysły USA. Wiedział, że gdyby nie nauka, nigdy nie osiągnęłyby celów, które sobie ambitnie zakładał — zawsze miał dla niej szacunek i był na bieżąco ze wszystkimi nowinkami, jakie pojawiały się w prasie i mediach. Był tak zaczytany, że dopiero po dwudziestu minutach krążenia odrzutowca nad Filadelfią uświadomił sobie, że już dawno powinien usłyszeć komunikat o lądowaniu. Nieco zaniepokojony tym faktem odwiedził kabinę pilotów.

— Panowie, co się dzieje? Dlaczego jeszcze nie lądujemy?

— Był problem z oczyszczeniem pasa. Jakaś awaria sprzętu — wyjaśnił pierwszy pilot. — Przed chwilą otrzymaliśmy informację, że już wszystko w porządku. Wyląduje jedna maszyna i pas będzie nasz.

— Dlaczego w tej kolejności?

— Mają mniej paliwa.

— A to możliwe? — zapytał Knight, zerkając wymownie na wskaźniki.

— Dzisiejsza pogoda nie tylko nam dała się we znaki.

— Spokojnie, panie Knight — odezwał się drugi pilot. — Jesteśmy następni, a paliwa mamy na minimum dwa kółka.

— Informujcie mnie na bieżąco, jeżeli coś się zmieni — rozkazał Knight, któremu średnio udzielił się spokój drugiego pilota.

— Oczywiście — odpowiedzieli zgodnie.

Gdy biznesmen opuścił ciasną kabinę, pierwszy pilot ponownie nawiązał połączenie z wieżą.

— Przypominam, że kończy nam się paliwo. Musimy lądować. Chętnie skorzystamy z innego wolnego pasa. Odbiór.

— Tu wieża. Pamiętamy o was. Wszystko zajęte. Zróbcie większe kółko. Pogonimy lądujący odrzutowiec. Jak tylko będzie to możliwe, damy wam zielone światło. Odbiór.

— Rozumiemy, bez odbioru.

Od razu po zakończeniu rozmowy z wieżą pilot przełączył się na głośnik w samolocie i przekazał informację, na którą jego szef czekał z utęsknieniem.

— Panie Knight, proszę zająć miejsce i zapiąć pasy. Jeszcze jedno kółko i podchodzimy do lądowania.

Na twarzy milionera pojawił się uśmiech. Parę minut później odczuł, jak samolot zaczyna wyraźnie obniżać pułap lotu. Nie była to dla niego żadna nowość, więc spokojnie wrócił do lektury.

Jeden z kontrolerów siedzących w wieży obserwował rozwój sytuacji na swoim monitorze. Był odpowiedzialny za sprowadzenie odrzutowca Benjamina Knighta na ziemię. Wszystko przebiegało pomyślnie. Pomimo informacji o przymusowym lądowaniu z powodu braku paliwa, nie było żadnych innych przesłanek, które wskazywałyby na jakiegokolwiek komplikacje.

Na pozostałych pasach lotniska ruch przebiegał płynnie. Jeden z Boeingów 737 właśnie wyjeżdżał z pasa technicznego na główny, aby przygotować się do startu. Maszyna powoli kołowała, wychodząc z zakrętu. Po kilku chwilach ustawiła się w pozycji gotowej do startu.

Wtedy kontroler w wieży usłyszał słowa, które zmroziły mu krew w żyłach.

— Wieża, tu odrzutowiec Benjamina Knighta! Słyszycie mnie?

— Tu wieża. Odbiór.

— Mamy awarię! Podwozie samolotu nie wysuwa się! Powtarzam... Podwozie samolotu nie wysuwa się!

— Tu wieża... Przyjąłem. Dajcie nam chwilę.

— Nie mamy chwili.

Kontroler zeszytniał. Zdjął słuchawki i krzyknął do swojego szefa:

— Panie Stevens, mamy problem!

Mężczyzna w średnim wieku, z lekką nadwagą i twarzą pooraną zmarszczkami od codziennych zmagania z nowymi problemami, szybko podszedł do stanowiska. Oparł się jedną ręką o fotel, drugą o blat.

— Co jest?

— Odrzutowiec, który właśnie ląduje, ma problem z podwoziem.

— Nie wysuwa się?!

— Za cholere!

— Opóźnij lądowanie! Może coś wymyślą. W najgorszym wypadku muszą dać nam czas na przygotowanie pasa na lądowanie awaryjne.

— Nie da rady. Za długo byli w powietrzu. Mieliśmy zablokowany pas i robili kółka. Lądują na oparach.

Szeffa wieży kontrolnej przeszły ciarki. Pracując na obecnym stanowisku, wielokrotnie musiał podejmować ryzykowne decyzje, jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że za każdym razem stawia na szali ludzkie życie.

— Szeffie... Co robimy?

— Nie mamy wyjścia. Zdażymy przygotować pas?

— Nie ma szans...

Nastąpiła chwila ciszy.

— W takim razie pozwól na lądowanie awaryjne i... niech Bóg im dopomoże! Wszystko w rękach pilotów. — Louis Stevens wyprostował się. — Wstrzymać cały ruch! Jeżeli istnieje taka możliwość, kierujcie maszyny na inne lotniska!

Pracownicy odstąpili od pulpity i spojrzeli na niego, jakby nie byli pewni słów, które usłyszeli.

— Mamy maszynę z awarią podwozia! Będzie lądować na brzuchu na krótkim pasie! Wstrzymać wszystkie starty i lądowania! Niech samoloty w powietrzu robią kółka, ewentualnie znajdźcie im inne lotniska! Postawić służby w stan najwyższej gotowości!

Po tych słowach nikt już nie miał wątpliwości, że za chwilę na lotnisku rozegrają się dantejskie sceny. W karierze Louisa Stevensa odbyły się trzy takie lądowania i tylko z dwóch wszyscy pasażerowie wyszli cało. Trzecie wydarzyło się dwanaście lat temu, jednak kontroler doskonale pamiętał tę sytuację. Decyzje, jakie wtedy podjął, zostały później okrzyknięte wzorowym postępowaniem, pomimo tego, że nie uratowano wszystkich pasażerów. Dla Stevensa była to największa życiowa porażka.

Teraz nie miał nawet czasu przygotować się na najgorsze. Mógł tylko pobieżnie zadbać o bezpieczeństwo tych, którzy są jeszcze na ziemi i pasażerów w samolotach krążących nad lotniskiem. Umiejętności pilotów miały zdecydować za niego o losie lądującej maszyny.

Cały personel wieży natychmiast rozpoczął gorączkowe wezwania wszystkich samolotów, zarówno tych w powietrzu, jak i tych na płycie lotniska. Informacje o zaistniałej sytuacji zostały przekazane również pasażerom samolotu oczekującego na pierwszym pasie startowym. Decyzją Louisa Stevensa nie zostali oni ewakuowani. Prywatny odrzutowiec nadlatywał z za ich pleców na pas równoległy, oddalony o sto metrów. Nie istniało więc niebezpieczeństwo, że może w nich uderzyć. Dużo większym zagrożeniem byłaby ewakuacja.

Gdy pasażerowie Boeinga 737 otrzymali od kapitana mrozącą krew w żyłach informację, rozpoczęły się nerwowe rozmowy i spoglądanie do okien. Nie pomogły wezwania personelu, aby zachować spokój.

— *Proszę wszystkich o uwagę! Nadlatujący odrzutowiec będzie lądował awaryjnie na tak zwanym krótkim pasie. Gdy tylko maszyna przeleci obok nas, proszę o udanie się w kierunku wyjść, które zostaną otwarte. Autobusy zabiorą państwa do terminalu. Dalsze instrukcje zostaną przekazane na miejscu.*

Stewardessa dwukrotnie powtórzyła komunikat, aby mieć pewność, że wszyscy go usłyszą.

Rozbrzmiały głośne sprzeciwy pasażerów, którzy błyskawicznie zrozumieli, że nieprędko opuszczą lotnisko. Szybko zapomnieli o mogącej rozegrać się na ich oczach tragedii.

Kontroler z wieży przekazał pilotom odrzutowca ostateczne instrukcje i na koniec życzył im powodzenia. Louisowi Stevenso-

wi nie pozostało nic innego, jak czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Benjamin Knight nie należał do ludzi, którzy obawiają się przyszłości. Teraz jednak, gdy śmierć zajaśniała mu w oczach, a wszystko, co mógł zrobić, to siedzieć w fotelu i czekać, pokładając swój los w rękach dwóch prawie nieznanym mu osób, był przerażony. Jeszcze nigdy jego życie w tak dużej mierze nie zależało od kogoś innego. Przyglądał się oddalonym o kilometr drzewom. Patrzył, jak linia ich koron biegnie ukośnie w stosunku do samolotu.

— *Panie Knight, za dwadzieścia sekund położymy samolot na pasie. Proszę przygotować się na uderzenie.* — Słowa pilota zabrzmiały jak wyrok.

Knight nie potrafił zebrać myśli. Słyszał o tym, że ludzie tuż przed śmiercią zaczynają przypominać sobie przeszłość — że życie przebiega im przed oczami. W jego przypadku tak nie było. Czuł tylko strach i pustkę. Po lewej stronie samolotu, zamiast przeszłości, przemknęły mu światła samochodów służb ratunkowych i budynek lotniska, a po prawej — okazały samolot pasażerski, Boeing 737. Złapał mocno za podłokietniki i zacisnął zęby. Nastąpiło gwałtowne szarpnięcie i ogłuszający huk wypełnił wnętrze maszyny.

Samolot zahaczył tyłem o płytę lotniska. Pył i iskry wydobyły się spod sunącego po pasie ogona maszyny. Odrzutowiec szybko wytracił początkową prędkość i przód zaczął opadać aż do zrównania się z pasem. Knight był przekonany, że za chwilę wibracje rozerwą maszynę na strzępy. Spojrzał na podłogę, dziwiąc się, że jeszcze nie widzi płyty lotniska. Po kilkunastu sekundach, które wlokły się jak godziny, serce milionera zaczęło

zwalniać. Był pewien, że najgorsze za nimi. Nie wiedział jednak, jak bardzo się mylił.

Na skutek ogromnych sił tarcia odrzutowiec niespodziewanie przechylił się na bok i prawym skrzydłem zaczął trzeć o pas.

Drugi pilot odwrócił głowę. Zobaczył ogon iskier i smugę dymu wpadającą do prawego silnika. Dobrze wiedział, co zaraz może nastąpić.

Przechylenie samolotu sprawiło, że maszyna zboczyła z linii prostej. Knight nie tylko zobaczył to przez okna, ale i odczuł. Jeszcze mocniej wbił palce w skórę podłokietników.

Wtedy, jedna po drugiej, nastąpiły dwie eksplozje. Najpierw wybuchł prawy silnik, a po chwili, trafiony odłamkami, również lewy. Knight, oszołomiony eksplozją, spojrzął za siebie. Samolot stracił fragment ogona. Odpadł także prawy silnik. Z tyłu maszyny powstała kilkumetrowa wyrwa. Odrzutowiec wpadł w ruch wirowy i runął na trawiaste pobocze, ryjąc skrzydłem w ziemi. Gdy ostatecznie zatrzymał się, Knight błyskawicznie odpiął pas. Wiedział, że jak najszybciej musi opuścić rozbitą maszynę. Gdy wstał z miejsca, stracił równowagę i musiał przytrzymać się oparcia fotela, aby nie polecieć na przeciwległą ścianę — wrak był mocno przechylony, co znacznie utrudniało poruszanie się po jego wnętrzu.

Pomiędzy zgrzytami i dudnieniem dało się wyłapać głos syren. Ratunek był blisko. Knight przypomniał sobie o pilotach, którzy jeszcze nie opuścili kabiny. Spodziewał się najgorszego. Uspokoił się nieco, gdy obaj ukazali się w drzwiach.

— Szybko, panie Knight! Musimy opuścić samolot! — zawołał pierwszy i podbiegł do drzwi. Te, niestety, ani drgnęły. — Cholera jasna! Mechanizm się zaciął! — Z całej siły próbował odblokować

dźwignię, ale ta nie miała zamiaru ustąpić. Nie pomogły również mocne kopnięcia.

Drugi pilot trzymał już w rękach gaśnicę.

— To nasza jedyna droga ucieczki. — Wskazał wyrwę z tyłu samolotu.

— To cholernie niebezpieczne! Będziemy musieli przejść tuż obok silników! Jeżeli dojdzie do kolejnej eksplozji...

— Idziemy! — rozkazał Knight. — Nie traćmy czasu! Za chwilę to wszystko pójdzie w cholerę!

Drugi pilot pobiegł na tył maszyny gasić płomienie omiatające otwór. Pierwszy pilot szedł za nim w niewielkiej odległości, a Knight jako ostatni. Odgłos lewego silnika, który jeszcze utrzymywał się na resztkę ogona, przyprawiał ich o dreszcze. Huk przerywany zgrzytami i ogień wydostający się na zewnątrz zwiastowały szybko zbliżającą się tragedię. Nie wiedzieli tylko jednego — kiedy ona nastąpi.

Gaśnica poszła w ruch i chwilę później droga była już wolna. Piloci pomogli biznesmenowi opuścić samolot, po czym sami zeskoczyli na trawę. Nie oglądając się za siebie, wszyscy trzej pobiegli co sił w nogach w kierunku zbliżających się wozów straży pożarnej i karetek. Kiedy oddalili się o jakieś trzydzieści metrów, nastąpiła kolejna, największa eksplozja.

Odwrócili się i zobaczyli, jak tył samolotu staje w płomieniach. Prawdopodobnie doszło do wycieku resztek paliwa.

Benjamin Knight nagle osunął się na ziemię, jakby został trafiony odłamkiem. Prawą ręką złapał się za lewy bok, na wysokości klatki piersiowej.

— Wszystko w porządku?! — zapytał pierwszy pilot.

— To chyba serce — odpowiedział Knight z grymasem bólu na twarzy.

Drugi pilot natychmiast pobiegł w kierunku sanitariuszy opuszczających karetkę, aby ich ponaglić.

— Proszę się trzymać! — krzyknął pierwszy do Knighta. — Zaraz się panem zajmą!

— To dobrze... Głupio byłoby teraz umrzeć w taki sposób, po tym wszystkim. — Knight mówił z wielkim trudem. Położył się na plecach. Czuł kłujący ból i nie potrafił złapać tchu. Zdawał sobie sprawę, że dla niego ta przygoda jeszcze się nie skończyła.

Medycy błyskawicznie przenieśli milionera na nosze i szybko przetransportowali go do karetki. Piloci towarzyszyli mu do samych drzwi ambulansu.

— Poczekaście chwilę... — Knight zatrzymał sanitariuszy gestem ręki, gdy ci zabierali się do umieszczenia noszy w karetce. — Chłopcy... Świetna robota. Dziękuję... — powiedział do pilotów, którzy zasalutowali na pożegnanie.

— Do usług, szefie! — zawołał pierwszy. — Proszę się trzymać! To rozkaz!

ROZDZIAŁ 46

Carl Cussler miał nie najlepszy humor. Jego ludzie dokonali pierwszych zatrzymań w sprawie wybuchu, ale aresztowani milczeli. Przesłuchiwano ich w nieskończoność w nadziei, że któryś zacznie mówić i wsypie resztę. Media naciskały — domagały się od policji wyjaśnień, a obywatele — linczu na zamachowcach.

Kapitan nawet nie podniósł głowy, gdy przechodził przez główną salę obok swoich ludzi przyjmujących już pierwsze skargi

od rozwścieczonych mieszkańców Waszyngtonu. Na kilka powitań odburknął tylko coś pod nosem. Zatrzymał się pod drzwiami biura Nicka. Zdziwił się, że ktoś jest w środku. Jego ludzie nie grzeszyli punktualnością, a co dopiero przychodzeniem do pracy pół godziny przed czasem. Bez pukania otworzył drzwi. Widząc Nicka, wszedł do środka. Biurko było ustawione bokiem do wejścia i zaczytany detektyw nawet nie zauważył przełożonego.

— Powiedz, że masz coś dla mnie!

Nick podskoczył jak oparzony. Zasnął na siedząco.

— Szefie? Skąd szef się tutaj...

— ...wziął? — dokończył Cussler.

— Taaa... — Nick poczuł zażenowanie. Szybko zrozumiał.

— Wszedłem? Nieważne... Słuchaj, wszystko się pierdoli! Mam nadzieję, że masz coś, bo inaczej już po mnie — powiedział całkiem poważnie kapitan.

— Russell Miller to ślepy zaulek. Podobnie jak cała reszta.

— Załamujesz mnie... Cholerni dziennikarze chcą krwi, a ci z wydziału osób zaginionych zaczęli węszyć w naszej sprawie. — Cussler skinął głową na tablicę. — A jednak moja osoba interesująca się ich sprawami dała im do myślenia. Wzięli się do roboty i dodali dwa plus dwa. Za pół godziny mamy się spotkać. Nie dam rady zwodzić ich w nieskończoność.

— Nie wiem, co mam panu powiedzieć. Nie mam nic, co w jakikolwiek sposób łączyłoby tych ludzi. Może oprócz tego, że prawie wszyscy byli najzwyklejszymi obywatelami.

— Cholera jasna... Nie rozumiesz, że burmistrz, dziennikarze i wszyscy inni tylko czekają, aż będzie na kogo zwalić winę? Nie mamy zadowolających odpowiedzi na pytania w związku z tym wybuchem. Telewizja i internet aż huczą, a teraz wyjdzie jeszcze

na jaw, że ludzie zaczynają znikać z ulicy. Nie utrzymamy czegoś takiego w tajemnicy, jeżeli nagle cały wydział zacznie pukać do wszystkich drzwi. Jeden człowiek jeszcze jakoś ujdzie w tłumie. Poza tym założę się, że co drugi dostaje w łapę od dziennikarzy za informacje.

— Próbowałem to ugryźć z każdej strony i nic!

— Nie wierzę. Musi być jakiś wspólny mianownik!

— Też tak myślę, ale jak do tej pory...

— A to co? — Cussler podniósł listę leżącą na biurku.

— Aaa... Nic takiego.

— Przecież widzę... Grube ryby i milionowe przelewy. To były senator, a to ten kutas od telewizji, co trzęsie połową Zachodniego Wybrzeża. — Cussler szybko kojarzył kolejne osoby.

— Znajomy poprosił, żebym coś dla niego sprawdził.

— Znajomy?! Ja też cię chyba o coś prosiłem?! — Kapitan zmierzył groźnie swojego człowieka. — A tak się zastanawiałem, po jakiego chuja przylazłeś tu tak wcześniej!

— Nie chciałem tego robić w godzinach pracy.

Kapitan był w połowie listy, kiedy natknął się na znajome nazwisko.

— Gene Harker? A co ten tutaj robi? Nie wiedziałem, że taki z niego krezus... Pięć milionów?!

— Pan go zna?

— Powiedzmy... Dawniej widywaliśmy się regularnie. Pracował w policji i dochrapał się kapitana. Kiedyś wziął udział w przypadkowej strzelaninie. Miał przy sobie broń i stanął w obronie postrzelonego faceta. Mało brakowało, a załatwiliby go wtedy, dureń jeden. Dostał w klatkę piersiową. Pluł krwią i wszyscy myśleli, że już z tego nie wyjdzie. Przeszedł dwie

operacje i jakoś go poskładali, ale po długiej rekonwalescencji wycofał się z zawodu. Rok później założył firmę ochroniarską, którą szybko rozwinął. Dorobił się, ale nie wiedziałem, że aż tak bardzo. Podupadł na zdrowiu i przekazał firmę swoim synom. Od tego czasu nie spotkaliśmy się już ani razu. Skąd masz tę listę? Kto ci ją dał?

— Kiedy go pan ostatnio widział albo z nim rozmawiał?

— Jakies pół roku temu, może rok... Nie wiem, nie pamiętam. A co?

— Osiem miesięcy? — strzelił Nick.

— Może... Dlaczego akurat osiem?

— Ten przelew jest sprzed ośmiu miesięcy — zauważył detektyw, przejmując listę.

— Całkiem możliwe. Nie prowadzę pamiętnika — odburknął kapitan, studiując dalsze nazwiska na liście. — Spotkaliśmy się w jakiś koszmarny dzień. Graliśmy w golfa i przy piętnastym dołku lunęło jak z cebra. Wygrywałem... — przypomniał sobie Cussler. — Skąd masz tę listę?

— Od znajomego. Takie nazwiska i duże kwoty zawsze rodzą pytania.

— Doszedłeś do czegoś?

— Ci ludzie są czyści. Znajomy będzie musiał szukać dalej na własną rękę.

— Mam nadzieję, bo dochodzi ósma. Doceniam, że przyszedłeś wcześniej, ale bądź tak dobry i weź się za to, za co ci płacę — rzucił opryskliwie Cussler.

— Jasne...

Kapitan wyszedł, wymownie i głośno zatrząskując za sobą drzwi.

Nick natychmiast usiadł przed komputerem. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent wiedział już, gdzie szukać. Szybko poskładał elementy układanki. Historie wszystkich osób z listy miały ten sam mianownik — choroba, wypadek lub inne losowe wydarzenie powodujące poważny uszczerbek na zdrowiu. Musiał jedynie upewnić się, że ma rację. Wpisywał i prześwietlał kolejne nazwiska w przeglądarce.

Po dwudziestu minutach internetowych poszukiwań był pewny swego. Aby ostatecznie potwierdzić wnioski, jakie wysnuł, musiał użyć podstępu. Zastanowił się chwilę, jak najlepiej to rozegrać.

Ostatecznie zadzwonił do jednego z największych sklepów jubilerskich w Waszyngtonie i poprosił o kontakt do właściciela w celu złożenia mu oferty handlowej. Postanowił użyć przynęty, na którą złapie się każdy bogacz — chęci zarobienia dodatkowych pieniędzy. Bez problemu uzyskał numer do biura Richarda Peterso-na. Po kilku sygnałach odebrała jego sekretarka.

— Gabinet pana Petersona, czym mogę służyć?

— Moje nazwisko Stewart. — Zniżył głos i pochrząkiwał, a także użył tonu rozkazującego, aby lepiej odegrać rolę gburowatego, nadętego buca. — Zastąłem Petersona?

— Mogę zapytać, w jakiej sprawie pan dzwoni?

— Jestem dawnym znajomym Collina i miałem nadzieję, że znajdzie czas na partyjkę golfa. — Udał całkowity brak zorientowania w sytuacji. Jeżeli jego teoria była słuszna, to nie istniał nawet cień szansy na zastanie dawnego właściciela, więc mógł sobie pozwolić na odrobinę zuchwalstwa.

— Muszę pana zasmucić — rozpoczęła nieco zdezorientowana sekretarka — ale pan Collin Peterson nie jest już właścicielem firmy. Na jej czele stoi teraz jego syn.

— Jak to?! Collin nie żyje?

— Nie, nie!

— Kiedy zmarł?

— Mówiąc *nie*, chciałam zaprzeczyć.

— To żyje, czy nie?!

— Panie... — Kobieta całkowicie się pogubiła.

— Stewart!

— Panie Stewart. Pan Collin Peterson żyje i ma się dobrze.

— Wątpię, skoro już nie siedzi w biznesie.

— Dalej jest udziałowcem firmy, tyle tylko, że funkcję dyrektora przejął jego syn, Richard.

Nick pomilczał przez chwilę, po czym zabrał głos:

— W takim razie... Gdzie mogę znaleźć tego dziada?

— W tej chwili spotkanie z panem Collinem Petersonem nie będzie możliwe — odparła spokojnie kobieta, którą zaczynała bawić ta rozmowa, pomimo mocno ordynarnego wydźwięku.

— A to dlaczego?

— Pan Peterson przebywa obecnie w sanatorium inie życzy sobie, aby mu przeszkadzano. Jeżeli będzie pan na tyle uprzejmy, aby pozostawić swoje dane i numer kontaktowy, postaram się mu je przekazać i w wolnej chwili oddzwoni do pana.

— W wolnej chwili? Podobno jest w sanatorium. Co niby ma tam do roboty? Obraca pielęgniarki w przerwach meczów? Wystarczy, że powie mi pani, gdzie to jest, a sam sobie poradzę... Przy okazji zrobię mu niespodziankę. Od roku trzymam trzydziestoletnią whisky, którą dziad wygrał ode mnie w golfa. Nie lubię mieć długów — rzucił beznamiętnie Nick, próbując szczęścia.

— Przykro mi, ale pan Peterson życzył sobie, aby nikomu nie ujawniać tej informacji. — Sekretarka traktowała rozmowę coraz

mniej poważnie i w jej głosie dało się wyczuć rozbawienie.

— Zaszył się w jakiejś dziurze i nie życzy sobie odwiedzin? Cały Collin. Dobra, nie to nie. Jak go poskładają do kupy, niech się odezwie. Proszę powiedzieć, że dzwonił Stewart. Jeżeli nie zrobią mu tam lobotomii, to powinien mnie pamiętać.

— Dobrze — odparła wesoło kobieta.

— Miłego dnia życzę!

— I wzajemnie...

Nick rzucił słuchawką, jak na ekscentrycznego gburę przystało. Tyle mu wystarczyło. Teraz był już absolutnie pewien, że znalazł wspólny mianownik dla osób figurujących na liście.

ROZDZIAŁ 47

Oddalona o dwadzieścia kilometrów od Nowego Jorku rezydencja przy Park Avenue, jak i wiele innych domów w bogatej willowej dzielnicy, kryła sporo niespodzianek. Nikt nawet nie przypuszczał, co tak naprawdę dzieje się w murach tego małego pałacu. Oficjalnie zamieszkiwał go jeden z magnatów przemysłu filmowego — producent John Grey. Dom ten był tylko jednym z wielu, jakie w ciągu ostatnich dziesięciu lat nabył ten człowiek. Jego posiadłości znajdowały się zarówno w Ameryce Północnej, Południowej, jak i w Europie. Doskonale znany niemal całemu filmowemu światkowi, był ostatnimi czasy na fali i jego filmy święciły kolejne sukcesy, miażdżąc najlepsze kinowe otwarcia wszechczasów. Bardzo rzadko przebywał w okolicach Nowego Jorku. W tej konkretnej posiadłości spędzał zaledwie kilka dni w roku. Wykorzystała to organizacja, która szukała luksusowego miejsca na uboczu, w dogodnym położeniu, w celu prowadzenia konferencji szkoleniowych.

Ostatecznie menadżer producenta namówił go, aby ten pozbył się kosztownego problemu. Nieoficjalnie wynajęto rezydencję. To rozwiązanie było na rękę zarówno Grey'owi, jak i najemcy. Producent zachował prawa do posiadłości, a najemca — anonimowość. Umowa nie istniała na piśmie — było to tylko słowne porozumienie, respektowane przez obydwie strony.

Dom był ogromny. Miał osiem sypialni i jeszcze więcej łazienek. Każdy członek siedmioosobowej grupy, który regularnie gościł na konferencjach organizowanych w posiadłości, miał do dyspozycji swój własny kąt — standardowo wyposażony pokój z wygodnym łóżkiem i prywatną łazienką. Każdy z gości mógł korzystać także z basenu, sauny, siłowni, bawialni ze stołem bilardowym i ulubionego miejsca producenta, które obowiązkowo musiało być we wszystkich jego domach — mini-sali kinowej.

Wystrój pokoi był surowy, ale nowoczesny. Asceza połączona z minimalizmem stanowiły odzwierciedlenie charakteru Johna Greya. Lubił żartować, że za pieniądze, które każdorazowo zaoszczędzi na wystroju, może sobie kupić o jeden dom więcej.

Oprócz łóżka i szafy, do każdego z pokoi wstawiono stolik z dwoma krzesłami, a przy samym oknie umieszczono biurko i wygodny fotel. Na śnieżnobiałej ścianie, naprzeciw szerokiego łóżka, zawieszono czterdziestocalowy telewizor. Wszystkie pomieszczenia dla gości wyglądały niemalże identycznie, a każdy z odwiedzających miał również dostęp do prywatnego balkonu. Cztery były zwrócone w stronę zatoki, pozostałe wychodziły na zachód, tak więc tylko wybrani mogli podziwiać przez okna piękne wybrzeże.

Jonathan Morris i Alfred Cole od dawna byli członkami organizacji i wiedzieli, czego mogą się za chwilę spodziewać. Przed salę konferencyjną przybyli jako pierwsi i już od dobrych

kilku minut wypatrywali towarzyszy, wsłuchując się w denerwujący huk pracujących na pełnych obrotach klimatyzatorów. Pomimo neutralnej temperatury, podenerwowanie u Morrisa bezwzględnie dawało o sobie znać w postaci kropel potu zbierających się na jego czole. Czuł, jak koszula pod marynarką przykleja mu się do pleców.

Chusteczką wytarł twarz.

— Jasna cholera... Ile można czekać?

— Wszystko w porządku? — zapytał Cole.

— Tak, tak... — warknął Morris, zdejmując marynarkę. — Gorąco tu jak w piekle.

— Denerwujesz się?

— Nie, ale jakoś... Dziwne to wszystko. Pierwszy raz przyspieszono termin zebrania.

— Założę się, że chodzi im o Nowy Jork.

— Od kogo dowiedziałaś się o tym pacjencie?

— O jakim pacjencie? — zdziwił się Cole.

— No o tym z Nowego Jorku.

— Nie wiem nic o żadnym pacjencie.

— To o czym...

Usłyszawszy szum rozmów, Morris urwał w pół zdania. Wszyscy oczekiwani członkowie pojawili się jednocześnie. Pięciu mężczyzn ubranych w niemalże identyczne stalowoszare garnitury zmierzało w ich kierunku. Wszyscy tryskali humorem. Chwilę później cała siódemka była już w komplecie. Po powitalnych uściskach dłoni zajęli miejsca w sali konferencyjnej, gdzie czekał na nich długi, wykonany z lakierowanego drewna stół w kształcie półksiężyca. Na nim, w regularnych odstępach, stało

siedem szklanek, a przy każdej — dwie butelki wody. Na ścianie wisiał telewizor służący za ekran do telekonferencji.

Cole i Morris jak zwykle usiedli obok siebie po prawej stronie.

Szum rozmów ucichł, kiedy w drzwiach pojawił się mężczyzna we fraku, pchający stolik na kółkach. Począwszy od lewej strony, obsługiwał kolejno wszystkich, serwując kawę lub herbatę. Kiedy zakończył, zapytał, czy może jeszcze komuś czymś służyć. Zebrani nie wykazali zainteresowania. Lewa część stołu nawet go nie słyszała — trzech dyrektorów wdało się w żywą dyskusję na temat kurortów w południowym Meksyku. Wzajemnie próbowali się przekonywać, który jest najlepszy.

Kelner pozostawił stolik pod ścianą, wyszedł z sali i zamknął za sobą dwuskrzydłowe drzwi, po czym wyciągnął z kieszeni telefon.

— Może pan zaczynać... — zakomunikował pracodawcy i oddalił się.

Wesołe rozmowy dało się słyszeć nawet za zamkniętymi drzwiami. Kiedy ekran telewizora pojaśniał, gwar momentalnie ucichł. Dyrektorzy zamilkli i poprawili się w fotelach.

Automatyczny mechanizm uruchomił długie żaluzje, zaciemniając pomieszczenie. Do ramki telewizora przytwierdzono kamerę obejmującą zasięgiem cały stół. Przekazywała obraz i dźwięk w miejsce, które nikomu z zebranych nie było znane.

Po paru sekundach na ekranie pojawiła się półpostać posiwiąłego mężczyzny z włosami zaczesanymi na bok. Osobnik miał duże, ciemne okulary i sztucznie wyglądające wąsy. Ubrany był w beżowy garnitur. Wyglądał dziwnie — jakby żywcem wyjęty z lat siedemdziesiątych. Pomimo nieco groteskowego wyglądu organizatora spotkania, atmosfera wyraźnie zgęstniała.

— Witam panów. Cieszę się, że wszyscy możecie uczestniczyć w tym, jakże istotnym dla mnie, zebraniu — powiedział prezes organizacji głosem zniekształconym za pomocą programu komputerowego.

Dyrektorzy wymienili pomiędzy sobą enigmatyczne spojrzenia, ale żaden nie odważył się szepnąć nawet słowa do sąsiada.

— Pewnie zastanawiacie się, dlaczego przyspieszyłem spotkanie i zmusiłem niektórych z was do zmiany planów. Otóż skłoniły mnie do tego wydarzenia związane bezpośrednio z naszą organizacją. Nie będę ukrywał, że najważniejszym z nich jest sprawa z Nowego Jorku, dotycząca spaceru pana Brysona z kulką w głowie z trzydziestego drugiego piętra na ulicę.

Morris spojrzał wymownie na Cole'a. Już wiedział, co wcześniej miał na myśli.

Organizator przeleciał wzrokiem po zebranych.

— Pewnie niektórzy zastanawiają się, o czym mówię, więc chętnie przybliżę wam to wydarzenie.

Na ekranie wyświetlony został krótki materiał filmowy — były to dwa połączone fragmenty wieczornych wiadomości emitowanych poprzedniego dnia. Pierwszy obrazował miejsce upadku Josepha Brysona, drugi był relacją z rezerwatu Eagle Rock, gdzie eksplodował helikopter. Zebrani w skupieniu obejrzelik materiał, uważnie wsłuchując się w komentarze dziennikarzy, po czym na ekranie ponownie pojawiła się sylwetka prezesa.

— Czy któryś z was ma mi coś do powiedzenia?

— Przepraszam, ale chyba nie do końca rozumiemy, co stara się pan nam przekazać — odezwał się Morris ku zaskoczeniu pozostałych.

— Staram się wam przekazać, że ta szybka i dość brutalna interwencja naszego człowieka, której skutki właśnie obejrzelście, nie byłaby w ogóle potrzebna, gdyby któryś z was nie dopuścił się zdrady.

ROZDZIAŁ 48

W związku z niedawnym zamachem ochrona na lotnisku w Waszyngtonie miała dużo więcej pracy niż zwykle. Sprawdzano dokładniej znacznie więcej osób — nikt nie uchodził, a przynajmniej nie powinien był ujść uwadze strażników.

Gdy kolejna blisko dwuosobowa grupa podróżnych zmierzała korytarzem do wyjścia, jeden z ochroniarzy wypatrzył wśród nich rosłego mężczyznę w średnim wieku ukrywającego twarz za dużymi okularami.

Osobnik był potężny. Miał na głowie baseballówkę dobrze maskującą go przed kamerami ochrony. W prawej ręce trzymał zwiniętą w rulon gazetę, a lewą ciągnął granatową walizkę. Zbliżając się do strażników, zobaczył, jak jeden z nich rusza w jego kierunku. Nie pierwszy raz leciał samolotem i dobrze wiedział, co oznacza taki rozwój wydarzeń.

— Coś się stało? — zapytał spokojnie olbrzym, stając twarzą w twarz z młodym strażnikiem.

— Pozwoli pan ze mną...

Minęli pozostałych ochroniarzy i udali się do najbliższych drzwi z napisem *TYLKO DLA PERSONELU*.

— Czy aby na pewno mogę tutaj wejść? — zażartował rosły mężczyzna, którego zdecydowanie bawił rozwój sytuacji.

— A jak pan myśli? — odparł surowo ochroniarz, któremu zdecydowanie nie było do śmiechu. Pracował dwunastą godzinę

z rzędu i nużyli go wygadani, cwani żartownisie.

Gdy zatrzasnęły się za nimi drzwi, strażnik rozkazał zostawić walizkę pod ścianą.

— Zaraz ktoś się nią zajmie. Proszę usiąść i przygotować jakiś dokument tożsamości.

Pomieszczenie było surowo urządzone — jak zresztą każda sala przesłuchań. Na stoliku stał komputer, a pod ścianą szafka z wysuwanymi głębokimi szufladami na dokumenty. W lewym górnym rogu, pod samym sufitem, przytwierdzono kamerę.

Młodziak zajął miejsce przy stoliku — naprzeciw nowej ofiary. W pierwszej kolejności poinformował o nagrywaniu przesłuchania, a potem ponowił prośbę o dokumenty.

Na blacie wylądowała gazeta, portfel, a obok niego prawo jazdy. Olbrzym założył ręce na piersiach.

Strażnik dokładnie przestudiował dokument, po czym zajrzał do portfela.

— Jaki jest cel pana wizyty, panie Barton?

— Odwiedzam starego znajomego.

— Widzę, że jest pan kimś ważnym w Nowym Jorku.

— Nikim ważnym.

— Szef ochrony...

— Już niedługo — skorygował Barton.

— Emerytura?

— Powiedzmy...

— I dał się pan tak łatwo złapać? — zażartował strażnik, wiedząc już, że zatrzymanie tego pasażera było bezsensowne.

— Z czasem człowiek staje się nieostrożny. — Wes Barton również postanowił obrócić sytuację w żart.

— Pozwolenie na broń... — Kolejny dokument znalazł się na stoliku. — Mam nadzieję, że nie ma pan żadnej przy sobie...

— Tylko pańską. — Barton wyciągnął z za pleców pistolet i położył go na gazecie. Strażnik spojrział na glocka leżącego przed nim i otworzył usta ze zdumienia.

— Ale jak... Jak pan to...

Barton roześmiał się, widząc zażenowanie na twarzy młodego ochroniarza.

— Rozumiem, że powoli dochodzimy do końca przesłuchania.

— Tak, tak... — Mężczyzna nie wiedział, jak zareagować. Zasłonięty stolikiem, starał się dłonią wymacać pistolet, który powinien być w kaburze. Natknął się tylko na pustkę i odpiętą zapinkę. — Cieszę się, że jest pan po naszej stronie.

— Mnie również było miło. — Barton uśmiechnął się i nie czekając na pozwolenie, wstał.

Rozkojarzony ochroniarz podszedł do drzwi, aby otworzyć je wychodzącemu mężczyźnie. Spuścił głowę i unikał kontaktu wzrokowego — jego niedoświadczenie zostało mu wytknięte w najboleśniejszy z możliwych sposobów.

Barton schował portfel i gazetę do walizki. W drzwiach minął się ze strażnikiem, który miał sprawdzić jego bagaż.

— Żegnam panów... — Oddalił się i zniknął pomiędzy ludźmi.

— Co to miało znaczyć? — zapytał zdezorientowany ochroniarz.

— Nic, facet był czysty. To policjant. Nie ma sensu dalej grzebać. — Młody pracownik ochrony nie miał zamiaru przyznawać się do porażki i gdy wrócił do kolegów, rzucił donośnie:

— Nikt ważny... Jakiś ochroniarz z Nowego Jorku.

— Stawiał opór? Zrobiłeś mu rewizję osobistą? — zażartował jeden z kolegów.

— Odpuść sobie.

— Tak tylko pytam...

— Ale było ostro? — dorzucił złośliwie drugi.

— O co wam chodzi? — oburzył się młody strażnik.

Współpracownicy spojrzeli na niego z politowaniem.

— Dowiem się, o co wam chodzi? — powtórzył poirytowany.

— Gdzie masz pistolet? — wyjaśnił wreszcie najwyższy z trójki.

— Co? — Chłopak spojrział na kaburę i poczuł uderzenie gorąca. Znowu była pusta. — Jasna cholera...

Biegł jak szalony do pokoju przesłuchań. Pchnąwszy mocno drzwi, wpadł do środka, aż te z impetem huknęły o ścianę. Desperacko rozejrzał się po pomieszczeniu. Najpierw zlustrował stolik, a potem podłogę. Nie znalazł tego, czego szukał. Wybiegł na korytarz i popędził w kierunku balustrady tarasu na pierwszym piętrze.

ROZDZIAŁ 49

Na zebranych w sali konferencyjnej padł blady strach.

— Czemu się dziwicie? Dla mnie to proste... — Spokój, z jakim wypowiadał się prezes organizacji, był paraliżujący. — Nagle, po kilku latach niczym niezachwianej egzystencji, wycieka lista naszych klientów. Co gorsza, od razu dostaje się w ręce dziennikarzy. Czy któryś z panów mógłby mi to wyjaśnić? A może ja wam to wyjaśnię?

Patrzyli w ekran jak zahipnotyzowani. Choć przypuszczenia dotyczące przyspieszonego spotkania były przeróżne, w tej chwili

nikt nie miał wątpliwości, dlaczego zostało zwołane tak nagle.

— Tak więc któryś z was, mili panowie, postanowił wzbogacić się nieco szybciej od reszty. Pytanie tylko, który...

Podejrzani wymienili puste spojrzenia. Jedynie Alfred Cole siedzący skrajnie z prawej strony nie wodził wzrokiem po sali. Wpatrzony w ścianę, przysłuchiwał się zarzutom płynącym z ekranu.

— Przepraszam za śmiałość — Jonathan Morris ponownie zabrał głos — ale skąd pewność, że ten wyciek pochodzi od kogoś z nas?

— Właśnie! — podchwycił ktoś z drugiego końca stołu.

— Nie urodziłem się wczoraj, drodzy panowie. Skarbów szuka się wtedy, gdy powstaje legenda, że takowe istnieją. A kto opowiada legendy? Ludzie. Ktoś otrzymał wystarczający powód, aby się nami zainteresować. Być może ma pan rację, panie Morris, i nikt z was nie wynajął hakera, żeby dokonać tego ataku, ale zdecydowanie ktoś zaczął rozpowiadać o naszej małej tajemnicy na lewo i prawo, dając innym powód, aby zajrzeli pod nasz dywan.

— Pana człowiek nie odzyskał danych?

— Odzyskał, ale tylko częściowo... Oryginalny dokument znajdował się w sejfie Josepha Brysona. Jak już wiecie, ten człowiek przestał być dla nas problemem. Jedną z kopii znaleźliśmy w mieszkaniu dziennikarza, który prawdopodobnie był pierwszym członem tej niefortunnej historii. Niestety, kopii mogły być setki, a nawet tysiące. Sama lista niewiele mówi, ale jeżeli ktoś będzie wystarczająco bystry, może zacząć zadawać pytania. A jak zada odpowiednie, znajdzie odpowiedzi.

Po raz pierwszy szum rozmów przygłuszył słowa organizatora.

— Czy wiemy, kto dokonał ataku? — zapytał Morris.

— Mam podejrzenia, ale zbada to powołany przeze mnie specjalny zespół.

— Czy to coś zmieni? Sam pan powiedział, że kopii mogą być tysiące. Nie będziemy w stanie dotrzeć do każdego, kto może je posiadać. Wystarczy, że pominiemy jedną osobę.

— To prawda, ale nie pozostaje mi nic innego, jak mieć nadzieję, że tych kopii nie powstało zbyt wiele. Co więcej... Już dziś jestem w stanie stwierdzić, gdzie jest kolejna z nich. Moim ludziom udało się ustalić, że tuż przed śmiercią Joseph Bryson rozmawiał z dziennikarką z Waszyngtonu. I to ona prawdopodobnie stała się jednym z powierników jego tajemnicy.

Szum przerodził się w głośną wymianę uwag, z których Alfred Cole wyczytał tylko jedno — wśród zebranych zagościł strach. Przypuszczenia i obawy farmaceutycznego magnata, poruszone we wcześniejszej rozmowie z Morrisem — kiedy razem obserwowali wschód słońca — przerodziły się w realne zagrożenie. Doszło do sytuacji, w której nie tylko uczestnicy zebrania, ale również ich współpracownicy, a nawet sami pacjenci mogą ponieść konsekwencje czyjejś zdrady.

— Jak znaleźć tę kobietę? — padło pytanie wśród zebranych.

— Pozwoliłem sobie poczynić już odpowiednie przygotowania — odpowiedział prezes. — Panie Morris, w związku z tym, że ta kobieta mieszka w Waszyngtonie, chciałbym, aby koordynował pan operację odzyskania danych. Bezgranicznie ufam naszemu człowiekowi, ale... wam też ufałem bezgranicznie, więc wolę, żeby miał go pan na oku, a w razie potrzeby okazał także wszelką możliwą pomoc. Do pozostałych apeluję o rozwagę i wzmożoną czujność. Moi ludzie sprawdzają wszystkie kontakty oraz znajomych Josepha Brysona i tego dziennikarza oraz ludzi,

z którymi ci dwaj kontaktowali się lub mogli się kontaktować. Być może za niedługo, przy odrobinie szczęścia, znowu będziemy mogli spać spokojnie.

Mężczyźni nie wierzyli w to, co właśnie usłyszeli. Nagle wszystko, o co prezes organizacji miał do nich pretensje, przestało być istotne. Mieli zapomnieć i nie martwić się?

— Czy apel o rozsądek aby na pewno wystarczy w tym przypadku? — zapytał Alfred Cole, który do tej pory nie odezwał się ani słowem.

— Panie Cole... Im więcej ludzi w to zaangażujemy i im głośniej będziemy krzyczeć, tym więcej osób nas usłyszyci. Tak jak powiedziałem, sprawą zająłem się osobiście, a pan Morris pomoże nam w Waszyngtonie.

— A co z domniemanym zdrajcą?

— Proszę nie drażnić... Na wszystko przyjdzie czas. A teraz, jeżeli panowie pozwolą, chciałbym podjąć przyjemniejszy temat.

Zebrani uspokoili się nieco. Zaniechali dalszych rozmów i komentarzy.

— Po tym mało przyjemnym wstępie, jednemu z was należy się szczególna pochwała. O panu mowa, panie Morris.

Dyrektor *SIEDMIU GWIAZD* wyprostował się, nie wiedząc dokładnie, o co chodzi.

— Dzięki panu i pana ludziom nasze konto w ostatnim czasie wzbogaciło się o ponad sto milionów dolarów. Muszę przyznać, że to najlepszy wynik w historii i życzyłbym sobie oglądać takie rezultaty za każdym razem. Z kolei najslabiej, zresztą jak zwykle, wypadło Los Angeles. — Brodaty mężczyzna siedzący pośrodku spuścił wzrok. — Jedynie dwa miliony zysku i jedna operacja na koncie w przeciągu ostatnich dwóch miesięcy. Myślałem, że pana

poprzedni okres był słaby, ale przychody wciąż maleją, a to może skończyć się zamknięciem placówki. Panie Wright, czy chciałby nam pan to jakoś wyjaśnić?

— Nie wiem... Nie potrafię...

— Może podpowiem... Nieudolne kierownictwo i zbyt duża chęć zagładania do kieliszka. Choć *kieliszek*, to chyba za mało powiedziane. — Prezes wyświetlił kilka kompromitujących fotografii wykonanych z ukrycia podczas libacji z udziałem Wrighta. Dyrektor najdalej wysuniętej na zachód placówki dostał wypieków na twarzy. — Ma pan szczęście, że jestem wyrozumiała. Dam panu ostatnią szansę. Przyślę do Los Angeles mojego człowieka, który pomoże odbudować wizerunek kliniki i stworzyć bardziej przychylny obraz tego, co pan nazywa *dobrze zarządzanym interesem*.

— Ja nie powiedziałem, że...

— Dalsze pana przemyślenia są niewskazane — prezes uciął niedokończoną wypowiedź dyrektora, który nie odważył się już odezwać do końca zebrania. — Kolejną sprawą, jaką zajmiemy się dzisiaj, jest klient, który pojawił się dość nieoczekiwanie. Jego wartość dla nas jest ogromna, więc nie będę tracił czasu na omawianie niepotrzebnych szczegółów.

Drzwi sali otworzyły się i do środka wszedł pomocnik prezesa, inny niż poprzednio. Idąc pewnym krokiem, niósł siedem teczek. Morris dobrze kojarzył jegomościa — był to szofer, który przywiózł go z lotniska. Przed każdym z zebranych położył cienką teczkę.

— Proszę, aby panowie otworzyli dokumenty na stronie pierwszej — padło polecenie z ekranu.

Teczki zaszeleściły.

— Macie przed sobą dane medyczne dwunastolatka, który niezwłocznie powinien przejść operację serca. Chociaż słowo *operacja* nie jest tutaj odpowiednie. Niezbędny jest przeszczep i to natychmiastowy. Wszystkie aspekty medyczne pozostawiam panom. Liczę na burzliwą dyskusję po zakończeniu spotkania. Ze względów praktycznych, jeżeli pan Morris się zgodzi, chciałbym, aby to jego zespół przeprowadził zabieg.

Wyróżniony podniósł wzrok. Wiedział, że odmowa nie wchodzi w grę.

— Jeżeli pan sobie tego życzy... — odparł dyplomatycznie.

— W tej chwili pana zespół jest w komplecie, a nie powinniśmy zwlekać. Pacjent trafił do szpitala w Filadelfii. Tamtejsi lekarze określają jego stan jako średnio stabilny. Jeżeli mu nie pomożemy, umrze. Biorąc pod uwagę lokalizację pacjenta i możliwie szybki transport do pana kliniki, panie Morris, nie widzę lepszego rozwiązania.

— Oczywiście...

— W takim razie proszę, aby natychmiast zaczął pan załatwiać formalności związane z naszym nowym pacjentem. Ma się rozumieć, że od panów — prezes przeleciał wzrokiem po zebranych — oczekuję pełnego wsparcia dla sprawy. Nie muszę przypominać, że wszyscy pracujemy dla wspólnego dobra.

Uczestnicy spotkania pokiwali twierdząco głowami.

— Jeżeli nie mają panowie dodatkowych uwag, to zebranie uznaję za zakończone. Żegnaj panów i, jak zawsze, życzę wielu zadowolonych pacjentów. Rezydencję oraz moich ludzi pozostawiam do waszej dyspozycji.

Telekonferencja dobiegła końca i na sali rozgorzała poważna dyskusja, zakłócana szelestem przewracanych kartek.

ROZDZIAŁ 50

Wes Barton stał obok kiosku w głównym terminalu, ukryty za stojakiem z pocztówkami. Udając, że czyta gazetę, obserwował niedoświadczonego ochroniarza odchodzącego od balustrady.

Na lotnisku panował spory ruch i taryfy nie nadążały zabierać pasażerów. Barton otworzył drzwi jedynej oczekującej taksówki. Już chciał się wgramolić do środka, ale w ostatniej chwili dostrzegł kogoś na tylnym siedzeniu.

— Przepraszam, wysiada pan? — zapytał z nadzieją.

Mężczyzna ze znamieniem na policzku obrócił głowę.

— Nie, przykro mi.

Barton zamknął drzwi. Miał szczęście, bo zaraz wypatrzył nadjeżdżającą pustą taryfę. Podnosząc rękę w geście przywołania, szybkim krokiem pomaszerował w jej stronę.

Taksówkarz, obserwując w lusterku oddalającego się olbrzyma, po raz kolejny zwrócił się do pasażera:

— Dowiedział się pan już, dokąd jedziemy? Nie mogę tu stać w nieskończoność.

Pasażer nie odpowiedział, tylko pokazał kierowcy studolaro-wy banknot.

— Z drugiej strony, nigdzie mi się nie spieszy. Odjadę tylko kawałek, zgoda? Zatrzymam się na parkingu, a pan będzie mógł spokojnie pomyśleć.

— Dobrze.

Wtedy zadzwonił telefon... Pasażer odebrał i nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie. Telefon wypadł mu z ręki, a on sam uderzył głową o zagłówek fotela kierowcy.

— Jak jeździsz, baranie?! — krzyknął taryfiarz, opuszczając szybę.

— Jak ja jeżdżę?! Wpieprzasz się komuś przed maskę i jeszcze masz pretensje?! — odkrzyknął kierowca drugiej taksówki, który właśnie cudem uniknął kolizji. Sugestywnie popukał się w głowę, dając tym samym do zrozumienia, co myśli o takim zachowaniu na drodze.

— Przepraszam pana. Mam nadzieję, że wszystko w porządku...

— Mogło być lepiej.

— Najmocniej przepraszam.

— Jedź... — Pasażer wymacał telefon na dywaniku pod siedzeniem. Szybko podniósł aparat, aby kontynuować rozmowę. Przykładając komórkę do ucha, usłyszał swoje nazwisko.

— Panie Anderson...

— Jestem i słucham...

— Coś się stało?

— Wszystko w porządku.

— Dotarł pan już do Waszyngtonu?

— Tak. Kiedy otrzymam dalsze instrukcje?

— Nie mamy czasu na oficjalne spotkanie. Pana cel to Kate Frost, dziennikarka. Pracuje dla telewizji DC NEWS. Mieszka przy Johnson Avenue 65. Cel misji pozostaje niezmienny.

— Czy jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

— To wszystko. Tym razem proszę o mniej finezji, a więcej subtelności. Życzę powodzenia.

Pasażer wyłączył telefon i poklepał kierowcę po ramieniu.

— Johnson Avenue...

ROZDZIAŁ 51

Po sprawdzeniu Petersona Nick Stewart wykonał jeszcze kilka telefonów w poszukiwaniu osób, przy których widniały najświeższe daty przelewów. Nie zastał żadnej z nich, a informacje na temat miejsca ich pobytu, jakie otrzymywał, były bardzo skąpe i niejasne. Wszyscy, z którymi się kontaktował — na jego nieszczęście — wykazali się sporą kompetencją i lojalnością w stosunku do swoich pracodawców. Nikt nie podał dokładnego miejsca ani adresu ich aktualnego pobytu. Nie było też mowy o nawiązaniu bezpośredniego kontaktu z którąkolwiek z osób z listy.

Nick siedział, bezradnie wpatrując się w papier. Miał nadzieję, że kartka przemówi do niego i podpowie rozwiązanie nietypowej sprawy. Płacenie za opiekę medyczną nie było niczym dziwnym. Dlaczego ta lista miałaby wywołać jakąś sensację?

Z odrętwienia wyrwały go pokrzykiwania docierające z głębi korytarza. Otrząsnął się i spojrzał na zegarek — było po jedenastej.

— O cholera... — Zdał sobie sprawę, ile czasu poświęcił już tej liście. Nie mógł pozwolić na dalsze zaniedbanie obowiązków służbowych, więc schował ją wraz ze wszystkimi notatkami do szuflady i wrócił do studiowania akt Millera oraz innych zaginionych. Chciał znaleźć coś, co połączyłoby tę sprawę z pozostałymi porwaniami.

Przeglądał dokumenty, jednak coś nie dawało mu spokoju. Wstawał i znowu siadał... Chodził po biurze ze spuszczoną głową, co jakiś czas zerkając na tablicę, gdzie gromadził informacje o zaginionych. W głowie dudniła mu reprimenda Cusslera. Opadł

bezradnie na fotel. Nie miał pomysłu, a nie mógł poprosić nikogo o pomoc. Przegrywał. Nie znosił tego uczucia.

Jego myśli wciąż uciekały w stronę tajemnicy, którą przekazała mu Kate. Nie mógł przestać myśleć o tej przeklętej liście. Odciągała go od obowiązków. Życie kobiety, na której mu zależało, mogło być w niebezpieczeństwie, a rozwiązanie zagadki leżało w szufladzie. Wystarczyło tylko połączyć fakty. Tylko jakie?

Przyszedł mu do głowy ryzykowny pomysł. Wszystkie numery telefonów, z których korzystają pracownicy policji, są zastrzeżone, więc bez przeszkód mógł użyć służbowego aparatu do realizacji planu. Wyjął notatki i odszukał numer do biura Petersonów.

Telefon odebrała ta sama kobieta, z którą rozmawiał wcześniej, z powodzeniem podszywając się pod znajomego Collina Peterso-na. Tym razem nie zmieniał głosu i od razu przeszedł do sedna sprawy.

— Witam, chciałbym prosić o połączenie z panem Petersonem — zaczął ostro i bezdusznie, niczym pracownik biura windykacyjnego.

— Przepraszam, z kim mam przyjemność? — Sekretarka zareagowała zdecydowanie. Zbyt zdecydowanie. Tę odpowiedź miała opanowaną do perfekcji. Kobietę przeszkolono i to całkiem dobrze.

— To nieistotne — odparł szorstko Nick. — Kontaktuję się w sprawie funduszy, jakie miały zostać przelane na konto naszej kliniki w związku z leczeniem pana Collina Petersona. Nie sądzę, że jest mi pani w stanie pomóc w tym temacie, więc od razu proszę o rozmowę z pani pracodawcą.

— Pan Peterson jest w tej chwili na zebraniu. Czy byłby pan uprzejmy zostawić numer? Osobiście przekażę mu, że pan

dzwonił. Z pewnością oddzwoni.

— Przykro mi, ale sprawa dziesięciu milionów dolarów nie może czekać. Nie tak się umawialiśmy. Albo wyjaśnimy tę kwestię, albo proszę odebrać pacjenta z naszego ośrodka. Na decyzję czekam do wieczora. Byłbym wdzięczny, gdyby pan Peterson pofatygował się osobiście i wyjaśnił to, mam nadzieję, nieporozumienie.

— Proszę chwileczkę zaczekać... — Kobieta zdecydowanie przejęła się, a może nawet przeraziła sytuacją. Głos ją zdradził. Słuchawka telefonu wylądowała na biurku. Nick wytężył słuch, aby wyłuskać jakieś dźwięki, jednak nic oprócz oddalających się kroków nie dotarło do jego uszu. Po niecałej minucie nerwowego oczekiwania nastąpiło kilka trzasków i detektyw ponownie usłyszał w telefonie głos sekretarki.

— Przepraszam, że musiał pan czekać. Już łączę z panem Petersonem.

— Dziękuję...

Po dwóch sygnałach Nick osiągnął podstawowy cel.

— Peterson, słucham.

— Witam pana, panie Peterson. Chciałbym prosić o wyjaśnienie, dlaczego opłata za leczenie pańskiego ojca nie wpłynęła jeszcze na nasze konto.

— Jak to? — rzucił pretensjonalnie milioner. — Osobiście wykonałem przelew. Miesiąc temu wpłaciłem całą kwotę. Ustaliliśmy jej wysokość w odrębnej rozmowie. Poza tym dopłaciłem jeszcze za... dodatkową usługę.

— Rozumiem... Wszystko rozumiem i znam mechanizm działania, ale nie zmienia to faktu, że nasze konto nie zostało zasilone odpowiednią kwotą. Sprawdziłem dwukrotnie, zanim

zadzwoń. Przykro mi, nie znalazłem przelewu na umówioną sumę.

— Naprawdę nie rozumiem, jak mogło do tego dojść — powiedział wyraźnie zaskoczony Peterson.

— Ja również. Dyrektor uprzejmie prosi pana o osobisty kontakt w sprawie omówienia tej sytuacji. Najlepiej w cztery oczy.

— Oczywiście. Jestem pewien, że jeszcze dziś rozwiążemy ten problem. Zaraz skontaktuję się z bankiem i sprawdzę, dlaczego przelew nie dotarł.

— Dziękuję za rozmowę i życzę miłego dnia.

Nick usłyszał odkładaną w pośpiechu słuchawkę. Z tonu głosu Petersona mógł wnioskować, że potraktuje on sprawę bardzo poważnie i od razu zajmie się wyjaśnieniem fikcyjnego nieporozumienia. Detektyw nie miał wiele czasu. Z oparcia fotela zabrał marynarkę. Wybiegając z gabinetu, omal nie potrafił jednego z kolegów przechodzących obok jego biura.

— Płacą jakieś premie?

— Taaa... podwójne!

ROZDZIAŁ 52

Sala konferencyjna w rezydencji przy Park Avenue opustoszała dopiero po dwóch godzinach od zakończenia rozmowy zebranych z prezesem organizacji. Wyjątkowo niestabilny i pogarszający się stan chłopca, który za niedługo miał trafić na salę operacyjną, był tematem długiej dyskusji. Każdego rodzaju zabieg na tego typu pacjencie niósł za sobą bardzo duże ryzyko. Odpowiedzialność, jaka spadała na zespół, który zgodziłby się podjąć wyzwania, była kolosalna. Jedyne *pocieszenie* dla obradujących stanowiła

świadomość, że chłopak i tak umrze, jeżeli nie zostanie poddany operacji. W tym przypadku decyzja o podjęciu ryzyka była zdecydowanie lepszym rozwiązaniem niż bezczynność.

Po zakończeniu spotkania Jonathan Morris natychmiast udał się do pokoju, aby w ciszy jeszcze raz zastanowić się nad wszystkim, co zostało ustalone. Nie był duszą towarzystwa — nie dał się namówić na szampańską zabawę, jaką reszta urządziła na zewnątrz — przy basenie. Postawiono przed nim ważne zadanie i wiedział, że przez najbliższe dni to właśnie ono będzie spędzać mu sen z powiek. Leżąc w bezruchu na łóżku, układał w głowie dokładny plan działania. Jego powieki robiły się coraz cięższe. Dwie długie operacje dzień po dniu, nieprzespana noc i odbyta konferencja doprowadziły go na skraj wyczerpania — nie wiedział, jak się nazywa.

Dopiero pukanie do drzwi przywróciło go do świata żywych. Otworzył oczy. Nie był w stanie określić, czy spał, a jeżeli tak, to jak długo. Gdy spojrzął na zegarek, zrozumiał, że minęła godzina.

Zerwał się z łóżka.

— Proszę wejść! — krzyknął.

W drzwiach stanął Alfred Cole. Towarzyszył mu kierowca, który zaczekał na korytarzu z walizką biznesmena.

— Wyjeżdżasz? — zdziwił się Morris.

— Nic tu po mnie. Spójrz na nich... — Cole wyjrzał przez okno. Przy basenie bawiło się pięciu mężczyzn i dziesięć, sprowadzonych specjalnie na tę okazję, atrakcyjnych kobiet w bikini. Żadna nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat.

— Nikt ci nie każe zdradzać żony.

— Im też nie. Przed chwilą srali pod siebie, a teraz znowu mają się za panów świata.

— Co cię gryzie?

Cole zamknął drzwi, aby kierowca nie usłyszał dalszej części rozmowy.

— Jonathanie, znamy się nie od dziś. Jestem pewien, że zrobisz wszystko, żeby uratować to dziecko. Wierzę w ciebie i w umiejętności twoje i twoich kolegów, ale na litość boską! Aż tak zaślepiły cię pieniądze, że nie zauważasz, jakim marginesem społecznym jesteśmy?

Dyrektor pochylił głowę. Nie potrafił odeprzeć zarzutu.

— Kiedy zaczynaliśmy, przyświecał nam prosty cel. To było wręcz humanitarne i mnie nie ruszało. Powiem więcej... Byłem dumny, że usuwamy brudy tego świata, pomagając praworządnym obywatelom. I co? Wystarczyło kilka nieudanych operacji, odrzuconych przeszczepów, żeby z wykształconych ludzi zrobić morderców zasługujących na karę śmierci.

— Wiesz, że dopasowanie musi być jak najlepsze. Ani ja, ani ty już nic na to nie poradzimy. Grono osób, jakie mieliśmy wtedy do dyspozycji, było zbyt małe.

— Przecież nie wiedzieliśmy, skąd pochodzą pierwsi, dobrze dopasowani dawcy — zauważył Cole. — Mogliśmy to wtedy zakończyć. Ten sukinsyn w telewizorze mydlił nam oczy przez cały rok, a jak się połapaliśmy, z czym mamy do czynienia...

— ...było już za późno. Pamiętam twój telefon. Pamiętam też Mike'a i Sammy'ego, którzy postanowili odejść.

— Nowy samochód, w którym psują się hamulce — powiedział ironicznie Cole. — Ale oni przynajmniej mieli jaja i spróbowali uwolnić się od organizacji. Te kutafony na dole — Cole spojrzał w stronę okna — chleją i obmacują dziwki, a wszyscy, jak jeden, powinni smażyć się w piekle. — Złapał Morrisa za ramiona. — Proszę cię, przyjacielu, pomóż mi przerwać to szaleństwo!

Dyrektor chwycił ręce towarzysza. Musiał użyć niemałej siły, aby wyrwać się z jego uścisku.

— Przecież wiesz, jak mogłoby to się skończyć. — Podchodząc do okna, spojrzał pogardliwie na mężczyzn dokazujących przy basenie jak małe dzieci. — Sam powiedziałeś, że tobie nic już nie zaszkodzi. Gardzisz tymi za oknem, a sam co chwilę posuwasz nową dwudziestkę, która goni za kasą, licząc, że uszczknie coś z twojego imperium. Ja mam rodzinę. Nie chcę spędzić reszty życia w więzieniu albo dostać się do celi śmierci. Szczerze? Wali mnie, co ze mną zrobią, a w tajemnicy ci powiem, że wali mnie także, co zrobią z moją żoną. Jednak nie wybaczę sobie, jeżeli mój syn miałby płacić za moje winy.

— Zapłaci i to z nawiązką. Pytanie tylko, kiedy. Z jednej strony cię rozumiem, z drugiej nie. Od dawna nie naprawiamy świata, Jonathanie, tylko przyczyniamy się do jego upadku. — Cole podszedł do drzwi. — Jesteś młodszy. Mam nadzieję, że obudzisz się wcześniej niż ja i spojrzysz nie tylko na siebie i miliony na swoim koncie, ale także na rodziny, które zniszczyłeś.

— To ty? — rzucił na odchodne Morris.

— Co ja?

— Ten przeciek... To twoja sprawka?

— Do zobaczenia, Jonathanie.

Cole nie odpowiedział, a przynajmniej nie tak, jak życzyłby sobie tego Morris. Na korytarzu cierpliwie czekał kierowca. Razem ze swoim pasażerem udał się w kierunku schodów prowadzących na parter.

Jonathan Morris wyszedł na balkon. Oparł się o metalową barierkę i zaczął myśleć. Po chwili na zewnątrz pojawił się Alfred Cole wraz z asekurującym go mężczyzną. Gdy zeszli ze schodów, kierowca pobiegł przodem i załadował walizkę do bagażnika

limuzyny zaparkowanej najbliżej wejścia. Następnie otworzył tylne drzwi i spokojnie zaczekał, aż Cole zajmie miejsce.

Było niesłychanie gorąco, ale powiew chłodnej bryzy znad zatoki wywołał u Morrisa gęsią skórkę. Wrócił do pokoju i wezwał obsługę.

Nie minęła minuta, a w drzwiach stanął służący z teczką w ręku.

— Za piętnaście minut wyjeżdżam. Co to?

— Kazano panu przekazać dokumenty.

— Proszę położyć je na łóżku.

— Oczywiście. Zje pan coś przed wyjazdem? — zapytał grzecznie służący, przyzwyczajony do szorstkiego tonu i wygórowanych wymagań gości.

— Nie — uciął rozmowę Morris i nie zwracając uwagi na mężczyznę, zaczął pakować walizkę. Ostre słowa przyjaciela, które usłyszał kilkanaście minut wcześniej, mocno wryły się w jego psychikę, ale wiedział, że jakoś — na swój sposób — musi sobie z nimi poradzić. Nie mógł pozwolić, aby wyrzuty sumienia wzięły górę nad rozsądkiem. Otworzył portfel i przejechał kciukiem po zdjęciu syna umieszczonym za przezroczystą, plastikową osłoną. Gdy usiadł na łóżku, jego uwagę zwróciła koperta. Nie była zaklejona. W środku znajdowały się dane dziennikarki z Waszyngtonu, o której wspomniał prezes organizacji.

Przed opuszczeniem apartamentu Morris zadzwonił do Paula Bradforda.

— Słucham, panie Morris — odezwał się ochrypłym, grubym głosem szef ochrony nadzorujący sprawy bezpieczeństwa w klinice.

— Potrzebuję wszystkie możliwe informacje na temat panny Kate Frost zamieszkałej przy Johnson Avenue 65 w Waszyngtonie. Chcę wiedzieć, z kim się spotyka, jaką sprawą obecnie się zajmuje, gdzie mieszka jej najbliższa rodzina, czy płaci podatki, a jeżeli nie, kto robi to za nią. Chcę znać jej numer konta, rozmiar buta, ulubiony kolor, preferowane zwierzęta domowe. Jeżeli robiła testy alergiczne, masz wygrzebać wyniki. Nie interesuje mnie jak ani skąd, byle po cichu. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

— Jaśniej niż słońce, panie Morris.

— Wracam za kilka godzin. Byłbym wdzięczny, gdyby do tego czasu te dane znalazły się na moim biurku.

Czarna limuzyna zbliżała się do mostu przecinającego odnogę zatoki wbijającą się w ląd. Samochód powoli opuszczał bogatą dzielnicę willową i Alfred Cole patrzył przez szyby, chłonąc oczyma ostatnie architektoniczne cuda bogatych nowojorczyków, którzy zapragnęli zamieszkać z dala od zatłoczonego centrum miasta. Nie zazdrościł im — sam posiadał znacznie większy dom — potrafił jednak docenić czyjś gust.

Bryza znad wód zatoki wpadała do samochodu przez uchyloną szybę. Uwielbiał tę świeżość — budziła w nim nowe siły i determinowała do działania. Zaczął przeglądać listę kontaktów w telefonie. Wiedział już, co chce zrobić, jednak nie był pewien, od czego tym razem zacząć. Natknął się na nazwisko *Batt*. Szkoda, że tobie się nie udało, pomyślał, i szukał dalej.

Był na literze D, kiedy poczuł, że jego ciało wbija się w siedzenie. Samochód gwałtownie przyspieszył i skręcił. Cole nie miał zapiętych pasów — z impetem uderzył barkiem w drzwi. Ostry ból przeszył ciało.

— Hej, co się dzieje?! — krzyknął do kierowcy. Całkowicie zdezorientowany złapał za klamkę i pociągnął ją. Drzwi ani drgnęły — były zablokowane. Krzyki i groźby niczego nie zmieniły.

Samochód przebił się przez barierę ochronną mostu, częściowo niszcząc betonowo-metalowe zabezpieczenie i najjeżdżając na jego pozostałości. Huk i zgrzyty zdołałyby obudzić umarłego. Siła uderzenia była tak wielka, że Cole podskoczył na siedzeniu, mocno uderzając głową o twardą podsufitkę, przez co chwilowo stracił przytomność. Z przodu wystrzeliły poduszki powietrzne. Grad betonowych odłamków i części samochodu posypał się do wody. Parę sekund później pojazd dryfował już na jej powierzchni.

Cole odzyskał świadomość. Poczuł, jak chłód ogarnia jego ciało. Wolno otworzył oczy. Począwszy od stóp, które zaczynały drętwieć z zimna, paraliż postępował coraz wyżej. Pełna świadomość powróciła do niego dopiero, gdy zobaczył wodę wlewającą się do wnętrza samochodu przez uchylone okno. Pojazd był przekrzywiony przodem w dół — maska była już pod powierzchnią. Leżąc na podłodze, biznesmen próbował znaleźć oparcie dla rąk. Z największym trudem złapał za siedzenie i podciągnął się w górę. Jedna trzecia samochodu była już zalana. Desperacko naciskał guzik zamykający szybę, ale elektryczny mechanizm nie zadziałał.

Spróbował otworzyć drzwi. Liczył na to, że podczas wypadku komputer automatycznie je odblokował. Miał rację, ale napór wody był zbyt wielki. Siła, z jaką dociskała drzwi, próbując dostać się do środka, była nie do pokonania. Cole zrozumiał, że jest w śmiertelnej pułapce.

Limuzyna przechylała się coraz bardziej. Prawie cały samochód był już pod wodą, która wypełniła większą część przestrzeni oddzielonej od kierowcy czarną przesłoną.

Cole wypatrzył miejsce, które zostanie zalane na samym końcu. Umieścił tam głowę z ustami skierowanymi ku górze i poczekał na całkowite zanurzenie pojazdu.

Po chwili samochód skrył się pod powierzchnią wody. Limuzyna swobodnie opadała pod ostrym kątem w stosunku do dna. Po kilku metrach pojazd wbił się maską w piaszczyste podłoże, powodując słaby wstrząs. Czas opadania nie był zbyt długi i Cole wiedział, że jeżeli tylko wydostanie się na zewnątrz, prawdopodobnie zdoła dotrzeć na powierzchnię.

Gdy tył limuzyny również dotknął dna, powietrze zebrane w jednym miejscu rozeszło się po całej podsufitce. Cole nie miał już możliwości wykonania kolejnego oddechu, więc przystąpił do działania. Szarpnął za klamkę i z całej siły pchnął drzwi. Ku jego pozytywnemu zaskoczeniu — ustąpiły. Odzyskał nadzieję. Wydostał się z samochodu i zaczął płynąć ku górze.

Wtedy poczuł szarpnięcie i zobaczył obok siebie unoszące się bąbelki powietrza. W pierwszej chwili pomyślał, że zahaczył nogawką o jakiś element samochodu. Gdy spojrzał w dół, dostrzegł rozmyty, ciemny zarys postaci znajdującej się tuż pod nim. Próbował uwolnić nogę, ale napastnik trzymał ją bardzo mocno. Cole zebrał resztki sił i podpłynął do oprawcy. Rozpoznał przeciwnika — był nim kierowca limuzyny zaopatrzony w niewielki aparat tlenowy umożliwiający kilkuminutowe przebywanie pod powierzchnią wody. Rozpoczęła się szarpanina.

Cole'a paliły płuca. Wiedział, że nawet jeżeli wygra i uwolni się, to i tak nie zdoła wypłynąć na powierzchnię. Jego ostatnią nadzieją było przejęcie aparatu tlenowego. Przeciwnik wiedział,

że ofiara straciła już sporo powietrza i jakby przewidując to, co miało zaraz nastąpić, wziął głębszy wdech i odepchnął biznesmena mocnym kopnięciem. Ten zdążył jeszcze szarpnąć za aparat i wyrwać go zabójcy, ale źle złapał urządzenie i ostatnia deska ratunku powoli opadła na dno.

Wykorzystując resztki powietrza, Cole próbował skoordynować ruchy całego ciała i siłą woli zmusić mięśnie do ostatecznego wysiłku, lecz było już za późno. Wymuszony wdech zalał płuca wodą. Kilka mimowolnych skurczów mięśni szarpnęło ciałem Cole'a i wkrótce jego spojrzenie stało się obojętne.

Morderca z zaciekawieniem obserwował ostatnie sekundy walki swojej ofiary, po czym podniósł aparat tlenowy z piaszczystego dna. Odczekał jeszcze trzydzieści sekund i podpłynął do swobodnie unoszących się zwłok. W otwartych oczach topielca nie dostrzegł niczego oprócz pustki. Złapał go za ubranie i umieścił w tylnej części limuzyny, po czym przymknął drzwi. Musiał się upewnić, że ciało przypadkiem nie wypłynie. Spojrzał na zegarek i szybko obliczył, że tlenu zostało mu jeszcze na jakieś pięć minut. Otworzył drzwi kierowcy. Odsunął unoszącą się pozostałość kurtyny powietrznej i wyciągnął swobodnie pływające płetwy. Założył je i ze wszystkich sił zaczął pracować nogami, aby odplłynąć od wraku najdalej, jak to tylko możliwe.

Pół godziny później na zamkniętym moście była już policja, karetka i dwa wozy straży pożarnej. W pobliżu kręciło się kilkunastu gapiów.

Gdy mieszkańcy najbliższej okolicy usłyszeli huk, natychmiast poinformowali odpowiednie służby i pobiegli na miejsce wypadku. Mężczyzna, który przybył na most jako pierwszy, próbując ratować poszkodowanych, skoczył do wody. Nie potrafił jednak

zanurkować odpowiednio głęboko, aby dostać się do wraku. Trzykrotnie podejmował ryzyko, z czego raz udało mu się podплыnąć na odległość niecałego metra. Ostatecznie brak tlenu i ból w uszach spowodował, że musiał zaniechać akcji ratunkowej. W tej chwili, owinięty w koc, składał zeznania.

Sznur samochodów po jednej i drugiej stronie mostu wydłużał się. Dopiero ustawienie barierek na jego końcach dało kierowcom do zrozumienia, że dzisiaj tędy już nie przejadą. Samochody zawracały i kierowały się na północ w poszukiwaniu objazdu.

— Dlaczego stoimy? — zapytał Morris kierowcę, który zatrzymał się na środku drogi parę minut po opuszczeniu rezydencji.

— Most jest zamknięty... Widzę straż pożarną, karetkę... Jest też policja. Chyba jakiś wypadek.

— Wyprzedź te samochody i zatrzymaj się tak blisko, jak się da!

— Przepraszam, ale nie wiem, czy dobrze zrozumiałem... Mam...

— Dobrze zrozumiałeś! Jestem lekarzem, mogą potrzebować dodatkowej pary rąk! Ruszaj!

W pierwszej chwili kierowca nie zrozumiał zamiarów swojego pasażera. Teraz było mu głupio, że nie pomyślał, zanim się odezwał. Ruszył z piskiem opon. Ominął kilka samochodów i zatrzymał się tuż przed barierką.

— Otwórz bagażnik.

Morris wyciągnął z walizki torbę lekarską, bez której nigdzie się nie ruszał, i pobiegł na most. Jeden z funkcjonariuszy zatrzymał go wymownym gestem.

— Przepraszam, ale most jest zamknięty. Obcym...

— Jestem lekarzem! — Morris nie dał mu dokończyć. — Macie tam rannych?! Może będę mógł jakoś pomóc?!

Policjant nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

— Macie rannych czy nie?!

— Nie... To znaczy, był wypadek, ale samochód wpadł do zatoki. — Policjant wskazał na most. — Musimy ściągnąć nurków. Obawiam się, że nikt nie przeżył.

— Rozumiem. — Morris uspokoił się, jednak zaraz zawładnęła nim myśl, która zmroziła mu krew w żyłach.

— Co to był za samochód?

— Nie wiadomo... Jakiś duży, czarny sedan. Przynajmniej tak zeznał mężczyzna, który próbował dostać się do niego. Pojazd jest za głęboko, aby przeprowadzić akcję bez odpowiedniego sprzętu.

— Gdzie jest ten człowiek?

— To ten w kocu. Przesłuchują go. Hej! Nie może pan...

Jonathan Morris pobiegł we wskazanym kierunku. Minął karetkę i wóz straży pożarnej. Nie miał zamiaru czekać, aż policjant zakończy przesłuchanie.

— Przepraszam, czy to pan próbował dostać się do wraku?! Rozpoznał pan markę samochodu?! — wykrzyczał z daleka, przerywając mężczyźnie składanie zeznań.

— Tak, to ja.

— Przepraszam... A pan to niby kto? — zapytał rozwścieczony oficer.

— Jaki to był samochód?!

— Jakiś czarny, długi... Nie wiem. Otwierał pan kiedyś oczy pod wodą? Wszystko jest zamazane.

— Rozumiem, ale...

— Proszę pana — rzucił ostro poirytowany funkcjonariusz. — Jeszcze chwila i każę pana aresztować! Co pan tu w ogóle robi?! Ma pan uprawnienia, aby przebywać w tym miejscu?! Jeżeli nie, to zapraszam za barierkę!

To trochę przytłumiło zapędy Jonathana Morrisa. Wiedział, że czeka go ważne zadanie i nie miał zamiaru mieszać się w nieprzyjemne sytuacje. Postanowił okazać skruczę.

— Przepraszam. Moje zachowanie jest spowodowane szokiem. — Był lekarzem, więc doskonale wiedział, co powiedzieć. — W tym samochodzie — wskazał na wody zatoki — może być mój przyjaciel, Alfred Cole.

— Dlaczego pan tak myśli? — Policjanta wyraźnie zaintrygował nowy świadek.

— Byliśmy razem na konferencji niedaleko stąd. Wyjechał jakieś pół godziny przede mną. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że to właśnie jego samochód leży na dnie.

— Rozumiem, proszę się nie oddalać. Jak tylko przyjadą nurkowie, sprawdzimy pana teorię. Jeżeli pana przypuszczenia są s łusz-ne, będę musiał spisać zeznania.

Te słowa uderzyły w Morrisa jak grom z jasnego nieba. Błyskawicznie zrozumiał, jaką głupotę popełnił, przyznając się do znajomości z Alfredem Colem. Jakiegokolwiek zeznania mogłyby zaszkodzić organizacji, a przede wszystkim jemu samemu. Musiał ulotnić się, zanim zaczną zadawać mu niewygodne pytania.

Zaczął krążyć po moście. Zbliżył się do miejsca, gdzie samochód przebił barierę ochronną. Zniszczenia, jakich dokonał pojazd, świadczyły o dużej prędkości. Wszystko wskazywało na celowe działanie. Wszędzie wały się betonowe odłamki oraz części maski pojazdu. Popatrzył w kierunku policjanta, który kończył spisywać zeznania świadka. Morris wykorzystał moment

nieuwagi funkcjonariusza i schował się za karetką stojącą ukośnie w stosunku do drogi. Sanitariusze z braku obowiązków zebrali się przy barierce i dyskutowali w najlepsze. Pod osłoną ambulansu Morris szybko pomaszerował w kierunku limuzyny. Gdy minął barierki blokujące wjazd na most, usłyszał za plecami wołanie:

— Halo! Proszę pana! Panie doktorze!

Nie zwracając uwagi na krzyki policjanta, wsiadł do pojazdu i rozkazał kierowcy ruszać. Szofer bez słowa wykonał polecenie. Minął policjanta kierującego samochody na objazd i skręcił w boczną uliczkę.

— Przepraszam, że zapytam, ale co tam się wydarzyło? — zaczął nieśmiało kierowca, gdy oddalili się na ponad kilometr.

— Jakiś samochód wpadł do zatoki. Czekają na nurków. Nic tam po nas. — Morris szybko uciął rozmowę, którą uznał za zbędną. Nieufnie przyjrzał się twarzy szofera odbijającej się w lusterku. Spróbował połączyć się z Alfredem Colem, ale w odpowiedzi otrzymał automatyczną wiadomość o niedostępności abonenta. Resztę drogi na lotnisko spędził w milczeniu. Zastanawiał się, jak bardzo *przypadkowa* była śmierć Cole'a i czy wiązała się z rozmową, którą odbyli tuż przed wyjazdem z rezydencji.

ROZDZIAŁ 53

Budynek korporacji Petersonów mieścił się w samym sercu Waszyngtonu. Ten trzydziestopiętrowy wieżowiec z całkowicie oszklonymi ścianami z daleka przypominał wielkie czarne lustro. Na wysokości ostatnich pięter widniała olbrzymia, podświetlona na niebiesko litera P. Przyciemniane szyby w ciągu dnia stanowiły ochronę przed wścibskimi oczyma, a kilka środkowych pięter dodatkowo chroniły lustra weneckie. Takie zabezpieczenia

uznano za niezbędne, ponieważ budynek pełnił nie tylko funkcję centrum dowodzenia, ale był również specyficzną linią produkcyjną — na zabezpieczonych, odizolowanych piętrach, najlepsi specjaliści z branży pracowali dzień i noc, obrabiając kamienie warte miliony dolarów.

Petersonowie zawsze kierowali się zasadą ograniczonego zaufania i chcieli mieć bezpośrednią pieczę nad wszystkim, co działo się w firmie. Kiedy ich imperium było już na tyle rozległe, że bezpośredni nadzór był niemożliwy, Collin Peterson postanowił scentralizować swój biznes i na początku dwudziestego pierwszego wieku zlecił budowę własnej siedziby. Ukoronowaniem jego dzieła stał się największy sklep jubilerski w Waszyngtonie, usytuowany na parterze i części pierwszego piętra gmachu, gdzie przyjmowano najznakomitszych gości i oferowano cuda sztuki jubilerskiej o wartości dochodzącej nawet do milionów dolarów.

Nick Stewart był już kiedyś w tym miejscu. Pamiętał doskonale sytuację, gdy brał w drżące ze zdenerwowania dłonie kolejne pierścionki prezentowane przez obsługującą go kobietę. Długo nie potrafił się zdecydować. Ostatecznie wybrał taki, który wydał mu się zarówno subtelny, jak i elegancki — wyjątkowy prezent dla wyjątkowej kobiety.

Teraz, wspominając tamten dzień, siedział w samochodzie stojącym po drugiej stronie ulicy i obserwował wyjazd z pilnie strzeżonego prywatnego parkingu podziemnego. Wcześniej zdobył numery dwóch limuzyn zarejestrowanych na firmę Petersonów. Miał nadzieję, że jedna z nich wkrótce opuści budynek. Zamieszanie, jakiego narobił, nie mogło pozostać bez echa, a o dziesięć milionów dolarów upomni się każdy człowiek, nawet tak bogaty jak Richard Peterson.

Gdy stalowa bariera ograniczająca wjazd do budynku podniosła się, a zbrojone, betonowe pachołki opadły, serce Nicka przyspieszyło. Uśmiechnął się cwaniacko, kiedy na podjeździe zobaczył maskę czarnego jaguara. Natychmiast dokonał porównania tablic. Numery pasowały, a to oznaczało, że Richard Peterson połknął przynętę.

Nick odczekał kilka sekund, po czym spokojnie włączył się do ruchu. Przez cały czas starał się utrzymywać odległość co najmniej dwóch samochodów od śledzonego pojazdu.

Limuzyna szybko pokonywała kolejne przecznice miasta, kierując się na południowy zachód. Wreszcie opuściła zakorkowane centrum i autostradą Jeffersona pomknęła na południe.

Detektyw zwiększył dystans — teraz trzymał się jakieś dwieście metrów za swoim celem. Na autostradzie ruch był niewielki i mógł sobie pozwolić na tego typu posunięcie. Przy dobrej widoczności i stosunkowo małej ilości samochodów nie ryzykował utraty kontaktu wzrokowego. Dopiero gdy zbliżyli się do węzła z międzystanową, przyspieszył, aby nie stracić z oczu limuzyny, która mogła łatwo przepaść w rosnącej liczbie pojazdów na tym odcinku drogi.

Jaguar spokojnie pokonał rozjazd, przez cały czas trzymając się tego samego pasa ruchu. Rozpoczął się kolejny odcinek autostrady i kierowca limuzyny przyspieszył. Nick zauważył to i również dodał gazu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie został zauważony, więc dał Petersonowi jeszcze więcej luzu niż wcześniej.

Po prawie dwudziestu kilometrach detektyw dostrzegł pulsujące światło lewego kierunkowskazu jaguara, który zjechał na skrajny pas, przygotowując się do skrętu. Żaden inny pojazd

nie jechał w tym kierunku i Nick wylądował tuż za Petersonem. Oczekując na zielone światło, starał się zachowywać normalnie — rozglądał się po poboczach, co chwilę zerkając na sygnalizator. Dla niepoznaki zabrał prywatny samochód. Wiedział, że jeżeli nie popełni jakiegoś głupstwa, nikt się nie zorientuje, że kogoś śledzi.

Zapaliło się zielone światło i limuzyna skręciła. Nick wykonał ten sam manewr, zachowując niewielką odległość. Wkrótce kierunkowskaz jaguara ponownie zaczął pulsować. To zaniepokoiło Nicka, który jechał tuż za Petersonem. Wokoło nie było żywego ducha. Droga, w którą skręciła limuzyna, nie wyglądała na zbyt uczęszczaną.

Nick postanowił odpuścić i przejechał prosto. W ostatnim momencie zauważył wielką tablicę z napisem *SIEDEM GWIAZD —PRYWATNA KLINIKA MEDYCZNA*.

— Mam cię, sukinsynu!

Dalsza zabawa w kotka i myszkę była niepotrzebna. Odprowadził wzrokiem jaguara i dodał gazu. Zawrócił za zakrętem. Gdy przejeżdżał obok tablicy, coś nie dało mu spokoju. Wiedział, że na nieuczęszczanej drodze ryzykuje zdemaskowaniem, jednak ciekawość ostatecznie zwyciężyła. Skręcił i znalazł się na wąskiej, krętej drodze, otulonej z obydwu stron drzewami.

W oddali co chwilę migały światła stopu limuzyny pokonującej kolejne zakręty. Robiła to dość żwawo, aż w końcu zniknęła Nickowi z oczu. Dodał gazu. Klął pod nosem na tego, kto wytyczył tę drogę. Miało się wrażenie, że na etapie projektowania ktoś przyjął sobie za cel ocalić wszystkie drzewa w lesie.

Dotarł do miejsca, w którym ostatni raz widział jaguara. W oddali dostrzegł kolejny drogowskaz z tą samą, co wcześniej informacją, kierujący jeszcze głębiej w las. Nie chciał już bardziej

ryzykować i zatrzymał się przed rozjazdem. Miał wrażenie, że po lewej widzi czerwone światła stopu jaguara, a im dłużej się przypatrywał, tym bardziej był pewny. Pomiędzy drzewami, przed dużą bramą, stała limuzyna Petersona. Do samochodu podszedł jakiś mężczyzna i wymienił kilka uwag z kierowcą. To musiał być strażnik, gdyż po pomyślnej identyfikacji machnął ręką i jaguar wolno wjechał do środka przez jeszcze otwierającą się bramę.

Nick sięgnął po notes i zapisał nazwę ośrodka wraz z adresem, który odczytał z nawigacji. Już miał odjechać, kiedy zobaczył zbliżający się z naprzeciwka samochód. Mała kropla potu pojawiła się na jego czole. Wyszarpnął ze schowka zwiniętą mapę Waszyngtonu i pośpiesznie rozłożył ją przed sobą. Zajęła niemal całą deskę rozdzielczą. Pochylił się nad nią, udając, że coś sprawdza.

— Ciekawe, kto dziś jeszcze używa mapy... — skarcił się, obserwując nadjeżdżający pojazd. Wkrótce był już na tyle blisko, że Nick mógł rozpoznać model. W jego stronę jechała szara furgonetka, identyczna z tą, która brała udział w porwaniu Russella Millera. Przez chwilę Nick miał wrażenie, że dostawczak pędzi prosto na niego. Uspokoił się dopiero, widząc pulsujący kierunkowskaz. Nie podnosząc głowy znad mapy, bacznie przyglądał się przejeżdżającemu vanowi. Różnił się jedynie umieszczonym na boku logo — inicjały AC przecinał długi napis. Sięgnął po notes i zapisał numery rejestracyjne wraz z nazwą firmy — AC PHARMACEUTICALS. Zgadywał, że takich furgonetek w Waszyngtonie i okolicach są tysiące, ale już dawno przestał wierzyć w zbiegi okoliczności. Kierowca bagażówki obrócił głowę w jego stronę, ale widząc zagubionego turystę, od razu przestał się nim interesować.

Nick zgniótł mapę i powiódł wzrokiem za furgonetką, aż ta dojechała do bramy. Mocno się zdziwił, gdy zauważył dwóch wartowników stojących nieruchomo obok siebie. Jeden z nich trzymał przy twarzy coś, co wyglądało na lornetkę i patrzył dokładnie w stronę rozjazdu. Nick natychmiast zapadł się w fotelu i podniósł szybę. Bez namysłu odjechał.

— Dupek... Debil... Skretyniały idiota... — Był zły na siebie, że tak łatwo dał się podejść. Mógł mieć tylko nadzieję, że nikt go nie rozpoznał.

— Kto to mógł być? — zapytał kierowca furgonetki.

— Pewnie paparazzi — odburknął ochroniarz, odsuwając lornetkę od oczu.

— Albo jakiś dziennikarz... — dodał drugi strażnik. — Co chwilę ktoś się tutaj kręci z nadzieją, że ustrzeli jakąś gwiazdkę albo ważniaka, których potem mógłby obsmarować w gazecie.

— Nie sprawdzacie ich?

— Czasem przegonimy, ale nie ma to większego sensu. Im bardziej się staramy, tym szybciej wracają, wężąc sensację.

— Mamy spisanych parę numerów, ale rzadko pojawiają się te same samochody. Chociaż muszę przyznać, że ten mnie zaintrygował. Każdy, kto się tutaj kręci, zazwyczaj jest uzbrojony w aparat z potężnym obiektywem. Gdyby mogli, sprowadziliby tutaj teleskop Hubble'a. Ten facet był raczej kiepsko przygotowany. Chętnie dowiedziałbym się, czego tutaj szukał.

— Może pomogę? — rzucił mężczyzna siedzący na miejscu pasażera.

— Niby jak? — zdziwił się strażnik.

— Otóż, drogi przyjacielu — zaczął kierowca, pokazując na współpracownika — ten oto człowiek ma fotograficzną pamięć i nic nie umknie jego uwadze.

— To prawda?

— Niestety... — odrzekł mężczyzna. — Dar i przekleństwo w jednym. Czasem od tych wszystkich informacji rozpieprza mi czerep. — Nie czekając na dalsze zachęty, wyjął ze schowka kawałek papieru i długopis. Po chwili kartka z numerem rejestracyjnym wylądowała w ręce strażnika.

— Dzięki za pomoc... — Ochroniarz z uznaniem kiwnął głową.

— Nie ma za co.

— To się jeszcze okaże.

W drodze powrotnej do Waszyngtonu głowę Nicka zaprzętały przeróżne myśli. Nie mógł uwierzyć, że tak łatwo dał się złapać. Już wiedział, czego dotyczyła lista nazwisk. Ale dlaczego ktoś miałby chcieć za nią zabić? I ta przeklęta szara furgonetka... Czy to mógł być ten sam pojazd, którego użyto do porwania Millera? Z każdą chwilą pojawiało się coraz więcej pytań bez odpowiedzi.

Prowadził samochód niemalże automatycznie. Gdyby ktoś zapytał go, jakie miejsca minął w drodze powrotnej, nie byłby w stanie odpowiedzieć. Zupełnie nieświadomie wyprzedzał samochody i bezwiednie zatrzymywał się na światłach. W ten sposób pokonał kilkanaście kilometrów. Z zamyślenia wyrwał go dopiero dźwięk telefonu. Nie odwracając wzroku od jezdni — pędząc ponad sto trzydzieści na godzinę — ręką wyszukał komórkę, którą wcześniej umiejscowił w schowku pomiędzy przednimi siedzeniami. Rzucił okiem na wyświetlacz — dzwoniła Kate.

— Hej... Wszystko w porządku?

— Tak... Powiedziałam Corriganowi, że potrzebuję parę dni wolnego. Nie miał nic przeciwko.

— Pytał o Nowy Jork?

— Tak, ale sam szybko uciął temat, gdy dowiedział się, że nie rozmawiałam z Brysonem, bo po prostu nie zdążyłam. Nie wspomniałam mu, że zatrzymałam się u ciebie.

Kate mówiła spokojnie i rozsądnie. Noc spędzona w bezpiecznym otoczeniu zdecydowanie pozytywnie wpłynęła na jej samopoczucie.

— Świetnie. Ja już wracam do Waszyngtonu.

— A gdzie byłeś? — zapytała ze zdziwieniem.

Całkowicie zapomniał, że nie mówił jej, co planuje.

— Pamiętasz tę twoją listę?

— A jak myślisz? — odpowiedziała z niesmakiem.

— Już wiem, co łączy te osoby.

— Żartujesz...

— Nie żartuję, ale niewiele to zmienia.

— Powiesz mi, czy nie?

— Wierz mi, że to nic nadzwyczajnego.

— Nie wierzę! Nie powiesz mi?!

— Opowiem ci, jak wrócę. Chciałaś coś?

— Masz przy sobie klucze do mojego mieszkania?

— Chyba tak.

— Mógłbyś mi coś przywieźć?

— Jasne...

— Mam w domu drugi laptop. Gromadziłam na nim materiały do dużego artykułu, a chciałabym się czymś zająć, zamiast siedzieć beczynn timer.

— Nie ma problemu. W takim razie będę trochę później. Kończę, bo jadę autostradą i muszę zacząć rozglądać się za zjazdem.

ROZDZIAŁ 54

Na pierwszy rzut oka mieszkanie Kate było *tylko* modnie urządzone. Jednak każdy, kto dłużej w nim przebywał, przekonywał się, że jest również przytulne. Sama Kate bardzo doceniała ten fakt i ostatnio rzadko wychodziła z Nickiem poza jego obręb. Woleli spędzać wieczory przy dobrym filmie lub — po prostu — w swoim towarzystwie, zamiast włóczyć się nocami po waszyngtońskich klubach.

Umyślnie wybrała droższe mieszkanie, ale za to w spokojnej dzielnicy, w której sąsiedzi byli bezproblemowi i wzajemnie dbali o siebie. Czasem przeradzało się to w zwyczajne podsłuchiwanie i nachalne obserwacje, jednak wszyscy mieszkańcy Johnson Avenue traktowali tych wścibskich sąsiadów z lekkim przymrużeniem oka.

Kiedy dwukrotny dzwonek do drzwi nie przyniósł zamierzonego rezultatu, stojący pod drzwiami mężczyzna wyciągnął z kieszeni zestaw wytrychów. W momencie, gdy zamek ustąpił, usłyszał szcęk klamki. Sąsiadka dziennikarki, wystrojona jak do opery, wyszła na korytarz. Spojrzała podejrzliwie na nieznanego stojącego bokiem do niej.

— Witam pana — zaczęła grzecznie, choć ostro.

Mężczyzna obrócił się, chwycił daszek czapki baseballowej i skinął głową.

— Witam...

— Niepotrzebnie pan tutaj wyczekuje. Panny Frost nie ma. — Kobieta dostrzegła logo firmy kurierskiej na czarnej koszulce. — Sugeruję zostawić przesyłkę na dole.

Interesujące, pomyślał. Postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję.

— Nie mogę. Wie pani, jak mógłbym się z nią skontaktować?

— O, a jednak pan mówi i to całymi zdaniem — zauważyła ironicznie starsza kobieta.

— Przepraszam... — wydusił z siebie, puszczając zniewagę mimo uszu.

— Ach ta dzisiejsza młodzież — uśmiechnęła się. — A czego pan od niej chce? Był już tu dziś jeden pan i też o nią pytał. Nieco starszy od pana. Ma powodzenie kobieta!

Że też mi się już coś takiego nie przytrafia, rozmarzyła się. Zostawiałabym nawet otwarte drzwi — nie musielibyście dzwonić.

— Przywiozłem przesyłkę — wymyślił na prędko. — Jest bardzo ciężka i chciałem poprosić adresatkę, czy nie moglibyśmy jej otworzyć i wnieść w częściach. To jakiś mebel. Chyba kanapa. Dziś rano mój współpracownik rzucił wypowiedzeniem. Kierownik stawał na uszach, żeby kogoś załatwić. Niestety, zostałem sam z tym wszystkim, a muszę dostarczyć przesyłki, bo inaczej wywalą mnie z roboty. Jutro już będzie lepiej, ale dzisiejszy dzień to jakiś koszmar.

— Rozumiem, ale niestety, nie pomogę panu... Była tu wczoraj, ale chyba znowu wyjechała.

— Znowu?

— Wczoraj skądś wróciła. Potem słyszałam jakiś trzask na klatce. Myślałam, że ktoś się przewrócił, więc wychodzę

sprawdzić, a ona i jej facet targają jakieś toboły na dół.

— Jest pani pewna, że wyjechała? Bo jeżeli tak, to będę musiał odesłać paczkę do nadawcy.

— Mój drogi, pewna nie jestem, ale jeżeli ktoś zabiera walizkę, to raczej nie po to, żeby pokazać się z nią na mieście.

— To zrozumiałe... A nie wie pani przypadkiem, gdzie się udała? Nie zostawiła do siebie kontaktu?

— Młodzieńcze... Nie prowadzę jej kalendarza ani też nie jestem jej asystentką.

A mogłoby się wydawać, że jest inaczej — dopowiedział w myślach.

— Może zapyta pan dozorcę? Powinien kręcić się gdzieś na dole.

I pewnie zrobiłby tak, gdyby wcześniej nie ogłuszył tego człowieka, gdy ten go zaczepił, próbując wylegitymować przed wejściem na górę.

— Rozumiem...

— Jak już wspomniałam, był z nią jej facet... Narzeczony. Zaręczyli się bodajże rok temu. Może z nim gdzieś wyjechała?

— To całkiem prawdopodobne. Nie wie pani, gdzie on mieszka? Może jemu mógłbym zostawić wiadomość dla panny Frost.

— Niestety... Nie pamiętam nawet, jak się nazywa. Mike, a może Nick... Jakoś tak krótko. Nie wiem. Nie będę zgadywała...

— I tak dziękuję. Bardzo mi pani pomogła.

— Chyba jednak Nick. Jest policjantem... Może to panu jakoś pomoże.

Mężczyzna wyraźnie spochmurniał.

— I byłem wojskowym...

Włamywacz rzucił staruszce wymuszony uśmiech.

— Dłużej pani nie zatrzymuję. Zostawię tylko informację w drzwiach i już mnie nie ma.

— Życzę panu dobrego dnia. — Ostrożnie zaczęła schodzić. — I proszę się nie przepracować, bo na starość będzie pan chodził, jak ja. Albo ledwo, albo wcale.

— Wzajemnie...

Gdy kobieta oddaliła się na bezpieczną odległość, włamywacz wszedł do mieszkania Kate i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Relacja staruszki nie napełniła go optymizmem. Wręcz przeciwnie... W sprawę wmieszała się dodatkowa osoba, co mogło mocno skomplikować operację, która na samym początku wydawała się banalnie prosta.

Jego podstawowym zadaniem była eliminacja zagrożenia — zabicie dziennikarki, a wcześniej — odzyskanie listy nazwisk. Zdawał sobie sprawę z faktu, że gdziekolwiek przepadła Kate Frost, zabrała listę ze sobą. Przeszukanie mieszkania pod kątem kawałka papieru uznał za bezcelowe. Rozsądniej było wytropić kobietę i z niej to wyciągnąć. Skupił się na przedmiotach, które mogły mu w tym pomóc.

Po trzydziestu minutach bardzo ostrożnego przeczesywania niemalże wszystkich zakamarków mieszkania nie znalazł niczego, co mógłby wykorzystać — nie było żadnych zdjęć ani kartek urodzinowych. Jedyne ślad stanowiła dedykacja w książce podpisana *Twój Nick*.

Ostatnim pokojem, który pozostał do sprawdzenia, było ciasne pomieszczenie z komputerem służące kobiecie za biuro. Zalogowanie się wymagało hasła, na szczęście mało wyszukanego — wystarczył *Nick*.

Wtedy włamywacz zauważył coś, co zwróciło jego uwagę. Dioda wielofunkcyjnego urządzenia ustawionego obok laptopa świeciła się na zielono. Odszukał w komputerze katalog kopiowanych dokumentów i zlecił wydruk ostatniego. Urządzenie wydało z siebie kilka mechanicznych dźwięków i wypluło kartkę.

Po tym, jak zapoznał się z jej treścią, zrobił głęboki wdech i spokojnie wypuścił nagromadzone powietrze. Spodziewał się tego, co zobaczył. Miał przed sobą kopię listy nazwisk, której odnalezienie było jego drugim celem. Oznaczało to tylko jedno — kolejne utrudnienia.

Nie mógł sobie pozwolić, aby ktoś odzyskał z tego laptopa jakieś dane. Wiedział, że usunięcie pliku z folderu, a nawet kosza, nigdy nie jest ostateczne. Korzystając ze specjalnych programów, które doskonale znał, i których sam często używał, można było w łatwy sposób przywrócić utracone lub wykasowane dane. Chcąc pozostać niezauważonym, nie mógł sobie pozwolić na kradzież sprzętu. Ostatecznie podniósł laptop i kilka razy mocno uderzył nim o blat. Spróbował go ponownie włączyć, ale zgodnie z przewidywaniami, dysk twardy odmówił współpracy.

W tym miejscu zakończył swoje zadanie. Będąc przy drzwiach, usłyszał kroki na klatce schodowej. Postanowił przeczekać, aż lokator wejdzie do któregoś z mieszkań. Mocno się zdziwił, gdy przez wizjer dostrzegł kogoś zatrzymującego się po drugiej stronie drzwi.

ROZDZIAŁ 55

Nick minął norę bestii — mieszkanie wścibskiej sąsiadki Kate — i wyjął z kieszeni spory pęk kluczy. Odnalazł właściwy i włożył do zamka. Ku jego zdziwieniu, klucza nie dało się przekręcić. Pociągnął drzwi do siebie, ponawiając czynność — również bez

efektu. W końcu nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły bez najmniejszego oporu.

Jego zdziwienie trwało zaledwie kilka sekund. Po tym czasie trzymał już w rękach odbezpieczoną broń. Pchnął skrzydło lufą pistoletu. Jako policjant powinien głośno wykrzyknąć, że właśnie wchodzi do środka i wszyscy mają grzecznie się poddać, rzucić broń i położyć się na podłodze z rękami za głową, ale zdawał sobie sprawę, że całkowicie straciłby element zaskoczenia, już i tak bardzo uszczuplony przez szamotaninę z drzwiami.

Włamywacz błyskawicznie wymknął się na balkon i przyłgnął do ściany. Nadarzyła się nieoczekiwana sposobność odnalezienia Kate Frost. Musiał tylko odpowiednio to rozegrać. Nie wiedział, z kim ma do czynienia, ale jeżeli przybysz miał klucze, to albo został przysłany przez właścicielkę, albo był dla niej na tyle ważny, że dysponował własnym kompletem. Powód był dowolny, a wytłumaczenie tylko jedno — osobnik, który właśnie wszedł do środka, prawdopodobnie wiedział, gdzie obecnie znajduje się dziennikarka.

W tej chwili najważniejsza była identyfikacja. Bez zwracania na siebie uwagi włamywacz musiał mu się dobrze przyjrzeć, aby wcielić w życie nowy plan. Ucieczka nie wchodziła w grę, ale też nie mógł zostać w tym miejscu. Znalazł inne rozwiązanie — wdrapał się na barierkę i odepchnął z całej siły, przeskakując na sąsiedni balkon.

Pospiesznie wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki mały niezbędnik. Tuż obok ramy, w szybie, specjalnym urządzeniem wykonał na tyle duży otwór, aby móc precyzyjnie przecisnąć przez niego rękę i odblokować drzwi. Gdy dostał się do środka, pozostało jedynie

zwrócić na siebie uwagę. W pokoju, na stoliku — obok niedopitej herbaty — leżała srebrna łyżeczka.

Nick drgnął, słysząc za oknem metaliczny brzęk. Natychmiast podszedł do drzwi balkonowych. Były niedomknięte.

Zanim wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się po pokoju, czy aby ktoś nie próbował zastawić na niego pułapki. Ostrożnie uchylił drzwi, celując kolejno w każdy zakamarek balkonu. Wyszedł na zewnątrz i wychylił się za barierkę, aby dokładniej objąć wzrokiem całą okolicę. Nikogo nie wypatrzył.

— Witam pana — powiedział po cichu włamywacz. Stał tuż przy ścianie i przez szybę balkonowych drzwi sąsiedniego mieszkania przyglądał się twarzy i sylwetce uzbrojonego mężczyzny. Już wiedział, z kim ma do czynienia. Niejaki *Nick* zaszczyił go swoją obecnością.

Nie tracąc czasu, włamywacz opuścił lokum starszej kobiety i zbiegł schodami na parter. Przed budynkiem stał granatowy ford explorer. Mężczyzna skojarzył, że tylko ten samochód nie pasuje do obrazu, jaki zapamiętał, wchodząc do kamienicy. Maską była ciepła, mimo że pojazd stał w cieniu rzucanym przez budynki.

Przykucnął obok tylnego koła. Udając, że wiąże but, umieścił nadajnik pod nadkolem. Wstał i spokojnie przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie czekała na niego taryfa.

— Długo panu zeszło — rzucił znudzony taksówkarz, odkładając gazetę.

Mężczyzna wyjął z portfela studolarowy banknot i dał go kierowcy.

— To za fatygę.

— Gdyby codziennie trafiali mi się tacy pasażerowie, miałbym już własną firmę — roześmiał się taksówkarz.

— Widziałeś, kto przyjechał tym fordem?

— Jakiś facet... Niecałe dziesięć minut temu wszedł do budynku. Jasne dżinsy i brązowa skórzana kurtka. Dobrze zbudowany, krótko ścięte, ciemne włosy. Wyższy od pana.

Opis idealnie pasował do *Chyba Nicka*. Włamywacz potrzebował już tylko odrobiny cierpliwości, aby ten człowiek doprowadził go do upragnionego celu.

— Dokąd teraz? — zapytał kierowca.

— Do hotelu...

— Którego hotelu? Przepraszam, ale nie dosłyszałem — dopytał taksówkarz, spoglądając w lusterko.

Pasażera całkowicie pochłonęło to, co działo się na zewnątrz. Zmrużył oczy i wbił wzrok w samochód, który zatrzymał się po drugiej stronie ulicy — tuż przed granatowym fordem. Twarz kierowcy wydawała się dziwnie znajoma.

— No proszę...

Przybysz wysiadł, rozejrzał się po okolicy i z tylnej kieszeni spodni wyjął zwiniętą kartkę. Wykonał szybki telefon. Wyglądało na to, że nikt nie odebrał. Z bagażnika wyciągnął jakieś zawiniątko, po czym włożył je do wewnętrznej kieszeni kurtki.

— Przepraszam, mógłby pan powtórzyć nazwę hotelu? — zapytał taksówkarz, przerywając pasażerowi obserwację. — Z drugiej strony, jeżeli pan chce, to mogę jeszcze poczekać. — Uśmiechnął się do lusterka i pomachał studolarowym banknotem.

— Niepotrzebnie. Zawieź mnie do jakiegoś porządnego hotelu. Zdam się na ciebie.

— Dobrze...

— Ale wcześniej będę miał prośbę.

— Tak?

— Mógłbyś pojechać kawałek w tamtą stronę i zawrócić?

— Dla pana wszystko.

Taksówkarz wykonał polecenie, choć nie za bardzo rozumiał, w jakim celu. Wiedział tylko, że takiemu klientowi, jaki mu się trafił, nie wolno niczego odmawiać. Nie należy też zadawać niepotrzebnych pytań. Kolejna stówka była na wyciągnięcie ręki. W powietrzu już czuł jej zapach.

— Mam jechać wolno czy szybko?

— Bez znaczenia.

Gdy zawrócili, włamywacz zanotował w telefonie numery rejestracyjne obydwu pojazdów.

— Włączę muzykę... Co pan na to?

— Może być...

— Poszukam czegoś mocniejszego. Nie lubię smętnych kawałków, bo przypominają mi o mojej żonie, która...

Pasażer nie skupiał się na wywodzie taksówkarza. Zastanawiał się nad przebiegiem spotkania, do którego za chwilę dojdzie w mieszkaniu Kate Frost. Od razu rozpoznał pistolet owinięty w szmatkę — zawiniątko, które nowy przybysz wyciągnął z bagażnika. Dwaj uzbrojeni mężczyźni na powierzchni stu metrów kwadratowych — nie zwiastowało to niczego dobrego, więc zabezpieczenie w postaci spisania tablic rejestracyjnych mogło wkrótce okazać się jedynym sposobem dotarcia do Kate Frost, bo jak ogólnie wiadomo, trupy nie potrafią mówić ani prowadzić samochodów z podczepionymi nadajnikami.

Nick zabezpieczył broń i schował ją do kabury pod ramieniem. Zastanawiał się, jakie kroki podjąć. Znał to mieszkanie lepiej niż własne. Martwiło go, że nie znalazł żadnych widocznych śladów włamania i nie wyglądało na to, żeby coś zginęło. Czyżby Kate, wychodząc jako druga, zapomniała je zamknąć? Jeżeli zapyta ją o to, a ona nie będzie pamiętała, wpadnie w panikę. Z drugiej strony, nie chciał ukrywać przed nią realnego zagrożenia. Usiadł na łóżku i przez dobrych kilka minut zastanawiał się nad rozwiązaniem.

Ostatecznie postanowił nie mieszać w to Kate ani nikogo innego. Była wyraźnie spokojniejsza i nie potrzebowała kolejnych zmartwień.

Laptop, po który przyszedł, leżał na biurku. Spakował go wraz z ładowarką do torby i udał się w kierunku wyjścia. Znalazłszy się w przedpokoju, znieruchomiał — stanął twarzą w twarz z uzbrojonym mężczyzną.

Przez chwilę Nick miał wrażenie, że napastnik ma tylko jedną rękę. Dopiero później zauważył wybrzuszenie pod kurtką w okolicy klatki piersiowej — druga ręka wisiała na opatrunku. W tej sytuacji każdy taki szczegół był na wagę złota. Zaczynał z przegranej pozycji i musiał zrobić coś, co dałoby mu przewagę. Osobnik był wysoki, dobrze zbudowany i ważył ponad osiemdziesiąt kilogramów. Z jego oczu można było czytać jak z otwartej księgi — przyszedł po listę i po Kate.

ROZDZIAŁ 56

— Połóż torbę pod ścianą — rozkazał Jason Batt.

— Tylko spokojnie. Jestem policjantem — zaczął Nick, wykonując polecenie. — Sięgnę teraz po odznakę i wszystko sobie wyjaśnimy.

Przeciwnik nie był głupi. Dokładniej wycelował, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych dodatkowych ruchów.

— Policjant okradający czyjeś mieszkanie... Żle to wygląda.

Uwaga była nad wyraz słuszna i Nick czuł, że traci grunt pod nogami.

— Proszę zdjąć kurtkę i rzucić ją przed siebie na podłogę. Będę mówił, co ma pan robić i proszę zastosować się do moich poleceń, bo inaczej jeden z nas będzie niemiło wspominał to popołudnie.

Nick postanowił podporządkować się i poczekać na rozwój wydarzeń. Stojący przed nim człowiek był opanowany, ale mimo to sprawiał wrażenie gotowego na wszystko — zdecydowanie nie rzucał słów na wiatr. Każdy, nawet najmniejszy niepotrzebny ruch mógł go sprowokować.

— Proszę się odwrócić i spleść ręce za głową.

Nick tylko na to czekał. Wiedział, że za chwilę nastąpi próba rozbrojenia go z pistoletu, który miał pod ramieniem. Napiął mięśnie i przygotował się do ataku. Chciał ruszyć, gdy tylko poczuje dotyk napastnika. Przeciwnik był kontuzjowany, więc bez trudu powinien sobie z nim poradzić. Nagle padły słowa, których Nick najmniej się spodziewał.

— Detektyw Nicolas Stewart z waszyngtońskiej policji — rzucił beznamiętnie mężczyzna. — Wygląda na to, że mówił pan prawdę. Pozostaje kwestia okradania czyjegoś mieszkania.

Nick był dezorientowany. Odwrócił nieco głowę i kątem oka zobaczył, jak podejrzany typ przygląda się jego odznace.

— Może się pan odwrócić. Wiem, że takie blaszki kupuje się dziś na bazarze za parę dolarów, jednak komuś w tym mieście trzeba zaufać.

— Jest tam telefon do wydziału. Potwierdzą moją wersję. — Nick odzyskał nadzieję na pozytywne zakończenie sprawy.

— Nie trzeba. — Mężczyzna odrzucił detektywowi kurtkę i schował broń. — Jeżeli nie byłby pan policjantem, to obaj leżelibyśmy już na podłodze, wykrwawiając się i czekając na karetkę wezwaną przez sąsiadów.

— Być może... — przytaknął Nick, który nieufnie i z dużym dystansem podszedł do pozytywnego obrotu sprawy. Mężczyzna, który jeszcze kilka sekund temu celował w jego głowę, zachowywał się, jakby wydarzenia ostatnich minut w ogóle nie miały mieć — sca. — Przepraszam, ale trochę się pogubiłem. Może mi pan wyjaśnić, kim pan jest i co tutaj robi?

Osobnik nie odpowiedział, tylko wyjął portfel i podał go detektywowi, przechodząc do salonu. Usadził się w wygodnym fotelu.

— Brian Smith... — Nick odczytał dane z prawa jazdy. Miał nadzieję, że nazwisko coś mu podpowie, ale w głowie odnalazł tylko pustkę.

— Nie... Jason Batt. — Dziennikarz oparł głowę na dłoni zaciśniętej w pięść. — Tamtego dokumentu użyłem, opuszczając Nowy Jork. Nie chciałem, aby pozostał po mnie niepotrzebny ślad.

Nick nie miał pojęcia, o czym mówi ten człowiek. Nazwisko *Batt* gdzieś już słyszał, jednak nie potrafił go na szybko podpiąć pod żadne spotkanie czy wydarzenie.

— Zacznijmy od początku... — zaproponował.

— Nie zna mnie pan? Nigdy o mnie nie słyszał? — zdziwił się dziennikarz.

— A powinienem? Kojarzę nazwisko, ale nie potrafię... — Nick patrzył na reportera jak na kartkę papieru zapisaną chińskimi znakami.

— Jak się pan pewnie domyśla, detektywie, przyjechałem do panny Frost. — Jason Batt poprawił się w fotelu i przyjął wygodniejszą pozycję. — I wierzę, że tego nie musiałem mówić, ale chcę, żeby wszystko było jasne.

— Doceniam...

— Zakładam, że policjanta interesuje wizyta uzbrojonego mężczyzny w mieszkaniu jego partnerki? — zapytał sprytnie Batt.

Nick zmieszał się.

— To tylko moja znajoma. Prosiła mnie o przysługę — odpowiedział pokrętnie.

— Oczywiście... — Dziennikarz natychmiast dostrzegł kłamstwo w oczach detektywa. — Mniejsza z tym. Jeżeli jest pan przyjacielem panny Frost, to zakładam, że wie pan, gdzie teraz jest.

Nie odpowiedział, czym jednoznacznie przyznał się do posiadania takowej informacji.

— Świetnie. Będę wdzięczny, jeżeli mnie pan do niej zaprowadzi. A o broń proszę się nie obawiać. Noszę ją tylko do obrony własnej. I od razu uprzedzę następne pytanie. Tak... mam na nią pozwolenie.

— Przykro mi, ale panna Frost wyjechała z miasta.

Dziennikarz roześmiał się dobrodusznie.

— Chyba nie do końca się rozumiemy, jeżeli chodzi o powagę sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, detektywie. Posiadam informacje, które mogą ocalić jej życie.

Te słowa padły jak grom z jasnego nieba i boleśnie dotknęły Nicka, obrazując mu, w jak dużym niebezpieczeństwie znalazła się Kate i jak realne było zagrożenie, które starał się zbagatelizować.

— A można jaśniej? — zapytał, licząc na jakieś konkrety.

— Przykro mi, ale sprawa dotyczy panny Frost. Im mniej osób jest w to zamieszanych, tym lepiej. Musi pan to zrozumieć.

— A pan to, że jeżeli nie dowiem się, co jest grane, nigdy jej pan nie znajdzie. Najpierw przychodzi pan tutaj uzbrojony, a teraz jeszcze żąda informacji, gdzie obecnie przebywa lokatorka tego mieszkania. Ma mnie pan za idiotę?

— W takim razie dalsza rozmowa nie ma sensu. — Jason Batt wstał, zabrał portfel leżący na stoliku i skierował się w stronę wyjścia.

Nick musiał szybko coś wymyślić, aby go powstrzymać, jednocześnie nie zdradzając miejsca pobytu Kate. Trafił mu się człowiek, który mógł pomóc w rozwiązaniu zagadki i nie miał zamiaru wypuszczać go z rąk. Wypowiedział jedyne słowa, jakie przyszły mu na szybko do głowy:

— Chodzi o tę listę?

Reporter zatrzymał się i odwrócił głowę. Z jego twarzy można było wyczytać, że tym pytaniem Nick trafił w sedno. Czekaając na reakcję dziennikarza, instynktownie złapał za rękojeść pistoletu.

— Widzę, że od początku nie był pan ze mną szczery — zauważył Batt, domykając drzwi. — Chyba najwyższy czas wyłożyć karty na stół, zarówno z pana, jak i z mojej strony.

Wrócili do salonu i Batt zajął to samo miejsce, co wcześniej.

ROZDZIAŁ 57

Trzy tygodnie wcześniej...

Lokale gastronomiczne na Manhattanie pracowały zgodnie z dobowym rytmem. O poranku pierwszymi obleganymi miejscami były piekarnie i kawiarnie. Ludzie idący do pracy zaopatrywali się w nich we wszystko, co pomagało przetrwać początek i pierwszą część dnia. Często wychodzili stamtąd obładowani jak wielbłądy w karawanie. Kupowali nie tylko dla siebie, ale również dla współpracowników. Dzięki temu *scentralizowanemu systemowi zamówień* kolejki były krótsze, choć *krótsze* to za dużo powiedziane.

Restauracje w tym czasie świeciły jeszcze pustkami. Zapełniały się klientami dopiero w godzinach południowych, kiedy to połowa Manhattanu robiła sobie przerwę, aby po niej dalej móc pracować, często do późnych godzin nocnych. Miejsca te były również oazami dla biznesmenów próbujących w ten sposób dotrzeć do portfeli swoich klientów nie tylko za pomocą lukratywnych ofert, ale też przez pełny żołądek. Do takich przedsiębiorców należał Alfred Cole — właściciel potężnej firmy farmaceutycznej, która swoimi mackami oplatała większość stanów USA oraz część Ameryki Południowej.

Cole odbył już w swoim życiu setki, jeśli nie tysiące podobnych spotkań i pomimo podeszłego wieku wciąż wykazywał godny podziwu zapał do pracy. W restauracjach prowadził rozmowy zarówno z partnerami biznesowymi, jak i spotykał się z przyjaciółmi. Nawet nie zauważył, kiedy przestał jadać w domu. Miał kilka ulubionych lokali, ale zdarzały się też takie, które odwiedzał sporadycznie — z powodu jednego dania, które akurat tam, i tylko tam, mu smakowało.

Nieliczne restauracje były otwarte od wczesnych godzin porannych. O tej porze ulubionym miejscem Cole'a był lokal *Laguna* na południowym Manhattanie. Często jadał tutaj śniadania, unikając zgiełku miasta. Zdarzało się, że w godzinach porannych, a szczególnie tuż po otwarciu, w lokalu gotowym na przyjęcie ponad stu osób przebywał sam. Czuł się wtedy wyjątkowo — jakby przez chwilę posiadał na własność restaurację, którą, nawiasem mówiąc, spokojnie mógł kupić.

Jednak tego poranka Cole nie miał zamiaru spędzić w samotności. Umówił się na wczesne spotkanie z kimś, kto spóźniał się już ponad dziesięć minut. Stary biznesmen należał do konserwatystów, jeżeli chodziło o punktualność. Bezwzględnie wymagał jej od współpracowników. Był zdania, że jeżeli on się nie spóźnia, to inni też nie powinni — to motto przyświecało mu przez całe życie. Nieraz zdarzało się, że jego najlepsi ludzie tracili posady właśnie z tego powodu.

Kiedy kelner przyniósł zamówione śniadanie, biznesmen zobaczył, że jakiś mężczyzna stojący przy wejściu rozgląda się po wnętrzu lokalu. Cole domyślił się, że to jego poranny towarzysz, ale nie miał zamiaru się ujawnić. Siedział przy ulubionym stoliku, dobrze skrytym za masywnym filarem. Cenił prywatność i korzystał z niej wszędzie, gdzie tylko mógł. Widząc zagubienie mężczyzny, zastanawiał się, czy aby na pewno wybrał odpowiedniego człowieka. Ostatecznie przybyły osobnik poradził się kelnera, który wskazał mu stolik za filarem.

— Przepraszam za spóźnienie — rozpoczął gość, niczym uczeń szkoły podstawowej. — Te poranne korki mogą człowieka wykończyć.

Cole miał jeszcze w ustach kawałek chleba i poczekał z odpowiedzią. Spokojnie przeżuł go i połknął, po czym wytarł

usta serwetką. Wstał, wyciągając rękę na powitanie.

— Alfred Cole, miło mi.

— Jason Batt... Cała przyjemność po mojej stronie. — Dziennikarz uścisnął pomarszczoną dłoń milionera i obaj zajęli miejsca przy stoliku.

Cole dał znak kelnerowi, aby ten przyniósł jeszcze jedną porcję.

— Proszę mi powiedzieć, panie Batt... Ktoś wie o naszym spotkaniu?

— Absolutnie nikt — zapewnił reporter. — Specjalnie wziąłem wolne. Wszyscy myślą, że pojechałem do Filadelfii odwiedzić chorą matkę.

— Rzeczywiście coś jej dolega?

— Tak. Jadę do niej zaraz po naszym spotkaniu.

— Proszę mi wybaczyć dociekliwość, ale informacje, które chcę panu przekazać, są... niebezpieczne i lepiej, aby nikt nie był świadomy, że je pan posiada.

— Rozumiem. Jako dziennikarz zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa...

— Może mi pan wierzyć, że nie. Po tym, co pan za chwilę usłyszy, sam zmieni zdanie.

— Z całym szacunkiem, ale możemy już przejść do konkretów?

Cole wytarł serwetką usta i wziął łyk wody.

— Panie Batt, czy słyszał pan o nielegalnym handlu organami?

— Pytanie raczej, kto *nie* słyszał...

— Otóż to. Wszyscy słyszeli, ale nikt nie wie, jak bardzo każdego z nas ten problem dotyczy.

Dziennikarz spojrział enigmatycznie na rozmówcę. Wiedział już, że trafił na żyłę złota. Gdyby mógł, przyklasnąłby w dłonie.

— A czy słyszał pan o prywatnej klinice medycznej na południe od Waszyngtonu?

— Wiem, że takowa istnieje. Niestety, nie kojarzę nazwy.

— SIEDEM GWIAZD.

— Co z nią?

— To ośrodek dla bogatych i sławnych, którzy są w stanie zapłacić każde pieniądze, aby chociaż o kilka lat przedłużyć życie sobie i swoim bliskim. Jednakże oprócz pieniędzy w grę wchodzi coś jeszcze. Istnieją schorzenia narządowe, których nie da się wyleczyć tradycyjnymi metodami. Jedynym ratunkiem dla takich osób jest przeszczep.

Cole przerwał, kiedy przyniesiono posiłek dla gościa. Batt nawet nie spojrział na zawartość talerza. Siedział jak na szpilkach.

— Nie wiem, co pan miał z biologii, ale ogólnie wiadomo, że im większa zgodność pomiędzy dawcą i biorcą, tym mniejsze prawdopodobieństwo odrzucenia przeszczepu. Co za tym idzie, na terenie naszego kraju istnieją organizacje zajmujące się odpowiednim dopasowywaniem dawców i biorców. To żadna tajemnica. I gdyby na tym się kończyło, nie można by się do niczego przyczepić. Niestety, gdzie są pieniądze, tam pojawią się ludzie, którzy chcą je zarabiać. — Cole znów przerwał. Zaszło mu w gardle i musiał wziąć łyk wody. — Nie wiem, jak to powiedzieć łagodnie, więc powiem wprost. Powstała organizacja obejmująca swoim zasięgiem cały kraj, zabijająca na zlecenie Bogu ducha winnych ludzi, za których organy z góry zapłacono.

Dziennikarz oparł się o krzesło. Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił wydusić z siebie ani słowa.

— Widzę, że pana zainteresowałem — powiedział ironicznie biznesmen. — Tak więc, mówiąc wprost, dziś wystarczy parę milionów dolarów i odpowiedni ludzie znajdą człowieka, którego wnętrzności będą lepiej pasowały do pana niż pana własne.

— Ale jak...

— Dzięki komputeryzacji każdej dziedziny życia. Mają swoich ludzi w niektórych szpitalach, więc dysponują fachowym personelem, a informatycy organizacji wykradają bazy danych pacjentów ze wszystkich placówek w kraju, a może i na świecie. Przez kilka lat lista potencjalnych dawców urosła do niewyobrażalnych rozmiarów. Po co się martwić dostępnością, transportem organów i innymi pierdołami? Dawcy cały czas chodzą sobie po ulicach, niczego nie podejrzewając.

— Skąd się biorą klienci?

— Zadał pan najgłupsze pytanie z możliwych, panie Batt. Dowiaduje się pan, że umiera, a na pana koncie jest fura pieniędzy. Nasz zespół składa panu anonimową propozycję. Może pan z niej skorzystać lub nie. Proszę mi wierzyć... wszyscy korzystają.

— Skąd wiecie, że akurat ktoś potrzebuje pomocy?

— Wyniki z wykradzonych kartotek nie tylko mówią nam o tym, jakim może być pan dawcą, ale także o tym, w jakim jest pan stanie. Później pozostaje tylko analiza pana konta... Jeżeli biznes się opłaca, idziemy w to. Stawki ustalane są indywidualnie, zależnie od finansowych możliwości pacjenta lub jego opiekunów. Opłacalność inwestycji startuje od pułapu dwóch, trzech milionów. Wszystko zależy od liczby ludzi, jaką należy zaprząć do działania.

— Co dalej?

— Najpierw przechodzi pan dokładne badania. Następnie dopasowuje się odpowiedniego dawcę. Tydzień, może dwa, na

przygotowania... Porywają takiego człowieka i transportują do placówki, w której odbędzie się operacja. Delikwent żyje przez cały czas. Uśmiercają go dopiero po wyjęciu organu, aby wszystko było świeżutkie jak te bułeczki, które leżą na stole przed nami. Ciało utyli-zują i wszelki ślad po ofierze zanika.

— Klienci... Pacjenci wiedzą, skąd pochodzą organy?

— Oczywiście, że nie... Oszalał pan? Płacą mnóstwo pieniędzy, więc oczekują efektów, ale rzadko który zgodziłby się na coś takiego. Dowiadują się tylko tyle, ile muszą. Oficjalnie płacą nam za przesunięcie ich w kolejce oczekujących na przeszczep lub za wpisanie kogoś na listę, na jedno z pierwszych miejsc, jeżeli taka osoba jeszcze nie jest zakwalifikowana do przeszczepu.

— A jaka jest pana rola w tym wszystkim?

Alfred Cole zamyślił się.

— Ja tylko albo *aż*, zgodnie z moją profesją, dostarczam im potrzebne leki i środki medyczne. Moja firma ma mnóstwo pododdziałów, które zajmują się produkcją między innymi takich substancji leczniczych, jakich potrzeba w trakcie operacji, czy podczas pooperacyjnej rehabilitacji. A to, czego nie produkuje, jestem w stanie załatwić.

— Przepraszam za szczerość, ale chyba z tego powodu nie musieli wciągać pana w struktury organizacji...

— Pewnie nie, ale gdy byłem w potrzebie, pomogli również i mnie. W ten sposób zaczęła się nasza współpraca.

— To znaczy?

Cole rozpiął koszulę i odchylił jej część, ukazując bliznę na lewej stronie klatki piersiowej.

— Załatwili mi darmowe serce...

Dziennikarz nie mógł uwierzyć w to, co słyszy i widzi. Historia była nieprawdopodobna. Kolejne fakty rzucone na stół coraz bardziej utwierdzały go w przekonaniu, że człowiek siedzący przed nim mówi prawdę. Wielu było takich, którzy wymyślali teorie spiskowe, przytaczając jeden fakt, a dziewięć kolejnych zmyślając. Ten staruszek nie należał do takich osób.

Na koniec Cole wyciągnął z kieszeni dowód na to, że wszystko, co mówi, jest prawdą.

— To dla pana.

Drżącymi dłońmi Batt rozprostował zgiętą kartkę i zaczął czytać.

— Przepraszam, ale czy to jest to, o czym myślę? — spytał po chwili, podnosząc wzrok.

— To osoby, które w ciągu ostatnich dwóch lat miały styczność z kliniką. Tą albo jakąś inną. Inaczej mówiąc, są tutaj wszyscy, którzy zapłacili za śmierć niewinnych obywateli. Oczywiście zrobili to nieświadomie, ale ma pan przed sobą skalę przedsięwzięcia.

Dziennikarz przeglądał listę. Nie wierzył własnym oczom. Był człowiekiem wyjątkowo dobrze obeznanym w środowisku i większość nazwisk doskonale kojarzył.

— Jak to możliwe? Przecież to są ludzie z samej góry... Z pierwszych stron gazet! Jakim cudem zgodzili się na coś takiego?

— Tak jak powiedziałem... Wszyscy się zgadzają. Poza tym tylko takich stać na nasze usługi.

— Ale... dlaczego ja? Mógł pan z tym iść na policję, do FBI, CIA... Gdziekolwiek!

— Proszę spojrzeć na listę. Ma pan tam zarówno wysoko postawionego emerytowanego wojskowego, jak i członka kongresu. Nie wiem, do kogo mogę się zwrócić. Wybrałem media jako instytucję neutralną. Wiem, że takiej sprawy nie zlekceważycie, a inaczej mówiąc... nie przepuścicie. Pana kojarzę jako człowieka, który nie odpuszcza, choćby nie wiem co. Poza tym, proszę mi wybaczyć brutalną szczerłość, ale nie sądzę, żeby obecne zarobki pozwoliły panu stać się jednym z naszych klientów.

— Pana wybór jest dla mnie zrozumiały i nie ukrywam, że bardzo mi schlebia, ale czy zdaje pan sobie sprawę, jak cholernie dużą odpowiedzialnością zostałem właśnie obarczony?

— Zdaję sobie sprawę, ale nie miałem wyboru. Moi przełożeni już wiedzą o wycieku informacji i znajdą winnego. Prędzej czy później dotrą do mnie, a wtedy lista mogłaby przepaść na zawsze. Myślę, że ma pan jakiś miesiąc, góra dwa, na nagłośnienie sprawy. Proszę jedynie, aby zrobił pan to z głową. Powiedzieć coś to jedno, a zderzyć się z konsekwencjami to zupełnie co innego.

— Co ma pan na myśli?

— Proszę jeszcze raz, w domu, spokojnie przyjrzeć się tej liście. Widnieje na niej przynajmniej piętnaście nazwisk związanych ze światem biznesu i handlu. Wyobraża pan sobie, co będzie z firmami tych ludzi, kiedy coś takiego wyjdzie na jaw? Akcje polecą na łeb, na szyję. Kontrahenci wycofają się ze współpracy. Tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy ludzi wylądują na bruku. Powie pan, że w kongresie mamy przestępcę, to spadnie zaufanie do rządu. Teraz proszę pomyśleć, że wszystko stanie się jednocześnie. Tą cholerną kartką może pan wywołać wojnę i to w dosłownym znaczeniu. Konsekwencje pójdą tak daleko, że nasze dzieci będą odczuwały ich skutki. Proszę nie

kręcić głową. Wiem, że to niewyobrażalna skala, ale musimy ją założyć.

— Do tego całkowity brak zaufania do służby zdrowia. Wszystkie dane, które wyciekły.. Chryste Panie... — dorzucił Batt.

— Widzę, że powoli zaczyna do pana docierać, o jaką stawkę toczy się ta gra.

ROZDZIAŁ 58

Zapadł już zmierzch, gdy w mieszkaniu Kate Frost nastąpiła chwila ciszy. Jason Batt wstał z fotela i podszedł do okna.

— Jak pan widzi, panie Stewart, sprawa listy nie dotyczy operacji wyrostka czy liftingu twarzy. Nie chodzi też o operacje zmiany płci, tylko o pieniądze splamione ludzką krwią. Po rozmowie z Alfredem Colem, której przebieg panu zrelacjonowałem, zrozumiałem, że upublicznienie tych danych jest niemożliwe. Nasze społeczeństwo nie jest gotowe na coś takiego. Konsekwencje są nie do przewidzenia. Ta sprawa musi zostać rozwiązana, ale nie w taki sposób. Lista i wyjaśnienia mimo wszystko powinny trafić do FBI albo jakiejś tajnej rządowej organizacji, która się za to weźmie.

Nick siedział jak struty. Już dawno zapomniał, że człowiek stojący przy oknie kilkadziesiąt minut wcześniej celował do niego z broni. Umysł zaprzętały mu zupełnie inne myśli — zachodził w głowę, jak z tej matni wypłatać Kate.

— Musimy działać — zaczął niepewnie Nick. — Jeżeli będziemy zwlekać, prędzej czy później ktoś zginie.

— Dlatego tutaj jestem. Przyjechałem osobiście ostrzec pannę Frost przed niebezpieczeństwem i odzyskać listę. Przekażę ją,

komu trzeba. — Batt usiadł z powrotem w fotelu.

— Nie macie więcej kopii w Nowym Jorku?

— Dyrektor Bryson stwierdził, że każda kopia niepotrzebnie narazi kolejne osoby. Wykonał jedną i wysłał ją przez pannę Frost do swojego dobrego znajomego, aby lista nie przepadła, gdyby jemu coś się stało. Oryginał był zamknięty w sejfie w biurze Brysona. Po zabójstwie zrabowano jego zawartość. Moje mieszkanie, gdzie trzymałem swoją kopię, również zostało okradzione.

— Czyli...

— Panna Frost jest naszą jedyną nadzieją.

— Miał pan dużo szczęścia, że uszedł z życiem z tej strzelaniny.

— Uratowała mnie przezorność. Tego samego dnia, zaraz po rozmowie z dyrektorem, miałem udać się w miejsca, które ciężko znaleźć w przewodnikach turystycznych. Informatorzy nie rosną na drzewach, więc trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać.

— Kamizelka kuloodporna?

— Zgadza się. Ale... odchodzimy od tematu — zauważył dziennikarz. — Czy po tym, co pan usłyszał, jest pan w stanie mi zaufać i zaprowadzić do panny Frost? Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale im dłużej zwlekamy, tym więcej osób będzie narażonych na konsekwencje.

Nick do tej pory nie przyznał się, że wie, gdzie jest Kate, ani co go z nią łączy. Do samego końca starał się ją chronić. Była bezpieczna tak długo, jak długo on będzie milczał — a przynajmniej tak mu się wydawało. Nie miał pojęcia, jakie pobudki kierowały Battem. Równie dobrze organizacja, o której mówił, mogła go przysłać, aby odzyskał ostatnią kopię.

— Jeszcze raz apeluję do pana o rozsądek. Jeżeli...

— Rozumiem — przerwał Nick, stopniowo odzyskując pewność siebie. — Dostanie pan to, czego chce, ale na moich warunkach. Zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji, lecz nie mogę narażać panny Frost na niebezpieczeństwo. Nie bez powodu nie zastał jej pan w tym mieszkaniu. Miała złe przeczucia, które okazały się słuszne.

— Co zatem pan proponuje?

— Spotkajmy się tutaj jutro o jedenastej. Jeszcze dziś przekażę jej wiadomość. Zrobi, co uzna za stosowne. Myślę, że nie będzie miała oporów przed zwróceniem listy.

— Wolałbym sam z nią porozmawiać.

— Nie wątpię, ale jeżeli sprawa jest tak poważna, jak pan opisał, to im mniej osób wie, gdzie obecnie przebywa panna Frost, tym lepiej dla niej.

— Dobrze pan to ujął. Mam tylko nadzieję, że znajdzie to odzwierciedlenie w praktyce — rzucił Batt z odrobiną ironii w głosie. Wstał, wyciągając rękę na pożegnanie.

Nick, bacznie obserwując ruchy dziennikarza, odprowadził go do drzwi. Już wcześniej odbezpieczył broń, choć miał nadzieję, że nie będzie musiał jej użyć. Spodziewał się wszystkiego po tym, jak odmówił natychmiastowego spotkania z Kate. Gdy wreszcie przekręcił klucz w zamku, poczuł ulgę. Oparł się plecami o drzwi. Wziął głęboki oddech i splótł ręce na głowie, próbując wymyślić, co dalej.

ROZDZIAŁ 59

Limuzyna z Jonathanem Morrisem opuściła lotnisko w Waszyngtonie i kierowała się na autostradę. Nagły wyjazd

dyrektora z willi na Park Avenue kolidował z planami wiceprezesa firmy Knighta, który potrzebował odrzutowca do własnych celów. Zmusiło to Morrisa do skorzystania z tradycyjnych linii lotniczych, ponieważ prywatny odrzutowiec kliniki był nadal niedostępny.

Dyrektor podpierał głowę, pustym wzrokiem wpatrując się w mijane elementy krajobrazu. Myślami był daleko. Wciąż miał przed oczami most z roztrzaskaną barierą ochronną i migające światła pojazdów ratunkowych. Wyrzucał sobie ostatnie słowa, jakie powiedział Cole'owi. Przyjaciel prosił go o rozwagę i wsparcie, a on to zignorował. Dopiero teraz, gdy było już za późno, Morris zdobył się na analizę gorzkich słów, jakie padły w trakcie ich rozmowy. Miał przed sobą proste cele, które realizował, nie zadając niepotrzebnych pytań. Wydarzenia ostatnich kilku godzin dały mu jednak mocno do myślenia. Nie był już pewien niczego — może jedynie tego, że Alfred Cole nie zginął przypadkowo.

Po czterdziestu minutach spokojnej jazdy samochód znalazł się na krętej drodze biegnącej przez las. Co kilkadziesiąt metrów ustawiono latarnie. Było już prawie ciemno, gdy limuzyna dotarła pod bramę kliniki. Po krótkiej rozmowie kierowcy z ochroniarzem dyrektor wreszcie znalazł się na terenie swojego ośrodka. Bez słowa opuścił pojazd, mocno trzaskając drzwiami. Kierowca nawet nie zdążył wysiąść, a co dopiero otworzyć pasażerowi. Wyjął walizkę z bagażnika i pobiegł za dyrektorem.

— Przepraszam, panie Morris! Pana bagaż! Gdzie mam go zanieść? — zapytał, doganiając pasażera w przeszklonym korytarzu łączącym apartamentowiec ze szpitalem.

— Co? Ach tak... Nie trzeba, wezmę go ze sobą.

— Ale to żaden problem, ja mogę...

— Dziękuję... To wszystko — Morris uciął wypowiedź kierowcy i przejął rączkę walizki. — Samochód można odstawić do garażu. Dzisiaj już nie będę go potrzebował.

— Oczywiście... Życzę spokojnej nocy.

— Na pewno się wyśpię — odburknął pod nosem dyrektor, po czym dodał znacznie głośniej: — Dobranoc.

Przed biurem Morrisa czekało dwóch mężczyzn — szef ochrony Bradford i doktor Edward Harris. Obecność tego pierwszego była zrozumiała dla dyrektora, ale nie spodziewał się zastać również przyjaciela.

— Mam nadzieję, że ma pan to, o co prosiłem — powiedział ostro do szefa ochrony, całkowicie ignorując kolegę.

— Wyjaśnię wszystko w środku. — Bradford skinął głową w stronę drzwi.

— Oby...

Harris i Bradford odnosili wrażenie, że mają do czynienia z zupełnie innym człowiekiem niż zazwyczaj. Posłusznie weszli za nim do gabinetu i patrzyli, jak ten ze złością ciska walizką w kąt i wyciąga z aktówki jakieś papiery. Akta trzasnęły o blat.

Morris zdjął marynarkę i rzucił ją na walizkę. Odpiął mankiety koszuli i podwinął rękawy, jakby przygotowywał się do bójki. Całym ciężarem opadł na siedzisko fotela. Mechanizm cicho jęknął.

— Słucham, panie Bradford.

Szef ochrony odchrząknął. Należał do ludzi, którzy nie czują strachu z byle powodu. Służył w Zatoce i był w siłach specjalnych — miał do czynienia ze znacznie poważniejszymi sprawami niż ochrona prywatnej kliniki. Nie lubił jednak przynosić złych wieści, a te przez ostatnią godzinę bombardowały go z każdej strony.

— Zacznę od tego, że po południu, na rozwidleniu dróg niedaleko bramy, zatrzymał się samochód. Ktoś nas obserwował.

— Dziennikarze?

— Też tak myśleliśmy, ale... tym razem nie. Chłopcy przy bramie zdobyli numery. Sprawdziliśmy je.

— I...?!

— Okazało się, że samochód należy do policjanta, niejakiego Nicolasa Stewarta. To detektyw z Waszyngtonu.

Morris splótł dłonie, a łokcie oparł o blat biurka.

— To nie wszystko — kontynuował Bradford. — Podobno facet pojawił się tuż za samochodem pana Petersona. Podpytaliśmy jego kierowcę, czy nie widział go już wcześniej. Powiedział, że parę razy przemknął mu w lusterku jakiś granatowy wóz.

— Czy mamy powody do zmartwień? — zapytał oschle dyrektor, unosząc brwi.

— To nie koniec historii.

— Czyli mamy...

— Pamięta pan Kate Frost, którą miałem sprawdzić? — Paraliżujące spojrzenie Morrisa wystarczyło za odpowiedź. — Oto wszystko, co udało mi się o niej wygrzebać w ciągu tych kilku godzin. — Bradford przekazał teczkę.

— I gdzie ta niespodzianka? — zapytał podenerwowany dyrektor, otwierając dokumenty.

— Zleciłem doktorowi Harrisowi przeszukanie baz medycznych pod kątem.

— Teraz już wiem, co tutaj robisz — wtrącił dyrektor, ale zdecydowanie przyjaźniej.

— ...pod kątem panny Frost — dokończył poirytowany Bradford, który nie znosił, gdy ktoś wchodził mu w słowo. —

Myślę, że doktor Harris najlepiej przedstawi, co odkrył.

— Niejaka Kate Frost parę dni temu zadzwoniła na pogotowie i wezwała karetkę dla człowieka, który miał atak serca. Mężczyzna nazywa się John Stewart i jest ojcem naszego detektywa.

Dyrektor podniósł wzrok. W pierwszym momencie nie skojarzył zalewających go faktów, ale już po chwili wszystko zaczęło do siebie pasować.

— Poczekajcie... — Pomachał rękami, jakby wypierał się oskarżeń. — Chcecie powiedzieć, że ta cała Frost i ten Stewart mają ze sobą coś wspólnego?

— Zdecydowanie więcej niż tylko *coś* — odezwał się Bradford. — Kobieta wzywa karetkę do ojca naszego podglądacza. Nie trzeba być członkiem Mensy, żeby zrozumieć, że była wtedy u jego rodziców. W skrócie: pan Stewart posuwa pannę Frost.

— Wy chyba żartujecie!

— Niestety, nie.

— To jeszcze nie koniec rewelacji — podkreślił Edward Harris.

— Jest coś jeszcze?

— Młody Peterson, którego śledził ten detektyw, nie przyjechał w odwiedziny do ojca.

— Po tym, co kazał nam zrobić, zdziwiłbym się, gdyby tak było.

— Przyjechał do ciebie. Faceta zżerały nerwy. Kiedy powiedziałem mu, że cię nie ma i nie będzie, myślałem, że oszaleje. W końcu nie wytrzymał i powiedział, że chodzi o sprawę należności za zabieg wykonany na jego ojcu.

— Jakich znowu należności?

— Zadałem mu to samo pytanie. Powiedział, że jakiś księgowy skontaktował się z nim i poinformował, że ustalona kwota nie

wpłynęła na nasze konto.

— Co on bredzi?! Popieprzyło go?! Nie kiwnąłbym palcem, jeżeli nie miałbym przed oczami potwierdzenia przelewu!

— Ja też nie rozumiem tej sytuacji — dodał Bradford. — Obdzwoiłem wszystkich pracowników biura księgowego, nawet tych na urlopie. Taka sytuacja nie miała miejsca.

Wszyscy trzej siedzieli przez chwilę w skupieniu, próbując dojść do rozsądnych wniosków. W pewnym momencie dyrektor trzasnął otwartą dłońią w blat biurka. Mężczyźni drgnęli.

— Jasna cholera! Co za cwany kutafon! Słyszeliście o sprawie z Nowego Jorku?

— Coś było... — podchwycił Bradford.

— Zastrzelono dyrektora stacji telewizyjnej, a potem wyrzucono go przez okno — uściślił Harris.

— Dokładnie. — Dyrektor zaczął krążyć po gabinecie i energicznie gestykulować. — Facet nazywał się Bryson. Pół godziny przed śmiercią miał spotkanie z kobietą, której przekazał kopię informacji wykradzonych naszej organizacji. Była to lista niedawnych klientów. Widniały na niej nazwiska i wysokości wpłat oraz daty przelewów.

— O mój Boże! — Harris pobladł.

— Niech zgadnę... Babka, która rozmawiała z tym dyrektorem, to ta dziennikarka — domyślił się Bradford, wskazując jej akta.

— Nie inaczej. Lista jest w jej rękach, a facet panny Frost to gliniarz, któremu wyplakała się na ramieniu. Zwęszył trop i użył podstęp, a głupi Peterson dał się nabrać i pokazał psu, gdzie jest miska z żarciem.

— Czyli wiedzą, czego dotyczy lista i dokąd szły pieniądze — zauważył Harris. — Już po nas!

— Niekoniecznie — zaproponował Morris, czym mocno zaskoczył obydwu. — Nasz bohater dopiero dzisiaj dowiedział się czego, a dokładniej *kogo*, dotyczy lista. Gdyby wiedział wcześniej, już sprowadziłby nam na kark policję i oddział specjalny. Myślę, że mamy jeszcze kilka dni, zanim wszystko poskłada. Założę się, że razem z tą babką działają na własną rękę i sami próbują wymyślić, o co chodzi. Jeżeli nikt im w tym nie pomoże, dalej będą błądzić po omacku. Choć muszę przyznać, że jego pomysłowość jest godna podziwu.

— Godna czy nie... Mamy jeszcze czas na działanie i musimy go dobrze wykorzystać — warknął szef ochrony.

— Zgadzam się, ale nie będziemy sobie brudzić rąk. Za kobietą został wysłany ten sam człowiek, który miał zlecenie na Brysona. Jeżeli poradził sobie z nim, omijając całą armię ochroniarzy, to da radę przestraszonej kobiecie i jej kochasiowi ze spluwą. Musimy mu tylko lekko rozszerzyć pole działania. — Na twarzy Morrisa pojawił się nieznaczny uśmiech. — Panowie wybaczą, ale muszę wykonać ważny telefon.

— Dodam jeszcze, że na końcu teczki znajdzie pan niewielki dodatek o naszym nowym bohaterze — dorzucił Bradford.

— Dobrze się spisaliście. Może nasze gołąbki siedzą w jednym gniazdku? — powiedział Morris, trzymając telefon przy uchu. — Znalezienie panny Frost może okazać się prostsze, niż sądzimy.

ROZDZIAŁ 60

Elektroniczny zegar w desce rozdzielczej pokazywał godzinę dwudziestą pierwszą trzydzieści. Nick jeszcze długo krążył po

mieście, zanim pojechał w stronę swojego mieszkania, gdzie czekała Kate. Musiał upewnić się, że nikt go nie śledzi. *Nikt*, czyli Jason Batt.

Dla niepoznaki zaparkował po przeciwnej stronie ulicy. Odczekał kilkanaście minut ze zgaszonymi światłami i wyłączonym silnikiem. Osunął się na fotelu i wyregulował lusterka. Przyglądał się okolicy, wypatrując zatrzymujących się samochodów i podejrzanie wyglądających ludzi.

Przed maską przeleciał bezpański pies i zniknął w bocznej uliczce. Po chwili dobiegło stamtąd powarkiwanie. Jakiś facet niepokojąco długo grzebał przy drzwiach sąsiedniej kamienicy, po czym wrócił na chodnik. Chwilę później pojawiła się taksówka i zabrała go. Gdy tylko zniknęła za rogiem, druga taryfa przywiozła innego lokatora.

Okolica ponownie opustoszała i Nick postanowił zakończyć obserwację. Czuł, że popada w paranoję. Wsiadł i spojrzał w górę — w jego mieszkaniu świeciło się światło. Cień rzucany przez kogoś stojącego przy oknie uspokoił go — rozpoznał w nim sylwetkę kobiety. Kate była w środku, cała i zdrowa.

Popatrzył chwilę, chcąc nacieszyć się tym widokiem. Wtedy cień usunął się, a na jego miejscu pojawił się inny, o męskim zarysie. Nick poczuł, jak paralizujący strach przenika jego ciało. Co tchu popędził na górę. Gdy dotarł na swoje piętro, wyciągnął broń i odbezpieczył ją. Przybliżył ucho do drzwi, ale nie był w stanie dosłyszeć zza nich nawet najdrobniejszego szmeru. Wiedział, że coś jest nie tak. Dwa cienie — to o jeden za dużo. Czyżby Batt dotarł tu przede mną? Jakim sposobem? Bezskutecznie szukał odpowiedzi na mnożące się pytania.

W pierwszej chwili chciał wykorzystać element zaskoczenia i brutalnie wtargnąć do mieszkania, wyłamując drzwi, ale od razu

zrezygnował z pierwotnego zamiaru. Jego samochód długo stał na ulicy — jeżeli napastnik go widział, będzie przygotowany.

Przyszło mu do głowy inne rozwiązanie. Przeanalizował wszystkie za i przeciw. Schował odbezpieczoną broń i zadzwonił do drzwi. Donośny dźwięk zakłócił ciszę w mieszkaniu. Stał przed wizjerem, aby każdy mógł go rozpoznać.

Nastąpił dwukrotny szczęk zamka i ktoś uchylił drzwi. Łańcuszek pozostał na miejscu. W szczelinie pokazała się Kate z uśmiechem na twarzy. To zupełnie zdezorientowało Nicka, który pozostał bez słowa. Przymknęła drzwi i zdjęła zabezpieczenie.

— Wchodź szybko — powiedziała tajemniczo.

— Kochanie, co się dzieje?

— Niespodzianka! — krzyknęli rodzice wyłaniający się z pokoju gościnnego. Jennifer trzymała własnoręcznie upieczony tort.

— Sto lat, kochanie!

Nick stał jak sparaliżowany.

— Dziś są twoje urodziny! Zapomniałeś? — zdziwiła się Kate.

Dopiero po chwili rozluźnił się i przestał myśleć o tym, kiedy ma wyciągnąć broń.

— Wszystko dobrze? — zapytała łagodnym głosem matka, widząc, że coś go dręczy.

— Wszystko w porządku, kochanie?

— Tak... Przepraszam za moje zachowanie. Miałem ciężki dzień... Jesteście kochani... — Rzucił się w ich objęcia. — Tato... A co ty tutaj robisz?! — Dopiero teraz pojął, że ojciec jest z nimi, a powinien być jeszcze w szpitalu.

— Nie chcieli mnie już tam!

— Kłamczuch! Obrzydliwy kłamczuch! — oburzyła się Jennifer.
— Tak marudził, że w końcu musieli go wypisać. Inaczej nie wytrzymałoby z nim ani chwili dłużej.

Cała czwórka roześmiała się.

— Ale tak poważnie... Jak się czujesz, tato?

— Będę żył — odparł z udawaną powagą John. — Lekarz powiedział, że najlepiej zrobi mi kuchnia żony, więc nie wiem, dlaczego tu jeszcze stoimy!

— Od dziś masz dietę, a nie *kuchnię żony!* — skarciła go Jennifer.

John porwał tort i pobiegł do kuchni. Pozostali w doskonałych nastrojach, rozbawieni pozytywnym nastawieniem ojca Nicka, zajęli miejsca przy stole. Minęło dobrych kilka minut, zanim głowa rodziny uporała się z pokrojeniem ciasta. W końcu John wrócił, a na wierzchu tortu palił się okrąg ułożony z kilkunastu świeczek.

— Kolejna osiemnastka... — bąknął żartobliwie Nick.

— Pomyśl życzenie i możesz dmuchać! — zawołał wesoło John, stawiając ciasto przed nosem solenizanta tak, że Nick poczuł ciepło bijące od płomieni świeczek.

— Mam lepszy pomysł. Może ja je zdmuchnę?

Cała czwórka odwróciła głowy w stronę przedpokoju, skąd padło pytanie. Z ciemnego korytarza wyłonił się mężczyzna z bronią wycelowaną w zebrane przy stole osoby.

— Witam. Państwo Stewart, jak mniemam. Panno Frost... — Teatralnie skinął głową. — Mamy trochę więcej gości niż się spodziewałem, ale jak to mówią, w grupie różniej.

Nick błyskawicznie sięgnął po pistolet, który zazwyczaj tkwił w kaburze pod ramieniem, ale niestety, nie było go tam.

— Tego pan szuka? — Mężczyzna odchylił nieco połą kurtki, ukazując za paskiem kolejny pistolet.

Nick uświadomił sobie, że w trakcie zamieszania, jakie nastąpiło tuż po jego wejściu, musiał zostawić broń na garderobie w przedpokoju.

— Kim pan jest i o co chodzi? — zapytała przerażona Jennifer.

— To Jason Batt, dziennikarz z Nowego Jorku — wyjaśniła natychmiast Kate.

Nick, nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, wstał od stołu i stanął pomiędzy rodziną a napastnikiem. Spojrzał mu w oczy, jakby chciał go zabić wzrokiem.

— Hola, hola, kolego! — Batt odsunął się. — To, że jeszcze nie strzeliłem, nie oznacza, że tego nie zrobię.

— Po cholere tu przylazłeś? — warknął Nick.

— Znasz go? — zdziwiła się Kate.

— Spotkałem go w twoim mieszkaniu. Niestety, w łudząco podobnej sytuacji.

— Przyznam, że byliśmy umówieni na jutro, ale cierpliwość nie jest moją mocną stroną — wtrącił Batt.

— Straszanie ludzi bronią stało się bardziej opłacalne niż pisanie artykułów?

— Doszedłem do wniosku, że pióro nie zawsze jest silniejsze od miecza — powiedział ironicznie dziennikarz.

— Co chcesz w ten sposób osiągnąć?

— To już moja sprawa.

— Wypuść ich, a dostaniesz listę.

— Masz mnie za idiotę? Nie wyprasza się gości przed zakończeniem przyjęcia. Wszyscy pod ścianę! — Batt machnął

bronią. — Pana również to dotyczy, panie Stewart... Proszę dołączyć do rodziny.

Jennifer wtuliła się w Johna i razem przeszli na wyznaczone miejsce. Tuż obok nich stanęła Kate. Nick nie cofnął się nawet o milimetr.

— Przysięgam, jeżeli coś im się stanie, dopilnuję...

— Tak, tak. Domyślam się... A teraz pod ścianę.

— Kochanie, chodź do nas — poprosiła błagalnym tonem Jennifer.

— Proszę posłuchać matki. Wie, co mówi.

Nick niechętnie wykonał rozkaz.

— Świetnie. Panią, panno Frost, proszę o przyniesienie listy. Zaznaczam, że nie poproszę drugi raz. Sam mogę przeszukać mieszkanie, ale wtedy nie będziecie mi już do tego potrzebni, więc proszę to wziąć pod uwagę.

Kate spojrzała pytająco na Nicka.

— Przynieś mu ją...

Przypomniała sobie, że zanim oddał listę, zrobił dodatkowe kopie. Na szczęście ugryzła się w język, zanim powiedziała za dużo.

— Mam ją w torebce, a ta jest w sypialni.

— Sama tutaj nie przyjdzie... Tylko szybko — ponaglił dziennikarz, wymachując pistoletem.

Pobiegła do sypialni. Torebka leżała na łóżku. Rzuciła okiem na posłanie i przypomniała sobie o czymś, z czego Nick często żartował. Zawsze mówił, że w łóżku lubi mieć dodatkowe *zabezpieczenie*. Sięgnęła ręką pod poduszkę. W szczelinie pomiędzy wezgłowiem a materacem wyczuła zimny, metalowy przedmiot. Drżącą ręką wyciągnęła zaklinowany tam pistolet

i schowała go za plecami. Broń dotknęła jej delikatnej skóry, wywołując ciarki na całym ciele. Potwornie się bała, ale wiedziała, że jeżeli niczego nie zrobi, koniec będzie tylko jeden.

— Panno Frost! Mam pani pomóc?!

Pospiesznie opuściła sypialnię. Będąc w korytarzu, zobaczyła coś, czego się nie spodziewała. Z pokoju najbliższego wejścia wychylił się inny uzbrojony mężczyzna. Przyłożył broń do ust na znak milczenia.

Sparaliżowało ją, ale twarz osobnika wydała jej się dziwnie znajoma. Trudno było ją zapomnieć. Długo wpatrywała się w te kanciaste rysy, kiedy nieformalnie oskarżono ją o współudział w morderstwie Josepha Brysona. Jeszcze niedawno Wes Barton chciał ją pograć, a teraz stał się ich jedyną szansą na ocalenie.

Przylgnęła do ściany, aby nikt z przebywających w pokoju jej nie zobaczył.

— Panno Frost!!!

Olbrzym podszedł, zatrzymując się tuż obok wejścia do pokoju, gdzie Batt trzymał zakładników. Dzielili ich już tylko cienka ściana.

Kate szybko zrozumiała, że zyskała sprzymierzeńca, który właśnie zachęcał ją, aby weszła do środka. Idąc za jego namową, wzięła głęboki oddech i weszła do pokoju.

Batt chciał krzyknąć ponownie, ale ostatecznie zobaczył kobietę i nieco ochłonął, widząc w jej rękach złożoną na pół kartkę.

— Nareszcie...

Kate sprytnie stanęła twarzą do napastnika i wręczyła mu upragniony kawałek papieru. Nie odwracając się, ostrożnie stawiając krok za krokiem, wycofała się w kierunku Nicka, który

wierzył, że zrobiła coś, co da im przewagę. Kiedy zobaczył niewielkie wybrzuszenie pod bluzką, pośrodku jej pleców, na wysokości pasa, odzyskał nadzieję.

Podczas gdy Batt przeglądał dokument, Kate przypomniała sobie o pistolecie. Widząc ogień w oczach narzeczonego i prawie niezauważalny uśmiezek na jego twarzy, pokręciła głową.

Nick odpowiedział niezrozumiałym spojrzeniem, próbując rozgryźć, o co jej chodzi.

— Myślałem, że będę musiał złożyć wizytę pani szefowi, a tutaj proszę... Dziennikarski instynkt znowu górą. Miło z pani strony, że oszczędziła mi spotkania z Billem Corriganem.

— To ty zabiłeś Brysona? — Kate zadała pytanie, które od dobrych kilku minut cisnęło jej się na usta.

— Nie, ale jeżeli mam być szczerzy, zasłużył sobie. Brakowało mu jaj. Gdyby nie on, nie doszłoby do tej sytuacji.

— Nie rozumiem... — udała głupią, próbując zyskać na czasie.

Nick, zasłonięty przez narzeczoną, powoli uniósł prawą rękę.

— I nie musi pani rozumieć. Przykro mi, ale na tym kończy się nasze spotkanie. Miło było poznać, choć domyślam się, że bez wzajemności. — Batt uniósł wyżej broń i wycelował w Kate, która w momencie pobladła. Ze wszystkich sił starała się nie patrzeć w stronę przedpokoju, skąd miało nadejść wybawienie.

— Jakim cudem dotarłeś tutaj tak szybko? Sprawdziłem... Nikt mnie nie śledził.

— Panie Stewart... Nic prostszego... — Batt odsunął się, wyciągnął z kieszeni plastikową plakietkę i rzucił nią w detektywa.

Nick patrzył jak zahipnotyzowany na kawałek plastiku odbijający się od jego piersi. Wirował w powietrzu, dopóki nie

spoczął na podłodze. Detektyw zmrużył oczy i rozpoznał swoje zdjęcie. Obok prawego buta leżało jego własne prawo jazdy. Batt musiał je znaleźć w portfelu Nicka, gdy ten stał odwrócony do niego tyłem w mieszkaniu Kate. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak przemyślane było każde posunięcie tego człowieka.

— Już pan rozumie?

Nie odpowiedział. Nagle jego wzrok przeskoczył na coś wyłaniającego się z mroku, tuż za dziennikarzem.

— Na to się nie nabiorę — roześmiał się Batt, ale jego ironiczny wyraz twarzy natychmiast ustąpił miejsca bolesnemu grymasowi, gdy szyja została niemalże zmiążdżona przez potwornie mocny uścisk. Broń mimowolnie powędrowała w górę. Po kilku sekundach celował już w sufit. Muskularne ramię obłapiło szyję. Prawa dłoń przeciwnika przez cały czas trzymała uzbrojoną rękę w górze.

Batt odwrócił głowę i zobaczył olbrzyma trzymającego go w śmiertelnym uścisku.

Nick całkowicie zapomniał o broni, którą Kate miała za plecami. Był zszokowany pojawieniem się nowego gracza, ale zareagował niemalże natychmiast. Doskoczył do nich i z całej siły uderzył Batta pięścią w brzuch. Ten zwinął się w pół, wypuszczając pistolet z ręki.

Barton kopnął broń, która wylądowała obok stolika. John chciał po nią pójść, ale żona go powstrzymała.

Dziennikarz oprzytomniał i zebrał wszystkie siły. Korzystając z tego, że był przytrzymywany przez dwóch roślących mężczyzn, podskoczył jak kangur i odepchnął się nogami od ściany. Tracąc równowagę, pociągnął przeciwników za sobą.

Cała trójka wylądowała na podłodze. Nick uderzył barkiem i głową o stół. Na szkle pozostał czerwony ślad. Natychmiast

stracił przytomność, a z jego potylicy pociekła krew.

— Nick!

— Jezus Maria!

Barton też huknął głową o podłogę, ale tylko go zamroczyło.

Batt ucierpiał najmniej. Przewracając się, sprytnie wykorzystał ciało olbrzyma i upadł na nie, dzięki czemu nie doznał prawie żadnych obrażeń. Jedynie zsunął mu się opatrunek z rannej ręki. Podtrzymał ją i rozejrzał się za pistoletem detektywa, który gdzieś przepadł podczas szarpaniny. Wypatrzył go — leżał tuż obok nieprzytomnego policjanta. Natychmiast sięgnął po broń, nieświadomie puszczając kontuzjowane ramię. Jęknął z bólu. Jakimś cudem wstał i wycelował w podnoszącego się olbrzyma.

Głośny huk wystrzału przeszył powietrze.

Jennifer, którą John cały czas obejmował, podskoczyła ze strachu i wtuliła się mocniej w ramiona męża. Nie była w stanie znieść widoku krwi bryzgającej na ścianę.

Batt, stojąc bokiem, spojrział w kierunku Kate. Oburącz trzymała broń, a z lufy unosił się delikatny, szary dym. Poczuł, jak coś spływa mu po klatce piersiowej, mocząc koszulkę. Przy kolejnym oddechu zachłysnął się krwią, opluwając podłogę czerwoną wydzieliną. Kula wyłamała mu żebro i przebiła oba płuca. Tracąc świadomość, padł na kolana i ostatkiem sił spróbował unieść pistolet w nadziei, że uda mu się oddać choć jeden strzał.

Rozległ się kolejny huk. Tym razem to Barton nacisnął spust. Kula trafiła w podbródek i wyleciała czubkiem głowy, pozostawiając na suficie olbrzymi czerwony rozbryzg. Dziennikarz zatoczył się i runął na podłogę.

ROZDZIAŁ 61

Z głowy Jasona Batta obficie wypływała krew.

John Stewart natychmiast wyprowadził histeryzującą żonę i przeszli do sypialni. Kate zaopiekowała się nieprzytomnym Nickiem. Barton pomógł jej przenieść go na sofę.

Detektyw ocknął się po niecałym kwadransie, wybudzony z koszmaru przez dźwięk, którego żaden z domowników się nie spodziewał — dzwonek do drzwi.

Nick poderwał się, ale świat zawirował i potworny ból głowy natychmiast spowodował mdłości.

— Leż, na litość boską! — zaprotestowała Kate, przytrzymując narwańca.

— Zobaczę, kto to — oznajmił John, wychodząc z sypialni. W tle dało się słyszeć płacz Jennifer.

— Nie! — krzyknął Nick. — To moje mieszkanie i ja decyduję! — powiedział stanowczo, hamując zapędy ojca.

Wszyscy oniemieli. Nawet John przestraszył się gwałtownej reakcji syna.

Nick sięgnął po pistolet leżący na stoliku i z trudem się podniósł.

— Będę cię osłaniał — zaproponował Barton tonem nieznośnym sprzeciwu.

Detektyw potaknął. Trzymając się za zabandażowaną głowę, podszedł do drzwi. Spojrzał przez wizjer i zobaczył... sąsiadów.

— W porządku, to tylko lokatorzy z mieszkania obok — powiedział cicho do olbrzyma stojącego niecały metr za nim. Ten przekazał pozostałym, że nic im nie zagraża.

Nick otworzył drzwi, aby nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń.

— Mój Boże, Nick! Co się stało? — zapytała przestraszona kobieta w średnim wieku, kiedy zobaczyła sąsiada z bandażem na głowie.

— Zadzwoń po karetkę? — zaproponował jej mąż. Wyglądał na równie przejętego sytuacją.

— Nie, nie. Długo by opowiadać... Proszę mi wierzyć... To nic poważnego. Przepraszam, że państwa nie wpuszczę, ale musimy najpierw posprzątać.

— To my przepraszamy za najście, ale chcieliśmy się upewnić, że wszystko w porządku.

— Ten idiota — otworzył szerzej drzwi, ukazując Bartona — strzelił mi korkiem z szampana w głowę. Zamroczyło mnie i grzotnąłem o stół, który zarwał się pod moim ciężarem.

Grymas urojonego bólu pojawił się na twarzy kobiety.

— No wiecie... — powiedziała poważnie zmartwiona. — Na pewno nie wezwać karetki? Rana musi być głęboka, bo cały czas krwawi. — Z troską patrzyła na powiększającą się czerwoną plamę na opatrunku.

Nick poczuł, jak strużka krwi spływa mu z tyłu głowy po szyi. Szybko wtarł ją ręką w bandaż.

— Nie, nie. Wszystko w porządku, ale dziękuję za troskę. Może wpadną państwo jutro? Pomimo zniszczeń zostało nam jeszcze trochę ciasta.

— Dziękujemy, ale wcześniej rano wyjeżdżamy. W takim razie życzymy wszystkiego dobrego i... szybkiego powrotu do pełni sił. Aha! Zapomniałabym... Proszę pozdrowić ojca. Mam nadzieję, że już czuje się lepiej.

— Tak, już wy... — Ugryzł się w język. — Jutro albo pojutrze wyjdzie ze szpitala.

— To świetna wiadomość! Dobrej nocy...

— Wzajemnie...

Małżeństwo wróciło do swojego mieszkania, a Nick zamknął drzwi i poszedł szybko w kierunku sofy. Z sekundy na sekundę opuszczały go siły. Wiedział, że jeżeli zaraz nie usiądzie, upadnie.

— Kochanie, wszystko w...

Nie usłyszał dalszej części zdania wypowiedzianego przez Kate. Gdyby nie refleks Bartona, który w porę zareagował, runąłby twarzą na podłogę.

— Szybko, pomóżcie mi! — Pomimo niedźwiedziej siły, olbrzym czuł, jak bezwładne ciało wyslizguje mu się z rąk. Źle złapał Nicka i nie potrafił go utrzymać. — Co on żre?! Waży chyba z tonę!

John pomógł w ułożeniu nieprzytomnego syna na kanapie.

— Musimy wezwać karetkę i to już! — powiedziała zapłakana Jennifer, widząc całą sytuację.

— Nie możemy — zaproponował Barton.

— Wykrwawia się! — krzyknęła Kate.

— Ci ludzie są wszędzie. Mogą być też pomiędzy pracownikami służby zdrowia.

— Co?! — krzyknął John. — To jakiś absurd!

— Wyjaśnię wam to, ale chwilowo jesteście jego jedyną nadzieją. Wierzcie mi. Tak będzie najlepiej dla niego i dla nas.

— On może mieć rację — przyznała Kate, wywołując u rodziców Nicka niemałą konsternację.

— Potrzebuję igłę, nitkę i coś do dezynfekcji. Widziałem już takie rozcięcia. Wszystko będzie dobrze.

— Doceniam, że nas uratowałaś, ale nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł — powiedział ostro John, mierząc się wzrokiem z olbrzymem.

— Na tę chwilę, jedyny rozsądny.

Ku niezadowoleniu Johna Kate pobiegła do sypialni poszukać odpowiednich *narzędzi*, a Jennifer poszła do kuchni, usiadła na taborecie i zakryła twarz dłońmi. Nie mogła na to patrzeć. Najpierw jej mąż, teraz syn. Łzy ponownie pociekły po policzkach.

DZIEŃ 7

ROZDZIAŁ 62

Po kilku godzinach Nick Stewart odzyskał przytomność. Gdy otworzył oczy, za oknem szarzało. Leżał na łóżku w sypialni. Budzik na nocnym stoliku informował, że dochodzi piąta rano.

Poczuł czyjąś obecność. Odwrócił głowę i zobaczył kobietą sylwetkę. Kate była ubrana tak, jak ją zapamiętał. Leżała odwrócona plecami do niego. Nie ruszała się, ale nie spała. Nie mógł wiedzieć, że czuwała przy nim całą noc. Poprawił się na łóżku. Natychmiast zareagowała. Gdy zobaczyła, że odzyskał przytomność, położyła głowę na jego piersi.

— Przepraszam — powiedziała łamiącym się głosem przez ściśnięte z żalu gardło.

— To nie twoja wina.

— Moja i nikogo więcej. Naraziłam na niebezpieczeństwo ciebie, twoją rodzinę... Nigdy sobie tego nie wybaczę.

— Nie mogłaś tego przewidzieć — uspokajał ją. — Ja nie przewidziałem. Poza tym jeszcze nigdy nie miałem tak *wystrzałowych* urodzin... — spróbował rozładować atmosferę i chyba mu się to udało. Kate spojrzała na niego i mimowolnie uśmiechnęła się. — Wiesz, co jest najdziwniejsze? — kontynuował Nick. — Nawet nie wiem, kim jest ten facet, który nas uratował. I skąd on się tu wziął? Skąd wiedział?

— To Wes Barton — wyjaśniła Kate, opierając się na łokciu. — Pamiętasz, jak ci mówiłam, że przesłuchiowano mnie w sprawie śmierci tego dyrektora?

— Tak...

— To on wtedy ze mną rozmawiał. A później, gdy już wróciłam do Waszyngtonu, ostrzegł, że jestem w niebezpieczeństwie.

— Z tego, co pamiętam, Batt też do ciebie dzwonił i to w tej samej sprawie, a teraz leży martwy na podłodze.

— Prawda. Nie wiedziałam, komu mogę ufać, więc ostatecznie nie oddzwoniłam do żadnego z nich, ale oni i tak mnie znaleźli.

— To, że dziennikarz cię znalazł, jeszcze mogę zrozumieć, ale w jaki sposób namierzył cię ten ochroniarz?

— Nie mam pojęcia — zamyśliła się. Wcześniej w ogóle się nad tym nie zastanawiała.

— Musimy z nim poważnie pogadać.

— Poczekaj... Jak rozmawialiśmy przez telefon, powiedziałeś, że rozwiązałeś sprawę tej listy. Możesz mi powiedzieć, do czego doszedłeś?

Nick wahał się przez chwilę. Przypomniawszy sobie, że dotąd Kate właściwie nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. Nie chciał jej mieszać w sprawę — zamierzał zająć się tym sam. Ostatecznie jednak uznał, że powinna usłyszeć prawdę. Kiedy zakończył relacjonować wydarzenia minionego dnia, mina Kate przypominała jego wyraz twarzy po tym, jak dowiedział się o wszystkim od Ja-sona Batta. Na początku nie mogła uwierzyć, ale gdy kolejne poszlaki łączyły się w logiczną całość, coraz bardziej przekonywała się do prawdziwości tej historii.

— Ale nie wyjaśnia to, jak ten ochroniarz mnie znalazł i to w tak krótkim czasie. Specjalnie zabrałam z domu wszystkie

zdjęcia i pamiątki związane z tobą.

— Musimy się tego jak najszybciej dowiedzieć, bo jeżeli on nas znalazł, inni też mogą. Najlepiej od razu.

Wstali z łóżka i wtedy usłyszeli szmery za drzwiami. Nick, nauczone ostatnimi wydarzeniami, ostrożnie nacisnął klamkę. Korytarz był pusty. Krok za krokiem, z największą ostrożnością przeszedł do pokoju gościnnego pełniącego funkcję małego salonu. Uspokoił się, gdy jego oczom ukazał się ojciec stojący obok wyższego od siebie o głowę Wesa Bartona.

Jennifer, nie chcąc przebywać w tym samym pokoju, co zwłoki, snuła się po kuchni. Zamartwiając się o los syna, obgryzała paznokcie. Kiedy zobaczyła Nicka na nogach, złożyła ręce.

— Dzięki Bogu... Jak się czujesz? Wszystko dobrze? — zapytała drżącym głosem i wyściskała go.

— Tak, mam. — Objął ją.

— No, detektywie, napędziłeś nam niezłego stracha — rzucił żartobliwie John, któremu również ulżyło.

Nick podszedł do Bartona.

— A panu chyba jeszcze nie zdążyłem podziękować.

— Nie ma za co...

— Wes Barton, zgadza się?

— Musiałem nieźle zaleźć twojej kobiecie za skórę, skoro zapamiętała mnie z imienia i nazwiska — rzucił wesoło olbrzym i chyba po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Przepraszam, że od razu przejdę do rzeczy. Jak pan namierzył Kate?

— Pomógł mi stary znajomy — odparł obojętnie Barton. — Pracuje w waszyngtońskiej policji.

— Jak się nazywa? — podchwycił natychmiast Nick. Istniało spore prawdopodobieństwo, że będzie wiedział, o kim mowa.

— Cussler...

— Carl Cussler?!

Barton uśmiechnął się.

— Cussler służył ze mną w oddziałach specjalnych, zanim zramolał i przeniósł się za biurko. Przypadek sprawił, że skojarzył nie tylko pannę Frost, ale również pana.

— Uratowałeś nam życie, skończ mi tu *panować* i, na litość boską, mów mi po imieniu. Jestem Nick.

— Wszystkim Stewartom uratowałeś życie, więc ja od dzisiaj jestem John, a to Jennifer.

Matka Nicka uśmiechnęła się i skinęła głową, podczas gdy mężczyźni wymienili silne uściski.

— Najpierw pojechałem do mieszkania panny Frost...

— Kate... — wtrąciła wesoło.

— ...do mieszkania Kate. Nie zastałem jej, więc pojechałem do ciebie, ale tutaj też nikogo nie było. Przynajmniej tak myślałem.

— Nie otworzyłam obcemu facetowi... — wyjaśniła.

— Słusznie — zauważył Barton. — Wróciłem do samochodu i postanowiłem zaczekać. Chciałem cię dopaść, jak wysiadłeś z auta, ale w ostatniej chwili zauważyłem jego. — Wskazał na zwłoki dziennikarza. — Czaił się w uliczce obok budynku. W Nowym Jorku zwiął ze szpitala, raniąc przy tym lekarza i robiąc z moich ludzi idiotów.

— Skąd wiedziałeś, co planuje? — zdziwił się Nick.

— Myślę, że *to* wszystko wyjaśni. — Wyciągnął z kieszeni telefon i odnalazł potrzebny plik, po czym włączył odtwarzanie.

— *Proszę... Miałem ją wysłać pocztą, jednak pojawiła się okazja, więc czemu z niej nie skorzystać... Poza tym, nie chciałbym, żeby wpadła w niepowołane ręce.*

— *Dziękuję za zaufanie.*

— *To Bill panią polecił, więc jeżeli coś pójdzie nie tak, będzie mógł mieć pretensje wyłącznie do siebie...*

— *Przecież to moja rozmowa z panem Brysonem! Ktoś to nagrywał?* — *zdziwiła się Kate, zniesmaczona podsłuchem.*

— *Tak, ale nie z polecenia dyrektora — wyjaśnił Barton. — Bez wiedzy kogokolwiek zainstalowałem podsłuchy w najistotniejszych, według mnie, miejscach w wieżowcu. Tylko ja o nich wiedziałem i tylko ja miałem dostęp do tych nagrań.*

— *Podsłuch w gabinecie dyrektora? Masz jaja, chłopie...* — *roześmiał się John Stewart.*

— *Był dobrym człowiekiem, ale nawet on by mi na to nie pozwolił. A tak teraz mamy pełny obraz sytuacji.*

Przesunął dalej.

— *Dziękuję. Do widzenia panom.*

— *Tutaj wychodzisz — zaznaczył Barton, nie zatrzymując odtwarzania.*

— *A Batt? Był już w gabinecie!* — *zauważyła Kate.*

— *Zgadza się. Teraz będzie jego rozmowa z dyrektorem...*

— *Masz coś nowego?*

— *W tej sprawie niewiele. Dalej upieram się, żeby nie przesyłać tych danych dalej.*

— *Doceniam twój upór, ale właśnie je przestałem.*

— *Dałeś je tej kobiecie?!*

— *To najlepsze rozwiązanie. Posłuchaj... Jesteś znakomitym dziennikarzem. Zastanów się...*

— Tutaj jest dłuższa rozmowa o dokumencie, który pani otrzymała. Przepraszam... Otrzymałaś... — natychmiast się poprawił, widząc grymas na twarzy dziennikarki. — Tak więc pomnę ją i przejdziemy do sedna.

— *..jeżeli dotrą do zdrajcy, dotrą też do ciebie, a potem do mnie. Informacja mogłaby przepaść na zawsze. W Waszyngtonie mam dobrego znajomego, któremu mogę zaufać. Nie ujawni niczego bez mojej zgody. Jego zadaniem będzie przechować tę informację na wszelki wypadek.*

— *Jak uważasz. Według mnie niepotrzebnie zwlekamy.*

Po krótkiej pauzie na nagraniu pojawił się odgłos otwieranych drzwi.

— *Przepraszam, kim pan jest? Był pan umówiony? Proszę stąd wyjść. Jestem właśnie w trakcie...*

— O mój Boże... — jęknęła Jennifer, słysząc strzały i dźwięk tłuczonego szkła.

— W tym momencie zabito dyrektora. Wiatr uniemożliwił odczyt dalszej części nagrania i dopiero po profesjonalnej obróbce udało się coś z niego wyciągnąć. Jakość dźwięku nie jest najlepsza, ale wsłuchując się, można wyłowić słowa, a czasem nawet zdania.

— *Spokojnie, panie Anderson. Jestem po... stronie. Jason Batt. Służymy... sprawie.*

Mamy problem. Facet... kopię i przekaz... biecie... jakieś dwadzie... minut. odzyskać.

— *Teraz... niemożliwe... A co z panem?*

— *Jak to?*

— *Przecież nie zabiłbym... oszczędzając świad...*

— *...doliło cię?! Cze...*

Słuchacze wyłuskali z nagrania dwa przytłumione strzały. Kiedy Barton wyłączył telefon, Jennifer przyłożyła dłonie do ust.

— *Mój Boże! Ten dziennikarz był zamieszany w śmierć dyrektora? — zapytała z niedowierzaniem.*

— *Myszę, że po części tak, ale raczej tego konkretnego dnia znalazł się tam przypadkiem. Natknął się na współpracownika, zawodowego mordercę, który nie miał wyjścia albo po prostu dostał zlecenie także na niego i upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Cholera ich tam wie.*

— *Batt musiał zostać kolejną ofiarą — wydedukował Nick — aby uniknąć podejrzeń, po czym uciekł ze szpitala i otrzymał następne zadanie.*

— *Chyba że rzeczywiście chcieli go sprzątnąć, jak tylko wykona robotę.*

— *Ciężko powiedzieć... Mówił mi, że dostał informacje od niejakiego Cole'a — przypomniał sobie Nick. — Być może dotarli do Batta po tym, jak powiedział Brysonowi o liście.*

— *Dziennikarz zamieszany w morderstwo swojego szefa? — zdumiał się John.*

— Wszystko na to wskazuje — potwierdził Barton i wzruszył ramionami. — Co więcej, z tego materiału wynika, że pracował dla potężnej organizacji, której bardzo zależało, aby pewne informacje nie ujrzały światła dziennego. Wynajęto mordercę i przekupiono jednego z najlepszych dziennikarzy w kraju, żeby odzyskać kawałek papieru.

— Analizując to wszystko, mam wrażenie, że to nie jedyne nasze zmartwienie — dorzuciła Kate, wskazując zwłoki. — Batt zawiódł, więc...

— ...przyjdą następni — dokończył Nick.

— Zgadza się — potaknął Barton. — Jak dotąd nie ustaliliśmy tożsamości zabójcy z Nowego Jorku. Na nagraniu Batt zwrócił się do niego *Anderson*, ale założę się o każde pieniądze, że to nazwisko jest fikcyjne. Może służy mu za pseudonim. Moi ludzie sprawdzają je, ale jeszcze się nie odezwali.

— W takim razie nie możemy tutaj siedzieć jak kaczkę czekające na odstrzał! — zauważył John. — Powinniśmy coś wynająć i przyczaić się na jakiś czas.

— Po kolei... — pohamował wszystkich Barton. — Chciałbym w końcu zrozumieć, dlaczego płatni mordercy zwrócili się nagle w stronę Waszyngtonu. Wiem, że chodzi o tę listę — pomachał kartką — ale co dalej?

— To skomplikowana sprawa — zaczął Nick. — Im mniej ludzi będzie w to zamieszanych, tym lepiej. — Wymownie spojrzął na swoich rodziców.

— O nie, nie, nie! — zaprzeczył John. — Nie dam ci się tak łatwo wywinąć. Nie po tym, co tutaj przeszliśmy.

— Pana syn ma rację — potwierdził Barton. — Tak długo, jak będziecie w pobliżu, grozi wam niebezpieczeństwo. Batt nie

wiedział, że tu będziecie, więc inni też nie wiedzą. Najlepiej będzie, jak natychmiast opuścicie Waszyngton.

— Nie możemy zostawić...

— Mamo, proszę! Bez dyskusji. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś wam się stało. Przeżyliście już dość. A ty, tato... Dzisiaj wyszedłeś ze szpitala, a jutro znowu chcesz tam wrócić?

— Jeżeli sprawa tego wymaga...

— Kategorycznie zabraniam wam brać w tym udział. Byliście przypadkowymi świadkami i na tym koniec. Na dobrą sprawę, nikt nawet nie musi wiedzieć o waszej obecności w mieszkaniu. Wystarczy, że nas troje jest w to zamieszanych. — Pokazał na Kate i Bartona, po czym spojrzał na zwłoki.

— Czworko... — poprawił go Barton.

— Co? — zdziwił się Nick.

Wyjaśnienie zastąpił dzwonek do drzwi.

— O wilku mowa. Poprosiłem kogoś o pomoc — oznajmił Barton i poszedł otworzyć.

— Czy ktoś wie, co się dzieje?

— *Kopę lat...* — Dobiegło powitanie z korytarza.

Nicka zamurowało. Aż za dobrze kojarzył ten szorstki, ochrypły głos.

Carl Cussler wymienił z dawnym przyjacielem serdeczny uścisk dłoni i przywitał się z domownikami.

Kate natychmiast rozpoznała twarz. Wielokrotnie rozmawiała z tym człowiekiem, tyle tylko, że oficjalnie — podczas wywiadów.

— Kapitanie...

John Stewart szybko zrozumiał, z kim mają do czynienia. Przedstawił siebie i żonę.

— Miło mi — bąknął Cussler. — Państwa syn jest chlubą naszego wydziału. — Ten frazes był wyuczony i zabrzmiał sztucznie. Nick myślał, że parsknie śmiechem. Pierwszy raz usłyszał, jak szef publicznie kogoś chwali. Kogoś, kto żył. Komplementy padające z ust kapitana były tak częste, jak śnieg w maju. — Panno Frost, Nick... — W pracy Carl Cussler pretendował do miana tyrana albo przynajmniej *Starego*, ale poza nią, jak było widać na załączonym obrazku, stawał się zupełnie innym, normalnym człowiekiem.

— Dzięki, że przyjechałeś — zaczął Barton.

— Rozumiem, że z tym kimś już się nie przywitam... — Cussler wskazał zwłoki przykryte kocem.

— To Jason Batt — wyjaśnił Nick. — Dziennikarz z Nowego Jorku.

— Dziennikarz? Mała strata. — Kapitan pochylił się nad ciałem i odsunął koc z głowy truposza. — Nieźle go urządziliście...

— Zasłużył sobie... — stwierdziła Kate, nieco urażona uwagą o dziennikarzach.

— Słyszałem...

— Skąd pan wie?

— Ja mu powiedziałem — wyjaśnił Wes.

— Musiał mnie jakoś przekonać — oznajmił Cussler. — Nie przyjechałbym tutaj o szóstej rano na filiżankę kawy — warknął, wstając. — Słyszałem też, że macie mi coś do powiedzenia.

— Tak, ale najpierw musi pan zapewnić ochronę moim rodzicom i Kate.

— Jeżeli sprawa tego wymaga, uznaj to za załatwione.

— W takim razie możecie zostać z nami — oznajmił Nick. — Wam również należą się słowa wyjaśnienia. — Odchrząknął, jakby

przygotowywał się do długiego wystąpienia.

Wes Barton, z nie mniejszym od reszty zebranych zaciekawieniem, nadstawił uszu. W końcu miał dowiedzieć się, dla jakiej sprawy narażał życie.

ROZDZIAŁ 63

Brian Blanc działał pod różnymi pseudonimami. W Europie i Azji przedstawiał się jako Ivan, w Ameryce Południowej był Rodriguezem, a w Ameryce Północnej zainteresowani pytali o pana Andersona. Nie zajmował się drobnymi sprawami. Jego uwagę przykuwały jedynie zlecenia, za które inkasował kwoty z sześcioma zerami. Za robotę w Nowym Jorku otrzymał dwa miliony, jednak w związku z kontynuacją zadania zażądał drugie tyle, choć zlecenie wydawało się znacznie prostsze i przyjemniejsze. Zabicie dziennikarki mieszkającej samej w przestronnym apartamencie uznał za wręcz śmieszne i średnio pasujące do jego profilu działań. Gdy dowiedział się, że w grę wchodzi również jej narzeczony — policjant, sprawa znacznie bardziej przypadła mu do gustu.

Od dawna gardził całym, jak twierdził, skorumpowanym systemem. Jego niechęć do wymiaru sprawiedliwości spotęgowało wydarzenie z dzieciństwa — nieszczęśliwy wypadek, w którym stracił matkę. Policjant strzelający do przestępcy spudłował, a rykoszetująca kula trafiła w niewinną kobietę idącą chodnikiem. Mąż szybko pogodził się ze stratą żony. I tak ją zdradzał, więc dla niego sprawa rozwiązała się sama. Ulotnił się z kochanką, gdy tylko pobrał pieniądze z ubezpieczenia.

Inaczej wyglądało to w przypadku osieroconego i porzuconego na pastwę losu dwunastolatka. Przez długi czas nie potrafił

zrozumieć, dlaczego matka odeszła i nikt nie został za to ukarany, a ojciec porzucił go, gdy tylko nadarzyła się okazja.

Pierwszym postanowieniem, które powziął, gdy już mógł za siebie decydować, było zdobycie pozwolenia na broń. Po uzyskaniu go całą swoją nędzną wypłatę — otrzymywaną za pracę na dwie zmiany w portowym magazynie — inwestował w naukę strzelania i walki wręcz. Stwierdziwszy, że jest gotowy, rzucił pracę i odszukał policjanta odpowiedzialnego za śmierć matki. Śledził nieszczęśnika przez dwa miesiące, poznając jego godziny pracy, przyzwyczajenia i słabości. Ostatnim posunięciem było zwabienie i odizolowanie ofiary od stada. Sfingował wezwanie o pomoc płynące z podejrzanej okolicy. Dobrze wiedział, kto zainterweniuje. Wreszcie wydarzyło się to, co Brian Blanc planował od wielu lat. Policjant, na którego czekał, został sam na chodniku, aby zabezpieczać tyły, podczas gdy jego partner poszedł sprawdzić obejście zapuszczonej rudery. Blanc podszedł do funkcjonariusza od tyłu, umiejętnie wyszarpnął mu broń i zastrzelił go, zostawiając martwego na trawniku.

Już wtedy był zimny i opanowany. Wziął nawet udział w pogrzebie oficera, chcąc zobaczyć, co przeżywa rodzina zamordowanego, której los stał się niemalże dokładnym odzwierciedleniem przeszłości, jakiej on sam doświadczył.

Po tym incydencie wyjechał do Europy, gdzie zwerbowała go i oszlifowała organizacja przestępcza zajmująca się zabójstwami na zlecenie. Po pięciu latach pracy w nowym *zawodzie* chciał się usamodzielnić. *Firma* nie miała jednak zamiaru go wypuścić — zbyt wiele wiedział i jego ewentualna wpadka mogła wszystkim drogo kosztować. Zagrożono mu śmiercią w razie odejścia, więc postanowił odbyć ostatni trening. Zdemaskował wszystkich członków organizacji, zwracając szczególną uwagę na sam

czubek góry lodowej. W ciągu tygodnia wymordował zarząd, zabijając jednego ważniaka po drugim. Po tym *sprawdzenie*, kiedy nie było już nikogo, kto mógłby go powstrzymać, wrócił do Stanów. Sława znacznie go wyprzedziła, więc nie miał problemu ze znalezieniem *pracy*.

Od czasu do czasu wyjeżdżał poza granice kraju, w którym się urodził, głównie do Ameryki Południowej, gdzie przeprowadzał pojedyncze akcje i szybko wracał.

Wszyscy, którzy go spotkali i przeżyli, twierdzili, że jego twarz jest zupełnie pozbawiona emocji, a przeszywający wszystko wzrok — pusty i zimny. Miał jeden znak szczególnie — czarne znamię na policzku, które stało się jego *identyfikatorem*. Każdy, kto je zauważył, od razu wiedział, z kim ma do czynienia.

Blanc lubił skomplikowane operacje, a w szczególności zadania wymagające rzetelnego przygotowania oraz precyzji. Kiedy otrzymał zlecenie związane z zabójstwem Josepha Brysona, nie krył zainteresowania sprawą. Stracił nieco animuszu, gdy wspomniano o przekupionym dziennikarzu, który miał mu pomóc w wykonaniu zadania, a którego kazano mu sprzątnąć zaraz po akcji, a najlepiej jeszcze w trakcie. W pierwszej chwili uznał zleceniodawców za niepoważnych — nie wierzyli w niego — i chciał zrezygnować, ale ostatecznie wykonał zadanie, dodając od siebie nieco improwizacji.

Teraz siedział w samochodzie, przygotowując się do zakończenia kolejnego zadania. Obserwował kamienicę od wczesnych godzin porannych. Zgodnie z nowymi wytycznymi Jonathana Morrisa, właśnie tutaj miał największą szansę zastać poszukiwane osoby.

Wysiadł z samochodu i poprawił kurtkę. Będąc kilka metrów od wejścia, w oddali zobaczył coś, co go zaniepokoiło.

Błyskawicznie skręcił w przesmyk pomiędzy budynkami. Staął za rogiem i wychylił głowę.

Karetka, cywilny samochód i dwa radiowozy w całkowitej ciszy podjechały niemalże pod samo wejście kamienicy. Sanitariusze wyciągnęli nosze i jako pierwsi weszli do budynku. Za nimi podążyli faceci z walizkami oraz dwaj z czterech funkcjonariuszy. Reszta została na zewnątrz. Blanc obserwował ich zza rogu, próbując usłyszeć, o czym rozmawiają.

— Ciekawe, co tam się dzieje... — rzucił beznamiętnie jeden z policjantów i oparł się o radiowóz.

— Nic dobrego, skoro przyjechali technicy.

— Lepsi oni niż koroner...

— Zależy kiedy... Masz fajki?

— Zapomniałem. Żona truje, że mam rzucić. Tak je przed nią schowałem, że zapomniałem gdzie, a rano nie zdążyłem kupić. Wysrali się z tym — spojrzął na kamienicę — i trzeba było jechać...

— Miałem w domu to samo.

— I co? Rzuciłeś?

— Tak... Żonę. Teraz palę paczkę dziennie i posuwam jedną dwudziestkę.

Blanc zrozumiał, że nic nie wskóra. Zabicie kolejnych policjantów tym razem nie wchodziło w grę. Za bardzo ceniono go za rozsądek i wyczucie sytuacji. Już w Nowym Jorku posunął się za daleko — wiedział, że zaminowanie helikoptera było sporą przesadą, ale nie mógł sobie odmówić.

Przebiegł przez ulicę. Został zauważony przez policjantów i specjalnie, zanim wsiadł do samochodu, chwilę przyjrzał się sytuacji rozgrywającej się nieopodal wejścia do budynku. Wykazał

zwykłą, sąsiedzką ciekawość. Uznał to za zupełnie naturalne zachowanie. Podobnie potraktowali to funkcjonariusze. Szybko przestali się nim interesować i wsiedli do radiowozu, nie chcąc niepotrzebnie rzucać się w oczy.

ROZDZIAŁ 64

Carl Cussler, korzystając z chwili zamieszania, jaką spowodowali technicy, sanitariusze i policjanci, odciągnął Nicka na bok. Był jeszcze w niemałym szoku po wyjaśnieniach dotyczących listy, ale próbował myśleć racjonalnie.

— Słuchaj... Postaram się osobiście odeskortować Kate i twoich rodziców w bezpieczne miejsce. Zostawię tam dwóch najbardziej zaufanych ludzi, jakich znajdę. Nikt oprócz ciebie i mnie nie będzie wiedział, gdzie są.

— Co to za miejsce?

— Mam dom nad jeziorem. Zadupie, jakich mało.

— Dziękuję...

— Najlepiej podziękujesz, zajmując się tą sprawą do końca.

— Ta lista i te zaginione osoby mogą być ściśle powiązane — zauważył Nick.

— Niewykluczone.

— To przerasta nie tylko mnie, ale również pana i cały nasz wydział. Powinniśmy z tym pójść wyżej.

— I pójdziemy, jak upewnię się, komu możemy ufać. Sam mówiłeś, że to tylko klienci z ostatniego roku czy dwóch. A jeżeli jednym z wcześniejszych pacjentów był szef FBI albo inna wysoko postawiona osoba z wymiaru sprawiedliwości? Odezwiesz się do niewłaściwych ludzi i sprawa zniknie razem z nami. Jedyne

człowiek, który mógł cokolwiek zeznać, jest właśnie pakowany do worka.

— A ten cały Alfred Cole?

— Nie żyje...

— Jak to?! Kiedy?!

— Wczoraj po południu, na północny wschód od Nowego Jorku, wyciągnęli z zatoki limuzynę z Colem w środku. Trąbili o tym na wszystkich kanałach... Nie słyszałeś?

— Nie...

— Jeżeli to wszystko jest prawdą, to ich działania przybierają na sile. Eliminują każdego, kto mógł mieć coś wspólnego z wyciekiem informacji. Musimy zdobyć niepodważalne dowody, zanim wrzucimy granat do szamba. Ta lista o niczym nie świadczy. Załatwiłeś znanego dziennikarza. Próbując uniknąć odpowiedzialności, dorobiłeś do tego historię.

— Dorobiłem?!

— Tak powiedzą i na tym się skończy. Zwiną interes, odpalą piec i wszystkie dowody pójdą z dymem.

— Nie wierzę, że po wycieku pozbyli się wszystkiego. Muszą gdzieś trzymać wyniki badań, jednocześnie zapewniając sobie błyskawiczny dostęp do nich. Na wszelki wypadek. Jest jedno miejsce, gdzie możemy coś znaleźć.

— Chcesz tam iść? — zapytał cicho Cussler.

— A mamy inne wyjście?!

Kapitan oparł ręce na biodrach.

Wes Barton, widząc po twarzy starego przyjaciela, że coś się kroi, dołączył do rozmowy.

— O czym debatujecie? — zapytał, mierząc ich wzrokiem.

— Nie jestem przekonany... — rzucił Cussler.

— Poradzę sobie — zapewnił Nick.

— Ej! Dowiem się, co się dzieje? — wtrącił zniecierpliwiony Wes.

— Muszę dokończyć jedną sprawę...

Barton spojrzał porozumiewawczo na Cusslera.

— Dobra... Obyście znaleźli coś, co pomoże nam w postawieniu zarzutów i przeprowadzeniu akcji.

— Jak to *znaleźli*?

— Ty i Wes. Chyba cię pogięło, jeśli myślisz, że puszcę cię tam samego. O ile wszystko, co powiedziałaś, jest prawdą, to ta organizacja ma tak szeroko rozłożone ręce, że prędzej czy później i tak w nie wpadniemy. Pytanie tylko, ile uda nam się do tego czasu ustalić i kto to przeżyje. Oficjalnie od dziś jesteś na zwolnieniu lekarskim z powodu poważnego urazu głowy, którego doznałeś podczas napaści na ciebie w twoim własnym mieszkaniu.

— A on?! — Nick skinął głową na Bartona.

— A on sobie poradzi...

— Zanim zostałem odźwiernym, przez parę lat prowadziłem agencję detektywistyczną — wyjaśnił Barton. — Mam jeszcze legitymację. Oficjalnie prowadzę prywatne śledztwo. Poza tym jestem w stałym kontakcie z moimi ludźmi w Nowym Jorku, którzy informują mnie o wszystkim na bieżąco.

— Wolałbym...

W kieszeni marynarki Cusslera odezwał się telefon.

— Poczekaj, zaraz się poskarżysz — warknął kapitan i odszedł na bok, odbierając połączenie.

Nick rozejrzał się po mieszkaniu. W tym całym zamęcie zobaczył Kate i rodziców stojących razem w kuchni. Podszedł do nich.

— Wszystko będzie dobrze. Kapitan osobiście odeskortuje was w bezpieczne miejsce.

— A ty? — zmartwiła się Jennifer.

— Muszę się tym zająć.

— Nie pozwolę ci... — Głos Kate załamał się i łzy napłynęły do jej oczu.

— Nic mi nie będzie... Wkrótce sprawę i tak przejmie FBI.

— W porządku, synu. Rozumiem cię. Stewartowie nigdy nie uciekali od problemów, zawsze stawiali im czoła. Daj znać, jak tylko coś się wyjaśni.

— Obiecuję...

Cussler podszedł do domowników.

— Gotowi?

— Jeżeli nie mamy innego wyjścia... — powiedziała załamana Jennifer.

— Gdy zrobi się bezpieczniej, obiecuję pani, że wszystko wróci do normy.

— Kiedy to będzie?

— Trudno powiedzieć. Zanim udadzą się państwo w bezpieczne miejsce, pojedziecie jeszcze do siebie i zabierzecie najpotrzebniejsze rzeczy. Moi ludzie będą was eskortować. Pójdą z wami nawet do toalety.

— Dobrze... — stwierdził za wszystkich John Stewart, choć nikomu nie podobał się taki obrót spraw. — Dziękujemy, kapitanie.

— Nie ma za co... Muszę jeszcze zamienić słowo z państwa synem.

Wszyscy zgodnie potaknęli głowami i Cussler ponownie wziął Nicka na bok.

— Dzwonił znajomy z Nowego Jorku — zaczął cicho. — Uprawdżono dziecko. Sprawa pasuje do pozostałych. Świadcówie widzieli szarą furgonetkę nieopodal parku, w którym przebywał nastolatek. Coś ci to przypomina?

— Myśli pan, że to ta sama furgonetka, której szukamy?

— Nie wiem... Pamiętasz, co mówiłeś? Co mówił ten dziennikarz? Zabijają dopiero przed samą wymianą narządu. Jeżeli jakiś dzieciak był zakwalifikowany do przeszczepu, badania mieli już z głowy. Wystarczyło znaleźć dawcę.

— Cholera jasna... — warknął Nick, czym zwrócił uwagę przechodzącego obok technika.

— Co więcej, uprowadzony chłopak to syn policjanta z Nowego Jorku, więc wszyscy zostali postawieni w stan najwyższej gotowości, ale bez informacji, które mamy, nie zdołają go odnaleźć na czas. Nie wiem, ile mogę im zdradzić. Jeżeli wyskoczę z tym, co wiemy, możemy stracić przewagę.

— Chce pan przez to powiedzieć...

— Nie chcę nic mówić. Ja zajmę się twoimi rodzicami i Kate, a ty i Wes zróbcie wszystko i jeszcze więcej, żeby jak najszybciej dobrać im się do skóry. Może uda nam się uratować tego chłopaka. Mają dawcę, więc operacja może odbyć się w każdej chwili.

— Zakładam, że jak coś pójdzie nie tak, wszystkiego się pan wyprze.

— Wiadomo...

Detektyw pokręcił głową.

— Gotowi? Możemy iść? — zapytał Cussler.

Nick podszedł do rodziców i uściskał ich z całej siły. Pocałował Kate na pożegnanie.

— Uważajcie na siebie. Tato, miej je na oku.

— Nie martw się, synu. Niedługo znowu się zobaczymy.

Kapitan poszedł przodem, a za nim podążyła gęsiego cała trójka. Detektyw odprowadził ich wzrokiem. Wymieniając ostatnie spojrzenia z Kate, poczuł, jak żal ściska mu gardło. Niespodziewanie ogromna ręka Bartona znalazła się na jego ramieniu.

— Załatwimy, co należy i wszystko wróci do normy. Masz jakiś plan?

— Nie, ale im szybciej wymyślimy, jak dostać się do kliniki, tym lepiej.

— Mam pewien pomysł. Macie na policyjnym parkingu jakieś limuzyny?

Nick spojrzał niezrozumiale na nowego partnera.

— Pewnie tak...

Usta olbrzyma wykrzywił uśmiech.

— I jeszcze jedno...

— Samolotów nie mamy.

— Chodzi o twój łeb. — Barton wskazał prowizoryczny opatrunek na głowie Nicka. — Musisz się ogarnąć, chyba że lubisz kapelusze.

ROZDZIAŁ 65

Kilkanaście godzin później dwaj elegancko ubrani mężczyźni stali obok połyskującego cadillaca. Nick do złudzenia przypominał kierowcę limuzyny — miał na sobie białą koszulę, czarny garnitur, oryginalne nakrycie głowy i połyskujące, czarne buty. Jego towarzysz, w idealnie skrojonym stalowoszarym garniturze od

Armaniego, miał uchodzić za biznesmena — właściciela kilkunastu lokali fitness na Wschodnim Wybrzeżu.

— Myślisz, że się uda? — zapytał Nick, przeglądając się w przyciemnionej szybie.

— Jeżeli masz lepszy pomysł, to wal śmiało.

— Nie mam, ale to nie znaczy, że ten jest dobry.

— Pakuj graty i jedziemy.

Nick załadował torbę z potrzebnym sprzętem. Znajdowały się w niej między innymi dwa pistolety i mały laptop z bardzo pojemnym dyskiem, który miał posłużyć do zebrania jak największej ilości danych z komputerów w klinice. Informatycy przygotowali go tak, że wystarczyło podłączyć urządzenie przez port USB i samo automatycznie zaczynało kopiować całą zawartość komputera. Dysk miał pojemność dwóch terabajtów, więc standardowo wystarczał na zebranie danych z kilku, a nawet kilkunastu komputerów.

— Chcesz swoją broń? — zaproponował Nick.

— Po pierwsze, głupio wyglądałbym, wchodząc uzbrojony do szpitala, a po drugie, splota nie jest moja.

— A czyja?

— Pożyczyłem na lotnisku.

— Ukradłeś ją strażnikowi?

— Nie nazwałbym tak tego... — Barton podszedł do tylnych drzwi. — Nie otworzysz mi?

— Jeszcze czego... — Nick zajął miejsce kierowcy i w lusterku obserwował, jak rosły *biznesmen* gramoli się do środka. Przed opuszczeniem parkingu porozumieli się z Cusslerem, który odpowiadał za przygotowanie oddziału specjalnego do ewentualnej interwencji.

— Długo zajmujesz się tym, co obecnie robisz? — zapytał Nick, gdy wjechali na autostradę.

— Pytasz, jak dawno temu zrezygnowałem z bycia detektywem?

— Coś w tym rodzaju.

— Dziesięć lat, może jedenaście.

— Dlaczego już nie uganiaś się za znudzonymi mężami i puszczałskimi żonami?

— Właśnie dlatego... To było żałosne. Dorośli zachowujący się jak dzieci, a nawet gorzej... Jak pieprzone strusie. Przestraszeni chowali głowę, a dupa i reszta zostawała na wierzchu.

— Byłeś w wojsku. Nie chciałeś wstąpić do policji?

— Słyszałem, że jako prywatny detektyw można sporo zarobić. No a ty? Jak to się stało, że wojskowy śledczy skończył w wydziale zabójstw?

— Też miałem dość. Jak już słyszałem, że wyrządzą ojczyźnie większą szkodę, wsadzając jakiegoś wysoko postawionego skurwiela za kratki, niż pozostawiając go na wolności, otwierał mi się nóż w kieszeni. Wyobraź sobie, że kiedyś chciałem iść na prawo. Dobrze, że do tego nie doszło, bo skończyłbym w kaftanie. Tego nie rusz, to zostaw, tym się nie zajmuj. Idź na ugodę, bo tak będzie lepiej, prościej i szybciej. Do dupy z nimi wszystkimi.

Gdy zjechali z autostrady, słońce już zachodziło. Po minięciu reklamy kliniki skręcili w prawo.

Nick poczuł uderzenie adrenaliny. Był już tutaj. Pokonywali dokładnie tę samą trasę, co on poprzedniego dnia, kiedy śledził Petersona. Czarny, wąski krawat coraz bardziej zaciskał się na jego szyi. Poluźnił go, co nie umknęło uwadze współnika.

— Spokojnie, przyjacielu... Robiliśmy to już setki razy.

— Lubisz się przebierać?

Barton zignorował kąśliwą uwagę.

— Po prostu wiesz mnie na kolejne spotkanie. Codziennie prowadzisz ten samochód, a ja codziennie siedzę z tyłu.

Nick spojrzał do lusterka. Widok wywołał w nim mieszane uczucia. Barton miał na nosie niewielkie okulary i czytał plotkarskie czasopismo, które znalazł w schowku. Nie wykazywał najmniejszych oznak podenerwowania.

— Na co tak patrzysz?

Nick parsknął śmiechem, kiedy jego towarzysz wypowiedział te słowa z pełną powagą.

— Nie mówiłeś czasem, że już tutaj byłeś? — zapytał Barton.

— Tak. A co?

— Na twoim miejscu poszukałbym ciemnych okularów. Zakładasz, że cię nie rozpoznają?

Nick musiał przyznać rację byłemu detektywowi. Nie pomyślał o tym. Nerwowo zaczął przeszukiwać schowki, jednak niczego nie znalazł.

— Weź moje... Zawsze noszę je na wszelki wypadek. Jak prezerwatywę...

— Pewnie okulary przydają się częściej...

— Podziękowałbyś chociaż...

Nick natychmiast założył je i przejrzał się w lusterku. Wreszcie wyglądał jak rasowy szofer — cwaniak górujący nad innymi kierowcami. Nie był jakimś podrzędnym taksjarem ani kurierem zobligowanym do wyrobienia normy. Wiózł faceta, którego królestwo było warte kilkadziesiąt milionów dolarów.

— Nie wyglądasz, jakbyś przejmował się tym, dokąd jedziemy.

— To ty masz się postarać. Ja tylko będę robił za idiotę.

Dostrzegli potężną bramę i samotnego ochroniarza patrolującego okolicę. Wysoki czarnoskóry mężczyzna z długimi dreadami już z daleka wyglądał groźnie. Na szczęście był to inny strażnik niż ten, który poprzedniego dnia zauważył samochód Nicka. Jeden problem mieli z głowy. Teraz wystarczyło nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi.

Zatrzymali się przed samą bramą. Ochroniarz podszedł do samochodu i stanął w odległości dwóch metrów od pojazdu. Miał ręce założone z tyłu i przyjazny wyraz twarzy. Wyglądał na nieuzbrojonego, ale obydwaj wiedzieli, że to tylko pozory. Z pewnością nie bez powodu trzymał ręce z tyłu. Spokojnie czekał, aż któraś z szyb opadnie.

— Zaczynamy... — powiedział Barton i nacisnął guzik.

— Witam pana — ochroniarz odezwał się jako pierwszy, pochylając głowę.

— Dzień dobry, a właściwie dobry wieczór. Nazywam się Frank Barker — zaczął Barton bez najmniejszego skrępowania w głosie. — Słyszałem wiele dobrego o tym miejscu i chciałbym zasięgnąć profesjonalnej opinii jednego z tutejszych specjalistów.

— Był pan umówiony?

— Nie, ale potrafię odwdziżyć się za przysługę. — Pomachał plikiem banknotów.

— To nie będzie potrzebne. Proszę chwileczkę zaczekać, poinformuję przełożonego.

— Nie wiedziałem, że to taki problem — bąknął zniesmaczony *businessmen*, przyzwyczajony, że pieniądze otwierają każde drzwi.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć. To standardowa procedura. W ten sposób możemy zapewnić wyższy poziom bezpieczeństwa

naszym gościom.

— Świetna organizacja! Już mi się podoba!

Strażnik połączył się z przełożonym, a tymczasem Nick, udając znudzonego, zwrócił uwagę na kilka drobnych, ale istotnych szczegółów ów.

— Sprawdzają rejestrację... — szepnął, nie odwracając się.

— Porządna firma... — odparł równie cicho Barton.

— Zauważyłeś, że gdy *Bob Marley* wyjął telefon i odwrócił się, jego kolega za bramą wyjrzał z budki.

Bartona po raz pierwszy ogarnęły wątpliwości.

— Cały czas ktoś obserwuje... Co oni tutaj...

— Jak tylko brama się otworzy, proszę jechać przed siebie aż do głównego budynku — przerwał im ochroniarz.

— Dziękuję.

Biznesmen zasalutował i ruszyli.

— Wyczyściłeś ten wóz?

Nick opuścił okulary i spojrzał wilkiem do wstecznego lusterka.

— Zmieniłem też dywaniki... Spokojnie... Jest zarejestrowany na firmę Franka Barkera.

— A czyj był wcześniej?

— Należał do barona narkotykowego, którego zgarnęliśmy rok temu. Konkurencja dołożyła starań, żeby facet nie wrócił na rynek. Nie doczekał nawet procesu. Załatwili go w areszcie i samochód przeszedł na własność państwa. Ma nowe tablice i teraz jesteś jego prawowitym właścicielem. Założyliśmy ci nawet małą kartotekę... Dwa mandaty w Nowym Jorku... Jeden za prędkość, drugi za nieprawidłowe parkowanie.

— Chciałeś powiedzieć *tobie*... — Barton roześmiał się. — Dobra robota...

— Nie o wszystkim zapominam — odgryzł się Nick, nawiązując do okularów.

— Jak zrędliva baba. Ciebie powinniśmy wysłać do tego lekarza. Ze świerzbem trzeciego jajnika...

— Patrz...

W bocznej uliczce Nick dostrzegł coś, co przyspieszyło mu puls — szarą furgonetkę. Ustąpiła im drogi. Wyglądała identycznie jak pojazd należący do porywaczy Russella Millera. Kierowca świadomie zaczekał, aż przejadą.

— To oni? — zapytał Barton, przyglądając się furgonetce przez przyciemnione szyby.

— Cholera wie, ale jeśli porwali chłopaka wczoraj późnym wieczorem, mieliby wystarczająco dużo czasu na transport. Jeżeli mają dawcę, operacja może odbyć się w każdej chwili.

— Nasz plan właśnie się skomplikował — zauważył Barton, odkładając czasopismo.

— Myślisz o tym samym, co ja? — zapytał Nick, spoglądając w lusterko.

— Jeżeli znajdziemy tego chłopaka, zdobędziemy na nich ku-rewnie mocny dowód.

Nick zatrzymał limuzynę przed głównym wejściem. Wysiadł i pospiesznie otworzył pasażerowi.

Barton spokojnie opuścił auto i zapiął drogą marynarkę. Rozejrzał się i pokiwał głową z miną wyrażającą podziw.

— To się nazywa służba zdrowia. Nawet na Manhattanie tak to nie wygląda.

— Powodzenia...

— Tobie bardziej się przyda.

Rosły biznesmen energicznie wkroczył do budynku i zniknął za zasuwającymi się drzwiami. Kierowca odprowadził go wzrokiem, po czym wrócił do samochodu. Na lewo od apartamentowca mieścił się spory parking. Stało tam około dwudziestu pojazdów — od szpanerskich wozów lekarzy po najzwyklejsze samochody niżej postawionych pracowników kliniki. Tak jak wszystko inne tutaj, również i to miejsce było pod ścisłą ochroną. Nick doliczył się przynajmniej pięciu ruchomych kamer. Upatrzył sobie wolną zatoczkę przy samej linii drzew.

Wyłączył silnik i przeszedł na tył limuzyny. Z torby leżącej za siedzeniem pasażera wydobyl ciemnoszary dres treningowy i sportowe buty. Błyskawicznie się przebrał. Do plecaka włożył laptop owinięty białym kitem. Dorzucił eleganckie buty, pistolet i parę innych drobiazgów. Teraz należało wykorzystać zabrany sprzęt, ale najpierw musiał znaleźć się wewnątrz budynku. Celem był gabinet dyrektora.

Obraz z parkingowych kamer obejmował tylko prawą część samochodu. Lewa była osłonięta przez drzewa. Nick opuścił szybę i wyrzucił szary plecak, który poleciał w głąb zarośli. Nie chcąc otwierać drzwi, wysunął się przez opuszczoną szybę. Przykucnął tuż obok samochodu. Napiął mięśnie i potężnym susem skoczył w krzaki. Pod ich osłoną, zabrawszy plecak, pochylony pobiegł w kierunku parku oddzielającego budynek mieszkalny od szpitala. Zakładał, że właśnie tam zostanie pensjonariuszy i wtopi się w tłum.

Przecucie go nie myliło. Już po chwili dostrzegł grupkę osób siedzących na ławkach ustawionych w półokrąg niedaleko przeszklonego przejścia. Żywo debatowali nad czymś, zupełnie nie zwracając uwagi na otaczający ich świat.

Pacjenci poruszający się po parku mieli na sobie długie koszule nocne lub sportowe dresy. Nick uznał, że w ogóle nie odstaje od reszty, więc wyłonił się z zarośli jak gdyby nigdy nic. Jego opatrunek na głowie, wcześniej ukryty pod czapką kierowcy, teraz dodawał mu wiarygodności. Przystając za dwoma starszymi paniami, skutecznie uniknął wzroku młodej kobiety w białym, krótkim kitlu — pielęgniarki pełniącej dyżur.

Przeszedł obok grupki mężczyzn. To ich rozmowę słyszał. Najmłodszy z nich przesuwiał palcem po tablecie, w szalonym tempie pokazując kolegom kolejne wykresy. Dostawał przy tym wypieków na twarzy, a to mogło oznaczać tylko jedno — giełda właśnie pożerała jego aktywa. Tego człowieka mniej zainteresowałby wybuch bomby atomowej niż pikująca w dół linia giełdowych notowań.

Nick cieszył się obojętnością, z jaką go traktowano. Mijając kolejnych pacjentów, poważnie zastanawiał się, ilu ludzi musiało zginąć, aby tacy jak oni mogli dalej chodzić po świecie. Obrzydzenie ogarniało go na samą myśl o tym, że gdzieś tutaj przebywa człowiek, który żyje dzięki śmierci Russella Millera.

Gdy znalazł się w łączniku, poczuł dezorientację. Pacjenci opuszczający park kierowali się w prawo — do swoich apartamentów. Wiedział, że nie znajdzie tam tego, po co przyszedł. Spojrzał w lewo — na opustoszałą część korytarza. Gdzieś tam znajdował się jego cel — gabinet dyrektora.

ROZDZIAŁ 66

Wes Barton czekał już ponad piętnaście minut. Początkowo nie wykazywał najmniejszych oznak podenerwowania. Czas działał na ich korzyść, dając Nickowi większą swobodę działania. Nie mógł też narzekać, ponieważ poczekalnia dla VIP-ów była urządzona

lepiej niż większość luksusowych mieszkań na Manhattanie. W elementach wykończenia dominował marmur, którego ogromne płyty pokrywały podłogę, a także część ścian. Miejsca siedzące wyścielala wysokiej jakości skóra, a oczy cieszyły, albo inie, modernistyczne obrazy.

Gdy usiadł, natychmiast zaproponowano mu coś do picia. Odmówił, więc młoda kobieta o krwistoczerwonych ustach pozostawiła mu krótkie menu na wypadek, gdyby jednak zmienił zdanie. Ostatecznie dał się przekonać. Na początku chciał poprosić o drinka, jak na biznesmena przystało, ale mając w głowie cel wizyty, uznał, że nie powinien i poprzestał na kawie.

Jednym łykiem pochłonał miniaturowe espresso i czas znowu zaczął mu się dłużyć. Coraz częściej zerkał na zegarek, przez co umyślnie dawał obserwującej go recepcjonistce do zrozumienia, że cierpliwość nie jest jego największą cnotą. Odgrywał swoją rolę i idealnie wpasowywał się w wizerunek rozkapryszzonego milionera, który nie nawykł na nikogo czekać.

Po upływie kolejnych pięciu minut dał odpocząć opuszkom palców od ciągłego uderzania o podłokietnik, wstał i zaczął krążyć po poczekalni, wyglądając przez okna, jakby to właśnie gdzieś tam miał pojawić się lekarz, którego oczekiwał. Chwilę pobawił się telefonem. Wreszcie usłyszał szybkie kroki.

— Najmocniej przepraszam, że musiał pan tyle czekać! — powiedział szczerze mężczyzna w białym kitlu, niemalże wbiegając do poczekalni.

— Nie ma za co. Cieszę się, że znalazł pan dla mnie czas.

— Doktor Harris — przedstawił się lekarz, wyciągając rękę na powitanie. Biznesmen odwzajemnił się tym samym.

— Frank Barker, a jak mnie wyleczycie, możecie mi mówić Frank — zażartował.

— Postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby panu pomóc. Proszę za mną. Przejdziemy do części szpitalnej, gdzie mam gabinet. Przeprowadzę wywiad i, być może, wstępne badanie.

— Wstępne? To ile ich będzie?

— Tyle, ile trzeba. — Doktor Harris wskazał drzwi.

ROZDZIAŁ 67

Nick dotarł do budynku szpitala. Po prawej wisiał plan parteru. Czerwoną linią zaznaczono na nim ścieżkę ewakuacyjną. Wyciągnął telefon i zrobił zdjęcie.

Już na początku dostrzegł problem — wszystkie sale, które mijał, były zabezpieczone elektronicznymi czytnikami. Potrzebował uniwersalnej karty, aby móc swobodnie poruszać się po terenie szpitala i zaglądać, gdzie dusza zapragnie. Jednak priorytetem była zmiana przebrania, gdyż jako zabłąkany pacjent nie mógł zbyt długo samodzielnie paradować po szpitalnych oddziałach.

Na wykonanej fotografii odszukał toaletę — znajdowała się tuż obok windy. Skręcił korytarzem w prawo i doszedł do przestronnego hallu. Niestety, również drzwi toalety były opatrzone czytnikiem.

— Chyba sobie jaja robicie...

Usłyszał delikatny szum generowany przez windę. Spojrzał na wyświetlacz położenia windy. Jechała w dół. Musiał coś wymyślić i to szybko. Nie minęło pięć sekund, a drzwi kabiny rozsunęły się, ukazując młodą pielęgniarkę. Znudzona kobieta właśnie skończyła obchód. Gdy zauważyła mężczyznę w dresie szarpiącego klamkę toalety, natychmiast zareagowała.

— Przepraszam... Mogę jakoś pomóc?

— Może pani! Z tymi przekłętymi drzwiami coś jest nie tak.

— Tutaj jest zamek magnetyczny. Musi pan przeciągnąć swoją kartę przez czytnik — wyjaśniła uprzejmie, ze spokojem w głosie.

— Wiem! Problem w tym, że jej nie mam. Zostawiłem w innych spodniach. Jutro mam jakiś cholerny zabieg i doktor nafaszerował mnie środkami przeczyszczającymi. Nie pomyślałem, że zadziałają tak szybko. Wybrałem się na spacer — wskazał plecak — a tu proszę! Niespodzianka!

Kobieta z trudem powstrzymała się od śmiechu. Wyjęła swoją kartę i odblokowała zamek.

— W razie czego, na recepcji bez problemu wydadzą panu nową.

— Jest pani aniołem! Dziękuję! — Jak szalony wbiegł do toalety, zatraskując za sobą drzwi. W środku nie było żadnych widocznych kamer, co jednak nie znaczyło, że takowych tutaj nie ma. Udał się do ostatniej kabiny i zdjął dres. Miał pod nim koszulę i spodnie prasowane na kant — była to pozostałość po stroju szofera. Ostrożnie usunął z głowy opatrunek. Na końcu zmienił obuwie ze sportowego na eleganckie. Bez głupiej czapki szofera i duszącego krawata wyglądał całkiem nieźle — wykapany lekarz. Zastanawiał się, czy założyć fartuch, ale ostatecznie zrezygnował z niego. Dres i obuwie spakował do plecaka, po czym opuściłabinę.

Kiedy przechodził obok lustra, nieco się przeraził. Jego fryzura wyglądała koszmarnie — pasowała do wizerunku pacjenta, ale nie do sylwetki lekarza. W miejscu rany miał pozlepiane pęki włosów — każdy sterczał w inną stronę. Korzystając z umywalki, doprowadził się do względnego porządku.

Wychodząc z toalety, niemalże zderzył się z dwoma mężczyznami idącymi w stronę windy. Jeden z nich był lekarzem, a drugi, znacznie wyższy, wyglądał jak rasowy biznesmen.

Bartonowi zrobiło się słabo, gdy doktor Harris prawie że wpadł na Nicka wychodzącego z toalety. Detektyw, ujrawszy towarzysza, omal nie dostał zawału. Obaj błyskawicznie oprzytomnieli i zaczęli zachowywać się *normalnie* — adekwatnie do swoich ról.

— Najmocniej przepraszam za moje gapiostwo! — powiedział z wyraźnym zakłopotaniem w głosie Nick.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział obojętnie doktor. — Przepraszam, ale chyba nie mieliśmy okazji się poznać... Edward Harris. — Wyciągnął dłoń na powitanie, dziwnie przyglądając się plecakowi, jaki nowy pracownik miał na ramieniu.

— James Kerr, miło mi. Wezwano mnie z Nowego Jorku. Mam asystować podczas jakiejś operacji. Czy któryś z panów mógłby mi wskazać gabinet dyrektora? Miałem się u niego stawić najszybciej, jak to tylko możliwe.

— Oczywiście... — Harris od razu domyślił się, o jakiego pacjenta może chodzić. — Dyrektor Morris ma w tej chwili obchód, ale wskażę panu jego gabinet. Niestety, będzie pan musiał chwilę poczekać.

— Nie ma problemu.

Edward Harris nie przestawał przyglądać się plecakowi.

— Proszę mnie nawet nie denerwować — powiedział Nick, widząc wzrok doktora błędzący w okolicach jego pleców. — Najpierw jacyś idioci posłali mój bagaż, cholera wie, gdzie, a gdy wyjaśniałem tę sprawę, ktoś ukradł moją aktówkę.

— Żartuje pan...

— Chciałbym... Dobrze, że chociaż portfel miałem przy sobie. Kupiłem parę drobiazgów i musiałem je do czegoś włożyć. To jedyna rzecz, jaką mieli w drogerii. — Pokazał na plecak. — Z drugiej strony, lepsze to niż paradowanie z reklamówką.

— Domyślam się...

Wes Barton spojrzał groźnie na towarzysza, który dość sprawnie wymyślał kolejne kłamstwa. Na razie blef działał, ale wystarczyło, aby Edward Harris wykonał jeden telefon i wszystko szlag by trafił. Nick miał dotrzeć do celu niezauważony, a tymczasem ładował się w samą paszczę lwa.

— Nie znoszę, jak ktoś przytrzymuje drzwi! — warknął Barton.

— Zgodzę się. To rzeczywiście irytujące.

Wreszcie winda zjechała, — o dziwo, pusta — i wszyscy trzej weszli do środka.

— Zarówno mój gabinet, jak i biuro dyrektora mieszczą się na tym samym poziomie — poinformował Edward Harris i nacisnął dwójkę na panelu sterującym.

Korytarze drugiego piętra były równie opustoszałe, jak te na parterze. Lekarze już dawno zakończyli przyjmowanie umówionych pacjentów. Jedyne sprzątaczkі krzątały się jeszcze po budynku, przygotowując go na kolejny dzień. Na środku korytarza stał wózek z mnóstwem butelek i spryskiwaczy.

Mężczyźni opuścili kabinę.

— Proszę iść tędy, a gdy zobaczy pan drzwi z tabliczką *Jonathan Morris*, będzie pan na miejscu. Nie sposób zabłądzić.

— Dziękuję... — odparł Nick i pospiesznie oddalił się.

— A pana zapraszam za mną...

Wes Barton w myślach pożegnał towarzysza i poszedł za doktorem.

— Słyszałem o tej klinice sporo dobrego. Liczę, że szybko rozwiążemy problem.

— Ja również. Wiem, co panu spędza sen z powiek.

— Tak?

— Przymus kolejnej wizyty, a dokładniej, stracony na nią czas.

— Przejrzał mnie pan... Wpadłem do was, bo miałem po drodze.

— Domyślam się. Należy pan do ludzi pokroju mojego ojca. Dopiero gdy zemdlął z bólu, przyznał się, że coś mu dolega.

— Czyta pan, doktorze, jak z otwartej książki.

— Niestety, na wszystko potrzeba czasu i dobrej woli pacjenta. Nie zmusimy nikogo do leczenia. Co najwyżej możemy nalegać.

— Postaram się współpracować.

— Świetnie. Mamy wielu zadowolonych pacjentów, którzy polecają nas znajomym. Wie pan, jak to działa...

— Dobrego produktu nie trzeba reklamować, bo robią to klienci... — podchwycił biznesmen.

— Ale tylko wtedy, jeżeli produkt broni się sam.

— Widzę, że opanował pan podstawy marketingu.

— Mam nadzieję, że leczenia również — powiedział wesoło Harris. — Nie lubimy tutaj, gdy pomoc sprowadzana jest do usługi, a pacjent do klienta. Zdrowie przede wszystkim. Nie możemy sobie pozwolić na fuszerkę, bo ktoś może na tym ucierpieć.

Wreszcie znaleźli się w gabinecie.

— Tak więc, panie Barker, proszę mi powiedzieć, co pana do nas sprowadza.

— Otóż — zaczął głośniejszym głosem, po czym od razu ściszył głos, dając do zrozumienia, że sprawa jest krępująca — mam mały problem, tam na dole. Od paru miesięcy odnoszę wrażenie, że nie załatwiam się do końca. Biegam do ubikacji co dwie godziny, a za wiele tego nie ma. Mój kot sika więcej ode mnie. I może nawet nie przyszedłbym z tym do was, ale ostatnio zaczęło mnie dodatkowo piec przy...

— Oddawaniu moczu?

— Dokładnie.

— Jest jeszcze jeden problem...

— Ze stosunkiem?

— Skąd pan wie?!

— Jestem lekarzem, a pan należy do tej połowy mężczyzn w naszym społeczeństwie, którzy mają pecha i dochodzi u nich do przerostu prostaty.. Na razie, a wnioskuję to po pana opisie, jeszcze łagodnego, ale należy się tym niezwłocznie zająć. Badał się pan kiedyś w tym kierunku?

— Chyba nie... Nie pamiętam.

— Zapamiętałby pan, więc pewnie nie.

— Ostatnio mam mało czasu na cokolwiek.

— Im dłużej będzie pan zwlekał, tym gorzej dla pana — powiedział stanowczo doktor. — Pieczenie spowodowane jest zakażeniem, a to z kolei bywa częstym, nawracającym i niestety bolesnym następstwem pana problemu.

— Cudnie...

— Wprawdzie mamy tutaj urologa, ale jest chwilowo nieobecny. Ma pan trochę szczęścia, bo zanim zrobiłem

specjalizację z kar-diologii, chciałem zostać urologiem. Przeprowadzę wstępne badanie, ale mimo wszystko będzie potrzebna konsultacja specjalisty. Zlecę także badanie krwi i moczu.

Doktor naskrobał coś na kartce, a Barton w tym czasie zdjął marynarkę i podwinął rękaw.

— Nie, nie, panie Barker... — pohamował go Edward Harris.
— Krew i mocz oznaczy pan sobie w laboratorium.

ROZDZIAŁ 68

Nick bez trudu odnalazł gabinet Jonathana Morrisa. Nie zaskoczył go fakt, że jego drzwi również były zabezpieczone czytnikiem. Nie miał czasu. Musiał coś wymyślić zanim dyrektor wróci. Przypomniał sobie o sprzątaczkach i pobiegł z powrotem.

Starsza kobieta w błękitnym uniformie właśnie przeszukiwała wózek. Z dolnego poziomu wydobyła różowy spryskiwacz i paczkę papierowych ręczników, po czym weszła do jednego z pomieszczeń.

Nick podbiegł do wózka. Na jednym z kijków od mopa wisiał identyfikator kobiety. Nazywała się Alice Mills. Niestety, do plakietki nie była dołączona karta, więc ponownie musiał improwizować.

— Przepraszam, panno Mills! — zawołał oschle i władczo, jak na lekarza przystało.

Zdziwiona kobieta wyszła na korytarz. Rzadko zdarzało się, aby ktoś ją wołał. Zazwyczaj pracowała w samotności i spokoju.

— Tak, panie doktorze?

— Mam prośbę. Czekam na dyrektora Morrisa, a bardzo chce mi się pić. Nie ukrywam, że po kilkugodzinnej podróży chętnie

bym odpoczął. Doktor Harris powiedział, że mam poczekać na szefa w pokoju socjalnym, ale nie wyrobili mi jeszcze karty. Babka na recepcji nie potrafiła jej zakodować. Podobno chwilowo system szlag trafił. Kazali mi wrócić później. W związku z tym mógłbym na chwilę...

— Mój Boże! — przeraziła się kobieta. — Jak oni dbają o swoich pracowników?! W ogóle nie wiem, kto wymyślił ten cały cyrk z kartami. Pacjenci co chwilę je gubią. Czuję się jak w hotelu! W toalecie znalazłam ich już przynajmniej tuzin, a pracuję tu dopiero od roku — powiedziała szczerze poirytowana. — Proszę za mną, panie doktorze.

Nie do końca o to Nickowi chodziło, więc od razu powstrzymał zapędy kobiety.

— Proszę sobie nie przerywać! Nie chcę robić kłopotu. Pożyczę kartę na dosłownie dwie sekundy i zaraz ją oddam.

— Niestety, regulamin zabrania mi komukolwiek przekazywać kartę, nawet samemu dyrektorowi — oznajmiła. — Ale to żaden problem. Proszę za mną. I tak miałam iść na przerwę.

— Jest jeszcze jedna sprawa, bardziej krępująca. — Ściszył głos.

— Musiałbym udać się do toalety i nie wiem, ile mi zejdzie. Przepraszam, ale czułbym się nieswojo, gdyby ktoś stał nade mną. Potem znowu musiałbym panią gonić. Sama pani rozumie.

Kobieta wykrzywiła usta.

— Wie pani co... Nieważne. Skorzystam z toalety w pierwszym budynku. Tam pewnie nie mają czytników. — Odwrócił się i zaczął iść w kierunku windy, kiedy usłyszał zbawienne słowa.

— Panie doktorze, proszę zaczekać!

Zatrzymał się i odwrócił głowę.

— Ale zaklinam pana, to musi zostać między nami! Jeżeli ktoś się o tym dowie, stracę pracę, a nie ukrywam, że zależy mi na niej — ostrzegła, po czym otworzyła sobie następne drzwi. — Sprzątnięcie tych dwóch pomieszczeń zajmie mi jakieś dwadzieścia minut.

— Postaram się uwinąć w dziesięć...

— Proszę już iść, bo jeszcze pan nie zdąży. — Uśmiechnęła się ze zrozumieniem i wróciła do swoich obowiązków.

Nick pospiesznie udał się w kierunku toalety, która — podobnie jak ta na parterze — mieściła się niedaleko windy. Minąwszy drzwi z sylwetkami mężczyzny i kobiety, sprawdził, czy nie jest obserwowany i pobiegł w stronę gabinetu dyrektora.

ROZDZIAŁ 69

— Jest pan gotowy, panie Barker?

— Moment... — odparł Barton, umyślnie przedłużając pobyt w przebieralni.

Gabinety lekarzy w prywatnej klinice znacznie różniły się od tych, jakie mieli do dyspozycji w państwowych placówkach. Meble wykonane z lakierowanego, jasnego drewna i osobne pomieszczenia służące za przebieralnie — to tylko kilka ze standardów, jakie Jonathan Morris wprowadził do kliniki. W każdym gabinecie znajdowały się rośliny doniczkowe wprowadzające przytulną atmosferę w sterylne otoczenie. Na ścianach, zamiast obszarpanych plakatów propagujących zdrowie czy reklam leków, wisiały reprodukcje największych mistrzów pędzla.

— Nieźle się tutaj urządziliście — zauważył Barton, wychodząc z przebieralni w białym i skarpetkach.

— Dyrektor Morris osobiście dba o każdy szczegół. Dla porównania: zwykła placówka szpitalna ma do dyspozycji trzy razy mniej miejsca na pojedynczy gabinet niż my.

— Proszę nie wziąć tego za obrazę, ale czuć ten przepych. Nie, żeby mi to przeszkadzało...

— Może i tak, ale to dla nas ważne, aby przyzwyczajeni do udogodnień goście nie rozstawali się z nimi nawet w momencie, kiedy są zmuszeni nas odwiedzić. Nie ukrywam, że większość z nich jest tak zapracowana, że zapomina o swoim zdrowiu i trafia do nas w stanie ciężkim, a zdarza się, że w krytycznym i muszą nagle spędzić w naszej placówce sporo czasu.

— Domyślam się. Sam jestem tego przykładem. Badam się od święta. Dopiero jak mnie przyciśnie, zaczynam się martwić. Choć przyznam, że chciałem to przetrzymać.

— Dobrze, że pan się u nas zjawiał. Przepraszam na moment...

Edward Harris odebrał telefon, który od dobrej minuty wibrował w kieszeni i doprowadzał go do szału. Nie znosił, kiedy ktoś dzwonił, gdy akurat miał pacjenta.

— Przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać — powiedział stanowczo.

Barton obserwował zmieniający się wyraz twarzy doktora. Rozmówca wywołał u niego poważny ból głowy. Wpatrzony w blat biurka, pomasaował skronie.

— Zaraz będę... Niczego nie róbcie — zakończył pośpiesznie.
— Najmocniej pana przepraszam, ale pacjent, który trafił do nas niecałą godzinę temu, jest niestabilny i muszę do niego pójść. To może być kwestia życia lub śmierci, więc mam nadzieję, że mi pan wybaczy. Wierzę, że nie potrwa to długo.

— Spokojnie, doktorze. Ja mam czas. On może go już nie mieć.

— Dziękuję za wyrozumiałość — powiedział z wdzięcznością w głosie Harris i wybiegł z gabinetu.

Barton w okamgnieniu ubrał się i wyrzwał za drzwi. Wciąż słyszał szybkie kroki lekarza niosące się po pustym korytarzu. Od razu domyślił się, o jakim *pacjencie* rozmawiali. Nie mógł zmarnować takiej okazji, więc pobiegł za doktorem.

W połowie drogi pomiędzy gabinetem a załomem korytarza usłyszał odgłos domykających się automatycznie drzwi. Sprawa musiała być na tyle pilna, że doktor nie czekał na windę. Barton w biegu rzucił okiem na wyświetlacz — kabina niezmiennie tkwiła na parterze. Ostrożnie uchylił drzwi prowadzące na klatkę schodową. Usłyszał kroki. Wychylił się i dostrzegł męską dłoń ślizgającą się po poręczy — doktor miał już nad nim dwa piętra przewagi.

Przytrzymał drzwi, aby te nie narobiły niepotrzebnego hałasu i cicho, ale szybko, zaczął zbiegać przy ścianie. Słyszając kolejne trza-śnięcie, przyspieszył. Przytrzymując się poręczy, nie bacząc na hałas, brał po dwa, a nawet trzy schody, zeskakując z ostatnich na podesty. Pędził na złamanie karku, niemalże wrywając poręcz z mocowań. W tym szale zapomniał liczyć piętra. Gdy nagle skończyły się schody, odniósł wrażenie, że był już poniżej parteru. Opanował oddech i uchylił drzwi.

Zobaczył doktora stojącego z ręką opartą na płaskim ekranie. Urządzenie wystawało ze ściany tuż obok solidnych drzwi. Przesuwający się promień światła był dla Bartona niemałym zaskoczeniem. Natychmiast rozpoznał nietypowy rodzaj zabezpieczenia. Zastanawiało go tylko, co skaner linii papilarnych robił w placówce medycznej.

Ekran rozbłysnął na zielono, potwierdzając poprawną weryfikację i głośny szczęk zaświadczył o zwolnieniu zamka.

Doktor Harris z całej siły pchnął drzwi. Uruchomił się mechanizm domykający i Barton niczym tygrys w kilku potężnych susach dosko-czył do nich. W ostatniej chwili przytrzymał je przed domknięciem. Odczekał chwilę, nasłuchując. Doszły go krzyki dziecka — wołania o pomoc niosące się echem po pustym korytarzu.

ROZDZIAŁ 70

Gabinet Jonathana Morrisa był pogrążony w ciemnościach. Jedynie niewielki blask padający z ekranu laptopa oświetlał twarz i część sylwetki Nicka siedzącego w fotelu. Uruchomił własny laptop i podłączył się do komputera Morrisa, tak jak mu to pokazano. Diody zaczęły szaleć — rozpoczął się proces kopiowania.

Nie chcąc tracić czasu, detektyw odszukał w plecaku latarkę i zaczął rozglądać się po gabinecie. Najpierw jego uwagę zwróciła nieopisana teczka leżąca na biurku — na jej wierzchu widniał tylko kilkunastocyfrowy numer. Zawartość stanowiła jedną wielką zagadkę. Zawierała wyniki badań, jednak skróty i liczby niewiele Nickowi mówiły. Telefonem wykonał kilka zdjęć i odłożył ją z powrotem.

Przeszklona część starej biblioteczki mieściła głównie książki. Niemal wszystkie pozycje, pośrednio lub bezpośrednio, dotyczyły zagadnień medycznych. Dolna część — szafka — okazała się bardziej interesująca. Na dwóch półkach, łącznie stało około sześćdziesięciu, może siedemdziesięciu teczek. Nick otworzył przypadkową. Były to dane personalne pracowników kliniki.

— Ciepłej...

Odłożył dokumenty i poświecił po kolejnych szafkach. Szczególne zainteresowanie wzbudzała jedna z nich — zamykana

na klucz. Nick przygotował się na taką ewentualność. Wyciągnął z plecaka zestaw wytrychów i szybko uporał się z przeszkodą.

Głęboka szuflada samoczynnie wyjechała na zewnątrz. Trzymając latarkę w ustach, zaczął przeglądać akta. Na początku nazwiska na teczkach nic mu nie mówiły, ale w miarę, jak zbliżał się ku coraz świeższym datom, wszystko zaczęło nabierać sensu. Po kilku kolejnych był już całkowicie pewien. Właśnie znalazł to, po co przyszedł — szuflada zawierała dane pacjentów, którzy widnieli na liście otrzymanej od Kate. Co więcej, akta były posegregowane miesiącami i na końcu spodziewał się znaleźć dane Petersona oraz Knighta — dwóch najświeższych pacjentów z listy. Ku jego zdziwieniu, najnowszateczka nie była opatrzona żadnym ze znanych mu nazwisk. Zapisano na niej pogrubionymi literami — JEFF SHAW. Wyciągnął ją i otworzył na pierwszej stronie.

Przeraziło go to, co zobaczył. Nie wgłębiał się w dane medyczne. Zdjęcie chłopca przypięte do pierwszej strony w zupełności mu wystarczyło. Od razu domyślił się, że to dzieciak mający przejść operację. Zamknął teczkę i schował ją do plecaka.

Pod szufladą, której zamek udało mu się sforsować, była następna, również zamknięta. Powtórzył operację i wkrótce kolejne akta ujrzały światło dzienne. Tym razem jednak te czki były opisane długimi liczbami, z których każda składała się z różnej ilości cyfr. Wyglądały tak samo, jak ta leżąca na biurku. Wyciągnął przypadkową i zaczął przeglądać. Nie zawierała danych personalnych, a jedynie szeroko opisane wyniki badań. Domyślił się, co ma przed sobą. Szybko przeliczył te czki w jednej i drugiej szufladzie, uwzględniając również te, które już schował do plecaka, jak i tę leżącą na biurku. Ich ilość była identyczna.

Przeszył go dreszcz, kiedy uświadomił sobie, że właśnie odkrył niepodważalny dowód na popełniane w klinice zbrodnie.

Urządzenie zakończyło kopiowanie dysku — diody zgasły. Nick rozłączył sprzęt i schował go do plecaka. Na koniec spakował do niego tyle teczek, ile tylko zdołał. Wtedy usłyszał podejrzenie brzmiący dźwięk dochodzący z za pleców. Podłogę zalał strumień światła z korytarza. Drzwi gabinetu otworzyły się, ukazując męską sylwetkę. Poświecono mu w oczy latarką.

Oślonił się ręką, ale nie był w stanie dostrzec rysów twarzy. W jego stronę skierowano coś przypominającego lufę pistoletu, ale zamiast głośnego strzału usłyszał kliknięcie przełącznika — neonówki w suficie, jedna po drugiej, zaczęły się zapalać. Kiedy otoczenie pojaśniało, zrozumiał, że jest w pułapce. Uzbrojony w glocka mężczyzna ze znamieniem na policzku stanął pomiędzy nim a drzwiami.

— Nigdy nie zrozumieję policjantów... Jesteście tak samo głupi jak przewidywalni — rzucił ironicznie Brian Blanc i wyciągnął telefon. — Panie Morris, sugeruję jak najszybszy powrót do swojego gabinetu. Mamy gościa... — Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

— Kim jesteś? — zapytał zdezorientowany Nick. W pierwszej chwili myślał, że ma do czynienia z dyrektorem.

— To nieistotne, panie Stewart. Powiedzmy, że zajmuję się tym, co innych przerasta albo... po prostu im doskwiera — odparł Blanc.

— Anderson, jeżeli dobrze pamiętam.

— Nie wiem, skąd pan mnie zna, ale zgadza się...

— Płatny zabójca...

— Wolę określenie *zleceniobiorca*.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz. Mordujesz ludzi i tyle...
- Wszystko zależy od punktu widzenia — roześmiał się Blanc.
- Raczej od stopnia popierdolenia.
- Nie zagłębiajmy się w szczegóły.
- To ty zabiłeś Brysona?
- Zabiło go wtrącanie nosa w nie swoje sprawy.

Nick szukał wzrokiem jakiegoś rozwiązania. Potrzebował czegoś, co dałoby mu przewagę albo chociaż wyrównało szanse. Nie mógł liczyć na to, że zagada lub sprowokuje tego człowieka. Pod oknem dostrzegł torbę z kijami golfowymi, jednak były za daleko, aby po nie sięgnąć.

— Widzę, że już się pan rozgościł. — Blanc zauważył niedomknięte szuflady.

— Dyrektor z pewnością ma pełne ręce roboty. Nie chciałem mu zawracać głowy.

— Lubię zabawnych policjantów. Zaczynam żałować, że dałem panu Morrisowi znać. Tym bardziej, że chyba chciał pan zostać u nas na dłużej. — Blanc wskazał plecak. — Jestem pewien, że szef nie będzie miał nic przeciwko temu. Na pewno znajdzie się wolny pokój.

— Nareszcie dostanę cholerną kartę.

— Co pan tam chowa?

— Pornosy... — odparł sarkastycznie Nick.

— Nie, żeby mnie to kręciło, ale pozwoli pan, że zerknę. — Blanc machnął bronią w kierunku okna.

Nick wykonał polecenie z nieskrywaną radością. Wycofał się i stanął tuż obok torby z kijami golfowymi, zasłaniając ją. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Blanc mógł jej nie widzieć. Kiedy morderca spuścił wzrok, lustrując zawartość plecaka, Nick złapał

za torbę i cisnął nią z całej siły w napastnika. Ten zdążył strzelić, ale niecelnie. Po przyjęciu uderzenia na bark i rękę wypuścił pistolet. Nick natychmiast naparł z całej siły na biurko, chcąc uwięzić zabójcę pomiędzy meblem a ścianą. Było jednak za ciężkie. Za późno dobiło do niej i Blanc zdążył odskoczyć. Rozejrzał się za pistoletem, który przepadł gdzieś pod biurkiem. Zanim podniósł wzrok, dostał pięścią w twarz. Silny cios zamroczył go, a ze złamanego nosa pociekła krew. Czując oszołomienie, oparł się plecami o ścianę i odruchowo zasłonił rękami twarz. Dostał w gardę, ale drugi cios poszedł niżej — w podbrzusze. Kilka kolejnych również. Blanc zwinął się wpół, a Nick wykorzystał okazję. Potwornie mocnym ciosem w skroń powalił zabójcę.

Obserwując nieprzytomnego przeciwnika, Nick opróżnił plecak ze wszystkich niepotrzebnych rzeczy, a wolne miejsce wypełniły kolejne teczki. Wyciągnął telefon. Kapitan odebrał natychmiast.

— Mamy ich!

— Kogo?

— Zdobyłem teczki pacjentów i ofiar! Pograżymy sukinsynów! Ale uważajcie, bo mają tutaj z tuzin ochroniarzy, a na terenie ośrodka jest mnóstwo cywili!

— A gdzie zła wiadomość? — zapytał Cussler charakterystycznym dla niego tonem.

— Już wiedzą, że tu jesteśmy!

Nick wybiegł na korytarz. Kilkanaście metrów od niego zatrzymał się jakiś człowiek idący szybkim krokiem w stronę gabinetu. W ciemnym korytarzu, w rozpiętym białym kitlu i jasnym medycznym obuwiu wyglądał jak zjawa.

Obaj rozpoznali się bez zbędnych prezentacji.

— Panie Morris! Policja! — krzyknął Nick, unosząc broń. — Jest pan aresztowany! Proszę położyć się z rękami...

Dyrektor rzucił się do ucieczki i natychmiast zniknął za zakrętem korytarza. Nick ruszył za nim. Usłyszał, jak Morris, krzycząc do telefonu, wzywa wszystkich ochroniarzy do budynku szpitala.

ROZDZIAŁ 71

Wes Barton biegł korytarzem w kierunku, z którego dobiegały krzyki. Minął drzwi z numerem jeden — były zamknięte. Spojrzał przez małą szybkę, ale wewnątrz zalewała ciemność. Desperackie wołania stawały się coraz wyraźniejsze. Dostrzegł delikatną łunę światła.

Nagle krzyki ucichły. Barton spodziewał się najgorszego. Następne z kolei drzwi nie były domknięte. W szczelinie zobaczył pielęgniarkę stojącą przy łóżku i doktora Harrisa pochylającego się nad młodym pacjentem z wolną tracącym przytomność. Nie miał zamiaru dłużej czekać. Silnym kopniakiem otworzył drzwi, które uderzyły o ścianę.

Pielęgniarka i doktor podskoczyli jak rażeni prądem.

— Odsuńcie się od dzieciaka — rzucił na powitanie Barton. — Możemy to załatwić na dwa sposoby. Sami zdecydujcie.

— Co pan tu robi? Zapewniam, że to nie to, na co wygląda — zaczął tłumaczyć się Harris. Dopiero po chwili zrozumiał, że niezapowiedziana wizyta Franka Barkera w klinice nie była przypadkowa.

W tym czasie pielęgniarka, zgrabnie operując dłońmi za plecami, ponownie napełniała strzykawkę środkiem uspokajającym. Olbrzym był zajęty krótką wymianą zdań

z doktorem, ale podejrzanе zachowanie kobiety nie uszło jego uwadze.

— Nie radzę... Cokolwiek tam masz, *kochana*, wyrzuć to — warknął, widząc, jak pielęgniarka wykonuje szereg dziwnych ruchów.

Edward Harris doskonale wiedział, co planuje jego asystentka i za wszelką cenę starał się odwrócić uwagę Bartona.

— Nie rozumiesz, że jeżeli temu chłopakowi coś się stanie...

— Nie, nie rozumiem! Jak można ratować jedno życie, kosztem drugiego? Jesteś Bogiem, że o tym decydujesz? — Barton stracił czujność, kolejny raz wdając się w niepotrzebną dyskusję. Pielęgniarka wykorzystwała ten moment i rzuciła się na niego. Nie miała szans obalić wielkoluda, który twardo stał w lekkim rozkroku, ale też nie to było jej celem. Brutalnie wbiła igłę w szyję olbrzyma i z całej siły nacisnęła tłok.

Zastrzyk był potwornie bolesny. Barton wrzasnął, chwycił kobietę za rękę i odciągnął ją wraz ze strzykawką od szyi. Płyn opryskał mu twarz, choć znaczna jego część dostała się już do organizmu. Musiał działać szybciej od tego czegoś. Gwałtownie zrzucił pielęgniarkę z pleców. Złapał ją za ubrania i z łatwością podniósł.

Edward Harris przeraził się, widząc siłę przeciwnika. Próbował uciec, ale olbrzym rzucił kobietą w jego kierunku. Siła, z jaką ciało pielęgniarki uderzyło w doktora, była ogromna — razem polecieeli na szafkę z lekami. Ta zachwiała się i przewróciła, przygniatając ich oboje. Potłuczona szyba i rozbite fiolki pospadały na ciała.

Nie patrzył, czy wstają. Nie interesowało go nawet, czy żyją. Stanął obok przywiązanego do łóżka chłopca. Poluźnił pasy

i poklepał go po twarzy. Dzieciak stracił przytomność. Barton wziął go na ręce.

— Trzymaj się, mały. Spadamy stąd.

ROZDZIAŁ 72

Nick dobiegł do końca ślepego korytarza. Wcześniej sprawdził klatkę schodową. Nigdzie nie było śladu dyrektora. W drodze powrotnej zaczął zaglądać do pomieszczeń, otwierając drzwi za pomocą posiadanej karty. Trzecia sala z kolei była zupełnie inna niż pozostałe — przypominała szatnię. Przy ścianie znajdowały się długie umywalki. Przeszedł obok nich i dotarł do następnych drzwi, którymi trafił do śluzy. Przez małe okienko dostrzegł zamykające się drzwi.

— Mam cię...

Wbiegł na salę operacyjną. Na środku stał stół operacyjny otoczony profesjonalnym sprzętem, lampami na wysokich stelażach i stolikami na kółkach. Przystanął przy drzwiach na drugim końcu pomieszczenia. Zerknął do środka, ale nikogo tam nie było.

Nacisnął klamkę i nogą pchnął drzwi, cały czas trzymając broń w pogotowiu. Podłoga lekko opadała do środka dziwnej sali, gdzie znajdował się metalowy stół. Na suficie Nick zauważył kilka otworów. Kolejne drzwi, znajdujące się w lewej ścianie, były ślepyim zaułkiem — prowadziły do niewielkiego pomieszczenia, które wyglądem przypominało jałową celę. Niewielka szybka uniemożliwiała dokładne rozejrzenie się po wnętrzu. Nie było też sposobu, aby dostać się do środka.

— To koniec, Morris. Wyłaź stamtąd, a może dostaniesz dożywocie i...

Nick zauważył coś dziwnego — w jednym miejscu sali brakowało... fragmentu podłogi. W pierwszym momencie miał wrażenie, że wzrok splątał mu figła, ale podchodząc bliżej, zrozumiał nagle, gdzie tak naprawdę podział się Morris.

W tym miejscu rozpoczynał się pionowy szyb o przekroju prostokąta, mniej więcej metr na dwa. Diody umieszczone w jednej ze ścian słabo oświetlały jego wnętrze. Nick dostrzegł niewyraźny zarys sylwetki. W pierwszym momencie chciał tam wskoczyć, ale po dokładniejszej ocenie odległości zrezygnował z samobójczego posunięcia.

Dyrektor podniósł głowę. Wiedział, że policjant nie strzeli. Nie tak go uczono. Gdyby był bliżej detektywa, ten zobaczyłby białe zęby wyszczerzone w szyderyczym uśmiechu.

Nick desperacko naciskał guzik w ścianie obok pulsującej diody, próbując przywołać dziwną windę. Ze względu na sporą odległość i panujący półmrok nie widział dobrze, ale jednego był pewien — Morris zniknął, a coś blokowało podest.

— Cholera jasna...

Nie tracąc czasu, wrócił na główny korytarz. Usłyszał groźne pokrzykiwania. Trzech uzbrojonych w półautomaty ochroniarzy wybiegło z windy. Nie miał szans. Wycofawszy się, pozostał niezauważony. Drzwi sal otwierały się na zewnątrz, więc nie było możliwości zablokowania ich czymkolwiek od środka. Gorączkowo rozejrzał się w poszukiwaniu wyjścia z beznadziejnej sytuacji. Zaczął przeglądać wszystkie szafki, ale nie znalazł niczego oprócz ogromnej sterty prześcieradeł, kilkunastu paczek podkładów higienicznych, mnóstwa kompresów, fartuchów i stosu innych, niepotrzebnych mu w tej chwili rzeczy.

Wiedział, że jeżeli chce uniknąć konfrontacji, jedyna droga prowadzi w dół — przez wąski szyb nietypowej windy. Przyszedł

mu do głowy pewien pomysł. Gdyby miał nieco więcej czasu do namysłu, pewnie zrezygnowałby z niego. Czas był jednak luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić.

Złapał tyle prześcieradeł, ile zdołał i pobiegł do ostatniej sali. Czynność powtórzył trzykrotnie. Ostatnim razem, kiedy usłyszał zbliżających się ochroniarzy, porwał dodatkowo wszystkie fartuchy, które wisiały w szafce. Jego ciało zalewał pot. Minął salę operacyjną i pędem pokonał drzwi. Wrzucił ostatni ładunek do szybu windy. Wrócił i ze stołu operacyjnego zerwał materac. Był całkiem spory — Nick miał nadzieję, że dobrze wpasuje się w prostokątny przekrój szybu. Niestety, pomylił się w obliczeniach. Długość była odpowiednia, ale po bokach brakowało sporo centymetrów.

Usłyszał, jak oddział ochroniarzy pokonuje drzwi służy.

— Tam jest!

Zobaczył mężczyzn biegnących przez blok operacyjny.

— W mordę... — Trzymając się kurczowo materaca, wskoczył do szybu. W pierwszej chwili miał wrażenie, że jego plan działa i materac spełnia funkcję — powoli opada na wytworzonej pod nim poduszce powietrznej. Szybko jednak zrozumiał, że dopasowanie wielkości materaca do przekroju otworu było niedokładne. Do tego nieumyślnie przechylił się i zgodnie z siłą ziemskiego przyciągania zaczął gwałtownie przyspieszać. W ostatnim etapie lotu zdołał jedynie skorygować swoje położenie.

To, co nastąpiło później, było trudne do opisania. Plan zakładał łagodny upadek z dużej wysokości na podłogę wyścielone wszystkim, co znalazł w szafkach. Prawda okazała się jednak zupełnie inna — dużo bardziej brutalna. Blokadą, która hamowała windę przed powrotem na górę, był wózek do przewozu zwłok.

Większość rzeczy wrzuconych do szybu odbijała się od niego i spadała wszędzie, tylko nie tam, gdzie powinna. Kiedy Nick wraz z materacem upadł na niego, siła uderzenia mocno spłaszczyła go i został odepchnięty — przestał spełniać funkcję blokady i winda ruszyła.

Nick czuł wszystkie kości. Półprzytomny leżał na wznoszącym się podeście. Gdy otworzył oczy, dostrzegł szybko zbliżający się sufit pomieszczenia. Ostatek sił odepchnął się i przeturlał w bok. Spadł na miękkie prześcieradła.

— Chociaż tyle...

Nad głową usłyszał wrzaski. Padło kilka strzałów. Kule trafiły w podest, wybrzuszając metal.

Nick przewrócił się na bok i podparł ręką. Po kolei ruszał kończynami, diagnozując ewentualne złamania. Był obolały, ale zdolny do dalszego działania. Na prześcieradłach dostrzegł czerwone ślady. Zignorował je. Gdy wstał, mimowolnie mrugnął — strużka krwi zalała mu oczodół.

Podniósł kilka kompresów i mocno ucisnął ranę na głowie. Opatrunki natychmiast zabarwiły się na czerwono. To nie wystarczyło... Wziął nowe i owinął głowę bandażem, mocno go ściągając.

Rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu. Z wyjątkiem rzeczy, jakie wrzucił do szybu, nie było w nim nic oprócz urządzenia przypominającego wyglądem metalową szklarnię, częściowo wbudowaną w ścianę. Widział kiedyś coś takiego — to był piec do kremacji zwłok. Już wiedział, gdzie i w jaki sposób pozbywają się ciał. Musiał tylko przeżyć, żeby o tym opowiedzieć. Spojrzał w głąb szybu. Podest był już na samej górze i właśnie zaczął opadać.

Po opuszczeniu spalarni zwłok miał do wyboru dwa kierunki. Pobiegnął w prawo.

ROZDZIAŁ 73

Barton leżał twarzą do ziemi. Nie był w stanie iść ani nawet się czołgać. Wiedział, że za chwilę straci przytomność. Jedynie chłód podłogi, jaki czuł przez policzek, co jakiś czas przywracał mu świadomość. Próbował wstać, ale mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Ostatkiem sił obrócił się na plecy i zobaczył jakiś cień. Cały czas myślał o chłopcu, którego jeszcze przed chwilą niósł. Nie było go. Poruszył rękami. Prawą natknął się na jakiś opór, ale nie było to ciało. Trzymał coś skórzanego, coś... ciemnego. Coś, co poruszyło się i wyrwało z jego słabego uścisku. Usłyszał oddalające się kroki, które brzmiały tak uspokajająco. Nie był w stanie już dłużej walczyć. Zamknął oczy i stracił przytomność.

— Wes! Wes! — krzyczał Nick, pochylając się nad towarzyszem. Poklepał go po policzkach. Najpierw lekko, potem znacznie mocniej.

Olbrzym leniwie otworzył oczy. Pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, dotyczyła chłopca.

— Zabrali go... Musisz mu pomóc... Zabrali go — mówił jak w transie.

— Kogo zabrali? Widziałeś Morrisa?

— Chłopca... Zabrali chłopca...

— Morris go zabrał?

— Nie wiem... Nie widziałem...

— Co ci jest?! Dostałeś?! Jesteś ranny?!

Barton nie miał siły tłumaczyć. Pokazał tylko na szyję, gdzie widniało zaczerwienienie otaczające krwawy punkt.

— Podali mi coś... Cholerna baba... Załatwiła mnie...

— Jesteś w stanie iść?

Nick nie czekał na odpowiedź. Podniósł bezwładną rękę olbrzyma wazącą prawie tonę i zarzucił ją sobie na barki.

— No dawaj!

Barton ledwie się ruszał. Podparł się drugą ręką i podwinął nogę. Sam nie wiedział, jakim cudem wstał. Nie potrafił jednak utrzymać równowagi i polecieł na ścianę.

— Weź się w garść! Musimy uciekać!

— Zabrali chłopca... — wymamrotał Barton.

— Martwi mu nie pomożemy! Wezwałem posiłki, będą tu lada chwila, ale do tego czasu jesteśmy zdani na siebie.

Wolno ruszyli, zataczając się od ściany do ściany. Za plecami usłyszeli kilka niezrozumiałych męskich okrzyków. Nie musieli ich rozumieć. Doskonale wiedzieli, co oznaczają — kolejne kłopoty.

Po paru metrach dotarli do drzwi zaopatrzonych w czytnik. Nick wyciągnął z kieszeni zgniecioną kartę i przeciągnął ją przez rowek. Zapaliła się czerwona dioda.

— Co jest... — Pchnął drzwi, ale te ani drgnęły. Ponownie użył karty. Głosy ścigających ich mężczyzn były coraz wyraźniejsze, a czytnik raz za razem odmawiał współpracy.

— Długo jeszcze będziesz się z tym bawił? — ponaglił Barton, ledwo stojąc na nogach.

— Albo upadek ją uszkodził, albo to piętro ma osobne zabezpieczenia.

Spróbował jeszcze raz i nie czekając na rezultat, wypuścił ją z ręki. Sięgnął po pistolet. Zielone światło na urządzeniu

przywróciło mu nadzieję. Kopnął drzwi i razem z towarzyszem przeszli do kolejnej części korytarza. Strzelił dwukrotnie, aby dać do myślenia grupie pościgowej. Trzecią kulę posłał w czytnik, niszcząc urządzenie.

Pokonali dwa zakręty i stanęli na początku pięćdziesięciometrowego, szerokiego, słabo oświetlonego korytarza. Na całej jego długości działały tylko cztery neonówki, tworząc niewielkie strefy światła.

— Jesteśmy pod ziemią. To musi być korytarz łączący budynki! Szybciej, już niedaleko! — pospieszał Nick.

— Skąd wiesz? Byłeś tu?! — wyjęczał Barton, próbując zmusić otępiące ciało do biegu.

— A co ci mam powiedzieć?! Że jeszcze kilometr? Albo że nie musisz się męczyć, bo zaraz nas zastrzelą?

— W sumie...

Ostatnie metry długiego korytarza pokonali niemalże biegnąc. Nick cały czas sondował tyły. Gdy dotarli do apartamentowca, za nimi — na początku podziemnego przejścia — wyłonili się dwaj uzbrojeni mężczyźni. Jednym z nich był szef ochrony ośrodka — Bradford.

— Uważaj... — Nick pchnął Bartona na ścianę ułamek sekundy przed pierwszym wystrzałem.

Kilka kul przeleciało pomiędzy nimi.

Nick wskazał towarzyszowi boczny korytarz będący ich jedyną nadzieją. Wypuścił serię i błyskawicznie przeciął przejście. Pomógł Bartonowi, osłaniając go swoim ciałem. Przez chwilę znowu byli bezpieczni. Poruszali się wąską odnogą prowadzącą... Bóg wie gdzie.

Po trzydziestu metrach dotarli do klatki schodowej. Obok były rozsuwane drzwi.

— To chyba winda towarowa.

— Idziemy schodami...

Barton słabł coraz bardziej, ale wiedział, że w windzie miałoby ich jak na widelcu — wystarczyło wcisnąć jeden guzik i zablokować mechanizm. Opierając się o poręcz, pokonywał kolejne stopnie najszybciej, jak tylko mógł. Nick szedł jako drugi — zabezpieczał tyły. Schody zaprowadziły ich na parter. Wyjście było tylko jedno — dotarli do olbrzymiej hali.

— Tu muszą mieć swój punkt przeładunkowy — zauważył Nick.

— Szybko! Tędy... Może nam się uda. Patrz... — Wskazał niewielkie drzwi obok potężnej, podnoszonej bramy.

— Przepraszam!!! Halo!!!

Usłyszeli krzyk. Z małego biura wyskoczył jak oparzony magazynier w żółtym kombinezonie. Zatrzymali się jak wryci, rzucając po sobie pytające spojrzenia. Nick szybko przeanalizował sytuację. Chowając broń, puścił oczko do Bartona.

— Pogrzało cię? — warknął cicho olbrzym.

— Posłuchaj... Tim. — Nick odczytał imię z identyfikatora. — To jest pan Frank Barker, nasz najznakomitszy pacjent. — Wskazał *biznesmena* w sfatygowanym garniturze. — Doszło do ataku na klinikę i dyrektor Morris osobiście rozkazał mi odeskortować pana Barkera w bezpieczne miejsce. Jesteśmy ścigani przez kilku uzbrojonych ludzi. Jeżeli wiesz, jak zablokować te drzwi i windę, być może uratujesz życie nie tylko nam, ale też i sobie.

Chłopak zbaraniał. To zadanie zdecydowanie odbiegało od jego codziennych obowiązków. Spojrzał na rosnącego *milionera*, potem na Nicka, w końcu na drzwi.

— Nikt mnie nie ostrzegł. Muszę to potwierdzić...

— U dyrektora? Proszę bardzo... Dzwon, byle szybko. — Nick przekazał mu swój telefon.

— Nie znam numeru...

— A ja nie mam czasu... Dyskutując ze mną, kwestionujesz bezpośrednio polecenie dyrektora. Jeśli chcesz mu to powiedzieć, zasuway do biura, bierz w łapę telefon i dzwon. Byle szybko.

— Dobra, dobra... W porządku... Jezu...

Chłopak pobiegł do biura. Nie minęło pół minuty, a był z powrotem.

— Winda załadowana... Co dalej?

— Może użyjemy tego? — zaproponował Nick, wskazując beczki stojące na podeście, kilka metrów od drzwi.

— W sumie... Jest w nich woda. Możemy...

— Pomóż mi! — Nick wskoczył na podwyższenie i złapał pierwszą beczkę. — Ja pierdolę! Ile to waży?!

— Tyle, ile napisali. Dwieście kilo.

Razem przeturlali beczkę pod drzwi i postawili ją. Po dwóch minutach wszystkie, z wyjątkiem jednej, znalazły się na nowym miejscu. Ledwo żyli.

— Tę nie! — krzyknął zziębnięty magazynier, gdy Nick zabierał się za ostatnią. Różniła się kolorem od pozostałych.

— A to dlaczego?

— Nie umie pan czytać?!

Nick zerknął na etykietę — beczka zawierała ropę.

— To do generatorów, jak by prąd wywaliło! Chce pan nas wysadzić?!

Frank Barker i jego *ochroniarz* wymienili spojrzenia.

— Ile tego tu jest? — zapytał Nick.

— Nie wiem... Jedna trzecia, może więcej...

— Panie Barker, proszę uciekać! A tobie też radzę, bo zaraz zrobi się tutaj naprawdę gorąco!

— Chyba nie chce pan...

Cała trójka usłyszała odgłosy rozwścieczonych ochroniarzy dopadających drzwi. Walili w nie pięściami, a gdy to nie pomogło, zaczęli mocno kopać. Skrzydło napierało na beczki, ale te trwały niewzruszone.

— Spadaj stąd!

Przestraszony chłopak, widząc szaleństwo w oczach *ochroniarza*, podążył za Bartonem w kierunku bramy. Nick przewrócił beczkę i przeturlał ją na skraj pomostu. Zeskoczył i wyteżając wszystkie mięśnie, ściągnął ją na najniższy poziom, po czym kopał tak długo, dopóki nie znalazła się na środku magazynu. Odkręcił zawór. Ropa zaczęła wylewać się na beton. Po chwili obrócił beczkę, aby część paliwa pozostała w środku.

Ludzie Morrisa ostatecznie uporali się z drzwiami, wyłamując zawiasy. Jedni przeciskali się pomiędzy beczkami, inni przeskakiwali po nich. Będąc w połowie magazynu, poczuli zapach ulatniającego się paliwa. Było jednak za późno.

Nick posłał w ich stronę kilka strzałów. Nie celował w ludzi, a w okolice beczki. Gdy zauważył zapalającą się plamę, wybiegł na zewnątrz. Głośna eksplozja wstrząsnęła całym budynkiem, wypełniając wnętrze magazynu ogniem. Fala uderzeniowa rozeszła się we wszystkich kierunkach, przewracając beczki,

roztrzaskując szyby w biurze i wyginając elementy bramy, która zafalowała jak zasłonka w otwartym oknie.

— Oszalał pan?! — krzyknął magazynier, łapiąc się za głowę. Spojrzał na Nicka jak na wariata. Nagle poczuł ostry ból w okolicach szyi. Oczy zaszyły mu mgłą, a mięśnie nóg zwiotczały. Osunął się na trawę.

— No co? — zapytał ze zdziwieniem Barton. — Chyba nie chciałeś go zabrać ze sobą?

— Czemu nie? — podchwycił Nick. — Dobrze, że mi powiedział o tej ostatniej beczce. Mógł nam się jeszcze przydać.

Eksplozja i towarzyszący jej huk ostatecznie przywrócił Bartona do świata żywych. Pod osłoną nocy biegli w kierunku głównego traktu łączącego bramę z apartamentowcem. Z oddali widzieli, jak kilka samochodów pospiesznie opuszcza parking kliniki.

— Myślisz, że Morris jest w którymś z tych wozów?

— Na pewno. Pytanie tylko, w którym...

— Tam są!

Słyszac strzały, padli na ziemię. Kilku ochroniarzy bieгло w ich kierunku.

Nagle sznur samochodów zatrzymał się. Nerwowi kierowcy i pasażerowie zaczęli opuszczać pojazdy. Od strony głównej bramy nacierała grupa uzbrojonych w karabiny policjantów z oddziału specjalnego. Na kamizelkach mieli napis S.W.A.T.

— Nareszcie! — krzyknął uradowany Nick, widząc, jak zmierzający w ich stronę najemnicy zawrócili i pędzili teraz w kierunku lasu, próbując uciec przed obławą. Nad głowami przeleciały dwa helikoptery. Na podstawie natężenia dźwięków

wydawanych przez wirniki można było sądzić, że maszyny przygotowują się do lądowania.

— Stary Carl dobrze się spisał!

Policjanci podchodzili kolejno do każdego samochodu i kazali kierowcom oraz pasażerom opuszczać pojazdy i wracać do budynku.

— Cholera, widzisz gdzieś Morrisa? — zapytał Nick, jeszcze z ukrycia przyglądając się twarzom aresztowanych osób, często siłą wyciąganych z pojazdów.

— Kogo?

— Dyrektora...

— A skąd mam wiedzieć, jak wygląda?

— Racja...

— Za to wiem, jak wygląda jego kumpel... Chciał mi wsadzić palec w dupę, więc dobrze go zapamiętałem. Zresztą później dostał za swoje.

— A załatwiła cię jego narzeczona...

— Dobra, dobra, cwaniaku. Rozglądaj się za tym drugim...

— Założę się, że to przewidział...

— Niby co?

— Że coś takiego może się wydarzyć... Batt powiedział, że Morris projektował budynek szpitala. Wiedząc, czego się tutaj dopuszcza, z pewnością zostawił sobie jakąś drogę ucieczki. Co byś zrobił, gdybyś miał w cholere kasy i policję na karku?

— Uciekłbym do kraju, który nie ma umowy ekstradycyjnej ze Stanami albo na jakieś totalne zadupie.

Nick zastanowił się. Zobaczył biegnącego w ich kierunku uzbrojonego policjanta. Błyskawicznie wyciągnął odznakę.

— On jest ze mną. — Wskazał Bartona. — To my was wezwaliśmy. Jest z wami kapitan Cussler?

Uzbrojony w karabin policjant zmierzył wzrokiem podejrzanie wyglądających osobników. Z niedowierzaniem przyjrzał się odznace, po czym opuścił broń.

— Kapitan Cussler czeka, aż zabezpieczymy teren.

— Gdzie go znajdę?

— Przed bramą.

Nick biegł jako pierwszy, trzymając odznakę w górze, aby nikt niepotrzebnie ich nie zatrzymywał. Carl Cussler stał obok radiowozu, żywo dyskutując ze swoimi ludźmi.

— Kapitanie! — krzyknął z daleka Nick, zatrzymany przez policjantów pilnujących bramy.

— Puście go, to mój człowiek! Tego drugiego też...

— W tym plecaku są dowody, jakich pan potrzebuje. Nie wiem, ile zostało z komputera. Mam nadzieję, że nasi ludzie coś z niego wyciągną. Resztę wyjaśnię później. Zabezpieczcie wszystko, co się da, a w szczególności gabinet tego skurwiela, Morrisa.

— Nie sądziłem, że to kiedyś powiem na głos... Dobra robota! À propos Morrisa... Gdzie on jest?

— Nie wiemy — odpowiedział Barton, widząc zmieszanie partnera. — Co więcej, prawdopodobnie zabrał tego chłopca. Miałem go w rękach, dosłownie, ale...

— Nie macie Morrisa?! — Cusslera ogarnęła furia. — Mielście znaleźć dowody i zadzwonić! Dwie proste czynności! Zamiast tego rozpierdoliliście połowę ośrodka — kapitan wskazał na dym unoszący się nad drzewami — a główny podejrzany nie tylko zwiął, ale jeszcze wziął zakładnika!

— Oni wszyscy w tym siedzą! Podejrzanych macie tutaj aż nadto — wytłumaczył Barton, któremu prościej było przeciwstawić się dawnemu przyjacielowi. — Jeżeli to dobrze rozegracie, nie będziecie potrzebowali zeznań Morrisa. Któryś cwany doktorek na pewno sypnie, ratując własne dupsko. Wystarczy jeden.

— Panie kapitanie! — Do zebranych podbiegł dowódca grupy specjalnej. — Moi ludzie zabezpieczają teren. Wszystkich, których zgarnęliśmy na zewnątrz, zbieramy w poczekalni w pierwszym budynku. Moi ludzie zraportowali, że na tyłach kliniki jest lądowisko dla helikoptera, ale bez maszyny. Zakładamy, że ktoś mógł uciec.

— W porządku! Przeszukajcie każdy centymetr kwadratowy tego kompleksu!

— Zarówno nad ziemią, jak i pod nią — wtrącił Barton.

— Stewart... Stewart! Gdzie on się znowu podział? — warknął Cussler.

Odpowiedział mu odgłos odpalanego silnika jednego z opancerzonych radiowozów.

— A ty dokąd?! — wrzasnął kapitan. — Mało ostatnio dostałeś po łbie?!

— Pomyślcie! — zaczął Nick, podjeżdżając do nich. — W helikopterze Morris jest ruchomym celem. Sam powiedziałeś — zwrócił się do Bartona — że będzie starał się uciec za granicę. Do tego potrzebuje szybszego środka transportu.

— Co masz na myśli? — zapytał Cussler.

— Niedaleko stąd jest lotnisko. Założę się, że ma tam swój odrzutowiec.

— Niegłupie... — zgodził się Barton, obiegając radiowóz. — Powiedz facetom w czerni, żeby posłali tam helikopter i kilku ludzi.

— Jasna cholera! — warknął Cussler, żałując, że nie wpadł na to wcześniej. — Pamiętajcie, że chcę tego sukinsyna żywego!

ROZDZIAŁ 74

Niewielkie lotnisko przystosowane do obsługi małych, prywatnych maszyn było idealnie położone dla wszystkich ceniących anonimowość. Lądując z dala od wielkiego miasta biznesmeni i ludzie show-biznesu nie wystawiali się na bezpośrednie ataki ze strony ciekawskich i paparazzi.

Pas startowy rozciągał się dwa kilometry na północ od terenów kliniki. Pacjenci nie narażali się na niepotrzebne niedogodności związane z transportem do szpitala. Po opuszczeniu samolotu na każdego czekała luksusowa limuzyna, a jeżeli stan tego wymagał — karetka należąca do kliniki. Była w stanie dostarczyć pacjenta na miejsce w niecałe pięć minut.

Niedaleko płyty lotniska, oddzielone od niej pasami zieleni, mieściły się prywatne hangary. Trzy z nich należały do Jonathana Morrisa. Dwa udostępniał gościom, a jeden zajmował sam. Dochodził z niego szum pracujących silników. Przygotowana do lotu maszyna czekała już na pasażera. Parę godzin wcześniej zakończył się jej przegląd i odrzutowiec był gotowy do startu.

Pilot zobaczył na niebie światła i usłyszał charakterystyczny stukot. Od razu rozpoznał zbliżający się helikopter.

Nad pobliskim lasem unosił się dym rozświetlany pomarańczowo-żółtymi rozbłyskami. Kolejny pożar w tym roku, pomyślał pilot. Opuścił maszynę, aby dokładniej przyjrzeć się zjawisku.

Zastanawiał się, czy nie zgłosić tego, ale wyteżając wzrok, zobaczył niebie-sko-białe światła migoczące w mroku nocy. Służby były już na miejscu. Uspokojony, obserwował zbliżający się helikopter.

Mężczyzna splótł ręce i mocniej przycisnął je do ciała. Dotarł do niego zimny podmuch wiatru wywołany przez lądujący śmigłowiec. Lotnisko dla tego typu maszyn było dobrze oświetlone i zobaczył, jak ktoś wyciąga z helikoptera nieprzytomne dziecko, a chwilę później biegnie z nim w stronę hangaru.

— Panie Morris... Co się stało?! — zapytał pilot, widząc zbliżającego się dyrektora z chłopcem na rękach.

— Startujemy i to natychmiast!

— Pomogę panu... — Pilot przejął nieprzytomnego pacjenta.

— Dziękuję...

— Co z nim?

— Ukąsił go rzadko spotykany wąż i nigdzie w Stanach nie ma surowicy. Musimy lecieć do Brazylii. Skontaktowałem się już z jedną placówką w stolicy. Na lotnisku będzie czekała na nas karetka. Jak tylko wylądujemy, chłopak natychmiast dostanie zastrzyk.

— Skąd u nas wzięła się taka cholera?

— Nie wiem, ale wsadziłbym ją właścicielowi w gardło. Ludzie kupują nie wiadomo co, nie wiadomo gdzie, i potem tak to się kończy.

Morris zabezpieczył drzwi, a stewardessa pomogła pilotowi — rozłożyła jeden z foteli i natychmiast zajęła się chłopcem.

— Wszystko będzie dobrze... — powiedziała troskliwie. — Teraz cię przypnę... — kontynuowała na wypadek, gdyby jednak

do chłopaka coś docierało. — Słyszysz mnie?

— Wątpię... Walczy, ale nie wiem, czy da radę.

Morris patrzył na krzątającą się stewardessę i jedyne, o czym teraz myślał, to kieliszek wina. Historyjkę o wężu zmyślił na poczekaniu. Chłopcu absolutnie nic nie groziło. W klinice zaaplikowano mu jedynie środki usypiające.

— Pospieszę pilota.

— To zbędne. Wydałem już odpowiednie instrukcje. — Morris wykrzywił usta, co miało być równoznaczne z uśmiechem.

Wreszcie usłyszeli komunikat, na który niecierpliwie czekali.

— *Zaraz startujemy.. Bardzo proszę o zapięcie pasów i pozostanie na swoich miejscach.*

ROZDZIAŁ 75

— Patrz! — krzyknął Barton, zobaczywszy płytę lotniska.

— Na co?

— Samolot wyjeżdża z hangaru. Myślisz, że to Morris?

— A kto inny? Widzisz ten helikopter? Wirnik jeszcze się obraca. Potrafisz odczytać napis na boku?

— Czekał... Bingo! *SIEDEM GWIAZD, PRYWATNA KLINIKA MEDYCZNA*. Mamy sukinsyna! Oby tylko nasi zdążyli.

— Nie zdążą...

— To jak chcesz go zatrzymać?

— Nakrzyczę na niego...

Nick zjechał z drogi i pędzili teraz trawiastym poboczem wprost na ogrodzenie.

— Nie sądzisz, że prościej byłoby bramą?

— Ucieknie nam zanim objedziemy lotnisko. Wjazd jest po drugiej stronie.

Radiowóz był zaopatrzony we wzmocnienie w postaci stelażu z grubych, solidnych rurek, służące do taranowania lub spychania pojazdów. Nick postanowił przetestować pierwsze zastosowanie. Docisnął pedał gazu do podłogi.

Barton nie powiedział ani słowa. Złapał mocno za uchwyt przy drzwiach i zaparł się nogami. Drugą ręką osłonił twarz.

Pojazd z ogromną siłą uderzył w ogrodzenie. Jedna z siatek wygięła się i otworzyła niczym brama, a druga wyleciała w górę, odbijając się jednym końcem od dachu samochodu. Mocno szarpnęło nimi, ale jechali dalej.

— To była ta prostsza część — zauważył Barton, poprawiając się w fotelu. — Powiesz mi, co dalej planujesz?

— Jeszcze nie wiem, ale na pewno mi się przydasz, więc nie oddalaj się za bardzo.

Pędzili w stronę pasa, na którym kołował odrzutowiec.

— Nie zdążymy... — oznajmił Barton, rozglądając się za helikopterem sił specjalnych.

Jonathan Morris siedział spokojnie z laptopem na kolanach. Łączył się z bankami, zlecając kolejne przelewy. Zerknął na chłopca, zastanawiając się, jaki kraj wybrać na miejsce lądowania. Brazylię wymyślił szybko na potrzeby historyjki, ale nie był to najgorszy wybór. W międzyczasie zadzwonił jeszcze do żony. Kazał jej się spakować i zarezerwować najbliższy lot do Meksyku. Był prawie pewien, że i tak zatrzymają ją na lotnisku jako jego domniemaną współpracowniczkę, więc specjalnie podał błędny punkt docelowy. Nie znosił upałów, a meksykańskie jedzenie nie służyło mu. Ten kraj byłby zdecydowanie na końcu jego listy.

Ostatnie, co musiał zrobić, to poinformować pozostałych współników o zmianie planów. Po kolei, pomyślał. Otworzył barek i wyciągnął najlepsze wino, jakie miał. Szukając korkociągu, który upadł mu gdzieś pod nogi, mimowolnie spojrzął przez okno kołującego samolotu i zobaczył podskakujące światła czegoś pędzącego w ich kierunku.

— *Panie Morris...* — odezwał się pilot. — *Otrzymałem komunikat z wieży o zakazie startu. Jakiś pojazd wtargnął na płytę lotniska. To chyba... policja!*

Dyrektor upuścił wino. Butelka poturlała się w kierunku fotela chłopca. Stewardessa z obawą patrzyła, jak szef wpada do kabiny pilotów.

— Startujemy!

— Ale proszę pana... Mogę stracić uprawnienia.

— Stracisz o wiele więcej, jeżeli nie wystartujesz! — zagroził dyrektor.

Mężczyzna odwrócił się i zobaczył wycelowaną w niego broń.

— Ale...

Szybki strzał zakończył dyskusję. Krew obryzgała szybę i część pulpitu. Głowa pilota opadła. Maszyna samoczynnie zaczęła kołować po pasie.

— Zapomniałeś, że też mam uprawnienia?! — krzyknął jak opętany Morris, zatrzymując samolot.

Stewardessa pobladła z przerażenia, widząc pilota z dziurą w głowie oraz zakrwawione wnętrze kabiny.

— Uspokój się, bo skończysz jak on!

Morris odpiął nieboszczykowi pasy i wyszarpał ciało z fotela. Wlokąc je po podłodze, zostawiał za sobą krwawy ślad. Kobiecie zebrało się na wymioty. Dyrektor pchnął ją na ścianę i podduśił.

— Siadaj i nie podnoś się z miejsca, to może przeżyjesz ten lot — wycedził przez zęby.

Nie potrafiła złapać tchu. Jej twarz zrobiła się czerwonopurpurowa.

— Kiwnij głową, jeżeli rozumiesz...

Drgnęła.

— Świetnie...

Puścił ją. Upadła w przejściu i wczółgała się na najbliższy fotel. Tymczasem Morris odblokował drzwi i wypchnął trupa z samolotu.

— Widziałeś to?! — krzyknął Barton. — Wyrzucił kogoś!

— Biała koszula i czarne spodnie... Pewnie załatwił pilota. Zgłoś to. Niech przyślą karetkę, a najlepiej kilka.

Barton wykonał polecenie.

— Podjadę najbliżej, jak się da, a ty spróbuj przestrzelić opony. — Nick przekazał partnerowi pistolet.

Maszyna dokończyła kołowanie i zatrzymała się na początku pasa.

— Szybciej! Zaraz wystartuje!

Gdy samochód zrównał się z tyłem odrzutowca, Barton opuścił szybę i wycelował w koła. Po naciśnięciu spustu usłyszał tylko głuchy szcęk.

— Cholera, nie ma nabo! Masz inną spluwę?

— Nie! Szlag by... Trzymaj się! — Nick zredukował bieg i z całej siły wcisnął pedał gazu. Radiowóz szarpnął do przodu i szybko wyprzedzili samolot.

— Dowiem się w końcu, jaki mamy plan?

— On cały czas ewoluuje.

— Nie wiem, czy wiesz, ale samolot został za nami. Mieliśmy go zatrzymać...

— Wyskakuj!

— Że co?

Opony zapiszczały jak szalone i radiowóz wpadł w kontrolowany poślizg. Obróciwszy się o sto osiemdziesiąt stopni, ustawił się przodem do nadjeżdżającego samolotu.

— Wypad!

— Popierdoliło cię?!

— Spieprzaj stąd! Nie dam rady z tobą!

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz! — krzyknął Wes i wyskoczył, zatrzaskując drzwi.

Opony ponownie zapiszczały i radiowóz błyskawicznie przyspieszył, pozostawiając za sobą dwa ciemne ślady. Nick nie wiedział, czy wyjdzie mu to, co zaplanował, ale nie miał czasu na analizę sytuacji. Zaledwie dziesiątki metrów, sekundy, dzieliły go od katastrofy. Delikatnie skorygował tor jazdy.

Uderzenie w przednie koła odrzutowca było tak gwałtowne, że podwozie wbiło się w poszycie samolotu. Samochód prześlizgnął się pod maszyną, która rozniosła w pył sygnalizatory radiowozu i wygięła jego dach. Wszystkie szyby rozprysnęły się niemalże jednocześnie na tysiące kawałków. Nick zdążył jedynie zakryć rękami twarz i skulić się na siedzeniu. Po wydostaniu się spod maszyny radiowóz natychmiast wpadł w poślizg.

Iskry wydobywające się spod kadłuba trącego o płytę lotniska rozświetliły mrok wokół samolotu i odrzutowiec zaczął wytracać prędkość. Barton obserwował to wydarzenie, jakby nie miał do czynienia z rzeczywistością, a z kawałkiem dobrego kina akcji.

Oszacował, w którym miejscu samolot powinien się zatrzymać i zaczął biec z powrotem w kierunku pasa startowego.

Nick spróbował ponownie uruchomić silnik, ale bezskutecznie. Pociętych drzwi nie dało się otworzyć, więc jedyną drogą ucieczki były wybite szyby. Wypełznął na zewnątrz przez ciasny otwór. Na zagłówniku kierowcy pozostał krwawy ślad.

Kręciło mu się w głowie i musiał przytrzymać się samochodu. Gdy tylko otoczenie przestało falować, natychmiast pobiegł w kierunku samolotu, mijając kawałki radiowozu walające się po całej szerokości pasa. W oddali zauważył postawnego mężczyznę zbliżającego się do odrzutowca.

Barton próbował wyłamać drzwi maszyny solidnymi kopniakami. W końcu ktoś będący w środku odblokował wąż. Ostatecznie drzwi puściły i w wyjściu ukazał się uzbrojony Jonathan Morris z chłopcem przewieszonym na ramieniu.

Nick zauważył to i natychmiast zniknął im z pola widzenia. Dobiegł do samolotu i niepostrzeżenie wdrapał się na prawe skrzydło, a następnie przeszedł po nim do grzbietu maszyny, na który się wspiął. Silniki zwalniały, ale czuł jeszcze ich moc za plecami. Pochylony, ostrożnie kroczył po odrzutowcu, powoli zbliżając się w stronę wjazdu znajdującego się tuż przed kabiną pilotów.

— Chcesz mnie przetestować? — rzucił Barton do dyrektora opuszczającego samolot z zakładnikiem. Cały czas miał go na muszce i może nawet by strzelił, gdyby tylko miał naboje. Pamiętał o pustym magazynku i przeciągał sytuację, jak tylko mógł. W oddali było już słychać helikopter sił specjalnych. — Za chwilę zjawi się tu cała armia. Nie masz szans...

— Jeżeli się nie cofniesz, zastrzelę chłopaka.

— I stracisz jedyne zakładnika, nie wspominając już o tym, że także dawcę. Głupie...

— Co mnie czeka? Dożywocie? Kara śmierci?!

— Mam nadzieję, że to drugie — warknął Nick.

Morris odwrócił się, ale jedyne, co zobaczył, to podeszwa wielkiego buta lądująca na jego twarzy. Barton rzucił się i złapał chłopca lecącego bezwładnie razem z Morrisem na ziemię. Dyrektor uderzył głową o twarde pas startowy i stracił przytomność. Z jego nosa i rozciętego łuku brwiowego zaczęła sączyć się krew.

Nick zeskoczył z samolotu i pomógł Bartonowi. Chwilę później z maszyny wyjrzała przerażona, blada jak ściana kobieta.

— Już dobrze... Panujemy nad sytuacją. — Nick wyciągnął rękę. — Pomogę pani... Proszę wyjść... Spokojnie i powoli...

— I to miał być ten twój plan? — zapytał Barton, wstając.

— Przecież zadziałał...

— Nie potrafisz zatrzymać nikogo bez wysadzenia czegoś w powietrze?

— Nie wybuchł... — Nick spojrzał dobrotliwie na samolot, a właściwie na to, co z niego zostało.

— Trudno się nie zgodzić... — Olbrzym roześmiał się i poklepał towarzysza po plecach. — Aaa, jeszcze jedno...

— Co znowu?

— Dziękuję, że namówiłeś mnie do opuszczenia radiowozu — powiedział wesoło Barton, patrząc w stronę wraku.

— Pomyślałem, że jak zostaniesz, plan może ci się nie spodobać.

Próbując ująć z życiem, Nick uderzył w podwozie maszyny prawą częścią maski, która praktycznie przestała istnieć.

DZIEŃ 8

ROZDZIAŁ 76

Kilkanaście godzin po wydarzeniach na lotnisku Nick siedział już w swoim samochodzie i pędził siedemdziesiątą międzystanową na spotkanie z rodzicami i Kate. W myślach analizował szalone wydarzenia poprzedniego dnia.

Noc spędził w szpitalu w Waszyngtonie, gdzie w końcu profesjonalnie zajęto się jego głową — usunięto prowizoryczne szwy, z których większość i tak nie trzymała. Zastąpiono je nowymi, dodając opatrunek oraz siatkę zabezpieczającą.

Przyglądał się sobie w lusterku i chciało mu się śmiać. Wyglądał, jakby ktoś założył mu na głowę białą pończochę z dużymi oczkami. Nie rozumiał, dlaczego tego typu siatki nie mogą być chociaż odrobinę zbliżone kolorem do odcienia włosów.

Gdy zdjął koszulę do badań, karnacją znacznie bardziej przypominał czarnoskórego niż białego człowieka. Sińce zlewały się w większe plamy, ustępując czasem miejsca otarciom. Po prześwietleniu dowiedział się także o dwóch złamanych żebrach. Nie był tym zaskoczony — w jego mniemaniu upadek z drugiego piętra do piwnicy na cienkim materacu mógł zakończyć się znacznie gorzej.

Rano, na przekór wszystkim, na własne żądanie wypisał się ze szpitala. Na odchodne zaaplikowano mu końską dawkę antybiotyków i środków przeciwbólowych. Pojechał do wydziału,

ale nawet nie zajrzał do własnego biura. Odwiedził jedynie szefa i poprosił o kilka dni wolnego. Ten, z charakterystycznym dla siebie wdziękiem, najpierw zaczął wrzeszczeć, że zostawia na jego głowie cały burdel, jaki z Bartonem zrobili, a później — znacznie ciszej — podziękował za to, czego dokonali poprzedniego dnia. Na odchodne kapitan poinformował go, gdzie znajdzie swoją rodzinę. Przekazał mu adres i dokładną mapę.

Nick pojechał do domu spakować potrzebne rzeczy i dwadzieścia minut później był już gotowy. Po drodze zatrzymał się jeszcze w hotelu, aby pożegnać się z Bartonem, któremu waszyngtońska policja, w zamian za zasługi, zafundowała kilkudniowy pobyt w stolicy — oczywiście w podrzędnym hotelu, bez opłaconych posiłków. Nick podziękował mu za wszystko, a w szczególności za uratowanie Kate i rodziców. Domyślał się, że to nie ostatnie ich spotkanie, więc obyło się bez zbędnych czułości. Mocno i serdecznie ścisnął muskularną dłoń nowego przyjaciela i ruszył dalej — w góry.

Z radością opuścił zatłoczone centrum, kierując się na północny zachód. Miał przed sobą czterogodzinną podróż. Przez cały czas nawigacja prowadziła go główną drogą. Dopiero trzydzieści kilometrów od celu nie miał już wyboru i musiał z niej zjechać. Zacząć piąć się pod górę węższymi drogami. W końcu przestał słuchać nawigacji. Nie dość, że co chwilę traciła zasięg, to jeszcze proponowała skręty w podejrzenie wyglądające dróżki, na których rasowa terenówka mogłaby polegnąć.

Ściśle trzymał się mapy otrzymanej od Cusslera i wytyczonego na niej szlaku. Zmierzał nad jezioro Raystown, którego linia brzegowa była tak kręta i nieregularna, że drobny błąd — skręt w niewłaściwą drogę — mógłby sporo kosztować. Nie było nawet

gdzie zawrócić. Wiedział już, dlaczego kapitan wybrał to miejsce. Zarówno z mapą, jak i bez niej było tak samo trudno dostępne.

Kobieta z nawigacji była bliska obłądu, więc Nick całkowicie wyłączył urządzenie. Zasięg w tym miejscu był znikomy. Siła sygnału w telefonie oscylowała pomiędzy zerem a dwoma z sześciu kresek. Mapa sugerowała, że już niedaleko, ale droga nie miała zamiaru dać za wygraną — z utwardzonej zmieniła się w polną ze sporą ilością kamieni. Samochód zaczął podskakiwać, co chwilę zahaczając podwoziem o garb lub wystający głaz. To był prawdziwy test dla napędu na cztery koła. Nick pierwszy raz poruszał się w takim terenie. W którymś momencie trasa bardziej przypominała koryto rzeki niż drogę — z obydwu stron wznosił się półmetrowy brzeg. Nie było nawet cienia szansy, aby dwa pojazdy mogły się tutaj minąć.

— Ciekawe, co będzie, jak spadnie deszcz... — dywagował Nick.

Myśląc o następstwach ulewy, usłyszał groźne uderzenie, a zaraz po nim tarcia dochodzące z tylnej części wozu. Brzmiało to jak ciągnięta za samochodem gałąź, która uczepiła się podwozia. Odgłosy z sekundy na sekundę stawały się coraz intensywniejsze i Nick postanowił sprawdzić, w czym rzecz.

Wysiadł i obejrzał samochód.

— Cudownie...

W prawym tylnym kole nie było powietrza. Kopnął ze złością w oponę i otworzył bagażnik, gdzie znajdowało się zapasowe koło. Już miał je wyciągnąć, kiedy usłyszał rozmowę dwojga ludzi prowadzoną w oddali. Wyłapywał tylko strzępy zdań, ale głosy — kobiety i mężczyzny — były na tyle wyraźne, że bez problemu je rozpoznał. Zamiast koła wyjął z bagażnika torbę i, zostawiwszy samochód, pobiegł przed siebie.

Gdy minął ostry zakręt, dostrzegł dwie osoby oparte o poręcz werandy niewielkiego domku myśliwskiego.

— Mamo, tato! — krzyknął. — Słysząc was w Waszyngtonie!

Rodzice odwrócili głowy w jego kierunku.

— Nareszcie... — powiedziała z ulgą Jennifer.

John Stewart roześmiał się szczerze, a matce napłynęły do oczu łzy. Tymczasem niczego nieświadoma Kate stała na pomoście wcinającym się w jezioro. Pusto wpatrywała się w swoje karykaturalne odbicie w delikatnie pofalowanej powierzchni wody. Dopiero radosne okrzyki zwrócił jej uwagę. Zauważywszy Nicka, poczuła, że ogromny kamień spada z jej serca. Zaczęła biec co sił w nogach. W połowie drogi spotkali się i wpadli sobie w ramiona. Po chwili dołączyli do nich rodzice.

— Słyszałem, że nieźle narozrabiałaś — powiedział wesoło ojciec.

— Skąd wiecie? Kto wam powiedział? — Nick wycofał się i otaksował ich wzrokiem.

— Twój szef dzwonił rano z zapytaniem, jak nam się tutaj podoba — wyjaśniła Kate. — Znowu mówił coś o zaszczytach i tak dalej...

— Dobrze, że chociaż wam...

— Ostatnio zrobił się jakiś wylewny — powiedziała wesoło Kate. — Ale jak się pewnie domyślasz, rozmowa nie trwała długo, więc masz nam sporo do opowiedzenia.

— A gdzie ochrona? Kapitan miał wam przydzielić dwóch policjantów.

— Jeszcze rano tutaj byli, ale po telefonie Cusslera, który powiedział, że wkrótce się zjawisz i że sprawa jest już załatwiona, ustaliliśmy wspólnie, że mogą wracać — wyjaśnił

John. — Po co nam jacyś jałowi ochroniarze, jeżeli mamy własnego bohatera. Przyznam, że twój szef niechętnie się zgodził, ale ostatecznie przystał na to. Myślę, że w tej chwili potrzebuje wszystkich dostępnych ludzi.

Nickowi nie spodobało się to posunięcie, ale zagrożenie, przynajmniej częściowo, rzeczywiście minęło. Chwilowo Morris i cała reszta mieli inne zmartwienia na głowie, a lista Kate stała się po prostu kolejnym dowodem, który z pewnością wyładował na stosie teczek i dokumentów zabezpieczonych w biurze Jonathana Morrisa.

— To jak... Jest coś do jedzenia? — zapytał Nick. — Umieram z głodu.

— Oj... — zmartwiła się Jennifer. — Obawiam się, że niewiele mamy do zaoferowania.

— Zawsze możemy wybrać się na ryby — zaproponował uradowany John, pokazując zacumowaną łódkę. — Wygląda solidnie, a w domu są wędkę. Sprawne! — specjalnie to podkreślił. Uwielbiał wędkować.

— A co tam się stało? — Nick wskazał koniec drewnianego pomostu, który wyglądał, jakby uderzyło w niego tsunami.

— Podobno kilka dni temu, nocą, roztrzaskała się tu motorówka. Jakichś dwóch pijanych narwańców źle oceniło odległość od brzegu i pomostu. Na szczęście nikomu nic się nie stało — wyjaśnił ojciec. — To jak? Idziemy?! — Przyklasnął w dłonie. — Założę się, że za pół godziny będziemy z powrotem z wiadrem pełnym ryb.

— Raczej wody. Pamiętam twoją ostatnią „wielką” przygodę nad rzeką — przypomniała Jennifer, poklepując męża po plecach.

John zmarszczył czoło, pozostając bez słowa.

— Mam lepszy pomysł — odezwała się Kate. — Zanim coś złowicie, miną wieki, a gdy tu jechaliśmy, widziałam sklep przy głównej drodze. Może mężczyźni, zamiast płynąć, pojedą na polowanie, a kobiety rozpalą ogień. Co wy na to?

— *Grill* brzmi dobrze... — potwierdził Nick, któremu również nie pasowało siedzenie na drewnianej desce pośrodku niczego w nadziei, że może jednak coś zjedzą.

— Stoi w schowku, zaraz obok wędek — mruknął John.

— Mamy tylko mały problem. Złapałem gumę i w pierwszej kolejności musimy wymienić koło.

— To żaden problem. Załatwimy to w minutę! — oznajmił pewnie John. — To my się zbieramy, a wy wszystko przygotujcie.

Nick zostawił torbę i po pożegnalnym całusie od Kate razem z ojcem poszli w kierunku samochodu.

— Daleko stąd utknąłeś?

— Kawalek... Jeżeli jeszcze się nie stoczył, powinien stać za zakrętem. Piękne miejsce, ale dojazd tutaj to jakaś makabra. Gdybym wiedział, że jestem już tak blisko, pewnie dojechałbym pod sam dom. Zatrzymałem się, żeby sprawdzić sytuację i usłyszałem waszą rozmowę.

Gdy dotarli na miejsce, John obszedł samochód.

— Ciężko będzie... Jest z górki i brak solidnego podłoża. Poszukam dużych, płaskich kamieni, a ty odkręć koło i przygotuj zapasowe oraz podnośnik. I zaciągnij porządnie ręczny!

John wrócił po paru minutach, obładowany jak wielbłąd.

— Oszalałeś?! — skarcił go Nick. — Nie możesz się tak przemęczać!

— Jakbym słyszał twoją matkę. Niestety, mam złe wieści... — bąknął, blokując kamieniami przednie koła. — Niżej — wskazał

zakręt — stoi drugi samochód. Obawiam się, że ktoś utknął podobnie jak ty. — Wybrał najbardziej płaski kamień i ustawił go pod stopką lewarka. — Nawet jeśli wymienimy koło i tak nie przejedziemy.

— Dobra... Zróbmy to, a potem zerkniemy, co z tamtym.

— Tylko bardzo ostrożnie, tyle ile trzeba, ani milimetra więcej. Jeżeli poczujesz, że samochód choćby drgnął, uciekaj.

— Tato...

Nick zaczął pracować podnośnikiem, a John obserwował postępy. Bali się, że samochód rzeczywiście może się stoczyć. Wkrótce koło znalazło się kilka milimetrów nad ziemią.

— Wystarczy! Zdejmujemy je...

Wtedy Nick zauważył niewielki przedmiot przytwierdzony do tylnego nadkola.

— Co to? — zapytał John, gdy syn oderwał namagnesowane urządzenie z maleńką diodą na boku.

— Chyba jakiś nadajnik...

— No dobra, ale co on tutaj robi?

Nick, obracając przedmiot w dłoniach, szybko skojarzył fakty. Poblądł i poczuł ciarki na plecach.

— Tato... — Spojrzał wymownie na ojca. — Obawiam się, że to jeszcze nie koniec.

— O czym ty mówisz?

— Tamten samochód nie stoi tutaj przypadkiem... Blokuje nam drogę ucieczki. Widziałeś kogoś w pobliżu?

— Nie...

Nick wpełznął do samochodu, który zachwiał się na podnośniku. Otworzył schowek pasażera.

— Na litość boską, uważaj!

— Tu powinna być broń.

John spojrzał niezrozumiale na syna.

— Ten ktoś przyjechał za tobą?

— Tak i obawiam się, że wiem, kto to. Jest śmiertelnie niebezpieczny. Założę się, że wykorzystał naszą nieobecność i już dorwał mamę i Kate.

— Wracajmy więc! — krzyknął John.

— Nie, tato. Nie mamy żadnej broni, a on zdobył właśnie drugą i zakładniczkę.

— Co proponujesz?

— Nie wie jeszcze, że o nim wiemy. To nasza jedyna przewaga. Nick zastanowił się chwilę. Nie znał okolicy, co działało na ich niekorzyść. Nagle przypomniał sobie pomost i zacumowaną łódkę.

— Mam pewien pomysł, ale bardzo ryzykowny. Będę potrzebował twojej pomocy.

— Dawaj!

ROZDZIAŁ 77

Drewniany domek nad jeziorem Raystown miał stać się oazą spokoju Carla Cusslera po przejściu na zasłużoną emeryturę, co miało nastąpić już niebawem. Cisza i piękne widoki były bezsprzecznymi walorami tego miejsca, przyciągającymi z powrotem każdego, kto spędził tutaj choćby jeden dzień.

Chatka miała niewielkie poddasze, gdzie ulokowano sypialnię. Wybudowana z grubych, drewnianych bali, doskonale komponowała się z otaczającym ją lasem. Wnętrze zostało urządzone tak, aby całość idealnie współgrała ze sobą. W salonie

był olbrzymi kominek mogący bez problemu ogrzać cały dom. Przed nim stały dwa fotele, a nieco dalej stół i sześć krzeseł. Dwa z nich były zajęte przez Kate i Jennifer.

Kobiety miały zakneblowane usta. Każda ich kończyna była osobno skrępowana — przytwierdzona do krzesła za pomocą taśmy pakunkowej. Siedziały przerażone, zapłakanymi oczami patrząc na mężczyznę wyglądającego przez okno.

— Uspokój się... — warknął, przystawiając Kate pistolet do głowy. Cały czas wierciła się, próbując chociaż trochę naciągnąć taśmy. — Nie potrzebuję dwóch zakładniczek, więc zastanów się, zanim znowu się ruszysz. To samo dotyczy ciebie... — zwrócił się do Jennifer, która trzęsła się ze strachu.

— *Mamo! Kate!*

Otworzyły szerzej oczy. Nie bacząc na słowa mężczyzny, słysząc Nicka, próbowały wydusić coś z siebie, aby go ostrzec, ale nie potrafiły. Knebel był zbyt mocno założony. Z ich ust wydobywały się stęknienia i jęki niepodobne do żadnego słowa. Spojrzały po sobie oczyma pozbawionymi nadziei, choć Kate nie dawała za wygraną. Zawodziła tak głośno, że porywacz w końcu zareagował — wycelował w matkę Nicka.

— Nie interesuje mnie, czy on wejdzie tutaj z ciekawości, czy zwabi go strzał — zwrócił się do dziennikarki. — Zastanów się, zanim jeszcze raz się odezwiesz. Wystarczy, że piśniesz i do końca życia będziesz miała na rękach jej krew.

Nick obszedł dom, ale nie znalazł matki ani Kate. Domyślił się, gdzie są. Bał się tylko o to, w jakim stanie je znajdzie. Wszedł po skrzypiących schodkach na podest. Tylko drewniane drzwi dzieliły go od tego, co działo się w środku. Ku jego zdziwieniu, ktoś mu otworzył. Usłyszał oddalające się kroki.

— Mamo? Kate?

Ostrożnie wszedł do domku. Zobaczył skrzepowane kobiety siedzące na krzesłach przy stole. Myślał, że jest przygotowany na ten widok, nawet na o wiele gorszy, ale coś w nim pękło. Chciał rzucić się w ich kierunku, ale wtedy poczuł, jak ktoś przystawia mu broń do potylicy.

— Witam, panie Stewart — odezwał się znajomy głos. Mężczyzna zamknął za nim drzwi i pchnął detektywa w kierunku stołu.

— Cieszę się, że pan do nas dołączył.

Nick zobaczył znajomą twarz z ciemnym znamieniem na policzku. Jakże żałował, że w gabinecie Morrisa nie zakończył inaczej spotkania z tym człowiekiem. Miał nadzieję, że grupa specjalna aresztuje go razem z resztą. Mógł wtedy dokończyć sprawę, ale miał inne cele, na których się skupił.

— Nie wygląda pan na zaskoczonego — zdziwił się Blanc.

— Wypuść je. To sprawa między nami.

— O nie, nie... Otrzymałem zlecenie i mam zamiar je wykonać, choćby tylko dla samej przyjemności. Za bardzo zależał mi pan za skórę.

Nick zrobił dwa kroki w stronę stołu, aby odwrócić uwagę od okna, gdzie dostrzegł posiwiąłą głowę ojca przekradającego się obok domu.

— Wszystko wyszło na jaw... Co chcesz przez to uzyskać?

— Satysfakcję... Zdaje chyba pan sobie sprawę, że wartość moich usług gwałtownie by spadła, gdybym pozostawił niedokończone zadanie. No i niestety... widział mnie pan w klinice. Nie lubię żyć w niepewności — roześmiał się.

— Tak jak mówiłem, to sprawa między nami. Ich śmierć niczego nie rozwiąże.

— One także mnie widziały. Idąc tym tropem, jedynie pana ojciec mógłby czuć się bezpiecznie, ale po co rozdzielać rodzinę. À propos... Gdzie on jest? — Mając całą trójkę na celowniku, wyjrzał przez okno.

Nieznaczny uśmiech zagościł na twarzy Nicka — wiedział już, że ojcu się udało. Kate spojrzała pytająco na narzeczonego. Ten puścił jej oczko i natychmiast odwrócił wzrok. Domyśliła się, że Nick ma coś w zanadrzu.

Blanc podszedł do niego.

— Gdzie jest staruszek? Mów albo je zabiję. Sam wybierzesz, którą najpierw.

— Nie znajdziesz go i grożenie mi niczego nie zmieni. Mój ojciec jest już daleko stąd. Gdy ja wzywałem posiłki, on uruchomił twój samochód. Kazałem mu odjechać jak najdalej. Pewnie domyślasz się, dlaczego? — Nick wypowiedział te słowa z całkowitym spokojem.

Pan Anderson roześmiał się i posłał Nickowi chłodne spojrzenie.

— Skąd niby mieliście kluczyki? — Wyciągnął je z kieszeni.

— Mój ojciec był w wojsku mechanikiem. Bez problemu poradził sobie z odpaleniem tego rzęcha. Wynajmowanie starych, nie rzucających się w oczy samochodów ma swoje minusy. Jak widzisz, to tylko kwestia czasu zanim zjawi się tutaj policja.

— Łiesz! — krzyknął Blanc, któremu sprawy powoli wymykały się z rąk. Jeżeli słowa detektywa były prawdą, to właśnie stracił środek transportu, a samochód z dziurawą oponą nie nadawał się do ucieczki. Nerwowo wyjrzał przez okno wychodzące na niewielki taras.

— Panie Stewart, świetnie pan to sobie wymyślił, ale nie ze mną te numery. Aby doszło do takiego scenariusza, musiałyby pan wiedzieć, że tutaj jestem.

Nick wyjął z kieszeni małe urządzenie naprowadzające i rzucił je na stół.

Blanc zastygł w bezruchu. Jego misterny plan legł w gruzach. Wiedział, że musi jak najszybciej dokończyć sprawę i uciekać. Podeszedł do kobiet i błyskawicznie przeciął taśmy.

— Wstawaj... Ty też...

— Puść je...

— Na razie to ja tu wydaję rozkazy. Zrobimy sobie mały spacer. Pan pójdzie przodem, panie Stewart.

W oczach, głosie i ruchach Blanca dało się wyczuć panikę. Miał dwie możliwości — ucieczkę przez las lub przez jezioro. W każdym przypadku musiał zostawić sobie przynajmniej jednego zakładnika. Nie wiedział, jak szybko policja dotrze do domku. Gdyby użyli helikoptera, mogliby się zjawić nawet do dwudziestu minut.

Wyszedł z zakładnikami na zewnątrz i szybko przeanalizował sytuację. Ucieczka przez las ze skrepowaną osobą była powolna i ryzykowna. Jezioro w tym miejscu miało jakieś pół kilometra szerokości. Przy drugim brzegu zobaczył zacumowane motorówki. Decyzja była prosta.

— Ruszać się! Na pomost! Ty pierwszy...

Nick niechętnie poszedł przodem. Nie mógł w ten sposób ani trochę kontrolować sytuacji.

— Muszę przyznać, że nie doceniłem pana. I to już drugi raz. Być może nawet uratował pan życie swojemu ojcu. Przynajmniej chwilowo...

Cała czwórka szła w kierunku jeziora. Blanc zamykał stawkę, nieustannie ponaglaając maruderów. Nick czuł coraz większe napięcie. Adrenalina rozsadzała mu żyły, ale jeszcze przez chwilę musiał zachować spokój. Postawił pierwsze kroki na skrzypiących deskach pomostu i zaczął nerwowo przyglądać się łódce zacumowanej przy jednym z pali.

— Ciekawi mnie, na ile nas wycenili.

— Dwa miliony, jeżeli to panu w czymś pomoże...

— O mały włos, a nie dostałbyś nawet centa!

— A to dlaczego?

— Mówię o twoim wspólniku, któremu niemal udało się nas dopaść.

— Wspólniku? — zdziwił się Blanc.

— Jason Batt prawie wygrał waszą małą rywalizację. Mało brakowało, a to on zgarnąłby całą pulę!

Morderca roześmiał się.

— Panie Stewart... Batt był jak trzcina na wietrze... Jego śmierć bardzo mi pomogła. Nawiasem mówiąc, na niego też dostałem zlecenie.

— Jak to?

— Gdy Batt dostał cynk o liście, kierowały nim jeszcze szlachetne cele. Na szczęście, za odpowiednią forszę każdego można kupić. Zaproponowano mu współpracę i z przeciwnika stał się sprzymierzeńcem. Dostarczając dokładne plany budynku i udzielając niezbędnych informacji, pomógł nam odzyskać oryginalny dokument i pozbyć się jedyne go naocznego świadka. Pan Batt nie był tego świadomy, ale również miał wtedy zginąć. Dostałbym jego część wynagrodzenia, którą miał otrzymać po zakończeniu zadania.

— Po śmierci Brysona...

— Zgadza się. Niestety, pojawiły się komplikacje i Batt przeżył. Widocznie postrzał poprzewracał mu w głowie i na własny sposób chciał zakończyć tę sprawę. Myślę, że nie spodobało mu się, gdy dostał kulkę i być może miał zamiar szantażować organizację tym dokumentem albo ponownie wstąpić na drogę prawdy i zostać bohaterem.

— Bohaterem?

— Nie wierzę, że ta ciota byłaby w stanie kogoś zabić.

— Szkoda, że nie widziałeś go w moim mieszkaniu.

— Robił za twardziela, a w nocy przebierał się w damskie ciuszki. Śledziłem go przez parę dni, zanim jeszcze wszystko się zaczęło. Ciota do potęgi... Na szczęście rozwiązał pan tę sprawę za mnie, panie Stewart, za co jestem niezmiernie wdzięczny.

— Nie ja...

— Czyżby podziękowania należały się panie Frost?

Kate odwróciła głowę i spojrzała pogardliwie na Blanca.

— Przyznam, że jestem pod wrażeniem.

— Tak czy tak, z Morrisem koniec... Wyплаты nie będzie.

— Proszę się nie martwić... Połowę dostałem jako zaliczkę. Poza tym chyba nie myśli pan, że likwidując jeden trybik, zniszczy cały mechanizm. Wystarczą części zamiennie...

— Są inne placówki?

— Jeszcze pan do tego nie doszedł? W sumie. Prowadząc to śledztwo samemu i tak długo pan przeżył. Szef chyba pana nie lubi... Dobra... Dość tej pogawędki... Stójcie! — rozkazał Blanc, gdy cała trójka dotarła na koniec pomostu. — Panią poproszę o zajęcie miejsca w łódce — zwrócił się do matki Nicka.

Spojrzała na niego szklącymi się od łez oczyma.

— Niestety, muszę zapewnić sobie bezpieczną drogę do domu. Obiecuję, że wkrótce panią wypuszczę.

Nick spojrzał na matkę. Stała przerażona, trzęsąc się ze strachu.

— Wszystko będzie dobrze, mamó. Rób, co każe.

— Proszę posłuchać syna... Wie, co dla pani dobre... Szybciej...

Jennifer nadal stała jak wryta i przecząco kręciła głową. Płakała.

— Rusz się! — krzyknął Blanc i szarpnął ją z całej siły.

— Mamó! — wrzasnął Nick, widząc, jak ta wpada do łódki, uderzając głową o burzę.

— Ani kroku! Jeżeli chcesz, żeby jeszcze chwilę pożyła, to nawet o tym nie myśl! — zagroził Blanc, celując w oszołomioną kobietę. — Jak dla mnie, może być i martwym zakładnikiem. Z daleka nikt nie pozna. Twój wybór!

Nick odsunął się.

— Przykro mi, ale tutaj kończy się nasza krótka wycieczka.

Nick objął Kate i zaczęli się wycofywać, patrząc, jak ciemnozielona plandeka na łódce unosi się. John Stewart jednym ruchem zrzucił z siebie maskujące okrycie i wskoczył na pomost, chwytając napastnika od tyłu.

Blanc był całkowicie zaskoczony. W pierwszej chwili myślał, że to kobieta, którą zepchnął do łódki. Jednak chwyt był wyćwiczony i bardzo mocny. Zauważył pomarszczoną skórę dłoni. Natychmiast grzmotnął przeciwnika potylicą, rozbijając mu nos.

Oszołomiony John otrząsnął się. Nie puścił mordercy. Nick natychmiast doskoczył do nich i powalił Blanca, a razem z nim

i ojca, na deski. Cała trójka przeturlała się po pomoście i wpadła do wody.

Kate podniosła broń i podbiegła do miejsca, w którym zniknęli jej z oczu. Pomimo niewielkiej odległości od brzegu głębokość była spora. Wszyscy znaleźli się pod powierzchnią mętnej wody.

Nick na oślep próbował dosięgnąć Blanca. Kiedy jego ręka oparła się na czyimś ciele, chwycił mocno za ubranie i przyciągnął osobnika do siebie. Niemal wymierzył cios własnemu ojcu. Od razu puścił go i gestem ręki kazał mu się wynurzyć. Wtedy zobaczył panikę w jego oczach. Ojciec próbował płynąć, ale bez efektu. Nogawka jego spodni zahaczyła o drewno wystające z jednego z uszkodzonych pali pomostu. Nick kilkoma mocnymi szarpnięciami odczepił ją i John ostatkiem sił popłynął w górę.

Nick miał jeszcze zapas powietrza, ale ważniejsze było bezpieczeństwo ojca. Już chciał odbić się od połamanych desek leżących w nieładzie na dnie, gdy poczuł ręce chwytające go od tyłu za szyję. Z każdą sekundą zaciskały się coraz bardziej. Blanc przylgnął do jego pleców, nie zwalniając uścisku. Nick potrzebował powietrza — płuca zaczęły go palić. Wykonał jedyny ruch, jaki przyszedł mu do głowy. Wytężył wszystkie mięśnie i z napastnikiem na plecach podpłynął do przodu, chwytając gruby pal. Podkurczył nogi i z całej siły odepchnął się do tyłu. Przylegające do jego pleców ciało Blanca natrafiło na opór.

Wystające drewno, o które wcześniej zahaczyła nogawka spodni ojca, wbiło się przeciwnikowi w okolice kręgosłupa. Nick wyrwał się i natychmiast odwrócił się w wodzie. Z pleców Blanca zaczęła wypływać krew, zabarwiając wodę na czerwono. Jego puste spojrzenie mówiło wszystko. Ostatnie pęcherzyki powietrza wydostały się z ust i mimowolne skurcze zaczęły miotać całym ciałem. Parę sekund później *Pan Anderson* zastygł w bezruchu.

Nick odepchnął się od dna i niemalże wyskoczył z wody. Wykonał najgłębszy wdech w swoim życiu.

Na pomoście stała Kate z bronią wycelowaną w wodę. Kiedy zobaczyła narzeczonego wypływającego na powierzchnię, odłożyła pistolet i pomogła mu złapać się desek. Był ledwo żywy.

— Spokojnie... Oddychaj powoli...

Łapał hausty powietrza, jakby były ostatnimi, jakie przyszło mu wziąć. Kiedy doszedł do siebie, z pomocą Kate wydostał się z wody.

— Co z matką? — zapytał przestraszony.

— Unas wszystko w porządku! — krzyknął John, pomagając żonie przejść z łódki na pomost. — Gdzie ten drań?

— Tam. — Nick wskazał mętną wodę w okolicach końca pomostu. Podniósł się i podbiegł do ojca, pomagając mu odeskortować matkę na brzeg.

Kate tymczasem trwała w bezruchu, wpatrując się w jezioro. Poczła mrowienie na plecach, gdy dostrzegła bąbelki powietrza wypływające na powierzchnię. Natychmiast podniosła pistolet. Jej palec zadrżał na spuście.

— Spokojnie...

Poczła czyjś dotyk na ramieniu. Odwróciła głowę. W oczach Nicka dostrzegła spokój. Gdy ją objął, upuściła broń i rozplakała się.

ROZDZIAŁ 78

Zatoka Pohick

Pod bramą wjazdową kliniki *SIEDEM GWIAZD* od rana czatował tłum reporterów. Policyjny kordon i żółte taśmy

ostrzegawcze chroniły teren przed ciekawskimi. Wozy stacji telewizyjnych stały zaparkowane po obydwu stronach wąskiej drogi. Dziennikarze i operatorzy kamer musieli mocno pracować łokciami, aby znaleźć jak najlepsze miejsce do przeprowadzenia transmisji.

Jedna z reporterek — Jessica Stown — wpadła na nietypowy pomysł. Kazała kamerzyście wejść na furgonetkę, którą przyjechali. Samochód stał jako pierwszy, więc widok z jego dachu był wymarzony.

Po drabince przymocowanej z tyłu pojazdu otyły mężczyzna wdrapał się z kamerą na dach. Ostrożnie stawiał kroki, czując uginającą się pod nim karoserię. Za nim weszła kobieta z mikrofonem. Jakimś cudem minęli się na dachu i stanęła tak blisko przedniej szyby, jak tylko mogła.

— Jesteś gotowy?

— Od urodzenia...

— Powiedz, kiedy.

— W porządku, zaczynamy za... trzy... dwa... jeden...

Czerwona kontrolka zaświeciła się i kamerzysta dał znak reporterce.

— *Witam państwa. Znajdujemy się nad Zatoką Pohick, przed bramą prywatnej kliniki medycznej, gdzie wczoraj doszło do zakrojonej na szeroką skalę akcji policyjnych służb specjalnych. Z oficjalnego komunikatu kapitana Carla Cusslera, który dowodził grupą operacyjną, wynika, że w celu złożenia wyjaśnień zatrzymano nie tylko cały personel ośrodka, ale również pacjentów. Nie mogą oni opuszczać terenu kliniki. Trwa zabezpieczanie materiału dowodowego i spisywanie zeznań*

świadków. Zapewniono nas, że wszyscy, którzy wymagają stałej opieki medycznej, otrzymują ją na bieżąco.

Do tej pory wciąż nie udało nam się dokładnie ustalić, dlaczego akcja została przeprowadzona. Z nieoficjalnych źródeł dowiedzieliśmy się, że mogło chodzić o nieetyczne postępowanie personelu podczas udzielania pomocy z zakresu usług medycznych. Jednak po rozmowie z kilkoma byłymi pacjentami tego ośrodka nabieramy przekonania, że klinika cieszyła się nieposzlakowaną opinią. Najlepszym tego dowodem jest jej rozwój w ciągu ostatnich lat i wciąż rosnąca liczba pacjentów, którymi byli nie tylko zamożni biznesmeni czy gwiazdy telewizji, ale również politycy.

Sprawa jest niezwykle zagadkowa i już pojawiają się pierwsze głosy sceptyków, którzy twierdzą, że fakty, jakie zostaną ujawnione, mogą wstrząsnąć życiem Amerykanów i jeszcze bardziej zachwiać ich wiarą w system opieki zdrowotnej w naszym kraju.

Znad Zatoki Pohick mówiła dla państwa Jessica Stown.

Carl Cussler ściszył telewizor, gdy ścianę zalała szeroka smuga światła — ktoś zaparkował na podjeździe. Podeszedł do okna i niezauważalnie odchylił firankę. Odetchnął, widząc granatowego explorera, choć, szczerze powiedziawszy, spodziewałby się w tej chwili każdego, tylko nie Nicka Stewarta. Nawet do końca nie wiedział, skąd detektyw znał jego adres.

Odblokował i otworzył szeroko drzwi...

— Nie lubisz wędkować?

— Nie znoszę... — roześmiał się Nick. — Za to mój ojciec uwielbia.

— Wejdz...

Kapitan znowu zachowywał się, jakby ktoś podał mu serum życzliwości. Znając Cusslera dłużej, można było dojść do wniosku, że cierpi na rozdwojenie jaźni — w pracy furiat, poza nią — przemiły, ciepły człowiek. Wskazał Nickowi fotel.

— Napijesz się piwa?

— Nie... Chciałem tylko podziękować.

— Nie bardzo masz za co... Ten oszołom prawie was tam załatwił. Przysięgam, że gdybym wiedział, nie odwołałbym tych policjantów. Twój ojciec nalegał, ale nie powinienem był się zgodzić.

— To uparty człowiek. Czasem lepiej z nim nie zadzierać. Wszyscy żyją i to jest najważniejsze.

— Wiem, że już to mówiłem w taki czy inny sposób, ale cieszę się, że pracujesz w moim wydziale. Ten cały Blanc to był nie byle kto. Rozmawiałem z gośćmi z CIA. Podobno połowa świata odetchnęła, gdy dowiedzieli się o jego śmierci. Facet legitymował się stuprocentową skutecznością.

Nick skinął głową i popadł w zamyślenie.

— Co masz minę jak zbity pies?

— Martwi mnie to, co powiedział.

— Wiem... Mówiłeś przez telefon. Jeżeli ten proceder rozciąga się na więcej placówek, to nie wdepnęliśmy w gówno, tylko brodzimy w szambie.

— Ciężko tu w ogóle mówić o skali problemu.

— Jesteśmy za słabi i za mali. Federalni przejmą sprawę. Pewnie CIA też będzie miało coś do powiedzenia. My możemy się już tylko przyglądać. Może jak będą chcieli kawy, to nas poproszą.

— Myślałem, że Morris był na szczycie.

— Kto to wie...

— Zastanowiło mnie, co powiedział Blanc.

— Mianowicie?

— Powiedział, że *prowadząc to śledztwo samemu i tak długo przeżyłem*.

Kapitan uniósł brew.

— I co w związku z tym?

— O śledztwie wiedziałem tylko ja i pan. Nikt inny nie był wtajemniczony. Skąd Blanc wiedział, że śledztwo w ogóle odbyło się i że ja je prowadziłem? Bez czyjejkolwiek pomocy.

Cussler zmierzył podejrzliwie detektywa, nachylił się i powiedział:

— Żartujesz, czy jaja sobie ze mnie robisz? Bo chyba nie rozumiem twojej aluzji.

Nick oparł się i wbił wzrok w zwierzchnika.

— Długo zastanawiałem się nad tym wszystkim...

— No to mnie oświeć... — Kapitan założył ręce na piersiach. Nie podobały mu się insynuacje, ale postanowił wysłuchać tych bredni do końca.

— Po pierwsze: śledztwo — Nick zaczął wyliczać na palcach.

— Dowiaduje się pan o tym, że w pana mieście znikają ludzie. Zamiast krzyczeć i iść z tym wyżej, idzie pan do mnie. Dostaję tajną misję... Mam znaleźć powiązania pomiędzy znikającymi ludźmi. Dlaczego akurat ja?

— Bo jesteś dobrym gliną?

— Bo gdyby ktoś zaczął zadawać pytania, byłbym świetnym kozłem ofiarnym. Zlecił pan to komuś zaufanemu, bo nie chciał wzbudzać sensacji. Argument o panikujących mieszkańcach był aż nadto przekonujący. Połknąłem to.

— To wszystko, czy masz coś jeszcze?

— Jest tego trochę...

— Słucham...

— Klinika. Skąd, do cholery, Blanc wiedział, że tam będziemy? Skąd wiedział, gdzie mnie szukać? Zjawił się w gabinecie Morrisa akurat wtedy, gdy ja tam byłem. Nie wyglądało na to, że zablądził.

— Cały czas słucham...

— Rozmawiałem tylko z Bartonem i z panem. Kazał mi pan wziąć parę dni wolnego, więc nie mogłem brać udziału w żadnej oficjalnej akcji. Nikt nie wiedziałby, gdyby coś mi się stało w tej klinice. Za bardzo zbliżyliśmy się do prawdy, więc Blanc miał mnie... nas załatwić. Dostał cynk, gdzie będę i co zamierzam. I jakim cudem się wymknął? A ten cholerny helikopter? Jadąc tutaj, liczyłem, jak długo może potrwać przelot helikoptera z kliniki na lotnisko oddalone o jakieś dwa kilometry. Wyszło mi, że minutę... My w tym czasie zdążyliśmy dojechać tam samochodem i zatrzymać Morrisa. Celowo opóźnił pan grupę specjalną. Dostali cynk długo po tym, jak odjechaliśmy z Wesem. Dało to Morrisowi czas na ucieczkę.

Cussler po cichu analizował wszystko razem z detektywem, robiąc coraz bardziej zaskoczone miny.

— No i to cholerne jezioro... Śmierć moja, Kate i rodziców, czyli wszystkich, którzy usłyszeli całą prawdę. Lista przepada, przepadają też wszystkie dowody, które panu przekazałem, zanim pojechaliśmy z Wesem po Morrisa. Wszystko było w plecaku. Teczki, akta, dane. Kierował pan przeszukaniem ośrodka. Wystarczyło wejść do biura Morrisa jako pierwszy albo kazać zaufanemu człowiekowi coś przeoczyć. Oczywiście... bardziej zaufanemu ode mnie.

Nick taksował wzrokiem kapitana, ale ten nie zdradzał żadnych oznak podenerwowania. Jedynie coraz bardziej dziwił się kolejnym zarzutom.

— Ucieszył się pan, gdy mój ojciec zgodził się odesłać policjantów. Blanc miał łatwiejsze zadanie. Dwa trupy mniej. Rozmawiałem z ojcem. To pan jako pierwszy wysunął ten pomysł, ale zaraz się z niego wycofał. Zasiał ziarno, które błyskawicznie wykiełko-wało. Mojego ojca łatwo podejść, szczególnie jak mówi się o odwadze i bohaterstwie.

Cussler pokręcił głową.

— Rozumiem, że masz mnie za szefa światowej organizacji zajmującej się nielegalnym biznesem za miliardy dolarów... I zarządzam tym wszystkim z mojego małego domku na przedmieściach Waszyngtonu...

— Nie. Mam pana za skorumpowanego gliniarza, który widniał na ich liście płac już od dłuższego czasu. Nie wierzę, że te zniknięcia wcześniej nie wydały się panu podejrzane. Po prostu pojawili się w odpowiednim momencie z odpowiednią ilością gotówki. Tak samo jak z Battem. Miał pan udawać głupka, a jak zaczęło się pieprzyć, kazali panu wyciszyć sprawę. Ale pan był sprytniejszy. Pozbywali się trupów, więc mogłem błędzić bez końca. A gdyby coś wyszło na jaw, miałby pan wymówkę. W końcu sprawą zajął się pana najlepszy człowiek, prawda?

Cussler spojrział na drzwi. Zastanawiał się, ilu ludzi czeka za nimi.

— Jest jednak coś, co nie pasuje w twojej bajeczce.

— Mianowicie?

— Barton też o wszystkim wiedział... Mówiłeś, że chciałem waszej śmierci i że wystawiłem was Morrisowi i temu drugiemu.

To czemu, do ciężkiej cholery, Morris nie załatwił Bartona, jak miał okazję?

— Kiedy?

— Barton uratował chłopca, ale coś mu wstrzyknęli i stracił przytomność. Potem nagle Morris ma chłopaka... Coś tu chyba nie gra... Morris grzecznie poprosił Bartona, aby ten mu go oddał? Nie wydaje mi się... Morris zostawił Bartona w spokoju. Nie miał skrupułów i zastrzelił pilota z zimną krwią. Powiesz mi, jakim cudem Barton przeżył spotkanie z Morrisem, czy dalej będziesz mnie oskarżał w moim własnym domu?

Nick ściągnął brwi. W ogóle nie wziął tego pod uwagę.

— Od dziesięciu minut rzucasz mi oskarżeniami w twarz, a ja grzecznie słucham. Ale dość tego! Mam nadzieję, że chociaż odpowiesz mi na to pytanie, zanim zadzwonisz po posiłki. Przynieść ci kajdanki? — Cusslera wyraźnie zirytowała sytuacja. Nie miał zamiaru dłużej słuchać oszczerstw rzuconych mu w twarz. Wytrzymał wystarczająco długo. Teraz nadeszła jego pora. Znowu był tym Cus-slerem, którego Nick znał z pracy. Wstał i podszedł do drzwi. — Wynoś się, a jutro z samego rana chcę cię widzieć w pracy.

— Bo to nie był Morris...

— Co?!

Nick wstał, ale nie zrobił nawet kroku.

— To nie Morris zabrał Bartonowi chłopaka. Pamiętam, jak zobaczyłem go na korytarzu. Biały fartuch, białe medyczne obuwie. Barton powiedział, że osobnik, który obok niego przechodził, miał czarne skórzane buty. Harris leżał nieprzytomny pod szafką, gdy go znaleźli. To musiał być ktoś trzeci.

— I mówisz, że to byłem ja, bo w mojej szafce na buty jest para pasująca do opisu? Czekaj. Jak to leciało? Czarne... skórzane... Założę się, że w twojej szafce też takie znajdę.

— Ochroniarze strzelali, żeby zabić. Bez ostrzeżenia załatwiliby Bartona. Ktoś, kto zabrał chłopaka, nie był w stanie strzelić do dawnego przyjaciela. Służyliście razem w wojsku, wzajemnie ratując sobie tyłki. Takich znajomości nie kończy się kulka w plecy.

— Masz urojenia...

— Dobił Batta i porządnie poobijał Harrisa oraz jego pomocnicę. W razie potrzeby oddałby życie za ciebie i wspólną sprawę. A ty mi go teraz wystawiasz?

Cussler parsknął śmiechem.

— Wystawiam? Dzięki mnie żyje...

Wes Barton pchnął drzwi i wszedł do środka.

— Żyję dzięki niemu... — Wskazał na Nicka. Trzymał pistolet, ale najchętniej odrzuciłby go i skręcił Cusslerowi kark gołymi rękami.

— Nieźle to obydwaj wymyśliliście. Kto jeszcze czeka na zewnątrz?

— Wydział wewnętrzny i paru gości w garniturach — oznajmił oschle Barton.

— Nie macie żadnego dowodu...

— Byłeś sam w podziemiach szpitala... — powiedział Barton, próbując się opanować. — Chcesz się założyć, że jak upierdole ci łąpsko i przyłożę je do tamtego czytnika, to ekran zaświeci się na zielono?

Cussler nie odpowiedział.

— Śledziłeś nas na kamerach. Byłeś pewny, że Blanc poradzi sobie z Nickiem, ale sprawy przybrały nieoczekiwany obrót i musiałeś im pomóc. Droga przez podziemia na lądowisko wiodła w przeciwnym kierunku, niż uciekałem z chłopcem. Morris nie mógł wiedzieć, że go mam. Nie mogliśmy się też spotkać. Dałeś mu cynk i dostarczyłeś chłopaka, zanim odleciał.

Kapitan zacisnął ze złości zęby.

— To jeszcze nie koniec...

— Ma pan rację, kapitanie... Dla pana to dopiero początek.

EPILOG

Siedziba AC PHARMACEUTICALS, Nowy Jork

Alfred Cole nie miał bliskiej rodziny. Zawsze twierdził, że nie ma czasu na takie sprawy, a gdy go znalazł, uznał, że już na to za późno. Kiedy wieść o jego tragicznej śmierci rozeszła się lotem błyskawicy, wiele osób zacierało ręce, licząc na łakomy kęs ze zgromadzonego przez lata majątku. Większość srodze się zawiodła, kiedy jego adwokat i jedyny prawdziwy przyjaciel towarzyszący mu niemal przez całe życie — Fred Hurley — wszedł do głównej sali konferencyjnej AC PHARMACEUTICALS i przywitał zebrane w niej osoby: pięciu mężczyzn i jedną kobietę. Miał siwe włosy i czoło porane zmarszczkami. Jego jasnoszary garnitur mocno kontrastował z ciemnymi, które mieli na sobie członkowie zarządu. Fred Hurley był o dwadzieścia lat młodszy od swojego byłego pracodawcy i zawsze podkreślał, że wszystko, czego się nauczył, zawdzięczał tylko jemu.

— Witam państwa i dziękuję za przybycie. — Adwokat usiadł na końcu stołu — w fotelu, który zawsze zajmował właściciel firmy. — Zgodnie z dyspozycją, jaką przed śmiercią wydał mi pan Cole, poinformowałem wszystkie wyznaczone przez niego osoby, które życzył sobie, aby były obecne podczas odczytania jego ostatniej woli. — Wyciągnął dużą zalakowaną kopertę. — Pozwolę sobie teraz odczytać testament naszego zmarłego dyrektora,

a zarazem przyjaciela. — Oderwał górę dużej koperty i wyjął... mniejszą kopertę oraz jednostronicowe pismo.

Moi Drodzy...

Dobrze wiecie, że uwielbiałem punktualność i jak nikt cenilem zapał do pracy. Tak więc nie będę przedłużał, aby każdy z was mógł wrócić do swoich obowiązków.

Ja, niżej podpisany Alfred Cole, oznajmiam, co następuje. Każdy z szóstki tutaj zebranych otrzymuje na własność pakiet udziałów równy jednej trzynastej wartości firmy. Zarządzajcie nim dobrze i rozwijajcie dalej to, co razem stworzyliśmy. Pozostałe siedem trzynastych, będących jednocześnie pakietem większościowym firmy, razem z funkcją dyrektora AC PHARMACEUTICALS oraz moją posiadłość, a także wszystkie osobiste dobra doczesne, jakie udało mi się zgromadzić, powierzam przyjacielowi — Fredowi Hurley'owi — w zamian za czterdzieści lat przyjaźni oraz ostatnią przysługę, jaką będzie dostarczenie wskazanej osobie koperty dołączonej do testamentu.

Dziękując wam za wszystkie wspólne chwile i zrealizowane cele, życzę kolejnych sukcesów i spełnienia marzeń.

Fred Hurley położył pismo na stole. Trzęsły mu się ręce. Po cichu liczył na jakieś sto tysięcy, może nawet milion, ale w najśmielszych snach nie spodziewał się pakietu większościowego firmy, nie mówiąc już o pozostałych dobrach. Bał się podnieść wzrok. Domyślał się, co czują zebrani. Dostali ochłapy, a on wszystko.

Ostatecznie skupił się na małej kopercie. Gdy przeczytał, co na niej napisano, natychmiast schował ją do aktówki i nieufnie

przeleciał wzrokiem po zebranych.

— Jak tylko przygotuję dokumenty, skontaktuję się z każdym z państwa. A teraz proszę o wybaczenie, muszę ochłonąć...

— Nie dziwię się — rzuciła kobieta. Miało to zabrzmieć wesoło, ale wyszło chorobliwie zazdrośnie.

Jeszcze długo po wyjściu z sali konferencyjnej Fred Hurley zachodził w głowę, co takiego Alfred Cole wiedział lub czego był świadkiem. Natychmiast skojarzył wypadek na moście z danymi na kopercie:

Dyrektor FBI

Paul Andrews

DOSTARCZYĆ DO RĄK WŁASNYCH